



Czas  
cudów

czyli opowieści pod jemiolą

Joanna Dorota Bujak  
Małgorzata Falkowska  
Anna Hartukowicz-Niemczynow  
Joanna Jax  
Patrycja May  
Carla Mori  
Joanna Pyptacz  
Diane Rose  
Beata Schoenmakers  
Łucja Wilewska

VIDEOGRAF





# Czas cudów

*czyli opowieści pod jemiolą*

Joanna Dorota Bujak  
Małgorzata Falkowska  
Anna Harłukowicz-Niemczynow  
Joanna Jax  
Patrycja May  
Carla Mori  
Joanna Pyplacz  
Diane Rose  
Beata Schoenmakers  
Łucja Wilewska

VIDEOGRAF





Redakcja  
*Anna Seweryn*

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej  
*Grzegorz Bociek*

Projekt okładki i stron tytułowych  
*Pracownia WV*

Fotografie na okładce  
© *smartmomblogger* | *pixabay.com*  
© *theglassdesk* | *freepik.com*

Korekta  
*Urszula Bańcerk*

Wydanie I, Chorzów 2017

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA  
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c  
tel. 600 472 609  
[office@videograf.pl](mailto:office@videograf.pl)  
[www.videograf.pl](http://www.videograf.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.  
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21  
tel. 22 663 98 13, fax 22 663 98 12  
[dystrybucja@dictum.pl](mailto:dystrybucja@dictum.pl)  
[www.dictum.pl](http://www.dictum.pl)

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2017  
tekst © Joanna Dorota Bujak, Małgorzata Falkowska, Anna Harłukowicz-Niemczynow, Joanna Jakubczak, Patrycja May, Carla Mori, Joanna Pyplacz, Diane Rose, Beata Schoenmakers, Łucja Wilewska

ISBN 978-83-7835-635-6

## Od redakcji

Choć czasami śnieżna pierzynka przypomina raczej błotnistą breję, w ferworze zakupów musimy się wykazać niemal heroiczną walką, a w mijanych ludziach trudno rozpoznać magię świąt, coś sprawia, że to rzeczywiście czas cudów.

Każdy z nas ma pewnie inny przepis na idealne święta, podobnie jak na stole wigilijnym różnie wygląda zestaw tradycyjnych dwunastu potraw. Niech będzie rodzinnie, smacznie, spokojnie. W blasku roziskrzanej choinki i w malowniczo ośnieżonej scenerii. Przy samotnej refleksji i w gwarze rozmów z bliskimi.

Życzymy naszym Czytelnikom świąt ciepłych jak ogień w kominku, barwnych jak kolorowe ozdoby na choince, wesołych jak śmiech dziecka po otrzymaniu wymarzonego prezentu i ciekawych jak najpiękniejsza powieść...

Sami będziecie wiedzieć, co dla Was najlepsze w te święta, a my trzymamy kciuki, żeby się spełniło \*

## Joanna Dorota Bujak



ur. 24 października 1977 r. w Bochni (Małopolska). Swoją naukę zaczęła w Szkole Muzycznej, ale ostatecznie ukończyła Wydział Architektury i Urbanistyki na Politechnice Krakowskiej. Obecnie mieszka w Grodzisku Mazowieckim pod Warszawą, oddając się swojej największej pasji – tworzeniu tekstów. Spod jej pióra wyszły: kryminały (*Lista*, *Novae Res*; *Bilbord*, Prószyński), horrory (*Spadek*, Prószyński; *Ogniskowa*, Videograf), literatura obyczajowa (*Nikt się nie spodziewał*, *Czwarta Strona*) oraz różne tematyczne opowiadania.

## Joanna Dorota Bujak. *Zwyczajny cud*

Od niespełna roku mieszkam na obrzeżach niewielkiego miasta, przy ślepej uliczce o malowniczej nazwie „Leśny Kącik”. Nazwa ta nie do końca wydaje mi się adekwatna, bo wprawdzie na końcu uliczki znajduje się młody las, lecz większość starszych drzew, wyrastających ponad dachy domków jednorodzinnych, rośnie już poza posesjami. Dopiero trzy lata temu mieszkający tutaj ludzie postanowili wspólnie obsadzić pas trawy oddzielającej chodnik od drogi pięknymi roślinami, głównie iglastymi. Wśród nich prym wiodły urocze srebrne świerki, mające teraz około trzech metrów wysokości. Dzięki temu zabiegowi Leśny Kącik stał się jeszcze bardziej urokliwy i rzeczywiście wyglądał na drogę wiodącą prosto do lasu.

Gdy przyjechałam tutaj pierwszy raz, aby obejrzeć wystawioną na sprzedaż posesję, uliczka ta momentalnie skojarzyła mi się z tymi pięknymi osiedlami o różnorodnych domkach, pokazywanymi w amerykańskich serialach. Każdy dom nieco się różnił od innych, a to ganeczkiem, wykuszem, niewielką dobudówką, kolorem czy większym garażem. Tutaj również były podjazdy, śliczne płoty i posadzone przed nimi kwiaty. Różnica była taka, że przy Leśnym Kąciku znajdowało się zaledwie dwanaście domów. Zostały one wybudowane przez miejscowego dewelopera zaledwie pięć lat temu. Wszystkie z wyjątkiem domku znajdującego się tuż za zakrętem, przy końcu drogi, gdzie asfalt urywał się gwałtownie tuż przy lesie. Mieszkała tam samotna starsza pani o bardzo wnikliwym spojrzeniu i wścibskim charakterze.

Z okna swojej sypialni na piętrze doskonale widziała nie tylko cały Leśny Kącik, ale też wejścia do poszczególnych domów. Obserwowanie mieszkańców stało się jej ulubionym zajęciem nie tylko w dzień, ale również w nocy, ponieważ od kilku lat cierpiała na reumatyzm, który często nie pozwalał jej spokojnie spać. Walcząc z przewlekłymi bólami, Maria Groszkowska wypracowała sobie pewien rytuał, który (w jej mniemaniu) pozwalał nieco ulżyć starczym dolegliwościom. Fundowała sobie drzemkę przed północą, po czym nagle się budziła, wyciągała z nocnej szafki butelkę z wysokoprocentową nalewką, siadała w bujanym fotelu przy oknie i wolno sącząc rozgrzewający płyn, wpatrywała się w kompletnie wyludnioną o tej porze uliczkę.

Ów dobrze sprawdzony schemat powtórzyła także na trzy dni przed Wigilią Bożego Narodzenia, tylko że pora rozpoczęcia nocnej obserwacji była nieco późniejsza, bo właśnie mijała godzina druga. Groszkowska usadowiła się wygodnie, przykryła kolana starym jak świat kocem i sięgnęła po ukochaną nalewkę. Przez kolejne kilkanaście minut raczyła się małymi łydkami trunku. Pijąc prosto z gwinta, kontemplowała urokliwy widok za oknem, mrucząc coś pod nosem.

A na zewnątrz było rzeczywiście pięknie i tajemniczo... Chodniki, podjazdy i domy pokryła cieniutka warstwa śniegu, który nieśmiało posypywał mniej więcej od południa. Czarna jezdnia już się skrzyła od właśnie powstałego lodu. Choć rano pewnie ta cienka skorupa uprzykrzy życie wszystkim mieszkańcom, próbującym wyjechać do pracy, teraz wyglądała wprost urokliwie.

Większość domów tonęła w aksamitnej ciemności. Jedyne przy drugim końcu ulicy paliło się nisko światelko na poddaszu. Groszkowska wiedziała, że mieszka tam młode małżeństwo z malutkim dzieckiem. Być może właśnie teraz nadszedł czas karmienia i przewijania maleństwa?



Wzdychając ciężko, upiła kolejny łyzeczek. Przyciskając butelkę do piersi, przeniosła nieco już rozmyty od alkoholu wzrok na kilka latarni, stojących wzdłuż chodnika. Oświetlały one nie tylko drogę, pasy trawy z posadzonymi na nich choinkami, ale również fragmenty sąsiedzkich posesji, oddzielonych od drogi białymi płótkami.

– Ładnie tutaj – westchnęła sama do siebie, patrząc na pokryte śniegiem kalenice domów. – Jak z obrazka. Jak z bajki.

Po kolejnym rozgrzewającym łyuczku stwierdziła, że jednak jest senna. Ciężko podniosła się z fotela i odłożyła koc na siedzisko. Ściągając szlafrok, odruchowo jeszcze raz rzuciła okiem na cały Leśny Kącik i... zamarła.

Środkiem chodnika przemykał jakiś cień. Co chwila ginął w szpalerze drzewek, by po chwili znów pojawić się na drodze. Chyłkiem przemknął tuż obok jednej z latarni, przez chwilę stał nieruchomo, po czym znów skrył się pomiędzy drzewami. Jedna z choinek nagle się zatrzęsła, strzepując dookoła śnieg, który opadając, zamienił się w skrzący pył. Cień wyskoczył zza niej, dzierząc pod pachą jedną z większych gałęzi.

W tym momencie Groszkowska odzyskała zdolność ruchu. Zapominając o artretyzmie, natychmiast porzuciła szlafrok i zwinnie, niczym rączka sarna, doskoczyła do okna. Zanim cień znów mignął pomiędzy kolejną kępą krzewów, zdążyła spostrzec, że niesie kolejną gałąź.

– Co, do diabła? – szepnęła, przyciskając nos do szyby.

Z zapartym tchem czekała, aż osobnik jeszcze raz się pojawi.

– Jest – syknęła, zacierając po chwili dłoń. – Mam cię, bratku...

Ubrany w całości na czarno typiek podbiegł do rosnącego nieopodal srebrnego świerczka i zdecydowanym ruchem uciął dwie spore gałęzie. Pani Maria wyraźnie widziała błysk sekatora, co oznaczało, że złodziej niewątpliwie akcję musiał zaplanować.

– Tak nie może być! – warknęła kobieta, po omacku szukając telefonu, który zawsze zostawiała na noc przy łóżku. – Mamy złodzieja! To trzeba zgłosić!

Zanim udało się jej złapać słuchawkę i wrócić na posterunek za zasłonką, po podejrzanym osobniku nie było śladu.

Pani Maria doszła do wniosku, że nie potrzebuje już się kryć za zwojami firanki. Szybkim ruchem odsunęła ją na bok i całym ciałem przywarła do lodowatej szyby, by wyszukać podejrzanego typka. Gdyby komuś z lokatorów sąsiednich domów przyszło do głowy wyrwać się z ciepłego łóżeczka i spojrzeć w okno na piętrze domu numer trzynastie, natychmiast doszedłby do wniosku, że zobaczył gigantycznego glonojada z bliżej niewyjaśnionych powodów mocno przytwierdzonego do drzwi balkonowych. Jednak o tej porze wszyscy mieszkańcy Leśnego Kącika smacznie spali, kompletnie nieświadomi tego, że ich ulica właśnie została ograbiona z fragmentów roślinności, a świadkiem tego haniebnego uczynku była jedynie najstarsza mieszkanka osiedla.

– Gdzie się podziałeś... gnojku... jeden... – cedziła przez zaciśnięte zęby, usilnie starając się wydobyć jakikolwiek ruchliwy cień z jednostajnego krajobrazu. – Niech no cię tylko zobaczę...

Jej oczekiwanie szybko się opłaciło, bo po niespełna minucie coś czarnego czmychnęło w stronę kolejnej kępy choinek. Groszkowska bez namysłu wybrała numer na policję, lecz zanim zdecydowała się połączyć, jej palec zawisł na chwilę nad zielonym przyciskiem i przeniósł się na opróżnioną do dna butelkę po nalewce. Kobieta nagle zrozu-

miała, jak bardzo tej nocy przesadziła z alkoholem. Czy ktoś jej uwierzy i przejmie się opowieścią podpitej staruszki, bredzącej o widzianym w środku nocy czarnym cieniu, ucinającym gałęzie drzewek?

Cmoknęła z niezadowolenia, uświadamiając sobie, że sama nie bardzo ufałaby takiej osobie oraz opowieści, która mogłaby być jedynie alkoholowym majakiem. Nie wiedząc, jak postąpić dalej, kobiecina znów zawisała przy oknie. Po kilkunastu minutach wpatrywania się w wyludniony pejzaż zaczęła podejrzewać, że może to wszystko jej się przywidziało. Może byłoby warto ubrać się i sprawdzić przydrożne choinki? Wtedy przynajmniej miałaby jakiś dowód.

Kiedy już prawie była zdecydowana na ten odważny krok, powiał silny wiatr. Jego lodowaty podmuch uderzył setkami małych płatków w okno. Pani Maria nie lubiła wiatru i chłodu, bo od tego jeszcze bardziej bolały ją stawy. Pomysł nocnej eskapady nagle wydał jej się niedorzeczny. Szybko więc wpadła na inny: z samego rana, kiedy tylko zrobi się jasno, przejdzie wzdłuż ścieżki i sprawdzi wszystkie choinki. Jeśli znajdzie przystrzyżone gałązki, wówczas będzie miała pewność, że to, co widziała w nocy, zdarzyło się naprawdę.

\*\*\*

Nasz rodzinny poranek zazwyczaj przypomina rozruchy w domu wariatów. Zwłaszcza w tygodniu, kiedy mój mąż Piotrek szybko zbiera się do pracy, a dzieciaki do szkoły. Zwykle wstajemy z łóżka zbyt późno, przez co musimy się śpieszyć z ubraniem i pakowaniem. Każdy w biegu podgryza kanapkę, szukając równocześnie jakichś elementów garderoby czy wciskając się w spodnie. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu ten harmider przed świętami jeszcze bardziej się nasila. Dochodzą krzyki, kłótnie o to, kto za długo siedzi w łazience albo że „ktoś specjalnie ukrył książkę czy piórnik potrzebny do szkoły”. Autorami tych denerwujących wrzasków są oczywiście moje dzieci – Michał i Bartek.

Michał, jako sumienny drugoklasista, zajęcia w szkole traktuje szalenie poważnie. Zazwyczaj pod wieczór jest już spakowany na następny dzień. Uczy się chętnie i lubi odrabiać zadania domowe. Bartek ma pięć lat i jak na razie jego życiową misją jest robienie bratu różnych psikusów, zwłaszcza gdy wcześniej Michał mu podpadnie. Wtedy wyciąga z jego plecaka jakąś rzecz i chowa w szafie. Rano przed samym wyjściem trzeba więc sprawdzić zawartość plecaka Michała, żeby w szkole nie było płaczu, że czegoś zapomnieli. Dzisiaj dla odmiany szukaliśmy spodenek do wuefu, które ostatecznie udało mi się znaleźć w... pojemniku na drugie śniadanie.

– Musisz zawieźć chłopaków. – Piotrek przemknął mi tuż przed nosem, w biegu dopijając resztkę kawy z kubka, kiedy ja pośpiesznie udzielałam dzieciom reprimendy za ukrycie spodenek. – Nie zdążę, jeśli będę przepychał się przez ten korek pod szkołą.

– Ale ja się nie przebrałam – powiedziałam, upychając strój do plecaka Michała. – Jestem nieuczczona. Też nie zdążę. Ty ich miałeś dzisiaj zawieźć!

– Skarbie... – Złapał mnie za ramiona i cmoknął w czoło. – Za dwadzieścia minut muszę być w pracy, a chłopcy w szkole. Nie opanowałem jeszcze zdolności teleportacji. Zawieź ich. Buziaki.

I wybiegł z domu, nie zamykając za sobą drzwi.

– No, po prostu świetnie – warknęłam, patrząc na zegarek.

Na ogarnięcie siebie i zapakowanie chłopców do auta miałam zaledwie dwie minuty.

– Tata pojechał! – Na schodach pojawił się Bartuś. – Zapomniał nas zabrać!

– Nie zapomniał, tylko nie zdążył – poprawiłam go, pędząc do sypialni. – Schodźcie już na dół. Ja się tylko ubiorę i zaraz zawiozę was do szkoły.

Kilka minut później mknęłam ulicami miasteczka niczym jakiś pirat drogowy. Zdążyłam dowieźć chłopaków na pięć minut przed pierwszym dzwonkiem. Michał szybko zabrał swój plecak i machając mi na pożegnanie, pognął do swojej szatni. Bartka musiałam zaprowadzić do oddziału przedszkolnego. Nie zdążyłam pomalować oczu ani zaplanować nad czupryną, wskutek czego wystąpiłam w przeciwsłonecznych okularach i grubej czapie na głowie.

Na miejscu spotkałam sąsiadkę i moją przyjaciółkę – Marlenę. Ona też zostawiła swojego synka Marcela, który właśnie w tym momencie, wyjąc wniebogłosy, uczeplił się nogi matki i za nic w świecie nie chciał jej puścić. Też miała okulary przeciwsłoneczne, choć na niebie nie było widać nawet skrawka słońca.

– Widziałaś dzisiaj rano Groszkowską? – zapytała, nieporadnie starając się wyplatać paluszki synka ze swoich ubrań. – Zachowywała się jakoś nienormalnie.

– Nie miałam czasu rozglądać się po ulicy – westchnęłam, wieszając kurtkę Bartka.

– Chodziła wzdłuż chodnika, od choinki do choinki, i oglądała każde drzewko. Wyglądała tak, jakby liczyła gałęzie.

– Rzeczywiście dziwne. – Pośpiesznie ucałowałam czołko synka i pomachałam mu na pożegnanie, licząc na szybką ewakuację.

– Pomyślałam sobie, że może szuka gałęzi na stroik. – Marlenka zachichotała.

– Przecież to są nasze wspólne choinki – zauważyłam. – Groszkowska ma różne durne pomysły, ale wątpię, żeby chciała ciąć osiedlowe drzewka.

– Też mam taką nadzieję. – Sąsiadka wzruszyła ramionami i znów zabrała się za odczepianie ryczącego malucha.

Nawet przez moment nie myśląc o tej rozmowie, zrobiłam ekspresowe zakupy w pobliskim markecie i szybko wróciłam do domu. Parkując samochód na podjeździe, zauważyłam Groszkowską nieopodal jej domu. Stała przy dwumetrowym srebrnym świerczku i... robiła mu zdjęcie.

– Chyba rzeczywiście zaczyna jej odbijać – mruknęłam, zamykając bramę.

I wtedy zobaczyłam, że macha mi na powitanie. Z uśmiechem uniosłam rękę.

– Zaczekaj chwilę! – ryknęła, rzucając się w moim kierunku. – Muszę z tobą porozmawiać.

– No i masz babo placek – westchnęłam, czekając na nią przy furtce.

Nadbiegła zdyszana, jakby pokonała cały maraton, a przecież minęła zaledwie trzy posesje.

– Dlaczego pani fotografuje drzewka?

– Robię dokumentację – wysapała, wpychając telefon do kieszeni kurtki.

– Ale po co?

– Dzisiaj w nocy wstałam, żeby wziąć... lekarstwo. – Zawahała się przy ostatnim słowie. – Kiedy je piłam, zobaczyłam, jak jakiś ubrany na czarno złodziej biegnie z gałazkami. Robię więc zdjęcia, bo jak zaczną znikać całe świerki, wtedy trzeba zgłosić to na

policję.

– Może ktoś zabrał gałęzie z lasu? – zasugerowałam, wzruszając ramionami. – Z tego, co wiem, to ucięcie gałązki nie jest przestępstwem. Chyba.

– I w tym celu wybrał się do lasu o drugiej w nocy? W życiu nie słyszałam głupszego wytłumaczenia.

Nie bardzo wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Zaledwie dwa miesiące temu też odwiedziłam nasz lasek w okolicach północy, a to dlatego, że mój kochany Michałek przypomniał sobie, że następnego dnia na pierwszą lekcję ma przynieść różnego rodzaju liście. Oczywiście powiedział mi o tym, kiedy właśnie wyszłam spod prysznic i zamierałam wreszcie pójść spać. Być może ten „złodziej” też zebrał kilka gałęzi dla swojego zapominalskiego dziecka? A bardzo możliwe, że w ostatnich dwóch dniach szkoły dzieci robią na zajęciach świąteczne stroiki.

Zamiast coś powiedzieć, szybko zastanowiłam się, czy aby przypadkiem moi chłopcy nie mieli czegoś przynieść na plastykę albo technikę.

– To był złodziej i już – powiedziała pani Maria z przekonaniem w głosie. – Trzeba namierzyć gagatka. Jak zobaczysz kogoś podejrzanego, kręcącego się w pobliżu, to koniecznie daj znać.

– Dobrze, oczywiście. – Skinęłam głową.

Odwróciła się na pięcie, wyciągnęła komórkę i ponownie zaczęła fotografować drzewa. Ja tymczasem zebrałam zakupy i weszłam do domu. Ledwie zamknęłam za sobą drzwi, zadzwonił telefon.

– O co chodzi z tym zdjęciami?

Dzwoniła moja najlepsza przyjaciółka i sąsiadka z naprzeciwka – Anka – niepracująca księgowa, zajmująca się obecnie domem i trzema uroczo rozpieszczonymi córeczkami w wieku od pięciu do ośmiu lat. Na pewno widziała, jak rozmawiałam z Groszkowską, bo większość swojego życia spędzała w kuchni, gdzie gotowała, myła i prała niezliczone pokłady ubrań po swoich trzech nieletnich dziewczynkach. Tuż przy zlewozmywaku miała panoramiczne okno z widokiem na nasz dom i większość Leśnego Kącika. Byłam przekonana, że w przyszłości to właśnie ona zajmie miejsce Groszkowskiej i będzie obserwować każdego mieszkańca.

Na naszym osiedlu kuchnie są sercem domu. To tutaj przygotowuje się posiłki i spędza najwięcej czasu z rodziną, bo w tych szalonych czasach, mijających głównie w biegu, tylko podczas posiłków mamy szansę spotkać wszystkich domowników przy wspólnym stole. U większości sąsiadów właśnie kuchenny stół był miejscem odrabiania zadań, spotkań z sąsiadkami, wieczornej herbatki czy podpisywania ważnych dokumentów. Ten z pozoru błahy mebel był świadkiem wszystkich ważnych wydarzeń w życiu niemal każdej rodziny.

Rozmawiając z przyjaciółką, stanęłam przy stole. Odruchowo zaczęłam zbierać talerzyki i kubki po szybkim śniadaniu.

– Groszkowska twierdzi, że w nocy widziała złodzieja umykającego z naszego osiedla z naręczem gałęzi – oświadczyłam, wkładając sztucce do zmywarki. – Ponoć był ubrany na czarno i miał kominiarkę.

– Pewnie znowu popijała i jej się to wszystko przywidziało – mruknęła Anka.

– Ale powiedziała, że to było jakoś koło drugiej – przypomniałam sobie.

– No właśnie. – Zaśmiała się. – To jest jej ulubiona pora bratania się z butelką. Oficjalnie nazywa to „lekarstwem”.

– Ale skąd masz pewność? – Zaperzyła się trochę.

Prawdę mówiąc, nie szalałam na punkcie Groszkowskiej, bo często bywała złośliwa i zbyt nachalna, ale byłam przekonana, że jest to wynik samotności, a to bardzo zmienia ludzki charakter. Niektóre samotne osoby skupiają się wtedy na sobie, inne natomiast pustkę wynikającą z braku rodziny wypełniają zbyt dużym zainteresowaniem życiem sąsiadów. Groszkowska zdecydowanie należała do tej drugiej grupy.

– Bo co kilka dni kupuje wysokoprocentową nalewkę w monopolowym, w centrum miasta. – Znów się zaśmiała. – Biedaczka myśli, że lepiej kupować daleko od domu. A tak się składa, że tam pracuje moja kuzynka...

– Och, rozumiem – westchnęłam, nieco rozczarowana zachowaniem staruszki spod trzynastki.

Biorąc pod uwagę częstotliwość zakupu nalewki oraz fakt, że sąsiadka pije ją sama... cóż... w środku nocy może być po prostu na tyle pijana, żeby widzieć przede wszystkim zniekształcone obrazy podsunięte przez alkohol, a nie realne zdarzenia.

– Po prostu jest sama. Chyba czuje, że nie ma dla kogo żyć – stwierdziła nagle Anka. – Pewnie Wigilię też spędzi sama. W poprzednich latach nikt do niej nie przyjechał. Nie ma bliskiej rodziny. A listonosz przynosi jej tylko rachunki i ulotki reklamowe. Wiem, bo kilka razy odbierałam pocztę.

– Może dobrze byłoby ją zaprosić na Wigilię? – zastanowiłam się na głos. – Do nas w tym roku przyjeżdża tylko mój tata. Rodzice Piotrka lecą do córki. Mieszka w Irlandii.

– Cóż, my też spędzamy święta sami, bo u brata dzieciaki zachorowały na ospę... – Przerwała, bo nagle wpadła na pewien pomysł. – Słuchaj, a może urządzilibyśmy Wigilię wspólnie? Byłoby nas więcej, weselej. Tak powinno się spędzać święta. Ja przygotowałabym część potraw... imprezę zrobilibyśmy u ciebie, bo masz większy salon i kuchnię... oczywiście pomożemy ci sprzątać...

Spojrzałam na kuchenny stół. Słuchając koleżanki, przejechałam wierzchem dłoni po zmatowiałym blacie i zastanowiłam się, czy uda się zmieścić przy nim aż jedenaście osób?

Przez środek blatu biegła ciemna linia, łączenie dwóch części. Gdy się je rozsunie i doda schowany pod spodem element, przy stole spokojnie może zasiąść dwanaście osób.

– Poza tym myślę, że jeśli zaprosimy Groszkowską do jednej rodziny, to ona nie zgodzi się przyjść na kolację. Co innego, gdy jej powiemy, że robimy Wigilię wspólnie. Rozumiesz?

Nagle w myślach przyznałam jej rację. Nasza starsza sąsiadka była, owszem, wścibska i lubiła się wpraszać do czyjegoś domu, ale tylko wtedy, gdy widziała, że są w nim jeszcze jacyś inni goście. Wpadała wtedy i zostawała „przy okazji”. Po prostu lubiła zamieszanie. Wówczas mogła poznać więcej ploteczek z życia nie tylko rodzin, ale również osiedla i całego miasteczka.

– To dobry pomysł – przyznałam wreszcie. – Wiesz? Jeszcze dzisiaj porozmawiam o tym z Piotrkim, jak tylko wróci z pracy.



– Na pewno też będzie za. – Roześmiała się. – Przecież nasi mężowie ciągle umawiają się na piwo albo wspólne oglądanie meczu.

– I dzieciaki pobawią się ze sobą – dodałam.

– No pewnie. – Wciąż chichotała. – To zróbmy tak: pogadajmy dzisiaj z naszymi słodkimi połówkami, a rano dasz mi znać. Wpadnę do ciebie przed południem, żeby ustalić, co ja przygotowuję, dobra?

– W porządku. To do jutra.

– Pa, pa.

\*\*\*

Następnego dnia Ania przybiegła do mnie, ledwie tylko za samochodem Piotrka zdążyły opaść drobne pyłki śniegu. W ramionach dzierżyła dużą miskę przykrytą kraciatą ściereczką oraz reklamówkę z jakimiś słoikami.

– Zostałaś sama? – zapytała, zaglądając do salonu. – Dzieciaki w szkole?

– Tak, pojechały z Piotrkiem. Nie widziałaś?

– Widziałam. – Wzruszyła ramionami. – Ale wolałam się upewnić. Mam przygotowane ciasteczka, trzeba je teraz posmarować konfiturami i połączyć...

Wzięłam od niej miskę i zajrzałam do środka. Była pełna aromatycznych okrągłych ciasteczek.

– Przegadałaś temat Wigilii? – dopytywała. – Robimy wspólnie?

– Tak. – Uśmiechnęłam się. – I zapraszamy Groszkowską. Na pewno bardzo się ucieszy.

– Oj, nie wątpię. – Podeszła do okna w kuchni i zerknęła na ulicę, którą z tego miejsca było doskonale widać. – Możemy to zrobić nawet teraz, bo znowu ogląda choinki. Chyba jej zaczyna odbijać. Mijałam ją, mówiłam „dzień dobry”, a ona nic. Chyba była skąpiona na liczeniu igliwia.

Podeszłam do Anki i wyjrzałam zza jej ramienia. Rzeczywiście, pani Maria zachowywała się co najmniej dziwnie. Obchodziła każdą choinkę dookoła, schylała się, jakby szukała grzybów, zaglądała między gęste gałęzie. Kręciła głową i mogłabym przysiąc, że cmokała przy tym z niezadowolenia. Podpierała się rękami, po czym wykonywała obrót, uważnie oglądając okna każdego z domów.

– Rzeczywiście, chyba nie jest z nią dobrze – stwierdziłam.

Nagle Groszkowska spojrzała prosto w moje okno. Zanim zdążyliśmy odskoczyć, zobaczyła nas i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku furtki.

– Sprawa zaproszenia za moment rozwiąże się sama – powiedziała Anka, widząc, jak starsza pani forsuje bramkę i zaskakująco szybkim truchcikiem pokonuje chodnik aż do samego ganku.

– Zniknęły kolejne trzy gałęzie – powiedziała Groszkowska, ledwie otworzyłam drzwi. – To skandal!

Zerknęłam na stojącą nieco dalej Ankę. Z krzywym uśmiechem znacząco popukała się w czoło. Całe szczęście, że pani Maria tego nie widziała.

– Może jakiś czas temu ktoś je usunął? – Staralam się jakoś wytłumaczyć brak gałązek. – Kiedyś sama obciąłam kilka przed moim domem, bo igły zżółkły.

– Pewnie psy z sąsiedniej ulicy obsikały. – Groszkowska wparowała do mojego domu.



– O, widzę, że masz gościa. Jak miło...

– Dzień dobry. – Anna uśmiechnęła się zdecydowanie zbyt słodko.

– A tak się właśnie zastanawiałam, co to za krągła twarz pojawiła się w oknie. Bo na męża Iwonki mi to nie wyglądało. Wiesz... zbyt pełna. A te czarne włosy...

Rzeczywiście Ania była osobą o dość bujnych kształtach i puciołowatej twarzy. Przyjaciółka starała się ukryć swe „bujności”, nosząc półdługie czarne włosy i grubą, ciętą na skos grzywkę. Taka fryzura dodawała jej uroku. Potrafiła też tak dobrać ubrania i kolory do swojej figury, że zawsze wyglądała ładnie. Nawet idąc do ogródka, żeby wyciąć chwasty.

– Pijecie może herbatę? – zapytała staruszka, mijając troszkę naburmuszoną Ankę i kierując się prosto do kuchni.

– Jeszcze nie. – Podążyłyśmy za nią.

– Chętnie bym się trochę rozgrzała. – Ściągnęła kurtkę i zawiesiła na oparciu krzesła.

– Wprowadź mrozu dzisiaj nie ma, ale mimo wszystko ziąb daje się kościom we znaki. Bez słowa włączyłam ekspres i przygotowałam trzy kubki.

– Będzie taka kawusia ze spienionym mlekiem? – zapytała Groszkowska. – Bardzo mi ostatnio smakowała.

– Postaram się zrobić identyczną.

– Z nią jest jak z dzieckiem – szepnęła mi do ucha Ania. – Może się lepiej zastanówmy, czy naprawdę chcemy ją zaprosić.

– Zaprosić na co?

Nie miałam pojęcia, jakim cudem Groszkowska znalazła się tuż przy nas.

– Cóż... – Założyłam ręce na piersi. – Planujemy zorganizować wspólną Wigilię. To znaczy moja rodzina i rodzina Ani. I pomyślałyśmy, że...

– Och, to wspaniale. – Staruszka klasnęła w dłonie. – Sąsiadka wieczera! Na pewno będę! O której zbiórka?

– Zbiórka? – Anka zmarszczyła brwi.

– No, zbiórka przy stole – wytłumaczyła Groszkowska.

– Jeszcze ustalimy – wtrąciłam.

– Na razie musimy wszystko przygotować – szybko dodała Anka.

– Mogę zrobić bigos – ucieszyła się staruszka. – Zacznę gotować jeszcze dzisiaj, żeby doszedł do Wigilii. To wspaniałe danie, chociaż wyzwala później ogromne gazy. Czasami aż pobolewa od tej kapusty brzuch, o tutaj, na dole... a potem rwie jeszcze niżej...

– Wierzymy – z niesmakiem przerwała jej Anka.

– I przygotuję kutię – dorzuciła pani Maria. – Wy, młode pokolenie, nawet nie wiecie, co to jest.

– Zdziwiłaby się pani. – Anka postawiła na stole swoją kawę z takim rozmachem, że aż się nieco ulało na podstawkę. – W moim rodzinnym domu to tradycja. Wprowadź nikt tego nie je, ale zawsze jest na stole. Potem kury u mojej mamy mają radochę.

– Widocznie twoja mama i babcia nie potrafią jej robić – stwierdziła Groszkowska z miną znawczyni. – Moja kutia będzie przy wigilijnym stole... jak wy to mówicie... prawdziwym hitem.

– Świetnie. – Wskazałam staruszce krzesło i podałam jej kawę. – Więc pani przygotowuje kutię i bigos. Tylko proszę zrobić tego niedużo, dobrze? Oprócz karpia i barszczu pla-

ujemy wiele różnorodnych dań...

– W porządku. – Upiła kawy z głośnym siorbnięciem. – Nie zamierzałam przecież gotować tego bigosu w trzydziestolitrowym saganie.

– I bardzo dobrze...

– ...bo mam taki jeden, ale od lat nie przyrządzam w nim bigosu, lecz służy mi do wygotowywania bielizny – dokończyła. – Same wiecie, jak szybko żółkną białe halki i majtki...

Anka z przerażeniem przeniosła wzrok najpierw na staruszkę, a później na mnie.

– Pani gotuje bieliznę? Jeszcze? – zapytała z niedowierzaniem. – Boże, kto to robi w tych czasach? Przecież mamy świetne proszki, odplamiacze, wybielacze... Wystarczy maksimum czterdzieści stopni...

– Chemia, chemia, chemia – przedrzeźniła ją Groszkowska. – Syf, kiła i mogiła. A potem ludzie się dziwią, że mają raka przed czterdziestką. Nie ma to jak wygotować materiału! To zdrowsze. Poza tym wybija wszystkie zarazki, bakterie i jaja pasożytów. A środki chemiczne są szkodliwe!

– Ale proszek? Albo płyn? Nawet ten dla niemowląt? – Anka była w szoku.

– Wpycha się tę chemię w ciuchy podczas prania, prawda? – wyjaśniła Groszkowska. – Potem nakładasz to sobie, chłopu i dzieciom na ciało. Ta chemia się wchłania... i rak gotowy.

– Ma pani pralkę? – Musiałam ją o to zapytać.

– No pewnie, że mam. – Wzruszyła ramionami. – Przecież nie piorę ręcznie. Jestem nowoczesną kobietą. Jednak pralka podgrzewa wodę tylko do dziewięćdziesięciu stopni, a ja muszę wygotować.

Wypowiadając ostatnie zdanie, na szczęście nie wychwyciła szybkiego spojrzenia, które wymieniłam z Anką.

– A do prania nie używam proszku, tylko specjalnych kulek.

– Ale jaja... – mruknęła Ania. – Tego normalnie jeszcze nie było...

– Nawet moja babcia pierze automatycznie – odszepnęłam. – Wprawdzie nie używa proszku, tylko płatków mydlanych...

– Płatki jeszcze ujdą. Też używam – wtrąciła Groszkowska. – Na większe zabrudzenia.

Widząc nasze zmieszane miny, od razu dodała:

– Zauważyłam, że wy, młodzi, traktujecie mnie nie tylko jak kobietę półgłupią, ale także niedosłyszącą. A szkoda, bo słuch mam znacznie lepszy niż wasze dzieciaki.

To mówiąc, wstała od stołu, otworzyła zmywarkę i wpakowała do niej pusty kubeczek po kawie, komentując półgłosem, że „zmywarka to też chemia”.

– Smutny fakt, że mam pomarszczoną gębę i noszę okulary, wcale nie oznacza, że nawalają mi inne zmysły. – Zerwała kurtkę z oparcia krzesła. – Bardzo dziękuję za kawę. Była pyszna. A teraz muszę wracać do domu, bo o dziesiątej biorę leki.

– Ledwie minęła dziewięta – zauważyłam, odruchowo patrząc na wielki zegar wiszący w przejściu z kuchni do salonu. – Jest jeszcze sporo czasu...

– Wiem. – Wzruszyła ramionami. – Ale powinnam wcześniej zjeść śniadanie. Drugie.

Odprowadziłam sąsiadkę do holu i zamknęłam za nią drzwi. Kiedy mijiała bramkę, łąskawie pomachała mi jeszcze na pożegnanie.

– Myślisz, że my też powinniśmy gotować ubrania? – zapytała Anka, ledwie wróciłam

do kuchni.

– Obecnie w materiałach jest tyle dodatków, że po wygotowaniu majtek nadawałyby się chyba tylko na chomika twoich dziewczynek – wypaliłam, sprawdzając przez okno, czy pani Maria znowu fotografuje drzewka. – Że o innych elementach garderoby nie wspomnę. Nasza sąsiadka musi mieć gatki jeszcze z czasów powojennych.

– Chyba lniane.

– Możliwe. – Wzruszyłam ramionami. – Chociaż nie wiem, czy wyrabiano majtki z lnu.

Nagle za plecami usłyszałam śmiech Anki.

– Co cię tak rozbawiło? – zdziwiłam się, kładąc na stole talerzyki, na których zamierałam smarować i zlepić ciasteczka.

– No, chomik w moich majtkach... – Dosłownie krztusiła się ze śmiechu. – Jak myślisz, czy w stringach byłoby mu wygodnie? Mam takie fajne, żółte w zielone jabłuszka... albo takie w czerwone cekiny, na specjalne okazje... rozumiesz, o co mi chodzi...

Oparła się o blat stołu i dosłownie ryczała ze śmiechu. Jej humor udzielił się i mnie. Moja wybujała wyobraźnia usłużnie podsunęła mi widoczek chomika dzungarskiego wbitego w błyszczące figi, biustonosz albo słomkowy kapelusz, który Anka często kładła do pracy w ogródku. Nie byłam w stanie się pohamować. Siadając przy kuchennym stole, obok mojej przyjaciółki, aż dostałam czkawki ze śmiechu.

Przez kolejną godzinę smarowałyśmy ciasteczka masą karmelową i konfiturami truskawkowymi, śmiejąc się przy tym jak dwie stare wariatki.

\*\*\*

– Czyli ty nie masz wrażenia, że Groszkowskiej zaczyna odbijać?

To pytanie zadał mi mąż, kiedy przygotowaliśmy się do snu. Ja wklepywałam krem w policzki, a on układał się właśnie wygodnie na łóżku.

– Już dzisiaj pytało mnie o to kilka osób. Starość nie radość – zacytowałam, zamaszycie wcierając specyfik w podbródek. – Może i jest trochę zwariowana, ale mam takie wrażenie, że z tym złodziejem drzewek nie kłamie. Dzisiaj po południu wysłała mi zdjęcie kolejnych ściętych gałęzi.

– Szalona – mruknął Piotrek, nakrywając nogi kołdrą.

– Cóż... – westchnęłam. – Tylko jej jednej chce się obserwować ulicę.

– I robi to w środku nocy, bo ma wtedy gastrofazę – dorzucił cierpkim tonem. – Na pić. – Widząc moje zaskoczone spojrzenie, dodał natychmiast: – No co? Rozmawiałem z Kacprem.

– Mąż Anki nie ma kręgosłupa! – warknęłam, głośno odkładając krem na półkę. – Powtarza za nią wszystko jak jakaś papuga. Każde słowo.

– To nie ma znaczenia – westchnął Piotrek. – Wiesz? Mam coś dla ciebie.

– Tak? – Z zaciekawieniem wyjrzałam z łazienki. – A co?

– Mnie! – Rozchylił nieco kołdrę i posłał mi ponętny uśmiech.

Przynajmniej w jego mniemaniu...

– Słoneczko, z całym szacunkiem, ale padam na twarz – stwierdziłam, gasząc światło w łazience. – Może jutro?

– Mówisz tak od trzech dni – wypomniał. – Ja naprawdę mocno pragnę przytulić się

do mojej żoneczki.

- Przytulać się możesz...
- I dostać od niej całuska...
- To ostatecznie da się zrobić...
- A potem... - Znów pomachał kołdrą.
- Rany boskie! - syknęłam, zatrzymując się zaledwie metr przed łóżkiem.
- Wiem. - Nie krył dumy. - Tak na mnie działasz...
- Nie to. - Machnęłam niecierpliwie ręką. - Widzę go!

Dopiero wtedy Piotrek uświadomił sobie, że nie patrzę na niego, a za okno, skąd roz-  
taczał się widok na część Leśnego Kącika.

- O co ci chodzi? - zapytał rozemocjonowanym głosem.
- Ktoś kręci się wokół choinek - syknęłam, gasząc światło i dopadając drzwi balkonowych. - Ale to chyba jakiś dzieciak.

Postać, która obcinała gałązki, była zdecydowanie ode mnie niższa i drobniejsza. Sama, owszem, chudością i drobnokościstością nie grzeszę, ale nawet z mojej perspektywy łatwo dało się zauważyć, że grabieży dokonuje osoba młoda. Co do płci, trudno było to określić, ponieważ ów osobnik w całości był odziany na czarno, łącznie z kominiarką, która zasłaniała twarz.

Zanim pchany żądzą miłości Piotrek dotarł do okna, czarna postać zniknęła za...

- O, Boże! - jęknęłam. - Ten ktoś pobiegł prosto do domu Groszkowskiej!

Widziałam, jak wielkim wysiłkiem było dla mojego męża opuszczenie obiecujących pieleszy. Odruchowo przykrywając przyrodzenie jaśkiem, wyjrzał na ulicę przez zwiewne zwoje organzy.

- Nic nie widzę - wyznał szczerze.
- Bo, jak już wspomniałam, złodziej pobiegł za dom.
- Wiesz co? - szepnął, padając znowu na łóżko. - Mam teraz gdzieś tego złodzieja. Niech gwizdnie nawet wszystkie cholerne choinki z tej ulicy. Chcę ciebie! Wracaj, słoneczko, do łóżka! I to już!

- Muszę do niej zadzwonić. - Zignorowałam jego zaloty i złapałam za komórkę.

Niestety, Groszkowska nie odbierała.

- Pewnie śpi. - Piotrek rozparł się na łóżku. - Ochota na nalewkę przyjdzie jej koło drugiej w nocy...

- Musimy tam pójść - przerwałam mu. - I sprawdzić, czy jest bezpieczna.

- Zwariowałaś? - Wciąż myślał, że żartuję, bo na jego twarzy widziałam ten półgłupi uśmieszek. - Złodziej kradnie choinki, a nie starsze panie. Nawet jak utnie kilka gałęzi, to co z tego? Wracaj do łóżka, póki czekam...

Wtedy coś się we mnie zagotowało. Owszem, nie byłam fanką Groszkowskiej, bo była upierdliwa i nachalna, ale jednocześnie samotna i potrzebująca towarzystwa. Czułam, że należy się nią zaopiekować, bo, kto wie, może za kilkadziesiąt lat to ja będę taką Groszkowską? Samotną, niekochaną i nietraktowaną poważnie przez sąsiadów?

- Idziesz ze mną? - zapytałam.

- Gdzie?

- Sprawdzić, czy ten typek nie wlaźł do domu pani Marysi.

- On kradnie choinki - powtórzył uparcie. - Na pewno nie porwie Groszkowskiej.

– Czyli mi nie pomożesz?

– Nie.

– Wiesz co? Cmoknij mnie! – warknęłam i nie oglądając się na niego, wybiegłam z pokoju.

Żeby nie obudzić dzieci, zesłam na ciemny parter po omacku. Tam zaświeciłam światło tylko przy wejściu. Wyszukałam stopą crocсы, zarzuciłam kurtkę i już po chwili byłam gotowa na nocną eskapadę.

Cichutko przekręciłam zamek w drzwiach, po czym wyszłam na ganek. Schodząc po schodkach, rozejrzałam się wokoło. Wszędzie panowała cisza oraz granatowa ciemność przetkana białymi plamami śniegu i czarnymi cieniami, kulącymi się pod kępami ogołoconych z liści drzew. Drobnym truchcikiem pokonałam ścieżkę do bramki i już chwilę później dreptałam chodnikiem pod posesję numer trzystaście. Nie miałam daleko. Wystarczyło minąć dwie działki i wkrótce zza drzewek wyłonił się dom staruszki.

Wszystkie okna niewielkiego piętrowego domku były ciemne, nie licząc nikłej poświaty na parterze. Doszłam do wniosku, że Groszkowska urzędowała pewnie w salonie, którego drzwi balkonowe wychodziły na ogród z drugiej strony. Była spora szansa, że tkwiła przed telewizorem, oglądając powtórkę któregoś z seriali.

Szybko minęłam bramkę i przyprószoną śniegiem ścieżką dotarłam na ganek. Stałam przy drzwiach i wyciągnęłam dłoń w stronę guzika dzwonka. Nagle ogarnęły mnie wątpliwości: „Kurde, już grubo po północy. A jeśli pani Marysia już dawno smacznie śpi, a ten poblask na dole to po prostu czujniki telewizora albo innych urządzeń?”. Uznałam, że najpierw należy obejść dom i zerknąć przez jakieś inne okno. Nie mogłam pozbyć się myśli, że może Groszkowska oberwała po głowie od tajemniczego osobnika i leżała gdzieś w salonie, czekając na śmierć. Pod wpływem tej plastycznej wizji, jaką usłudźnie podsunęła mi zdecydowanie zbyt wybujała fantazja, bez namysłu ruszyłam wzdłuż domu, zaglądając po drodze we wszystkie mijane okna.

\*\*\*

Tymczasem Piotrek, dręczony wyrzutami sumienia, kręcił się w pościeli, jakby go gnębiło stado wyjątkowo agresywnych owsików. Co chwila zerkał na zegarek, mając naiwną nadzieję, że małżonka jednak uzna swój pomysł za głupi i zamiast gnać do sąsiadki wróci do łóżka, oddając się z wielką przyjemnością wszelakim pieszczotom.

Minęło pięć minut, i nic. Piotr usiadł na posłaniu, klnąc pod nosem. Wreszcie, używając jeszcze gorszych określeń, założył cieniutkie spodnie od piżamy i wyrzwał do holu. Na dole panowała ciemność, nie licząc słabego blasku lampki wiszącej tuż nad drzwiami wejściowymi.

– A jednak poszła – mruknął, kręcąc z niedowierzania głową. – Co za baba...

Narzekając, zszedł na palcach. Nie chciał obudzić dzieci. Narzucił na siebie pierwsze lepsze odzienie – czarny prochowiec z podpinką, grafitową czapkę kominiarkę oraz ogrodowe gumki z filcem, których używał do odśnieżania podjazdu. On również nie zamknął drzwi wejściowych na klucz w nadziei, że zanim zdąży dotrzeć do bramki, Agata jednak będzie już wracać, zaspokoiwszy wcześniej swą ciekawość w kwestii życia upierdliwej do bólu (zdaniem Piotra) sąsiadki.

Zdecydowanym krokiem pokonał chodnik wzdłuż jezdni i bez namysłu wszedł na te-



ren posesji pani Groszkowskiej. Bramka była uchylona – znak, że żonka tutaj dotarła i specjalnie nie domykała ciężkiej stalowej furtki, by nie narobić hałasu. „Mądra kobieta” – pomyślał z uśmiechem.

Dom pani Marii wyglądał, jakby był opuszczony. Wszystkie okna ciemne, szczelnie pozamykane. Piotrek doszedł do wniosku, że starsza pani pewnie dawno już śpi. Tylko gdzie była Aga?

Przez tonącą w szarościach fasadę nie był w stanie dostrzec swojej żony. Uznał, że pewnie obchodzi dom od drugiej strony, żeby sprawdzić, czy szalona sąsiadka nie leży w kałuży krwi, modląc się o przybycie kogoś z sąsiedztwa, kto ją uratuje z opresji. Dobrze znał swoją małżonkę. I jej sposób rozumowania (nieco zbyt poetycki) również.

Nasuwając kominiarkę na twarz, bo zimny wiatr jakoś zaczął szczypać go w policzki, uznał, że zanim całkiem przemarzną mu gonady, musi odnaleźć żonę i delikatnie, acz zdecydowanie przekonać do powrotu do sypialni. W żyłach Winnickiego od ponad godziny buzował głównie testosteron, który zdecydowanie osłabił inne zmysły. Chciał spędzić kilka upojnych chwil ze swoją ukochaną. A mimo stawiania rzekomego oporu, czuł, że tym razem się uda... Tak więc nic dziwnego, że przez osłabione pierwotną rządzą receptory nie zauważył podejrzanego ruchu grubej firany kuchennej, której okna znajdowały się tuż przy frontowych drzwiach.

Godnym poziomem intelektualnego kretyna, Piotr Winnicki, ślizgając się na cienkiej warstwie lodu, półtanecznym krokiem dotarł do ganku i tam natychmiast oberwał po gębie energicznie otwieranymi drzwiami wejściowymi, składającymi się głównie ze stali i litego drewna wiśniowego. Oszołomiony niespodziewanym uderzeniem, stoczył się poza niewielki ganeczek, zahaczając powiewnymi gatkami o wyjątkowo okazały krzak dzikiej róży, rosnący dosłownie kilkadziesiąt centymetrów od kuchennego okna. Starając się jakoś podnieść ze śliskiej nawierzchni, nie zanotował w swoim umyśle warkotu samochodu, który z piskiem hamulców zatrzymał się tuż przed wjazdem. Nim zdążył wstać, oberwał po kominiarce czymś twardym jak skała.

– Zboczeńcu zasrany jeden! – wrzasnęła Groszkowska, okładając Winnickiego drewnianym kijem od miotły. – A ja myślałam, że chodzi o głupie choinki! A tu mamy jeszcze zboczeńca! Odechce ci się podglądania dam! Już po ciebie przyjechali! Tam ci w pierdłu takie kuku robią, że do końca życia się nie schylisz! Już ja się o to zatroszczę!

Wyrzucając z siebie kolejne zdania z prędkością karabinu maszynowego, Maria tłukła rzekomego napastnika miotłą ile wlezie. Piotrek jedną ręką starał się jakoś odeprzeć atak i zerwać z siebie kominiarkę, a drugą rozpaczliwie próbował uwolnić gacie z gmatwaniny kolczastych gałęzi, podwijając przykrótce prochowiec do góry. W końcu delikatne spodnie piżamowe puściły. Malownicze rozdarcie zaczynało się tuż nad kolanem, a kończyło w pasie, uwalniając wszystko to, co było pod spodem... Winnicki nie planował nocnej eskapady. Gdyby biedak posiadał moc jasnowidzenia, na pewno ubrałby się inaczej. I niewątpliwie założył bieliznę.

Patrolujący okolicę policjanci, którzy po alarmującym telefonie od Groszkowskiej zostali wysłani przez dyspozytorkę na ulicę o wdzięcznej nazwie „Leśny Kącik”, ujrzeli scenę, której niewątpliwie nie zapomną do końca życia. Starsza kobieta, ubrana w wyjątkowo obrzydliwy szlafrok, na pierwszy rzut oka przypominający skórę bawołu, tłu-



kła miotłą jakiegoś obdartego faceta w kominiarce. Zza rogu budynku wybiegła druga kobieta, w płaszczu, i wrzeszcząc coś bez ładu i składu, najpierw również zaatakowała faceta jakimś kijem, a później niespodziewanie starszą panią. Funkcjonariusze byli młodzi i patrolowali okolicę dopiero drugi raz. W razie większych bijatyk mieli „nie wnikać”, tylko przywieźć awanturników na posterunek, gdzie starszy rangą policjant sprawował dzisiaj dyżur. Tak też chłopcy zrobili. Z trudem udało im się rozdzielić trzy walczące ze sobą osoby – dwie kobiety i złodzieja ekshibicjonistę.

Nie słuchając żadnych wyjaśnień o samotnych dzieciach, nieomkniętych drzwiach i prawie przyjmowania gości o dowolnej porze, policjanci zapakowali całą trójcę do radiowozu i powieźli na najbliższy posterunek.

\*\*\*

– Doprawdy, nie spodziewałam się, że będę musiała ratować was z opałów.

Miałam nieodparte wrażenie, że słowa Anki zostały wypowiedziane zdecydowanie zbyt cierpkim tonem, jak na moje nocne poświęcenie. Że oczywiście o nieoczekiwanym przebiegu zdarzeń nie wspomnę...

– Naprawdę nie macie co robić na kilkadziesiąt godzin przed Wigilią, tylko szwendać się po okolicznych krzakach? I to na działce Groszkowskiej?!

Miałam ochotę ją rozszarpać za ten idiotyczny monolog. Jedyną osobą, która mnie powstrzymywała, był Piotrek, który coraz mocniej zaciskał rękę na moim kolanie, że-bym się tylko opanowała. Nie liczę też kierowcy – policjanta – faceta o posturze kamiennego klocka. Mogłabym zaryzykować skromną wartością naszego domu, że uczucia funkcjonariusza były równie plastyczne, jak jego kamienna facjata.

Czułam, że mimo dwóch postronnych osób w tym starciu z sąsiadką byłam jedyna i wobec faktów, przemawiających zdecydowanie przeciwko mnie, nie miałam większych szans.

– Ale zabawa była przednia – wyznała Groszkowska rozbijając szczerym tonem. – Byłam przekonana, że to ten napastnik. Dopiero jak go zaczęłam ładować miotłą, dotarło do mnie, że jest za wielki.

– Bardzo dziękuję – warknął Piotrek.

– No co? – Staruszka wzruszyła ramionami. – Tamten był dużo drobniejszy.

– Też to zauważyłam – wtrąciłam mimochodem. – Wydaje mi się, że złodziejem jest nastolatek. I to drobny. Gdy pobiegłam za dom pani Marii, on się przestraszył. Zostawił gałęzie, przeskoczył przez ogrodzenie i zwiął do lasu.

– Jeśli to dzieciak, to po co kradnie te cholerne gałęzie? – chciała wiedzieć Anka.

– Może nimi handluje? – Na ten pomysł wpadła Groszkowska. – W końcu niedługo mamy Wigilię. Chłopak pewnie chce sobie dorobić na boku, a ludzie chętnie kupią ładne gałązki na stroiki.

– No i co my z nim zrobimy? – westchnęła Anka.

– Musimy się na niego zacząć – odparła Groszkowska. – Jeśli będzie chciał jeszcze coś ukraść, to tylko jutro. Ewentualnie w Wigilię rano.

– Myślę, że tak go nastraszyłam tą pogonią, że raczej już tutaj nie wróci – powiedziałam.

– Dalej państwo pójdziecie sami – do rozmowy wtrącił się policjant. – Ja muszę wra-

cać na posterunek.

Zatrzymał się przy wjeździe na naszą uliczkę. Wszyscy wygramoliliśmy się z radiowozu i powlekliśmy się w stronę naszych domów.

Jeszcze raz podziękowaliśmy Ani za przybycie po nas na posterunek. Aby nas oswobodzić, sąsiadka musiała wziąć taksówkę, ponieważ przed snem napiła się trochę wina.

– Dobrze, że jutro sobota – westchnął Piotrek, wchodząc do naszego domu. – To znaczy dzisiaj. Bo już po północy.

– Idę sprawdzić, czy dzieci śpią. – Szybko zrzuciłam buty i wbiegłam po schodach na górę. – Zostawiliśmy je same na ponad godzinę. I to przy otwartym domu! Jak mogłeś nie zamknąć za sobą na klucz?

– Miałem nadzieję, że moja nocna przygoda zakończy się przy bramce – mruknął. – Naszej.

– To przynajmniej teraz pozamykaj – szepnęłam z góry schodów. – Ja idę spać. Dobranoc.

\*\*\*

Zaledwie kilka godzin po nocnym wypadzie na posterunek obudziły mnie jasne promienie słońca, padające prosto na moją poduszkę.

– Mamo, chcę jeść! – W progu pokoju pojawił się Bartuś, ściskając pod pachą swoją ukochaną przytulankę – spranego misia w kolorze musztardy.

– Załóż skarpetki, synku, ja już wstaję. – Ziewnęłam, siadając na łóżku.

– Jak tylko zjem, będziemy ubierać choinkę, prawda? – przypomniał.

Ha, mały cwaniak. Już było wiadomo, dlaczego domagał się śniadania grubo przed ósmą rano. Nie mógł się doczekać wieszania bombek, cukrowych laseczek i soplek, które podgryzał, kiedy nikt nie patrzył.

Zerwałam Piotrka z łóżka, szybko przygotowałam śniadanie i zanim chłopcy zdążyli zjeść, już byłam gotowa do wyjścia.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał Piotrek, przełykając kęs tosta z dżemem.

– Jadę na rynek. Muszę kupić ziemniaki, kapustę i całą stertę innych rzeczy. – Wepchnęłam do dużej torby kilka mniejszych. Do kieszeni wsadziłam kartkę z listą zakupów.

– Pojedziemy z tobą.

– Nie chcę – zaprotestowałam. – Sama wszystko szybciej załatwię. Wiesz, co się dzisiaj będzie działo na rynku? Armagedon.

Owinęłam się szalikiem i wcisnęłam czapkę na głowę.

– Kiedy posprzątaacie po śniadaniu, zacznijcie ubierać choinkę – powiedziałam, otwierając drzwi. – I uważaj na Bartka, żeby nie zżarł wszystkich słodyczy.

– No dobra – westchnął, przelotnie całując mnie w czoło na pożegnanie.

\*\*\*

Od wielu lat w każdą sobotę w naszym miasteczku odbywał się targ. Plac, na który zjeżdżało się pełno sprzedawców, był niewielki, a parking katastrofalnie mały. Znalezienie miejsca w okolicach godziny dziewiątej graniczyło z cudem. Jako realistka, nawet nie próbowałam wjeżdżać na parking. Zostawiłam samochód dwie przecznice dalej,

nieopodal wjazdu na cmentarz. Wepchnęłam torby pod pachę i różnym krokiem pomaszerowałam w stronę głównej bramy targowiska.

Dzisiaj już na kompletnie zapchanym wjeździe pierwsze osoby starały się sprzedać różne drobiazgi – gałązki jemioli, pakowane w woreczki sianka pod obrus, ręcznie robione łańcuszki na choinkę czy kolorowe lampki. Mijałam nawołujących sprzedawców szybko i zdecydowanie. Nie miałam czasu na podziwianie różnorodnych przedmiotów. Musiałam sprawnie załatwić zakupy, wrócić do domu i zabrać się za przygotowywanie części dań na jutrzejszą Wigilię.

Szybko przecisnęłam się przez uliczkę z warzywami. Niemal doszłam do jej końca, gdzie znajdował się spory stragan kryty pasiastym daszkiem. Tutaj, u przesympatycznej kobiety, zawsze kupowałam owoce i warzywa, lecz tym razem spotkało mnie ogromne zaskoczenie. Zamiast warzyw na ladzie leżały świąteczne ciasta, a miłą sprzedawczynię zastępował gburowaty facet z rudym wąsem.

– Nie ma jej od kilku dni – burknął na moje grzeczne pytanie. – Ponoć chora jest. W szpitalu leży. Tyle wiem.

Mimo wszystko podziękowałam mu, a zakupy zrobiłam przy innych stoiskach.

Kilka straganów dalej dowiedziałam się nieco więcej na jej temat.

– Pani Aneta zachorowała na zapalenie płuc – wyjaśniła mi tęga starsza kobieta, sprzedająca wiejskie jajka i kury na rosół. – Mam nadzieję, że ktoś zabrał jej dzieciaki, bo przecież nie mają ojca. Zmarł kilka lat temu...

– Kojarzę starszego syna tej pani – przypomniałam sobie. – Ma chyba ze czternaście lat. Czasami pomagał mamie przy układaniu warzyw.

– Dobry chłopak. – Kobięcina pokiwała głową. – Pracowity. A drugi ma ledwie pięć latek. Taki fajny, drobnutki. Ze złotymi loczkami. Wygląda jak mały aniołek.

Rozmawiając z nią, kupiłam trzydzieści jajek i obładowana torbami, tak że ledwie mogłam je unieść, wróciłam do samochodu.

Gdy dotarłam do domu, na szczęście Piotrek zobaczył, że parkuję, i wybiegł, żeby pomóc mi wnieść zakupy. Po dwugodzinnej nieobecności zastałam w domu istny bajzel. Na ladzie w kuchni walały się talerze i kubki po śniadaniu, zlewozmywak pękał w szwach, a na podłodze widniała wielka plama po mleku. Salon przedstawiał się jeszcze gorzej. Cały dywan zaścierały pudła i pudełeczka pełne różnorodnych ozdób choinkowych. Bartek w skupieniu rozplątywał trzymetrowy łańcuch z czerwonych koraliaków, a Michał wieszał pierwsze bombki. Oczywiście wszystkie jednakowe i w jednym miejscu.

– Ja się zajmę kuchnią, a ty dopilnuj dzieci – westchnęłam, klepiąc Piotrka po plecach. – Ktoś postanowił pić dzisiaj mleko z podłogi, że jest rozlane?

– Bartek zrobił sobie sam dolewkę do kakao. Przepraszam, byłem wtedy zajęty znośeniem pudełek do salonu – wyznał ze skruchą. – Zapomniałem pościierać.

Zanim chłopcy zdążyli uporać się z choinką, ja posprzątałam kuchnię i nastawiłam coś lekkiego na obiad. Po posiłku przyszedł czas na rozkładanie dekoracji w całym domu. Do późnej nocy zeszło mi na przygotowywaniu sernika, lepieniu pierogów ruskich, z kapustą i grzybami oraz uszek do czerwonego barszczu i zrobieniu sałatki z tuńczykiem, która wprawdzie nie należy do dań tradycyjnych, ale wszyscy ją uwielbiali. Karpia miała przygotować Anka. Była w tym mistrzynią. Potrafiła tak oprawić

rybę, że praktycznie nie miała ości. Sama wolałam zrobić wszystkie inne potrawy, niż ślęczyć nad karpiovymi płaciami i wydłubywać z nich pojedyncze ości.

Gdy wreszcie kładłam się spać, dom przepelniony był mieszaniną aromatów, tworzących ten jeden, typowo bożonarodzeniowy bukiet. Zapach świąt.

Byłam tak zmęczona, że padając na materac, nawet nie pomyślałam, by wyrzeć przez balkon i sprawdzić, czy gdzieś pomiędzy młodymi drzewkami nie kręci się znowu ten sam ubrany na czarno złodziejasek.

\*\*\*

– Wreszcie Wigilia! Będą prezenty!!! – Tego poranka Bartuś wgramolił się na nasze łóżko zaraz po siódmej rano.

– Jeszcze jest ciemno. – Piotrek ziewnął, nieprzytomnym wzrokiem patrząc na tonący w bladej poświacie pokój. – Idź spać. Albo obejrzyj sobie bajkę w telewizji. Z racji świąt wyjątkowo pozwalam...

– Dzisiaj przyjdzie Święty Mikołaj i da mi zestaw Lego – oświadczył malec, wpychając się między nas pod kołdrę.

– Mikołaj nie istnieje. – Michał postanowił brutalnie uświadomić młodszego brata. – A prezenty podrzucają rodzice.

Starszy syn stał teraz w progu pokoju i ze złośliwym uśmieszkiem czekał na reakcję brata.

– Mikołaj jest. Wejdzie przez kominek – oświadczył pięciolatek.

– Przecież nie zmieści się w kominku. – Michał odkrył kolejny element bolesnej prawdy. – Jest za gruby.

– Ma czarodziejski pył. Jak się nim posypie, to robi się chudy i może się precyzyjnie nawet przez dziurkę od klucza. – Bartek się nie poddawał. – Wiem, bo widziałem to w bajce o świętach. Tam Mikołaj mieścił się razem z workiem prezentów nawet w małym okienku.

– Te bajki mają w sobie tyle prawdy, co smerfy i pokemony...

– Chłopcy! Prezenty będą tylko wtedy, jeśli mnie dzisiaj nie wkurzycie – przerwałam ich dyskusję. – Wszystko zależy od waszego zachowania. Zrozumiano?

– Tak! Idę się ubierać. – Bartek wyskoczył z łóżka i pobiegł do swojego pokoiku.

Wbiłam wzrok w starszego synka.

– Możesz mu nie opowiadać o tym, że Mikołaj nie istnieje?

– Ale to przecież prawda. – Wzruszył ramionami. – Nie włązi żadnym kominem, nie lata w wozie zaprzęgniętym w renifery i nie ma fabryki, w której pracują elfy.

– Ale, kochanie, Bartek jest jeszcze mały – dodałam cicho. – Uszanuj to, że chce wierzyć w Mikołaja, który przecisnie się przez nasz kominek, nawet jeśli wiesz, że jest to niemożliwe.

– Ja w jego wieku już wiedziałem, że to bujdy. – Michał wyduł wargi. – Dlaczego on wciąż nie chce spojrzeć prawdzie w oczy?

– Bo on nie jest tobą – szepnęłam. – Proszę, zrób to dla mnie i nie opowiadaj mu, kto tak naprawdę daje prezenty, dobrze? Nie w tym roku.

– No, dobra – zgodził się łaskawie. – Ale zrobisz mi na śniadanie kakao? Wczoraj rozlaliśmy...

– Tak. Już wstaję. – Ziewając, wylazłam z ciepłego łóżeczka, narzuciłam szlafrok i pochłapałam na dół.

W kuchni wciąż unosił się apetyczny zapach przygotowywanych przeze mnie wczoraj potraw. Większość z nich czekała sobie spokojnie w spiżarni na wieczorną ucztę. Przygotowując chłopcom gorące kakao, pomyślałam, że czeka mnie ciężki dzień. Układając sobie w głowie plan dnia, mieszałam mleko w kubku i bezmyślnie wpatrywałam się w pustą, lekko ośnieżoną ulicę oraz jakiś lekko pochylony cień mknący wzdłuż naszego płotu. Nagle cień się zatrzymał i... rzucił na rosnący dokładnie naprzeciwko mnie świerczek. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że ów osobnik piłuje pień.

– Mam cię! – syknęłam, porzucając garnuszek i rzucając się do korytarza.

W holu omal nie zderzyłam się z Piotrkim.

– Jest ten złodziej! – oświadczyłam, w szale zakładając byle jakie buty. – Pomóż mi!

Piotr zareagował natychmiast. Już po kilkunastu sekundach gnaliśmy do bramki, uzbrojeni w łopatę do odgarniania śniegu oraz metalowe grabie. Po chwili okazało się, że nie tylko my zauważyliśmy złodziejaszka. Z naprzeciwka nadbiegł mąż Anki – Kacper. Razem z Piotrem w mgnieniu oka obezwładnili dużo szczuplejszego od nich osobnika.

– Zaraz zobaczymy, co z ciebie za gagatek – warknęłam, łapiąc za kominiarękę i zrywając ją jednym płynnym ruchem.

Na widok drobnej twarzy i przestachu w burych oczach zaniemówiłam.

– To dzieciak! – krzyknął Kacper. – Ile masz lat? Czternaście? Piętnaście?

– Czternaście – jęknął chłopak. – Proszę mnie puścić.

– Ani mi się śni!

– Muszę wracać do domu!

– Właśnie ściąłeś choinkę! – warknął Piotrek. – I wiemy, że przez kilka nocy z rzędu obrzyłeś gałęzie. Złodzieju jeden!

– Nie jestem złodziejem! – Chłopak gwałtownie poczerwieniał, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Ja musiałem!

– Kraść? – ryknął Kacper.

– Przestańcie... – wreszcie włączyłam się do rozmowy. – Ja go znam.

Piotrek z zaskoczeniem zmierzył mnie z góry na dół.

– Znasz?

– Jesteś synem pani Anety, prawda? Tej z targu – zwróciłam się do chłopaka. – Często widywałam cię, jak pomagałeś mamie przy warzywach i owocach.

– Tak. Ja panią też pamiętam.

– Dlaczego obcinałeś gałęzie? – zapytałam cicho. – Proszę, powiedz mi.

– Mama jest w szpitalu, a ja musiałem kupować coś do jedzenia. Mam młodszego brata... obiecałem mamie, że będę o niego dbać... sprzedawałam te gałęzie na rynku... – wyrzucał z siebie wszystkie informacje coraz szybciej. – Ludzie najwięcej dawali za te srebrne gałązki... wiedziałem, że takie drzewa rosną na tej ulicy... a choinkę chciałem wziąć do domu... żeby zrobić bratu niespodziankę... on chyba też zaczyna chorować... jest mu zimno i ciągle leży... boję się, że też będzie w szpitalu...

Oniemiali Piotrek i Kacper momentalnie puścili chłopaka. Stali teraz obok i z ponurymi minami słuchali naszej rozmowy.

– Jak masz na imię? – zapytałam.

– Sławek. Proszę mi pozwolić zabrać tę choinkę. Już więcej tutaj nie wrócę. Obiecuję. Wymieniłam spojrzenia z Piotrkim. Widziałam, jak smutnym wzrokiem patrzy na chłopaka.

– Zróbmy tak: weź tę choinkę i chodź do auta – westchnęłam. – Zawiozę cię do domu i przy okazji sprawdzę, jak ma się twój brat.

– Naprawdę nie trzeba... Ja sobie poradzę.

– Znam twoją mamę i jestem przekonana, że gdybym ja potrzebowała pomocy, mógłabym na nią liczyć. Muszę z tobą pojechać.

Piotrek zapakował ściętą choinkę i chłopaka do auta, a ja pobiegłam do domu, żeby się przebrać. W trakcie jazdy dowiedziałam się, że matka dzieciaków nie wróci do domu na święta, a nie mają nikogo z rodziny, kto mógłby się nimi zająć. Zanim jeszcze weszłam do ich bloku, już wiedziałam, co zrobię...

Mieszkanie pani Anety było malutkie i skromnie urządzone. W niewielkim saloniku na wersalce leżał mały chłopiec o jasnych kręconych włoskach. Miał wypieki na twarzy i pokasywał. Przywitałam się z nim i przyłożyłam mu rękę do czoła. Malec gorączkował, ale na szczęście temperatura nie była chyba wysoka.

– Spakuj dla siebie i małego trochę rzeczy, pojedziecie do mnie – powiedziałam szybko do Sławka.

Mały chłopiec wytrzeszczył oczy. Przeniósł przestraszone spojrzenie ze mnie na brata.

– Spokojnie, Krzysiek, ta pani jest koleżanką naszej mamy – skłamał Sławek. – Pojedziemy z nią, dobra? Będzie fajnie.

– Ale ja czekam na Świętego Mikołaja – zaproponował.

– Właśnie się okazało, że będzie u tej pani – zachęcał go dalej starszy brat.

– A ty? Pojedziesz ze mną? – dopytywał się malec.

– Pewnie – odpowiedziałam za Sławka. – Poczekamy na Mikołaja u mnie w domu, dobra?

Pomogłam im zapakować najważniejsze rzeczy. Owinęłam Krzysia kocem i dopilnowałam, by Sławek dokładnie zamknął drzwi. W domu byliśmy dwadzieścia minut później. Położyłam malucha w salonie i dałam lekarstwa na przeziębienie.

– Bardzo was proszę, abyście się zajęli Krzysiem – powiedziałam moim chłopakom. – Ja muszę zadzwonić po lekarza.

– Ale on jest chory – zauważył Michał. – Nie chcę się zarazić.

– Nie zarazisz się – szepnęłam. – Malec jest po prostu przeziębiony. Nic ci się nie stanie, jak siądziesz obok niego i razem obejrzyście bajkę.

– Ja się nim opiekuję. – Bartuś już był gotów do pomocy. – A Michał niech pomoże w porządkach.

I tak na Wigilię mieliśmy dwie dodatkowe, nieplanowane osoby.

Mały Krzysio już kilkadziesiąt minut po podaniu syropu poczuł się znacznie lepiej. Nie był w stanie uleżeć w łóżku. Co chwila siadał przy choince i z błyskiem w oku podziwiał różnorodne bombki oraz migające lampki. Znajomy lekarz zbadał chłopca i zapisał mu antybiotyk, bo zaczynało się zapalenie oskrzeli. Piotr pojechał do apteki i już dwie godziny po przywiezieniu Krzysia do naszego domu podałam mu najważniejsze lekarstwo. Wdzięczny za pomoc Sławek jak tylko mógł pomagał w przygotowaniach do



wieczery – odsłonięły podjazd, bo znów zaczęło sypać, przyniósł krzesła od Anki, ułożył zastawę na stole.

– My sobie siądziemy gdzieś z boku – powiedział, kiedy rozkładaliśmy talerze. – Nie chcemy przeszkadzać. Pani i tak zrobiła dla nas bardzo dużo...

– Oszałałeś? Jemy wszyscy wspólnie. Popatrz, bez problemu zmieści się przy stole trzynaście osób.

– Ja mam taką prośbę... – Przyniósł się bliżej mnie. – Krzysiek czuje się u państwa dobrze. Mógłbym go zostawić na Wigilię? Chcę pojechać do mamy, do szpitala.

Odłożyłam ostatni talerz i oparłam ręce na chudych ramionach chłopca.

– Pojadę z tobą do mamy – szepnęłam. – Mogę cię zawieźć teraz, a później, tuż przed kolacją, odbierze cię mój mąż, żebyś razem z bratem spędził ten wieczór. Dobrze?

– Dobrze. Jest pani wspaniała.

Spakowałam dla pani Anety trochę pyszności i odwiozłam Sławka do szpitala. Obiecałam, że przed osiemnastą przyjedzie po niego Piotrek. Ja musiałam zająć się ostatnimi przygotowaniami, bo do świątecznej kolacji zostały niecałe dwie godziny.

\*\*\*

Nawet nie wiem, kiedy minął ten czas. Gdy siekałam pietruszkę, do kuchni wpadł Piotrek. Już ubrany w białą koszulę, walczył z guzikami u mankietów.

– Jadę po Sławka – powiedział, zarzucając krawat na szyję. – Nie powinnaś się przebrać? Niedługo osiemnasta.

– Jasna cholera! – zakląłam, patrząc na zegarek.

Szybko dokończyłam krojenie i pobiegłam do łazienki. Gdy po ekspresowym przebraaniu i umalowaniu twarzy zesłam na dół, akurat zadzwieczał dzwonek u drzwi. Pierwsza przyszła Groszkowska. Ubrana w kwiecistą sukienkę, z podkręconymi włosami i ze staroświecką broszką pod szyją, wyglądała jak babcia ze starych fotografii.

– Czy mąż Ani przyniósł do was mój bigos? – zapytała, zarzucając na ramiona ręcznie wydzierganą chustę.

– Tak. – Skinęłam głową. – Już nawet go podgrzałam.

– No, to dobrze. – Wolno poczłapała do salonu, gdzie pod choinką zastała trzech chłopców.

Szybko wytłumaczyłam jej, że złapaliśmy złodzieja gałęzi i że to jego brat.

– Słyszałam od Ani. Biedne dzieciaki – mruknęła, wyglądając na Krzysia, który wspólnie z Bartkiem układał klocki przy choince. – Gdybym wiedziała, że tak sprawa wygląda, sama bym nacięła im gałęzi.

Wtedy Krzysio nagle się podniósł z podłogi i podbiegł do mnie.

– Ciociu, tęsknię za mamusią. – Spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami.

– Wiem, skarbie. – Kucnęłam i przytuliłam chłopczyka do siebie. – Ale mamusia na pewno niedługo wyzdrowieje i wróci do domu. Zobaczysz.

– Ja ją kocham – wyznał szczerze malec, drżącym ze smutku głosem. – Chciałbym, żeby zobaczyła, jaka tu jest piękna choinka.

– Wiesz, mam pomysł – powiedziałam. – Zrobimy zdjęcie choinki i pokażemy twojej mamie jutro, jak pojedziemy do szpitala, dobrze?

– Dobrze. – Krzysio ochoczo skinął głową.

– A wiesz, że niedługo będą prezenty? – Staralam się trochę pocieszyć malca.  
– Tak, ale wolałbym, żeby mama przyjechała.  
– Obiecuję. Pojedziemy do niej jutro, jak będziesz zdrowszy. Postaram się zrobić tak, żebyś się z nią zobaczył.  
– Dobrze. – Zwiesił głowę.  
– Idź na razie do Bartka i poskładajcie klocki. Zaraz będą goście i prezenty pod choinkę.

Chłopczyk wrócił do zabawy, ale już bez entuzjazmu.

– Boże, jakie biedne dzieci. – Pani Maria wybuchła rzewnym płaczem. – Jakie to smutne.

– Proszę przestać – syknęłam. – Nie chcę, żeby mały widział łzy, bo sam się rozklei.

– Masz rację. – Głośno wysmarkała nos. – Pójdę na chwilę do łazienki i trochę się pozbięram.

Ledwie zniknęła za drzwiami, do holu wpadła cała rodzina Ani. Narobili straszego zamieszania, najpierw wspólnie śpiewając kolędę na przywitanie, a później rozwieszając swoje kurtki i układając prezenty pod choinkę. Ja też przyniosłam nasze paczki. Wśród nich dodatkowe dwie – dla Krzysia i Sławka, które udało mi się skombinować. Wracając ze szpitala, zdążyłam wpaść do ostatniego otwartego sklepu i naprędce coś wybrać.

– Zaraz siadamy do stołu – powiedziałam do gości. – Czekamy tylko na Piotrka i Sławka.

Rozgardiasz przybrał na sile, bo dziewczynki Anki zaczęły biegać po salonie razem z chłopcami. Piszczwały przy tym i śmiały się tak głośno, że aż wszystkim dzwoniło w uszach. Mój tata, który przyjechał kilka godzin wcześniej, starał się jakoś zapanować nad niesforną gromadką, jednak ani propozycja obejrzenia filmu, ani przekupienie ich cukierkami nie podziałało. W końcu Anka nie wytrzymała i zagoniła swoje trzy córeczki do stołu.

– Ile nas będzie? – Zapytała mnie najstarsza z dziewczynek, ośmioletnia Ewunia.

– Was pięcioro i nas czwórka – zaczęłam wyliczać.

– To dziewięć! – powiedziała Ewa.

– Krzyś i Sławek...

– Jedenaście.

– Mój tata i pani Groszkowska.

– Trzynaście!

Dziewczynka zaczęła liczyć talerze.

– Powinno być czternaście talerzy – powiedziała po chwili. – Nasza mama zawsze daje jeden więcej. Mówi, że to dla niespodziewanego gościa.

– Dzisiaj mamy na Wigilię aż dwóch niespodziewanych gości – wyjaśniłam. – Więc nie potrzeba dodatkowych talerzy. Poza tym naprawdę jest bardzo ciasno.

– A ja bym położyła – upierała się.

– W porządku – poddałam się. – Dodatkowy talerz damy na samym rogu, dobrze? Jeśli zrobi się za ciasno, przestawimy go na ten mały stoliczek w salonie.

– Dobrze.

Poddałam dziewczynce talerz i sztućce. Gdy kładłam na stole tackę z opłatkami, za-

uważyłam, że zsunęła krzesło swoje i siostry, robiąc niewielkie miejsce dla czternastej osoby.

– Podjechał samochód! – krzyknął mój tata z holu. – Piotrek wrócił. Możemy powoli zaczynać.

Stanął przy stole. W ręce trzymał zamkniętą Biblię. Palcem wciśniętym między kartki zaznaczył tekst, który od zawsze czytaliśmy w ten wigilijny wieczór. Wszyscy jak na zawołanie zebrali się przy stole, nakrytym bielutkim obrusem i różnokolorowymi talerzami, ponieważ nie miałam zastawy dla tak wielu osób.

Wreszcie usłyszałam trzask drzwi w holu. Po chwili do środka wszedł Piotrek, Sławek i...

– Mamusia!!! – Radosny pisk Krzysia niczym grom przetoczył się przez pomieszczenie. – Chłopiec dopadł matki z takim impetem, że ta aż się zatoczyła.

– Moje słoneczko... – Ze łzami w oczach tuliła dziecko. – Tak bardzo za tobą tęskniłam. Tak bardzo... nawet nie wiesz...

Groszkowska wyła jak bóbr. Anka dyskretnie wycierała nos, a pani Aneta przetarła załamane policzki wierzchem dłoni. Nawet dzieciaki ucichły i z zaaferowaniem na twarzach obserwowały to wzruszające powitanie.

– Lekarz pozwolił zabrać mamę chłopców na tę jedną noc. Jutro rano mam ją odwiedzić do szpitala – szepnęła mi do ucha Piotrek. – Będziemy mieli ją gdzie przenocować?

– Oczywiście, coś wykombinujemy.

– Przecież u mnie jest dużo miejsca – wtrąciła Groszkowska, ocierając policzki. – Chętnie przenocuję, nawet całą rodzinę.

– Porozmawiamy o tym później – rzuciłam. – Niech u pani prześpi się mój tata. Rodzinę pani Anety wolę mieć na miejscu. Krzysiu w nocy trzeba będzie podawać leki. A teraz zaczynamy.

– Jednak czternaste miejsce się przyda – powiedziała Ewunia, kiedy usadziłam przy stole panią Anetę.

– Masz rację – zgodziłam się. – Bystra z ciebie dziewczynka.

Ewa pokraśniała z radości.

– Dobra, zaczynamy. – Mój tata klasnął w dłonie i otworzył księgę. – Proszę o ciszę! *W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym państwie... Udał się także Józef z Galilei... z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Porodziła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie.*

Słuchając czytania, ukradkiem rozejrzałam się po twarzach wszystkich zgromadzonych przy stole. Groszkowska znów się wzruszała, Piotrek z Kacprem wpatrywali się w tackę z opłatkami, Anka szeptała coś na ucho najmłodszej córeczce. Reszta dzieci słuchała w wyjątkowym skupieniu. Tylko Krzysiu nie odstępował swojej mamy na krok. Unosił główkę i wpatrywał się w mamusię czułym wzrokiem.

– Kocham cię, mamó – szeptał w kółko. – I już nie puszczę.

Pani Aneta była bardzo osłabiona. Miała pod oczami duże sińce, a jej dłonie były pokłute od igieł. Mimo to wciąż się uśmiechała, pochylała do Krzysia i co chwila całowała go w czoło albo policzki. Była szczęśliwa, widząc radość dziecka. Żeby się nie wzru-

szyć, zamrugałam szybko i przeniosłam wzrok na mojego tatę. Akurat skończył czytać fragment o narodzinach Chrystusa i rozdawał wszystkim opłatki.

Wtedy znów zaczął się rozgardiasz. Wszyscy nawzajem składali sobie życzenia. Później wspólna kolacja i wreszcie tak długo oczekiwany przez dzieciaki moment – rozdawanie prezentów. Bartek z Michałem wyciągali pudełka, torebki i koszyczki spod choinki, czytali karteczki i przekazywali podarunki obdarowanym. Szelest rozrywanych opakowań mieszał się ze śmiechem, podziękowaniami, żartami i muzyką świąteczną. Każdy się świetnie bawił. Pani Aneta usiadła sobie cichutko w rogu sofy, przykryła nogi kocem i z delikatnym uśmiechem obserwowała ten miły harmider. Sławek podał jej gorącą herbatę z miodem, a Krzysiek usiadł na podłodze i wtulił główkę w kolana matki. Nawet gdy dostał prezent – lokomotywę z dwoma wagonami – nie bawił się nim. Jedną rączką tulił zabawkę do siebie, a drugą trzymał się mamy.

– Udała nam się ta Wigilia – szepnął mi Piotrek do ucha. – Patrz, jak wszyscy wspólnie się bawią.

Westchnęłam w odpowiedzi. Ciągle nie mogłam oderwać wzroku od Krzysia, niechcącego odstąpić pani Anety nawet na chwilkę, żeby pobawić się swoim prezentem.

– Pewnie myślisz o tym, ile jutro będzie sprzątanina – powiedział, gdy nieświadomie westchnęłam po raz kolejny.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy – odparłam. – Przynajmniej na razie. Jutro będę się martwić stertą talerzy i resztkami jedzenia.

– I słusznie. – Delikatnie pocałował mnie w skroń. – To był cudowny dzień.

– Masz rację. – Objęłam go w pasie. – Pełen cudów. Maleńkich, ale jednak. Sprowadziliśmy nieletniego złodzieja na dobrą drogę, uratowaliśmy chore dziecko, sprawiliśmy radość sąsiadce staruszce...

– I zamknęliśmy sprawę tajemniczych zniknięć gałązek na Leśnym Kąciku.

– I spełniliśmy największe marzenie małego Krzysia... – szepnęłam. – Żeby jego mama wróciła...

Przytulając się do Piotrka, z leniwym uśmiechem obserwowałam wszystkich gości.

„Za rok też urządzimy takie święta” – pomyślałam sobie, chłonąc wigilijny nastrój wszystkimi zmysłami: wdychając zapach tradycyjnych potraw, igliwia, sianka, sycąc oczy rozjaśnionymi od radości twarzami, słuchając śmiechu i gwaru dzieciaków.

Tego wieczoru było magicznie, choć bez udziału wróżki. Było rodzinnie, choć nie byliśmy jedną wspólną rodziną. Było po prostu cudownie...

Bo choć na pozór ta noc jest jak każda inna, to jednak jest to czas cudów...

## Małgorzata Falkowska



(ur. 1989, Włocławek) – autorka optymistka z czterema książkami w swoim dorobku literackim. Mowa oczywiście o komediach romantycznych o zwariowanych przyjaciółkach: *Mąż potrzebny na już*, *Gorzej być (nie) może* i *Poszukiwani, poszukiwany* oraz książce dla najmłodszych czytelników *Po co komu biała kredka?*.

Przygotowania do Bożego Narodzenia rozpoczyna od oglądania filmów i bajek o świątecznej tematyce, często już w październiku, śmiejąc się, że jest szybsza niż reklama Coca-Coli czy wystawki w Lidlu. *Rudolf, czerwono nosy renifer*, *Listy do M.* czy *Kevin*, którego ogląda od dziecka, to tylko nieliczne ze znanych jej na pamięć. Nie wyobraża sobie świąt bez stołu, przy którym siedzi dwanaście osób (nie tyle jakich, bo tych NAJWAŻNIEJSZYCH <3), prezentów oraz... ogórków konserwowych, które dziwnym trafem zawsze znajdują się blisko jej talerzyka. Z racji swojej pracy zna przynajmniej dwie zwrotki chyba każdej polskiej kolędy, które uwielbia śpiewać, choć nie ma ku temu talentu :-)

Jako mieszkanka Torunia, który słynie z pierników, śmieje się, że na świątecznym stole i one powinny mieć swoje miejsce, lecz ich pieczenie pozostawia włocławskiej części „ekipy” (Mamie i Cioci <3).



## **Małgorzata Falkowska. *Bieda bogactwem zwana***

– Śmiertelny wypadek na moście Piłsudskiego. Jedna osoba nie żyje, dwie w stanie krytycznym walczą o życie w toruńskim szpitalu. Z racji utrudnień policja zaleca kierowcom przejazd przez Wisłę nowym mostem. Problemy mogą potrwać jeszcze nawet kilka godzin.

Seweryn Krynicki przerwał swoją świąteczną audycję w Radiu Gra, aby przekazać słuchaczom informację o wypadku. Zrobiło mi się duszno. Poczułem się jak wtedy... Musiałem się zatrzymać. Ochłonać, abym mógł ruszyć dalej. Musiałem przejechać przez most – tak jak sześć lat temu, kiedy wracaliśmy od teściów z Włocławka, aby na chwilę wpaść do firmy.

### *Sześć lat wcześniej*

Wigilia za kierownicą nie była tym, o czym marzyłem, ale obiecałem Marioli, że dziś nie będę marudził. Nie rozumiałem, dlaczego musimy wracać z Włocławka tylko po to, aby za kilka godzin znów tam jechać, na wigilijną kolację w domu teściów. Mariola się jednak uparła, a ja zrobiłbym dla niej wszystko.

– Obiecuję, że nie potrwa to długo, a gdy wrócimy, sama zrobię ci drinka. – Spojrzała na mnie swoimi zielonymi jak trawa oczami, aż mi zrobiło się ciepło.

– Whisky z lodem wystarczy – wyznałem.

Byliśmy już niedaleko Torunia, kiedy z nieba zaczęły spadać gęste białe płatki śniegu. Mariola wpatrywała się w nie z radością, a ja czekałem, aż wspomni dzień naszego pierwszego pocałunku.

– Kocham śnieg. – Zerknęła przez okno, wciąż się uśmiechając. – To od niego zaczęło się wszystko między nami. Pamiętasz?

Skinąłem głową, czekając na jej dalsze słowa. Kochałem, kiedy opowiadała o tym dniu z taką czułością w głosie.

– Spacerowaliśmy po parku Bydgoskim, a ty bałeś się mnie dotknąć – zaczęła. – Wiedziałam, że ci się podobam, ale nie chciałam robić pierwszego kroku. Szwendaliśmy się tak już kilkakrotnie, a ty nawet nie złapałeś mnie za rękę. Dopiero kiedy tamtego dnia zaskoczył nas śnieg, objąłeś mnie ramieniem, chcąc mnie chronić. Spojrzałam ci wtedy w te cholernie smutne oczy, a ty nieoczekiwanie gwałtownie przyciągnąłeś mnie do siebie.

Uśmiechnąłem się, przypominając sobie tamtą scenę z parku. Mariola miała rację. Miałem wtedy smutne oczy, gdyż coraz mniej wierzyłem, że kiedykolwiek ośmielę się ją dotknąć, a co dopiero pocałować. Była przecież taka piękna. Każdy się w niej kochał, a ona, z niezrozumiałych dla mnie powodów, chodziła na spacerzy właśnie ze mną. Gdyby nie śnieg otulający nas wtedy, pewnie nigdy nie odważyłbym się jej pocałować. A przecież smakowała tak rozkosznie... Smakowała miłością.

– Potem już wszystko szybko się potoczyło. Zaręczyny, ślub, tylko szkoda, że nie było nam dane zostać rodzicami. – Zamyśliła się, a ja postanowiłem jej nie przeszkadzać.

Miała rację. Mieliśmy wszystko, o czym marzyli pewnie inni, prócz dzieci, które dopełniłyby nasze małżeństwo. Byliby z nas dobrzy rodzice, ale los chciał inaczej. Mariola nie mogła mieć dzieci, była bezpłodna i nawet najlepsze kuracje nie mogły tego zmie-

nić. Musieliśmy się z tym pogodzić i właściwie się pogodziliśmy. Tylko czasem nachodziła nas myśl, co by było, gdyby los pozwolił nam na rodzicielstwo.

– Pamiętaj, że nie możemy zostać w firmie na długo, bo obiecaliśmy dowieźć jeszcze choinkę – przypomniałem żonie.

– Prosto z firmy pojedziemy do pana Zbyszka, który już zapakował dla nas najpiękniejsze drzewko, a potem kierunek Włocławek – cieszyła się.

– Wolałbym kupić to drzewko we Włocławku, byle tylko nie musieć tu wracać – burknąłem.

Mariola zmierzyła mnie wzrokiem.

– Miałeś nie marudzić – przypomniała. – Doskonale wiesz, że nie jedziemy do Torunia po drzewko, ale dla pana Tadeusza, który mimo Wigilii musi siedzieć w pracy. Gdyby nie ten cały monitoring, który stale trzeba obserwować z dyżurki, i jemu dałabym wolne w ten dzień.

– Okazja czyni złodzieja – powtórzyłem dobrze znane żonie zdanie, wypowiedane przez kierownika ochrony naszej firmy.

– Co masz dla niego? – zapytałem, chcąc ją udobruchać.

– Trochę tradycji na wigilijną wieczerzę, kopertę, taką jak inni dostali wczoraj, ciepły skafander, bo ten jego już trochę przeszedł, oraz podarunki dla wnuków. Dobrze pamiętam, że ma ich czworo?

– Tak, trzy dziewczynki i jeden chłopak – odpowiedziałem, choć ona doskonale o tym wiedziała.

Zawsze się śmiałem, że była dobrym duchem tej firmy. To do niej przychodzili pracownicy z problemami, a ona przekazywała mi wszystko w formie nakazu małżeńskiego, nie pracowniczej prośby. Przyzwyczaiała kadrę do bonów na Wielkanoc i prezentów dla najbliższych na Boże Narodzenie. Tłumaczyła, że dzięki temu i nasza rodzina się powiększa.

Od zawsze udzielała się charytatywnie. Co roku organizowała zbiórki na toruńskie organizacje, dokładając sporą sumę na zabawki i słodczyce dla dzieciaków z domu dziecka. Pamiętam, jak zrezygnowała z wycieczki do Dubaju, którą jej wykupiłem, na rzecz placu zabaw dla jednej z placówek, kiedy kategorycznie oznajmiłem, że musimy trochę przyszczędzić, bo pieniądze nie rosną na drzewach. To były czasy kryzysu. Każda firma ledwo wiązała koniec z końcem, więc i my musieliśmy trochę zacisnąć pasa.

– Tylko bądź miły dla pana Tadzika – poprosiła, kiedy dojeżdżaliśmy do firmy.

– Jak zawsze – mruknąłem, zastanawiając się, skąd ona ma w sobie takie pokłady dobroci.

Weszliśmy do budynku, gdzie panowała absolutna cisza. Zupełnie inaczej niż w dzień roboczy, kiedy o ciszy i spokoju można jedynie pomarzyć.

– Dzień dobry! – głośno krzyknęła Mariola, dając tym samym czas panu Tadcowi na zgaszenie telewizora, który na pewno przez niemal całą zmianę chodził na pełnych obrotach.

Z jednej strony go rozumiałem. Ile można siedzieć i wpatrywać się w ekran z podziałem na kilka małych prostokątów, na których nic się nie działo. Z drugiej jednak strony, taką miał pracę, a ja płaciłem mu za to, żeby pilnował tutaj porządku. Czasem chwila nieuwagi mogła się naprawdę źle skończyć.

– O, pani Mariolka – ucieszył się. – I pan Karol – dodał nieco chłodniej. – A co państwo tutaj robią? Przecież dziś Wigilia. Trzeba karpia zabijać, a nie po firmie się włóczyć.

– My właśnie ze świąteczną misją, panie Tadiusi. Mamy drobne prezenty, coś na ząb, a i życzenia osobiście możemy złożyć. – Podała mężczyźnie dwie wielkie papierowe torby z Mikołajem oraz reklamówkę z jedzeniem.

Ochroniarz zajrzał dyskretnie do toreb, a jego oczy wypełniły się łzami.

– Nie trzeba było... Pani to istny anioł w ludzkiej skórce. Ja zaraz zadzwonię do dzieciaków, aby przyszli, bo wnuki się ucieszą z prezentów. Wie pani, że u nas to ciężko z pieniędzmi. Żona chora, a leki kosztują.

Mariola podeszła, aby go przytulić. Trochę jej zazdrościłem tej spontaniczności. Miała w sobie ogromną lekkość w nawiązywaniu kontaktów, co mi nigdy nie przychodziło łatwo. Ja zawsze byłem tym złym i chłodnym, którego ludzie się raczej bali. Byliśmy zupełnie inni i chyba to było siłą naszej miłości.

– Wesołych świąt, panie Tadiusi – powiedziała, kiedy zbieraliśmy się do wyjścia.

– Dziękuję i również wesołych dla państwa, państwo Raczek.

Idąc do samochodu, Mariola wtuliła się we mnie, jak wtedy, w parku. Śnieg prószył gęsto, a ja marzyłem tylko o tym, aby ją pocałować. Czułem się jak nastolatek, którym w głębi duszy wciąż byłem.

– To będą wyjątkowe święta – wyznała Mariola.

– Na pewno, bo białe – przyznałem jej rację, zastanawiając się, kiedy ostatnio mieliśmy możliwość spędzenia świąt z tak pięknym krajobrazem za oknem.

Wiele osób nienawidzi śniegu. To ciągłe odśnieżanie, powolny ruch na drogach i chłapa, jaka następuje po nim, dla mnie nie miały znaczenia. Ja kochałem śnieg, tak samo mocno, jak moją żonę, która na tle śnieżnych krajobrazów wyglądała jeszcze piękniej.

– Śnieg sprawia, że święta są wyjątkowe – powiedziałem, kiedy wjechaliśmy na most, w drodze po świąteczne drzewko.

Z głośników znów rozlegał się świąteczny przebój zespołu Wham, który nie dawał o sobie zapomnieć już od listopada, gdy zaczynało się przygotowań świątecznych.

– To nie śnieg, Karolu. – Uśmiechnęła się.

Spojrzałem na nią pytająco, wpatrując się w jej zielone oczy.

Potem nastąpił huk, a razem z nim pojawił się ból głowy. Nie rozumiałem, co się stało, bo wciąż widziałem jej zielone oczy. Zielone, lecz już puste. Dopiero po chwili zauważyłem pręt, który wbił się w jej klatkę piersiową, zabierając mi ją na zawsze. Już nie czułem bólu głowy, czułem go tylko w sercu, które płakało, kiedy za oknem wciąż wirowały białe płatki.

Później był szpital, pogrzeb, łzy teściów, którzy obwiniali mnie za śmierć córki, mimo iż policja jasno powiedziała, że nie mogłem nic zrobić, aby ją uratować. Dopiero od nich dowiedziałem się, co tak naprawdę się stało. Mówili o wypadku, pijanym kierowcy i procesie, jednak mnie było wszystko jedno.

### *Dziś*

Radiowa informacja o wypadku przywołała przykre wspomnienia. Wiedziałem, że

Mariola pragnęłaby, żebym żył dalej, żeby było normalnie, jednak ja nie potrafiłem. Od sześciu lat nie utrzymywałem kontaktów z teściami, a dziś, jak co roku w Wigilię, jechałem z najpiękniejszym drzewkiem, aby postawić je na jej grobie.

Od tamtego wypadku wiele się zmieniło. Już nie było we mnie choćby nuty ciepła, jaką kiedyś potrafiła we mnie obudzić żona. Stałem się chłodny, zły i nie zważałem na potrzeby innych. Postanowiłem żyć inaczej niż wtedy, co nie podobało się moim pracownikom, którzy siedzieli w firmie w Wigilię, czekając na wybicie godziny piętnastej. Nikt nie miał dziś wolnego, a jeśli śmiał o nie poprosić, nie miał już po co wracać do pracy. Moje życie było teraz zupełnie inne... Było puste, a oni musieli się z tym pogodzić.

– I tak miałem jechać nowym mostem – powiedziałem do siebie, wsiadając ponownie do auta.

Jeszcze dwa lata temu spędzaliśmy święta we czwórkę. Mama gotowała od samego rana, a tata wraz z małym jeszcze wtedy Tomkiem przystrajał choinkę, kiedy ja byłam w pracy. Spakowane prezenty ukryte były na górnej półce szafy, a Mikołaj przychodził zawsze, kiedy Tomek z dziadkiem szedł do piwnicy po pikle lub inne słoiki. Był za mały, żeby rozumieć, ale szczęście w jego oczach, kiedy wracał i widział pod świątecznym drzewkiem kolorowe zawiniątka, było warte każdego poświęcenia. Każdej nadgodziny w sklepie i dodatkowych zmian, które chętnie brałam przed świętami, wiedząc, że moim synkiem ma się kto zająć.

Dziś święta wyglądały inaczej. Nie były takie jak dawniej, bo brakowało przy stole dwóch wyjątkowych osób, które zabrała choroba. Na stole stawiałam trzy talerze zamiast pięciu i nikt nie śpiewał już ze mną kolęd, których tak bardzo chciałam nauczyć syna.

Ojciec chorował jeszcze przed narodzinami Tomka. Śmiał się, że to wnuk przedłużył mu życie, bo lekarze nie dawali mu szans. Nowotwór złośliwy, największy wróg każdej szczęśliwej rodziny. Mama dbała o ojca, jak potrafiła, lecz sama też miała swoje problemy, o których niespecjalnie chciała mówić. To lekarz, przypadkiem spotkany w sklepie, gdzie pracowałam, powiedział mi, że cukrzyca, na którą chorowała mama, powoli niszczy ją od środka. Pamiętam rozmowę z nią, jak błagała, abym nic nie mówiła tacie. Nie chciała go martwić. Siebie stawiała dopiero na drugim miejscu, jak zawsze zresztą. Może gdyby już wtedy zaczęła bardziej dbać o siebie, dziś wszystko wyglądałoby inaczej... „Mogłam jej coś powiedzieć, rozkazać” – obwiniałam się w myślach, zapominając, że czasu nie da się cofnąć.

Zazdrościłam rodzicom tej ich miłości. Ja nie mogłam się nią pochwalić. Miałam tylko Tomasza, a ślad po jego ojcu zaginął razem z radosną nowiną o ciąży. Nawet jego rodzice niespecjalnie interesowali się wnukiem. Z początku przesyłali drobne prezenty na urodziny i święta, lecz potem kontakt całkowicie się urwał. Tomek miał tylko mnie i moich rodziców. O tatę nie pytał, lecz wiedziałam, że kiedyś się to zmieni, czego bardzo się obawiałam. Bo jak powiedzieć dziecku, że ojciec go nie chciał? Że wyjechał za granicę, aby nie płacić alimentów i nie musieć na nas patrzeć?

Pamiętałam doskonale ten moment, kiedy powiedziałam Markowi o ciąży. Nie cieszył się nawet przez chwilę. Krzyczał, że rujnuję mu życie, że jest za młody na bachora i że sama go chciałam, to sama go wychowam. Nie patrzył na to, że ja też nie byłam goto-

wa. Nie byłam, ale los zdecydował za nas. Nie mogłam nic z tym zrobić. Nie mogłam postąpić jak on, bo nie dało się uciąć brzucha i wiać za granicę, nie zostawiając nawet numeru telefonu. Nie mogłam i nie chciałam.

Żyliśmy sobie we czwórkę i tak było dobrze. Mogliśmy na siebie liczyć, a Tomuś wychowywał się wśród ludzi, którzy go kochali i rozpieszczali. Wiedziałam, że moje dziecko ma coś, czego w wielu domach brakuje. Ma kochających go bliskich, którzy byliby w stanie zrobić dla niego wszystko.

Sielankę przerwała śmierć taty. Byliśmy na nią gotowi, tak przynajmniej nam się zdawało, lecz była od nas mocniejsza. Mama pogrążyła się w żałobie, a ja starałam się być silna dla syna. Dni po pogrzebie upływały i zdawało się, że wszystko wraca do normy, aż stała się kolejna tragedia. Niespełna miesiąc po śmierci taty mama straciła przytomność. Nigdy już do nas nie wróciła. Zostaliśmy z Tomkiem sami. Nie mając w Toruniu zupełnie nikogo. Tylko nasza dwójka. Samotna matka i syn. Przez jakiś czas tłumaczyłam sobie, że tak musiało być, że miłość widocznie umiera parami, jednak nie było mi łatwo, i wciąż nie jest.

Dziś była moja pierwsza wolna Wigilia od lat. Wybraliśmy się z Tomkiem na cmentarz, aby choć przez chwilę poczuć namiastkę bliskości ukochanych rodziców i dziadków. Tomek narysował laurki ze Świętym Mikołajem, a ja kupiłam poinsecję, którą uwielbiała mama.

– Porozmawiałeś już z dziadkiem i babcią? – zapytałam, ocierając ukradkiem łzę.

Sama prowadziłam z nimi w myślach rozmowę, tłumacząc, jak nam ciężko bez nich. Tak bardzo chciałabym móc ich znowu przytulić, usiąść razem przy stole, pałaszując świeży piernik i popijając go herbatą z imbirem. Niby nic wielkiego, ale właśnie tej codzienności mi brakowało. Zresztą nie tylko mnie. Tomaszek też za nimi tęsknił; pytał mnie wielokrotnie, czy dziadkom nie nudzi się już w tym niebie i nie mogą wrócić. Bo jak czteroletniemu dziecku wytłumaczyć śmierć? Opowiedziałam mu o niebie, o tym, że Bóg wezwał dziadków, aby mu pomogli, jednak on wciąż wierzył, że oni wrócą, a ja nie miałam serca powiedzieć mu, że jest inaczej.

– Myślisz, że dziadek i babcia patrzą na nas z góry?

Nie spodziewałam się tego pytania z ust mojego syna.

– Na pewno, kochanie. – Przytuliłam go do siebie.

– Jestem pewien, że dziadek powiedział panu Mikołajowi, że lubię układać duże klocki Lego. Przecież często je ze mną składał.

Przytuliłam go mocniej, nie chcąc, aby widział moje łzy, skapujące na ziemię niczym ciężkie krople deszczu. Tak bardzo marzył o nowym zestawie Lego, o parkingu reklamowanym w telewizji, a ja nie mogłam mu tego dać. Nie było mnie na nie stać, po prostu nie było. Wiedziałam, że będzie zawiedziony, gdy pod choinką zobaczy tanie puzzle i nową bluzkę z jego ulubionym bohaterem. Próbowałam o tym nie myśleć, lecz widok jego błyszczących oczu przypominał mi, że mój syn ma trudniej niż inne dzieci, z pełnych rodzin. Nie dość, że nie ma ojca, to mnie nie stać na prezent, o jakim marzył...

– Idziemy? – spytałam.

– Wesołych świąt, babciu i dziadku – powiedział, machając do nagrobka.

Wzięłam go za rękę i pociągnęłam w stronę przystanku. Spojrzałam szybko na zegarek, licząc na to, że autobus nam nie ucieknie, bo następny był dopiero za dwadzieścia

minut, a mróz nie sprzyjał siedzeniu pod zniszczoną wiatą przystanku. Przyspieszyłam kroku, ściskając mocniej dłoń syna, który nie był specjalnie zadowolony z szybkiego spaceru, jaki mu zafundowałam.

– Mamo, zobacz, to pan Mikołaj z tego ładnego bloku. – Do moich uszu dotarł radosny głos dziecka.

Postawiłem drzewko na ziemi, aby zobaczyć, gdzie dzieciak widzi Mikołaja. „Musi mieć bujną wyobraźnię, że nawet na cmentarzu widzi Gwiazdora” – pomyślałem, wpatrując się w chłopca biegnącego wprost do mnie.

– Przepraszam za syna. – Nawet nie zauważyłem, kiedy tuż obok znalazła się młoda kobieta.

Mały tulił się do moich nóg, jakby były drzewem. Spuściłem wzrok i odruchowo pogłaskałem go po niebieskiej czapce.

– Jak masz na imię? – zapytałem, próbując się nawet uśmiechnąć.

– Tomek, ale pan Mikołaj na pewno to wie. – Zaśmiał się szczerze. – Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

Zaskoczył mnie tym pytaniem, ale i swoją prostolinijnością. Nie miał skrupułów, by nazwać mnie Mikołajem i chyba miał w tym sporo racji. Po śmierci Marioli przestałem dbać o siebie. Zapuściłem brodę, jakby chcąc się za nią schować, jednak to nie pomagało. Wciąż byłem wrakiem człowieka. Spełnionym biznesmenem, który tak naprawdę nie miał w życiu nic prócz firmy. Moje jedyne szczęście leżało od sześciu lat na tym cmentarzu, nie dając mi nawet możliwości uzyskania odpowiedzi na kłębiące się w mojej głowie pytania.

– Naprawdę przepraszam. To moja wina – wyznała kobieta, próbując oderwać ode mnie chłopca. – To ja mu powiedziałam, że jest pan Mikołajem.

– Jak to?

– Mieszkamy naprzeciwko pana bloku. W starej kamienicy na Broniewskiego. Czasem widzę pana przez okno i Tomek kiedyś zapytał, czy jest pan Mikołajem, a ja potwierdziłam, mówiąc, że pan cały czas patrzy, czy dzieci w pobliżu są grzeczne.

– Podziałało? – zapytałem, sam siebie zaskakując.

Skinęła niepewnie głową.

– Przyniesiesz mi ogromne Lego i parking dla autek, Mikołaju? – Jego oczy rozbłyły na samą myśl o wymarzonej prezencie.

– Tomek! – skarciła go matka. – Tak nie wolno! Pan jest zajęty, a nam zaraz ucieknie autobus.

Spojrzała nerwowo na zegarek.

– No ładnie, już uciekł. – Posmutniała.

– Skoro mieszkacie blisko mnie, to chętnie was podwiozę, tylko muszę zanieść drzewko żonie – zaproponowałem, ponownie zadziwiając samego siebie, i wskazałem na stojącą obok moich nóg choinkę.

Kobieta wydawała się zmieszana moją propozycją.

– To żaden problem, naprawdę – dodałem pospiesznie, co chyba trochę ją uspokoiło.

Ruszyłem w stronę grobu Marioli, a matka z synem podążali za mną. Kobieta starała się coś tłumaczyć dziecku, lecz on wciąż powtarzał: „Mikołaj, Mikołaj”, nie słuchając słów matki.



Przeżegnałem się, witając się w myślach z żoną. To był mój stały rytuał, od kiedy jej zabrakło. Stałem nad grafitowym marmurem, opowiadając jej w myślach o tym, że za nią tęsknię, że mój świat runął wraz z jej odejściem.

Zdjąłem folię, którą owinięte było drzewko, i ustawiłem donicę pośrodku pomnika. „Ty zawsze tak kochałaś święta” – pomyślałem, patrząc na choinkę.

– A czubek? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos chłopca.

– Tomek! – matka ponownie starała się go zdyscyplinować, ale mały już pobiegł w stronę pobliskiego przepelnionego kosza.

„Nawet na święta ciężko opróżnić” – pomyślałem z niezadowoleniem, zastanawiając się, czy kiedyś zniknie ten chlew na cmentarzu, jaki tworzą wypadające zewsząd śmieci.

Tymczasem dzieciak grzebał przy leżących kwiatach, po czym podbiegł do nas z czerwoną sztuczną gwiazdą betlejemską.

– Babcia go uwielbiała – powiedział, prezentując mi z dumą mocno sfatygowane znaleźisko.

– Już nie lubi? – zapytałem odruchowo.

– Nie wiem, czy tam, u góry, też kwitną kwiaty. – Wskazał na niebo, a ja w mig pojąłem, o co mu chodziło.

Było mi głupio. Niepotrzebnie zadałem tamto pytanie. Mogłem mu sprawić przykrość, a przecież on chciał mi tylko pomóc. Chciał, aby Mariola miała piękną choinkę na swoim grobie, o czym ja sam nigdy nie pomyślałem. Liczyło się dla mnie samo drzewko, bo to ono było symbolem świąt dla mojej żony.

– Mogę zawiesić? – zapytał chłopiec, wskazując na trzymany w ręku kwiat. – Dziadek mówił, że czubek nakłada zawsze prawdziwy mężczyzna.

Zaśmiałem się, spoglądając jednocześnie na kobietę, która także się rozpromieniła.

– Zatem niech prawdziwy mężczyzna czyni swoją powinność. – Skinąłem głową na choinkę.

Uradowany chłopiec podszedł do drzewka.

– Równo? – zapytał, patrząc na matkę.

– Idealnie, dziadek byłby z ciebie dumny – wyznała, wycierając chusteczką zaczerwieniony nos.

W jej oczach widać było ból. Musiała stracić rodziców całkiem niedawno, skoro reagowała tak emocjonalnie. Żal, który w sobie nosiła, kompletnie nie przypominał tego, jaki ja miałem w sobie.

– Zuch chłopak – powiedziałem, głaszcząc go po głowie.

– Mężczyzna, proszę pana Mikołaja – poprawił mnie.

Zaśmiałem się szczerze. Przez chwilę pomyślałem, że gdybym miał syna, chciałbym, aby był taki jak on. Otwarty, radosny, pozbawiony dystansu do ludzi.

– Jestem Karol. – Kucnąłem, aby móc spojrzeć mu w oczy. – Ale znam Mikołaja – dodałem konspiracyjnym szeptem.

– Naprawdę? – Ucieszył się, podskakując radośnie.

Kobieta uśmiechnęła się lekko, co sprawiło mi przyjemność. Chciałem, aby się uśmiechała, aby choć na chwilę zniknął z jej serca ból.

Nie poznawałem sam siebie. Zazwyczaj minąłbym ich, z kpiną patrząc na stare ubra-

nia, jakie miała na sobie kobieta. Jednak jej syn mi na to nie pozwolił. Wprowadził choć na chwilę w moje życie zapomnianą od lat radość, którą chciałem chłonąć jak najdłużej. Było w nim tyle pozytywnych emocji, którymi mimowolnie dzielił się ze światem...

– A gdzie on jest? Co mi przyniesie? Wejdzie przez komin, jak jest tam brudno? – rzucał pytaniami jak z rękawa.

Nie wiedząc, jak mam na nie odpowiedzieć, postanowiłem spróbować uniku, jaki stosowali kiedyś moi rodzice w stosunku do mnie.

– Nie mogę zdradzać jego tajemnic. Gdyby to się wydało, straciłbym kolegę – powiedział poważnie, na co mały skinął ze zrozumieniem. – To co, idziemy do samochodu, bo trochę tu zimno?

Ruszyliśmy we troje w kierunku parkingu. Chłopiec radośnie biegał, skacząc po nielicznych kałużach, pozostawionych przez wczorajszą ulewę.

– Dobrze, że ma wyższe kozaki – powiedziała nieznajoma, chyba bardziej do siebie.

– No, pogoda nie nastraja na święta. – Próbowałem podtrzymać rozmowę, którą mimowolnie zaczęła.

– Kiedyś święta kojarzyły się ze śniegiem, a teraz nawet nie wiadomo, jak dziecku tłumaczyć, po czym poznać zimę, jak śnieg potrafi spaść w maju.

Przypomniałem sobie tegoroczny maj, kiedy to w wielu miejscach w Polsce spadł niespodziewanie śnieg. Synoptycy się go nie spodziewali, a co dopiero ludzie, którzy na przykład w Gdańsku musieli odśnieżać samochody.

– Dziś już chyba święta kojarzą się tylko z prezentami i choinką.

– I *Last Christmas* – dodała radośnie.

Moje myśli wróciły do wypadku sprzed sześciu lat, kiedy to znana piosenka była ostatnią słyszaną przez moją żonę. Nie zdawałem sobie sprawy, że jej wspomnienie wywoła we mnie tyle emocji, a jednak... Stałem nagle, czując, że ziemia osuwa mi się spod stóp. Nie mogłem tego opanować, dusiłem się, czując, że zaraz zabraknie mi tchu.

Nie wiem, co zrobiłam, ale on nagle zatrzymał się, jakby nie mógł iść dalej. Jego czoło pokryło się kroplami potu, a twarz zrobiła się dziwnie blada. Mówiłam do niego, lecz on nie reagował. Jakby go tam nie było. Był przy mnie ciałem, ale duch znajdował się gdzieś indziej. Bałam się. Tak strasznie się bałam, że coś mu się stanie, a ja nie będę mu w stanie pomóc. Kiedyś w liceum uczyli nas pierwszej pomocy, ale nie miałam nigdy potrzeby sprawdzić swoich umiejętności, a nawet niespecjalnie tego chciałam. Teraz tym bardziej, kiedy obok mnie był Tomek.

– Proszę, niech pan coś powie, da jakiś znak – mówiłam do mężczyzny, trzymając jego dłoń.

Zbyt długa chwila zdawała się nie mieć końca. Dlaczego w życiu tak jest, że piękne momenty zbyt szybko płyną, a złe trwają w nieskończoność? Tak było i teraz. Czekałam na jego znak, jakby to były godziny, a pewnie nie minęła nawet minuta. Przecież Tomek nie zdążył jeszcze zauważyć, że nie idziemy za nim.

Patrzyłam na jego bladą twarz, która powoli nabierała koloru. „Wraca do nas” – pomyślałam, szczęśliwa, nie zdając sobie sprawy, skąd we mnie tyle euforii.

– Jak się pan czuje? Wszystko w porządku? Może pan usiądzie? – dopytywałam nerwowo, gdy tylko zobaczyłam, że odzyskał już kontakt ze światem.

– Usiądę – wyznał.

Chwyciłam go pod rękę, prowadząc do najbliższej ławki, która znajdowała się przy jednym z pomników. Pomogłam mu zająć miejsce, by poczekać, aż nabierze sił.

– Pan na coś choruje? Może zadzwonić po pogotowie? – zaproponowałam.

– Nie, to nic wielkiego. Nazwałbym to traumą powypadkową – odpowiedział. – Sześć lat temu w wypadku zginęła moja żona. To ja prowadziłem, a ostatnie, co pamiętam, to jej puste zielone oczy wpatrujące się we mnie i ta piosenka.

Przypomniałam sobie, o czym rozmawialiśmy, idąc w stronę parkingu i dopiero po chwili zrozumiałam, jaką piosenkę ma na myśli. Gdybym wiedziała, że wzbudzi w nim tyle emocji, na pewno bym o niej nie wspomniała. „Ale skąd mogłam wiedzieć?” – tłumaczyłam sobie w myślach, czując jednocześnie, że pan Karol mnie za nic nie wini.

– Przepraszam – wyznałam, lekko speszona.

– Skąd pani mogła wiedzieć?

Usiadłam obok niego, czekając, aż będzie miał siłę iść dalej.

– No, co z wami? Mamo! – Dopiero teraz podbiegł do nas zniecierpliwiony Tomek.

– Już idziemy, poczekaj chwilę – uspokajałam go.

– Już w porządku. – Mężczyzna podniósł się z ławki. – Czuj się zdecydowanie lepiej.

Tomek złapał go za rękę, a on jej nie odtrącił. Cieszyłam się, że ten obcy mężczyzna choć przez chwilę da mu namiastkę normalności, jakiej w naszym życiu było stanowczo zbyt mało.

– Jakiego koloru ma pan samochód? – zapytał malec z ciekawością w głosie.

– To taki duży czarny samochód – odpowiedział.

– Mamusia mówi, że czarny to smutny kolor. – Spojrzał na mnie, chcąc upewnić się, czy Tomek mówi prawdę.

Próbowałam się uśmiechnąć, lecz było mi głupio, że syn powtarza moje słowa. „Na przyszłość muszę się mocno zastanowić, zanim coś przy nim powiem” – postanowiłam.

Schyliłam się odruchowo, aby wziąć go na ręce.

– I mama ma rację, bo ja jestem smutnym człowiekiem. – Sam nie wiem, czemu mu to powiedziałam, ale tak dyktowało mi serce i taka była gorzka prawda.

W moim życiu brakowało radości, spontaniczności i wielu innych rzeczy, które po śmierci żony przestały mieć dla mnie znaczenie. Kiedyś było inaczej. Chciałem ją zaskakiwać, pokazywać, że wciąż kocham, jak tamtego dnia, gdy ją pocałowałem, a chłodne płatki śniegu opadały wprost na nasze rozgrzane miłością policzki.

– Nie ma fotelika – zauważył chłopiec, kiedy doszliśmy do auta.

– To żaden problem, wezmę go na kolana – pospiesznie powiedziała kobieta, posyłając Tomkowi karcące spojrzenie.

Wsiedliśmy do auta i wtedy poczułem, że nie chcę już żyć jak dotychczas. Nie chciałem być nazywany „lodowym władcą”, jak mówili po kątach moi pracownicy. Chciałem być inny, taki jak dla tego chłopca. Wyrozumiwały, ciepły, cierpliwy. Mariola byłaby ze mnie dumna, widząc mnie takiego. Nie zimnego gburą, którego nikt nie lubi, lecz serdecznego człowieka, jakim chciała, abym był. Tylko czy ja potrafiłem? Czy mogłem otworzyć ot tak po prostu moją wewnętrzną bramę, którą zamknąłem po tamtym wypadku?

– Podwieźć was do domu? – postanowiłem upewnić się, czy jeszcze się gdzieś nie wybierają.

– Tak, musimy czekać na Mikołaja. – Odpowiedzi udzielił mi zadowolony Tomek. – Będzie miał dla mnie dużo prezentów, bo przecież byłem grzeczny.

Dla chłopczyka zdecydowanie był to punkt kulminacyjny Wigilii. Był tylko dzieckiem, nie mógł jeszcze wiedzieć, że to nie o prezenty chodzi w tym dniu, lecz o bycie razem, o życzenia przy opłatku i rozmowy przy zastawionym stole, które trwają aż do pójścia na tradycyjną pasterkę. Był zbyt mały, aby to wszystko rozumieć, ale na tyle duży, by wiedzieć, że to wyjątkowy czas. Dla niego uosobieniem magii świąt był Mikołaj, który spełnia dziecięce marzenia.

W lusterku spojrzałem na twarz kobiety, której mina daleka była od szczęśliwej.

– Kochanie, Mikołaj nie może przynieść wszystkiego, co chcesz, bo są jeszcze inne grzeczne dzieci – wyznała.

– Ale Lego i parking przyniesie na pewno mi przyniesie. Przecież prosiłem go w liście – powiedział malec, pewny siebie.

Kobieta ucałowała go w tył głowy, a jej oczy napełniły się łzami. Rozumiałem już, co sprawiło jej przykrość. Czuła, że nie zadowoli syna podarkami, jakie znajdzie pod drzewkiem, bo zwyczajnie nie było jej na nie stać.

– Która godzina? – zapytałem nagle.

– Chwilę po dziesiątej – odpowiedziała.

Przycisnąłem pedał gazu, wiedząc, że mam do załatwienia jeszcze kilka ważnych spraw.

– Może pan przyjdzie do nas na kolację? – zapytał Tomek, kiedy byliśmy już przed klatką kamienicy. – Babci i dziadka już nie ma przy stole, a chciałbym komuś pokazać prezenty od Mikołaja.

Mężczyzna spojrzał na mnie w lusterku, chcąc zobaczyć moją reakcję.

– Zapraszamy, w taki dzień nikt nie powinien być sam – przyznałam, mając cichą nadzieję, że odmówi.

– W sumie czemu nie – zgodził się radośnie. – Jaki numer mieszkania?

– Siedem – wydukałam. – Będziemy czekać przed pierwszą gwiazdką.

Wysiadłam z samochodu, biorąc Tomka na rękę. Mężczyzna odjechał, a ja zastanawiałam się, czy jedzenia wystarczy na nas troje. On pewnie nawykł jadać do syta, degustować potrawy, których ja nawet nie byłam w stanie nazwać. Byliśmy z innych światów. Już samo miejsce zamieszkania o tym świadczyło. Ja i Tomek odziedziczyliśmy małe mieszkanie w obskurnej kamienicy, naprzeciw której stały piękne nowe bloki z apartamentami na samej górze. To właśnie w jednym z nich mieszkał pan Karol. Nawet jego taras był większy niż nasze cztery kąty. „Jak on się będzie tutaj czuł?” – zastanawiałam się, wchodząc do klatki. Zakupy odpadały. Do dziesiątego stycznia musiałam przeżyć z niewielką gotówką, jaka została po opłaceniu rachunków. „Ponad dwa tygodnie” – pomyślałam smutno.

Kiedy weszliśmy do domu, Tomek zaraz sprawdził, czy pod drzewkiem nie pojawiły się prezenty. Był zawiedziony, kiedy ich nie znalazł. Poszedł do swojego pokoju, narysować kolejną laurkę dla Mikołaja. Ja tymczasem skierowałam się do kuchni, podzielić dwa filety rybne na mniejsze części, aby każdy mógł dziś jej spróbować. Przecież taka

była tradycja, nie można jej było zmieniać.

Postanowiłem zacząć od firmy. Pojechałem do pobliskiego banku, aby wypłacić trochę gotówki. Jeszcze nie było za późno, aby naprawić błąd. Wystarczyły tylko chęci, a tych było w mnie dziwnie wiele. I pomyśleć, że gdyby nie ten mały chłopiec, dziś spędziłbym kolejną samotną Wigilię przed telewizorem.

W banku nie było kolejek, co mnie nie dziwiło. Ludzie raczej już wszystko kupili, spłukując się doszczętnie albo zaciągając kredyt, aby móc spełnić marzenia bliskich. Nie rozumiałem ich, ale może to wina tego, że byłem sam. Nie miałem dla kogo się starać, nie czekałem na żaden okrzyk radości przy otwieraniu świątecznych prezentów.

Prosto z banku pojechałem na Polną, gdzie znajdowała się siedziba mojej firmy. Pracownicy mieli siedzieć tam do piętnastej, i na pewno tak było. Musieli pamiętać, jak dwa lata temu przyjechałem chwilę przed trzecią i jeśli kogoś nie było, to zwalniałem po świętach, wypisując dyscyplinarkę.

Miałem rację. Wszyscy siedzieli za swoimi biurkami, a na dużym stole w sali konferencyjnej ułożone były talerze, ciasto oraz owoce, które zapewne mieli zjeść podczas firmowej wigilii. Nawet tego im nie dałem. Sami musieli sobie zorganizować namiastkę świąt, z oczywistych względów pomijając mnie w tych planach. Wiedzieli, że ich nienawidzę. Nienawidziłem ich od dnia wypadku, ale dziś chciałem to zmienić.

– Przepraszam... – Głos mi się łamał. – Chcę was wszystkich przeprosić i powiedzieć, że możecie iść do domu. Do swoich rodzin i bliskich.

Podwładni spojrzeli na mnie, jakby czekali, kiedy powiem, że żartuję. Odruchy dobroci z mojej strony były im zupełnie obce.

– Może szef zje z nami? – zaproponowała Tamara, która pracowała tutaj od trzech lat.

Wyjąłem z saszetki plik kopert, po czym rozdałem każdemu z pracowników, życząc wesołych świąt. Te dwa słowa były tak proste, ale tak wiele znaczyły, choć na jeden dzień zmieniając świat w piękniejszy.

– Obiecuję, że się zmienię – wyznałem, zasiadając do stołu.

Spojrzeli na mnie z niedowierzaniem, co wcale mnie nie dziwiło. Przez ostatnie lata daleko mi było do samarytanina, którym nagle dziś zapragnąłem się stać.

– Naprawdę się zmienię! – powiedziałem stanowczo, każdemu kolejno patrząc choć przez chwilę w oczy.

– Wiemy, szefie. – Paweł z kadr poklepał mnie przyjaźnie po plecach.

Dziś nie chciałem być dla nich szefem, dziś chciałem być kimś, kogo we mnie od dawna nie widzieli... chciałem być w ich oczach człowiekiem i wierzę, że się udało.

– Jedźcie do domów, bo ja też muszę jeszcze coś załatwić. – Z uśmiechem wygoniłem ich z pracy, kierując się jeszcze na dół, do pana Tadeusza, który dziś, tak jak sześć lat temu, miał wigilijną zmianę.

Staruszek wpatrywał się w monitor, podejrzewając, że przyszedłem go sprawdzić.

– Niech pan sobie włączy telewizor – powiedziałem, podając i jemu kopertę. – Tylko z umiarem, panie Tadku.

– Dziękuję. – Przytulił mnie, jak sześć lat temu moją Mariolę.

Coś ścisnęło mnie w sercu. Nie był to ból, lecz uczucie szczęścia, które zdawało się przebijać nagromadzony przez lata kamień.

– Wesołych świąt, panie Karolu – rzekł, kiedy wychodziłem z firmy.

Pędem pojechałem do Galerii Copernicus, aby kupić upominki dla Tomka oraz jego mamy. W sklepie z zabawkami zapytałem miłą panią o parking, o którym marzył chłopiec, oraz o największy zestaw Lego. Kobieta z uśmiechem podała mi wszystkie potrzebne podarki, pytając, czy chcę także samochody do parkingu. Chciałem, dziś wszystko chciałem, aby uszczęśliwić tego malca. Poprosiłem jeszcze o zapakowanie w ozdobny papier z Mikołajem, aby Tomek nie mógł zobaczyć, co jest w środku.

Miałem prezent dla Tomka, lecz była przecież jeszcze jego mama. „Nawet nie wiem, jak ma na imię” – dopiero teraz dotarło do mnie, że jej o to nie zapytałem.

Poszedłem do jednego z jubilerów znajdujących się w centrum handlowym, aby kupić jej coś ładnego. Mój wzrok padł na piękną, złotą czterolistną koniczynkę, zawieszoną na cienkim łańcuszku. Bez wahania poprosiłem o komplet i jego zapakowanie. „Zostało jeszcze jedzenie” – pomyślałem, kierując się w stronę cukierni. Poprosiłem o dwa makowce, ciasto drożdżowe, piernik z jabłkiem oraz ciasto królewskie, które wyglądało apetycznie za witryną.

Zostało się tylko przebrać i mogłem iść na pierwszą od sześciu lat wigilijną wieczerzę, na którą zostałem zaproszony.

Smażyłam rybę, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Z brudnymi od mąki rękoma poszłam otworzyć. Nie byłam pewna, czy to pan Karol, bo również kolędnicy lubią chodzić po mieszkaniach w Wigilię, licząc na większe datki.

– Nie za wcześnie? – zapytał, patrząc na moje dłonie.

– W sam raz. – Otworzyłam drzwi szerzej, wpuszczając go do środka. – Nie zdążyłam jeszcze położyć prezentów dla Tomka, bo wciąż wygląda z pokoju, chcąc nakryć Mikołaja na gorącym uczynku. – Zaśmiałam się.

Dopiero teraz ujrzałam wielkie torby, jakie przyniósł ze sobą nieznajomy.

– Przepraszam, że dopiero teraz, ale jak pani na imię? – zapytał, kładąc wielkie pudła pod choinką.

– Daria.

– To może ja wezmę Tomka na dół, aby mi pomógł z ciastem, a pani podłoży prezenty? – zaproponował, na co skinęłam głową.

– Tomek, zobacz, kto przyszedł! – zawołałam syna.

Malec rzucił się mężczyźnie na szyję, zapominając nawet sprawdzić, czy coś kryje się pod drzewkiem. Nałożył na siebie kurtkę i zbiegł po schodach, aby pomóc panu Karolowi.

Pospiesznie wyjęłam zapakowane starannie prezenty, kładąc je między wielkie pudła, które przyniósł nasz gość. Cieszyłam się, widząc napisane na nich imię syna, lecz jedno niewielkie miało przyklejoną białą czystą kartkę.

„Daria, ma na imię Daria” – powtarzałem sobie, idąc z malcem do samochodu. Musiałem podstępem napisać na małym pudełku jej imię, aby Tomek nie zastanawiał się, czemu Mikołaj nie podpisał prezentu.

Podał Tomkowi makowce, sam wziąłem resztę ciast i udaliśmy się do góry. Jego mama powinna zdążyć położyć prezenty pod choinką, a mały mógł co najwyżej przez chwilę się smucić, że ominęła go wizyta Mikołaja.

– Mamo, zobacz ile tego! – Tomek wbiegł wprost do kuchni, gdzie kobieta smażyła



rybę.

– Nie trzeba było... – powiedziała.

Jej oczy przepełnione były radością. Cieszyłem się, że choćby w taki sposób mogę się im odwdziaczyć. Za spotkanie na cmentarzu, za radość, jaką zaraził mnie ten malec, i za zaproszenie, którym pokazali mi, że obok mnie znajdują się dobrzy i bezinteresowni ludzie.

– On był, on był! – ekscytował się chłopczyk, nurkując pod świąteczne drzewko.

– Wszedł kominem, kiedy ciebie nie było – zaśmiała się pani Daria.

– A dzieciaki w przedszkolu mówiły, że on jest gruby. Musiał przejść na dietę, jak ta pani z telewizji.

Wybuchliśmy śmiechem, czego Tomek kompletnie nie rozumiał. Jego dziecięca mądrość zaskakiwała nie tylko mnie, ale i jego matkę, która go przecież doskonale знаła.

– Idźcie wypatrywać pierwszej gwiazdki – poprosiła kobieta, na co chłopiec, trzymając mnie za rękę, pociągnął w stronę okna.

Patrzyłem przez szybę, wczekując wraz z Tomkiem pierwszej gwiazdki na niebie i wtedy zrozumiałem, co chciała mi wytłumaczyć Mariola sześć lat temu. Miała rację. To nie śnieg sprawia, że święta są wyjątkowe, a ludzie, którzy są tego dnia przy nas.

Spojrzałem na radosną twarz chłopca stojącego obok i dotarło do mnie, że życie jest jedno, a ja na własne życzenie przespałem jego sześć lat, będąc zimnym dupkiem, którego Mariola na pewno by się wstydziła.

Cieszyłem się, że to właśnie dziś, dzięki tej dwójce przypadkowo poznanych ludzi, wykonałem pierwszy krok ku byciu lepszym człowiekiem.

– Mamo, już jest! – Byłam jeszcze w kuchni, kiedy usłyszałam radosny głos syna.

Wyszłam z kuchni, niosąc przed sobą wazę z barszczem, w którym pływały Nieliczne uszka. Obiecałam Tomkowi, że święta będą takie jak zawsze. Z dwunastoma potrawami, z prezentami i świecą z Caritasu, kupioną w kościele. Miało być tak i było, lecz nieco skromniej.

Widok Tomka tulącego się do pana Karola, przez chwilę mnie zmroził, pozwalając po czasie wywołać miłe ciepło w moim sercu. Bałam się, że będzie niezręcznie, że wypowiedziane przez Tomka zaproszenie będzie dla mnie fałszywą nutą w kolędzie tego pięknego dnia, lecz się myliłam. Pan Karol przyniósł podarki, których się zupełnie nie spodziewałam, oraz pięknie pachnące ciasto z cukierni. Już choćby to było miłym akcentem tego wigilijnego wieczoru, a fakt, że mój syn dostawał tyle ciepła od nieznanego człowieka, po prostu mnie roztkliwił.

– Siadamy do stołu? – zapytałam niepewnie.

– Mamo, najpierw życzenia – przypomniał mi Tomek. – I świeca.

– Mogę? – zapytał mężczyzna, wyjmując ze spodni zapalniczkę.

Skinęłam głową, ciesząc się, że jest trochę jak dawniej, że chociaż te święta będą dla Tomka czymś więcej niż tylko kolejnym samotnym dniem z matką.

Nad świecą unosił się jasny płomień, rozświetlający odświętnie nakryty stół. Pan Karol zgasił światło, aby urok świecy był jeszcze bardziej widoczny, po czym sięgnął po talerz, na którym leżał opłatek.

– W moim domu to zawsze najstarszy rozdawał opłatek – powiedział, jakby się tłumacząc. – Mam nadzieję, że się pani nie pogniewa, jeśli to uczynię?

Uśmiechnęłam się, dziękując za te słowa. W naszym domu, jak pewnie i w wielu innych, tradycja grała istotną rolę. Kiedyś to tata brał talerz i wędrował między domownikami, aby każdy wziął kawałek opłatka dla siebie, którym lada chwila będzie się dzielił z innymi.

– Mogę zacząć od mamy? – zapytał Tomek pana Karola.

– Ależ oczywiście, damy mają pierwszeństwo – odpowiedział mężczyzna.

Syn rzucił mi się na szyję, obcałowując przy tym całą moją twarz. Żadne słowa nie mogłyby zastąpić takich życzeń.

– Chcę, abyś zawsze była taka szczęśliwa jak teraz – wyznał, ponownie mnie całując.

Lekko się zawstydzila. Nie zdawałam sobie sprawy, że inni to widzą. Myślałam, że tylko ja czułam, jak moje serce się rozgrzewa z miłości do syna i nadziei, jaką dał mi dziś nieznajomy.

– A ja ci życzę, byś rósł zdrowo i zawsze był taki greczny jak dotąd – wyznałam, powstrzymując łzy.

Przytuliłam syna zbyt mocno, jednak nie byłam w stanie opanować emocji. Tak bardzo kochałam tego szkraba, który był wszystkim, co miałam.

– A panu życzę, żeby pan zawsze trafiał na takie fajne osoby jak my.

Mężczyzna poczochnął jego blond czuprynę, po czym rzekł spokojnie:

– To dzięki tobie was spotkałem, więc musisz na mnie częściej polować. Zwłaszcza że, powiem ci to w sekrecie, wśród moich znajomych jest nie tylko Mikołaj, ale również Zajączek i wiele innych ciekawych osób. – Zaśmiał się, widząc, jak Tomek rozdziawia usta ze zdziwienia. – A ja tobie, młody człowieku, życzę, abyś zawsze doceniał, że masz przy sobie to, co najcenniejsze. – Spojrzał na mnie.

– Lego! Mamo, słyszałaś? Dostanę Lego! – ekscytował się, nie rozumiejąc przesłania życzeń.

Tomek podbiegł do choinki, chcąc zobaczyć, które z zapakowanych szczelnie prezentów są dla niego.

– To może ja pierwszy. – Pan Karol podszedł bliżej mnie. – Chciałbym pani życzyć, aby nie musiała się pani już o nic martwić, bo łzy nie są potrzebne w tak młodym wieku. Ma pani przy sobie największe szczęście, a reszta przyjdzie z czasem.

Próbowałam powstrzymać ponownie napływające do oczu łzy, jednak jedna już wypłynęła. Otarłam ją rękawem koszulowej bluzki, którą kupiłam kilka miesięcy temu w lumpeksie, zostawiając ją na specjalne okazje.

– A ja... – Zawahałam się. – ...ja chciałabym panu życzyć, aby odkrył pan w sobie na nowo chęć życia, bo świat ma w sobie wiele barw, nie wszystko jest czarne lub białe.

Spojrzałam w jego oczy, które przez chwilę zdawały się zeszkłone.

– Dziękuję i obiecuję, że od dziś będę starał się widzieć na niebie tęcze, a nie same ciemne chmury.

Przytuliliśmy się, jakby to było naturalne. Bo właściwie było... Choć byliśmy sobie obcy, tak naprawdę doskonale wiedzieliśmy, czego nam obojgu brakuje. On zdawał się mieć wszystko, prócz rodziny, a ja miałam syna, lecz brak większych perspektyw. Mimo wszystko byłam od niego bogatsza, i on o tym wiedział. Już dawno przecież rozumiał, że to nie pieniądze są naszym bogactwem, a ludzie, wśród których żyjemy. Dziś to my nim dla niego byliśmy.

– Mogę otworzyć prezenty? – zapytał Tomek, podskakując radośnie.

Spojrzałam na mężczyznę, nie wiedząc, czy się zgodzić. Przecież to on przyniósł większość prezentów, on miał prawo decydować. Skinął ochoczo głową.

– Otwieraj, a my może zaśpiewamy – zaproponował. – Jednak muszę chyba jeszcze coś zrobić...

Wstał od stołu, sięgając do kieszeni marynarki po swój telefon. Wybrał numer i udał się do przedpokoju, czekając na głos po drugiej stronie.

– Mamo, przepraszam. Ja chciałem wam tylko życzyć wesołych świąt – mówił dość głośno łamiącym się głosem. – ...przyjadę. Na pewno przyjadę i już nie zostawię was samych na tak długo.

Zakończył rozmowę, wchodząc już do pokoju. Uśmiechał się promiennie, co znacznie odejmowało mu lat. Wydawał się nie mieć zmartwień, które jeszcze kilka godzin temu miał wypisane na twarzy.

– Rodzice? – zagadnęłam nieśmiało.

– Teściowie.

O nic więcej nie pytałam. Szczęście odmalowane na jego twarzy zdawało się unosić go nad ziemią.

– Cicha noc, święta noc – zaczął pan Karol, a ja dołączyłam do niego. – Pokój niesie ludziom wszem, a u żłóbka Matka Święta, czuwa sama uśmiechnięta, nad Dzieciątka snem, nad Dzieciątka snem.

Kiedy Tomek rozwijał papier, pod którym schowane było jego wymarzone Lego oraz wiele innych prezentów, o które nawet nie śmiał prosić, my wciąż śpiewaliśmy, nadając temu dniowi wyjątkowe znaczenie. Bo przecież najważniejsze w święta nie są prezenty czy potrawy, jakie znajdują się na wigilijnym stole, lecz osoby, które z nami dzielą ten czas.

Z uśmiechem spojrzałam na mężczyzn, którzy byli przy mnie, prosząc niebiosą o to, aby już zawsze tak wyglądały nasze święta.

*Dla Pana Jana Lewandowskiego, kołobrzeskiego psychologa, z wyrazami nieograniczonej wdzięczności za wszystko, co Pan dla mnie uczynił. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.*

## Anna Harłukowicz-Niemczynow



Pasjonatka świadomego życia. Żona Przemysława, mama Remika i Lili. Pracuje z asystentką Leią (pies). Piecze pyszny chleb na naturalnym zakwasie, genialną szarlotkę i smaży najlepsze na świecie konfitury. Aby bezkarnie to wszystko jeść, regularnie biega i ćwiczy (jest maratończykiem). Wstaje wczesnym rankiem, aby medytować, modlić się i śpiewać mantry. Gra na pianinie i jest książkoholichką. Próbuje nauczyć się języka niemieckiego, święcie wierząc, że kiedyś będzie władać nim biegle ;-) Absolwentka Wydziału Prawa i Administracji, a także pedagogiki i politologii – trzy dyplomy w szufladzie tylko po to, by pisać (debiutancka powieść, *W maratonie życia*, Videograf, 2017). Jej życiowe motto: „Szczęście nie jest ani dziełem przypadku, ani darem bogów. Szczęście to coś, co każdy z nas musi wypracować dla samego siebie”. Lubi kolor zielony i kolekcjonuje figurki aniołów. Wierzy w przeznaczenie i lubi się uśmiechać. Kiedy uda jej się opublikować więcej niż dziesięć książek, wtedy nazwie się pisarką. Na razie po prostu próbuje pisać najlepiej, jak tylko możliwe.

## **Anna Harłukowicz-Niemczynow. *Dziesięć dobrodziejstw***

*Cicha noc, święta noc.*

*Pokój niesie ludziom wszem.*

*A u żłóbka Matka Święta,*

*czuwa sama uśmiechnięta*

*nad Dzieciątka snem, nad Dzieciątka snem.*

Myślałam, że gdy wreszcie rozstanę się z Kostkiem, moje noce nabiorą tej magicznej ciszy, świętości i pokoju. Na tym ostatnim zależało mi najbardziej. Mijała kolejna samotna noc, podczas której leżałam w łóżku i rozmyślałam, jak by to było wspaniale móc przygotować kolację wigilijną. Dopracowywałam w wyobraźni każdy szczegół, począwszy od skrupulatnie sporządzonej listy zakupów, a skończywszy na drobiazgowo opakowanych prezentach. W mojej głowie wszystko było idealne. Jedyne, czego mi brakowało, by ten idealny plan się ziścił, to... mąż. I to nie byle jaki, tylko taki kochający.

Nie miałam męża. Od roku byłam sama. To znaczy nie tak do końca sama, bo przecież miałam syna. Razem z Kajtkiem dorobiliśmy się również chomika Tesia i ryby Łesia. Ja, Kajtek, Tesio i Łesio byliśmy „czterooosobową” rodziną. To Kajtek wpadł na pomysł, że powiększymy ją w taki właśnie sposób. Początkowo syn namawiał mnie na psa, ale nie byłam gotowa na poniesienie tak wielkiej odpowiedzialności za czworonoga. Potrzebowałam energii, aby radzić sobie sama ze sobą i swoim życiem. Opieka nad psem wydawała się ponad moje siły.

Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy odbierałam Kajtka z przedszkola, a on ni z tego, ni z owego zadał mi pytanie:

– Mamusiu, dlaczego my jesteśmy samotni?

Otworzyłam oczy ze zdziwienia. Skąd w jego głowie takie myśli? Było w tym oczywiście trochę prawdy, a w zasadzie była to sama prawda, bo jak inaczej nazwać rodzinę, w której matka sama wychowuje syna? Przypomniałam sobie, jak pewna guru z dziedziny wychowywania dzieci radziła, by zbyt szybko nie udzielać odpowiedzi na problematyczne pytania. W zamian za to należało poprosić o doprecyzowanie.

– Samotni? Co to znaczy? Gdzie to usłyszałeś? – Postąpiłam zgodnie z jej wskazówkami.

– Zosia z przedszkola powiedziała, że ty jesteś stara panna z dzieckiem. Nie wiem dlaczego. Przecież jesteś młoda, a ja nie jestem już dzieckiem.

Rozdziawiłam usta ze zdumienia, a przez głowę przemknęła myśl, iż nie wiem, co gorsze: bycie starą panną z dzieckiem czy bycie rozwiedzioną niepanną z dzieckiem. Parszywa Zośka. Wiem, że to nie po katolicku, ale szczerze nie lubiłam tej dziewczuchy. Jej rodzice byli wysoko postawionymi pracownikami sądu. Ojciec sędzia, matka ktoś tam niewiele mniej ważny. Wychowywali małą Zosię w przekonaniu, że może robić wszystko, co jej się żywnie podoba. Zagotowało się we mnie, ale cóż... Moja babcia Ania często mawiała, że rodzicielstwo wymaga zachowania zimnej krwi. Wobec tego wzięłam głęboki wdech, policzyłam w myślach do dziesięciu i odpowiedziałam:

– Kajtusi, my nie jesteśmy samotni. Przecież mamy siebie. Ja mam ciebie, a ty masz mnie. Czujesz się samotny?

– Kiedy jesteśmy razem, nasza samotność jest fajna. Poza tym jest Tesio i Łesio. Chciałbym jeszcze psa.

– Rozmawialiśmy już o tym.

– Wiem, wiem. – Mój synek spuścił głowę, skupiając całą uwagę na miseczce śniadaniowych cornflakes, którą przed chwilą przed nim postawiłam.

W tym całym galimatiasie życia mądrości Kajtka często dodawały mi otuchy. Chyba podświadomie czekałam, aby usłyszeć z ust sześciolatka, że życie w samotności z jednym rodzicem jest fajne. Takie zapewnienie z jego ust było lekiem na moje przybierające monstrualną wielkość wyrzuty sumienia. Jeszcze nie tak dawno spędzałam Wigilię z jego ojcem. Może nie były to święta idealne, ale byliśmy rodziną. Taką, powiedzmy, normalną, w której była mama, był tata. A teraz? Teraz byliśmy sami.

Co ja najlepszego narobiłam? Po co mi był ten romans? Trzeba było siedzieć, nie odzywać się i nie szukać w tyłku miodu. Tylko że... to nie byłabym ja. Dzięki tej przygodzie zrozumiałam, jak mężczyzna może kochać kobietę. A jeśli czegoś byłam pewna, to tego, że Jan mnie kochał.

Od roku chodziłam na psychoterapię. Nieudane małżeństwo, naprawdę udany, lecz oplakany w skutkach romans, utrata dziecka (poroniłam). Trochę dużo jak na barki niespełna trzydziestolatki. Niektóre moje koleżanki ze studiów dopiero co zakładały rodziny, a ja? Cóż... Po tym wszystkim, czego doświadczyłam, ledwie trzymałam się na nogach. Chociaż uśmiech zawsze gościł na mojej twarzy. Byłam dobrą aktorką. Tylko te dołeczki w policzkach zdawały się jakby mniej wyraziste.

Święta to taki czas, kiedy zaczynamy się zastanawiać nad tym, co w życiu ważne. Nawet jeśli wydaje nam się, że nie lubimy świąt i nie chcemy ich przeżywać.

Gdybym kiedyś pomyślała, że ważniejszy od kochanka jest mój mąż, pewnie teraz kroiłabym sałatkę śledziową. Zamiast tego rozkładałam kawałek po kawałku swoje wnętrze. Brakowało tylko, abym sama siebie posypała solą.

– Jak się pani dziś czuje, pani Matyldo? – Mój psychoterapeuta, pan Mirek, jak zwykle przywitał mnie tym samym pytaniem.

Jak niby miałam się czuć? Ledwie na cmentarzu zgasły zapalone z okazji Święta Zmarłych znicze, a już wszyscy biegali po sklepach i przeżywali Boże Narodzenie. Kiedyś je lubiłam. Teraz wręcz przeciwnie.

– Nie lubię świąt! – odpowiedziałam, usadawiając się na nadgryzionym zębem czasu komunistycznym fotelu.

Denerwowało mnie to całe zamieszanie. W pracy koleżanki wymieniały się pomysłami na prezenty dla swoich mężów. Z czerwonymi od emocji polikami prezentowały przed sobą wymyślne kroje męskich bokserów. Nic nie przebiło jednak pomysłu Gabryśki. Wpadła jak szalona do pokoju nauczycielskiego i kazała nam wachać jakieś świeczki. Na początku myślałyśmy, że poszukuje czegoś nietuzinkowego, aby umilić wszystkim czas podczas spożywania wigilijnej wieczerzy. Myliłyśmy się. Cała w pąsach, Gabryśka doszła do wniosku, że skoro jej mąż cały czas powtarza jej, że ładnie od niej pachnie, to musi być wrażliwy na zapachy, zatem najlepszym prezentem dla niego będzie świeczka. Z jednej strony szkoda mi było odbierać jej radość, krytykując jej wybory, ale ktoś musiał to zrobić. Innym nauczycielkom zabrakło odwagi. Powiedziałam Gabrysi, że gdybym miała męża, z pewnością postarałabym się o coś bardziej oryginalne-



go. Ujęłam to najbardziej dyplomatycznie jak tylko potrafiłam, oczywiście uśmiechając się przy tym miło i serdecznie. Nie minęła sekunda, jak koleżanka odwinęła mi odpowiedź, tak że zrobiło mi się gorąco: „Ale nie masz męża, Matylda, więc lepiej się nie wypowiadaj”. No i mnie zatkało. Czego się spodziewałam? Nie wiem. Ale coś było w tym, co powiedziała Gabi. Może nawet miała trochę racji.

Opowiedziałam całą tę historię panu Mirkowi.

– Jak się pani czuje z tym, co powiedziała koleżanka? – zapytał.

– Czuję się świetnie – odpowiedziałam, nie do końca zgodnie z prawdą.

Wydawało mi się, że jestem świetna w jej ukrywaniu. Po co pokazywać komuś emocje? Po co? Człowiek otwiera serce, oddaje wszystko, co ma w sobie najlepsze, a potem BACH i dostaje po łbie. Ja nie chciałam wiecznie obrywać po głowie. Miałam tego dość. Pozytywne myślenie coraz częściej wymagało ode mnie nie lada wysiłku. Chyba zaczęłam wierzyć, że jest przereklamowane.

Pan Mirek spojrzął na mnie badawczym wzrokiem. Jak on to robił? Zawsze wiedział, kiedy próbuję ściemniać. Udaowało mi się oszukać cały świat, wszyscy dookoła byli przekonani, że poradziłam sobie już z rozstaniem, pogrzebałam wszelkie smutki, poprawiłam opadającą mi na czoło koronę i żyłam z wiarą, że najlepsze dopiero przede mną. Tylko on jeden wiedział, że to nieprawda. Zastanawiałam się, czy psychologów uczą tego na studiach, czy może psycholog, do którego chodziłam, obdarzony był wyjątkowym szóstym zmysłem.

– No dobrze, nie będę tego komentował. Piękny czas przed nami. Kupiła już pani prezenty?

– Kupiłam jeden.

– Dla siebie?

Cóż za beznadziejne pytanie. Prezent dla siebie? Co to za prezent, który robimy sobie sami? Wydawało mi się oczywiste, że pan Mirek wie, iż kupiłam prezent dla Kajtka. Jednak dla mojego psychologa nic nie było oczywiste. Dopóki nie upewnił się, że dobrze mnie zrozumiał, wiercił mi w brzuchu dziury dodatkowymi pytaniami. Nie lubiłam tego. Zmuszał mnie do myślenia i wywlekania na wierzch emocji, które postanowiłam zakopać gdzieś głęboko i nigdy do nich nie wracać.

– Kupiłam prezent dla Kajtka.

– Jaki to prezent?

– Klocki Lego.

Usłyszawszy moją odpowiedź, uśmiechnął się pod swoim przydługim wąsem. Dostrzegłam w tym uśmiechu fascynację, potwierdzającą, że nie ma na świecie człowieka, który by nigdy nie marzył o takim prezencie. Nie skomentował jednak mojego zakupu, za to jak rzep psiego ogona przyczepił się do prezentu, który, jego zdaniem, powinnam była sprawić sobie.

– Zwykle nie udzielam rad, bo nie na tym polega moja praca. Wolałbym raczej, aby dochodziła pani do samodzielnych wniosków. Tyle że z tymi samodzielnymi wnioskami ostatnio u nas nie za bardzo. – Cmoknął.

Czy on właśnie mi powiedział, że terapia nie przynosi skutku? Przecież od roku wykonywałam wszystkie jego zadania. Staralam się jak potrafiłam. Nie opuściłam ani jednej sesji. Przyszłam nawet wtedy, gdy Kajtek leżał w domu chory na ospę. Mój entuzjazm

niecو osłabł. Zawsze słabł, gdy ktoś kierował w moją stronę choćby cień krytyki. Wystarczyło powiedzieć cokolwiek, co mogłoby mi sprawić przykrość i nagle BACH – niczym bańka mydlana pękało moje nikłe poczucie własnej wartości. Już miałam coś odparować w subiektywnej obronie siebie samej. Wzięłam głęboki wdech, by to zrobić, ale nauczona przykładem Gabryśki w ostatniej chwili ugryzłam się w język i zapytałam:

– Cóż to za radę ma pan dla mnie?

– Cieszę się, że jest pani ciekawa – odparł.

Trudno, żebym nie była. Ten człowiek miał mi ułatwić życie, a jedyne co robił przez ostatni rok, to jeszcze bardziej je komplikował. Przynajmniej takie odnosiłam wrażenie.

– Niech pani sobie sprawi prezent. Taki, o jakim pani marzy.

– Dość mało oryginalna rada – wypaliłam wcześniej, niż zdążyłam pomyśleć. – Poza tym nie mam marzeń.

– Och, na pewno jakieś pani ma.

– Nie mam żadnych.

– Trzeba się cieszyć z małych rzeczy, pani Matyldo! Czasami wystarczy drobiazg, aby odmienić swoje życie. Skierować je na lepsze tory.

Też mi coś. Cieszyć się z małych rzeczy. Powiedział, co wiedział. Ameryki nie odkrył. Niby z czego miałam się cieszyć? Z tego, że udziela mi rady, abym sobie kupiła prezent? Niby jaki i niby za co? Kostek od pół roku zalegał z alimentami, a mnie przecież nikt w banku nie pytał, czy mam na ratę kredytu. Musiałam na nią mieć. Przekłete franki. Gdybym wzięła kredyt w złotówkach, spałabym spokojnie. Zachciało mi się franków. „Franki-sranki, franki-wypierdzianki” – układałam w myślach rymowanke. Szydzenie z rzeczywistości wychodziło mi całkiem niezłe.

– Pomyśli pani o tym?

– O czym?

– No o prezencie dla siebie.

Co on się tak uparł na ten prezent? Kto o zdrowych zmysłach robi sobie prezenty? Miałam sobie kupić nową parę gaci, zapakować ją w eleganckie pudełko i udawać, że jestem zaskoczona teksturą koronki? Przecież to żenujące. Poza tym ja niczego nie potrzebowałam. Wszystko, co było mi potrzebne do życia, miałam. Absolutne minimum mi wystarczało. Dawno przestałam czytać książki. Ich autorzy jeden przez drugiego ścigali się w udzielaniu rad, jak my, szarzy ludzie, mamy żyć. Kiedyś nawet poszłam na spotkanie autorskie do takiego delikwenta. Odniosłam wrażenie, że jest jeszcze bardziej poturbowany emocjonalnie niż ja, a paplanie o tym, że póki bije serce, to wszystko może się zdarzyć, jakoś mnie nie przekonywało. Mogłabym jeszcze pomyśleć o jakimś nowym dresie, ale stary wydawał się całkiem spoko, więc po co mi prezent. Nikt mi nie mówił, że ładnie pachnę, to perfum też nie potrzebowałam, a świece przestałam palić, odkąd Kajtek wpadł na pomysł, by podczas mojej poobiedniej drzemki podpalić kucykowi Pony – przytargał go dzień wcześniej z przedszkola – kolorowy ogonek. Całe szczęście, że w porę obudził mnie swąd palonych sztucznych włosów, bo mieszkałabym teraz w szałasie.

Rozważałam, jakiej odpowiedzi udzielić panu Mirkowi. Jeśli zgodnej z prawdą, że nie zamierzam nic sobie kupować, będzie mnie przekonywał, że jestem w błędzie i nasza dzisiejsza sesja się przeciągnie, a ja jeszcze miałam tyle do zrobienia, więc wołałam

wyjść w miarę szybko. Natomiast jak odpowiem, że o tym pomyśle, to na następnym spotkaniu będzie mnie wypytywał, co sobie kupiłam i co czułam podczas tej czynności. Wiedziałam, że jak się nie obróć, mój tyłek zawsze pozostanie z tyłu. Pan Mirosław jak zwykle mnie wyczuł.

– No dobrze, niech pani nie odpowiada.

Ufff, odetchnęłam z ulgą. Tym razem mi się upiekło, a przynajmniej tak myślałam.

– Przygotowałam dziś dla pani specjalne zadanie.

Też mi nowość. Wszystko, co dla mnie przygotowywał, miało w sobie coś specjalnego. Nie omieszkalam mu tego powiedzieć.

– Ale to jest wyjątkowe – zapewniał.

Do wyjątkowości swoich zadań przekonywał mnie za każdym razem. Zadziwiające było to, że te zadania faktycznie za każdym razem na swój sposób były niezwykle.

– OK. Co mam zrobić?

Mimo wszystko ufałam mu. Robiłam, co mi kazał. Był moją ostatnią deską ratunku. Chociaż bardzo chciałam, to nie sprawiałam wrażenia osoby, chcącej dokonać w swoim życiu zmian. Może dlatego byłam dla pana Mirosława takim wyzwaniem? Gdzieś w głębi duszy chciałam naprawić swój świat. Do całej palety czerni i szarości dodać trochę porannego blasku słońca, okrasić go odrobiną szczerą radością i wdzięcznością, której nie umiałam okazać niczemu, co w moim pogmatwanym życiu miało miejsce. Byłam to winna mojemu synkowi. Rozwaliłam jego w miarę uporządkowane życie w drobny mak. W imię czego? No właśnie...

Pan Mirosław patrzył teraz na mnie podejrzliwie, a ja bezwiednie skuliłam ramiona, jakbym wstydziała się swoich własnych myśli. Odwróciłam lekko głowę w kierunku okna. Nie umiałam spojrzeć mu w twarz.

– Co miałabym zrobić? – powtórzyłam pytanie, kierując je bardziej w stronę stojącego na parapecie usychającego kaktusa niż w stronę mojego potencjalnego wybawcy z porzuceniowej depresji.

– Proszę wymienić dziesięć dobrodziejstw, które panią spotkały – powiedział to z takim podekscytowaniem, jakby oznajmiał mi, że w sklepie za rogiem jest pięćdziesięcioprocentowa promocja na łososia i nie ma żadnej kolejki.

Zupełnie nie podzielałam jego entuzjazmu. Spojrzałam na niego, przerażona. Cóż to za zadanie? Swoim absurdem mogło konkurować z poszukiwaniem szczęścia w sierocińcu. Co w moim życiu mogło zasługiwać na miano dobrodziejstwa? To, że mojemu dziecku zadawano pytania, dlaczego jesteśmy samotni? Albo to, że mój syn za brata uważał bezmózgiego chomika, a za ojca jeszcze bardziej bezmózgą rybę? Albo może to, że mogłam teraz do woli i bez ograniczeń serfować w sieci w poszukiwaniu miłości, której zawsze tak bardzo pragnęłam? Wiem! Na miano dobrodziejstwa zasługiwał fakt, że nie muszę sobie kupować w prezencie koronkowych gaci, bo i tak nie mam przed kim w nich wystąpić. To był jedyny pozytywny fakt, jaki przychodził mi do głowy. Nie mogłam się jednak nim podzielić z panem Mirosławem, a szkoda. To zadanie wcale nie było wyjątkowe. Było tragiczne i niewykonalne. Skrzyżowałam ręce na klatce piersiowej, skrzywiłam się i odparłam, że nie ma mowy. Nie zrobię tego, i już.

– Który my to dzisiaj mamy? – Zerknął na kalendarz, kompletnie nie zwracając uwagi na mój sprzeciw. – Jedenasty grudnia, poniedziałek – sam udzielił sobie odpowiedzi.

Kiedy grzebał w kalendarzu, zdążyłam mu ze trzy razy powiedzieć, że nie wykonam tego zadania. Zgodziłam się na lekturę kolejnego poradnika o pozytywnym myśleniu (choć szczerze mnie wkurzały, bo jak już wspomniałam, od jakiegoś czasu czytanie książek sprawiało mi ból), mogłam przez tydzień wyobrażać sobie siebie, że jestem starszką i patrzę na swoje dotychczasowe życie jej oczami, i mogłam nawet w nieskończoność słuchać *Dezyderaty*, którą kiedyś mi zadał.

*Przechodź spokojnie przez hałas i pośpiech, i pamiętaj, jaki spokój można znaleźć w ciszy. O ile to możliwe, bez wyrzekania się siebie bądź na dobrej stopie ze wszystkimi...* – te słowa były dla mnie niczym dźwięk ocierającego się o szybę styropianu, ale wołałam je niż wymyślanie dziesięciu dobrodziejstw!

Na nic się zdało moje skomlenie. Pan Mirosław z wrodzonym sobie spokojem przypomniał mi tylko, że wcale mnie o to nie prosi, lecz mi to zleca. Jego wąsy uniosły się ku górze, a wzrok przeszył moje ciało na wskroś. Położyłam uszy po sobie.

– Będzie gotowe na poniedziałek – odparłam.

W duchu byłam na siebie zła za brak asertywności. Choć tak prawdę mówiąc, trenowanie jej na własnym psychoterapeucie chyba nie było zbyt dobrym pomysłem.

– Cieszę się, że się zgadzamy, pani Matyldo. Tyle że, niestety, w przyszły poniedziałek nie mogę się z panią zobaczyć. Idziemy z córką do lekarza. Nawet pani nie wie, jak się cieszę. Fundacja zebrała pieniądze i nasza Zuzia wreszcie stanie się posiadaczką nowoczesnej pompy insulinowej. Bardzo ułatwi jej to życie, no i nam przy okazji.

Zupełnie nie usłyszałam tego, co mi powiedział. Jedyne, co do mnie dotarło z jego wypowiedzi, to że na wykonanie mojego zadania będę miała więcej czasu, bo skoro nie mogliśmy spotkać się w poniedziałek, w następny poniedziałek było Boże Narodzenie, a kolejny oznaczał Nowy Rok, to nasze spotkanie możliwe było dopiero za miesiąc. Odetchnęłam z ulgą po raz drugi. Miałam naprawdę dużo czasu na wymyślenie tych beznadziejnych dobrodziejstw.

– Czyli widzimy się dopiero ósmego stycznia? – zapytałam z błyskiem w oku, który nie sposób było ukryć, i już po cichu zacierałam ręce, że mam labę od myślenia o czymkolwiek przez cały długi miesiąc.

– Nie, nie – zaprzeczył. – Możemy, a nawet musimy, zobaczyć się za dziesięć dni. Będę czekał na panią w piątek, dwudziestego drugiego grudnia. Tuż przed świętami. Przecież nie mogę sobie odmówić przyjemności podzielenia się z panią opłatkiem! To jak, pasuje pani? – Znów uśmiechnął się pod wąsem.

Co on wygaduje? Jakim opłatkiem? Co za przedziwna, nikomu niepotrzebna tradycja. Szczerze jej nie znosiłam, ale jemu przecież nie mogłam odmówić. Bądź co bądź starał się i nie brał za to ani grosza. Do dziś nie wiem, dlaczego był dla mnie taki dobroduszny... Nie mogłam mu odmówić.

– Dobrze, panie Mirosławie. Będę w piątek – zgodziłam się, bo nie miałam innego wyjścia.

– Świetnie! – pochwalił mnie na wyrost. – Upiecze pani dla nas ten swój chleb? Żonie bardzo smakował.

W tym momencie zaczęłam żałować tej chwili słabości, która dopadła mnie jakiś czas temu, kiedy to miałam wyrzuty, że nie płacę mu za terapię.

– Jasne, upiekę – bąknęłam, chociaż pieczenie chleba było drugą w kolejności nie-

chcianych do zrobienia rzeczy, zaraz po tej całej liście doznanych dobrodziejstw.

Nie wiem, czy wszystkie kobiety po rozwodzie tak mają, ale ja miałam tak, że zastanawiałam się, co by było, gdybym przystała na propozycję mojego ówczesnego męża i żyła z nim tylko po to, aby niczego w swoim życiu nie zmieniać. Wolałam inaczej. Wywaliałam swoje życie do góry nogami, czego skutkiem była ta nieszczęsna terapia i te „nieszczęsne” dobrodziejstwa.

Wstałam i sięgnęłam po swój płaszcz. Chciałam jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. Głowa parowała mi od nadmiaru kotłujących się w niej myśli.

– Proszę zauważyć, że od naszego kolejnego spotkania dzieli nas całe dziesięć dni. Jeśli mógłbym coś radzić, to...

– Proszę radzić – zgodziłam się natychmiast. Bo co mi pozostało?

– Proszę odszukać jedno dobrodziejstwo dziennie. W ten sposób rozłóży pani siły na każdy dzień i jak się spotkamy, to... – Urwał w pół słowa.

– To co? – dopytałam, zaciekawiona.

– Sama pani zobaczy, pani Matyldo. Dobrego dnia życzę.

– Dobrego dnia – odpowiedziałam, przyklejając do swojej twarzy teatralny uśmiech.

Kiedy znalazłam się na zewnątrz, odetchnęłam pełną piersią. Na dziś miałam spokój. Chcąc być systematyczną, pierwsze dobrodziejstwo miałam wymyślić dopiero następnego dnia. Na całe szczęście.

\*\*\*

Poranne słońce wbiło się z impetem w okno pokoju, w którym spałam. Nasze mieszkanie składało się z dwóch pokoi, więc nie mogłam sobie pozwolić na urządzenie w jednym z nich sypialni. Chciałam, aby mój syn miał swój własny kawałek podłogi. Taką namiastkę normalności po tym, jak w nienormalny sposób skomplikowałam mu życie. Udało mi się jednak wygrodzić w salonie kącik, w którym ułożyłam materac. Oddzieliłam ten kącik specjalnym parawanem w moim ulubionym zielonym kolorze. Wyglądało to całkiem dobrze i wszyscy, którzy odwiedzali nasze mieszkanie, gratulowali mi pomysowości w zagospodarowywaniu tak małej przestrzeni. Nigdy nie myślałam o sobie w ten sposób, ale tego dnia, który miał być dniem pierwszego dobrodziejstwa, tylko to przyszło mi do głowy. Nic szczególnego, ale musiałam coś zapisać, by nie robić sobie zaległości w ćwiczeniu zleconym specjalnie dla mnie przez pana Mirosława. Wzięłam więc kartkę i długopis i zapisałam pierwsze dobrodziejstwo:

### *1. Mam przytulnie urządzone, dobrze zagospodarowane mieszkanie.*

Odłożyłam długopis i ruszyłam do kuchni, by zaparzyć sobie poranną kawę. Pochwaliłam siebie w myślach słowami: „Nie jest tak źle, wymyśliłaś pierwszy pozytyw, na dziś masz spokój”. Dolałam mleka do kawy i rozsiadłam się w pokoju. Kajtek jeszcze spał, więc miałam czas na oglądanie telewizji. Gapiłam się w nią bez celu, przerzucając kanały. Nie było nic sensownego, na czym można by było skupić uwagę, więc niczym bumerang wracała do mnie myśl o dobrodziejstwie, które zapisałam. Przypomniała mi się cała historia tego mieszkania. Odtwarzałam w myślach każdy kawałek procesu twórczego, jakim niewątpliwie był czas, gdy rodziło się moje małe miejsce na ziemi.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos spikera, informujący o tym, że w małej miejscowości

pod Gdańskiem ktoś z impetem wjechał ciężarówką w stojący na uboczu mały dom. Chwilę później wypowiadała się jego mieszkanka. Płaczliwym, drżącym głosem mówiła, że na szczęście sypialnie jej i jej dzieci usytuowane były w części od podwórza, bo inaczej już nie chodziliby po tym świecie. Dziękowała za szczęście, które ją w tym nieszczęściu spotkało.

Spojrzałam na swoją kartkę z pierwszym wypisanym dobrodziejstwem i zaczęłam się nad nim zastanawiać, porównując sytuację swoją do sytuacji kobiety ujrzonej na ekranie. Rozejrzałam się dookoła i po raz pierwszy uśmiechnęłam się naprawdę szczerze do tego, co mam. Miałam dach nad głową. Dotarło do mnie, iż w każdej chwili może go po prostu nie być. Wystarczy jeden nieszczęśliwy zbieg okoliczności i nie ma co zbierać. Wszystko trzeba zbudować na nowo. Nigdy na swoje mieszkanie nie patrzyłam w ten właśnie sposób.

Resztę dnia spędziłam na sprzątaniu. Usuwałam stopy zalegających po kątach drobiazgów, które odkładałam, bo a nuż-widelec kiedyś się przydadzą. Tego dnia po raz pierwszy od bardzo dawna odniosłam się do zamieszkiwanej przeze mnie przestrzeni z szacunkiem. Mój syn, widząc mnie w tym szale porządków, zapytał:

– Robisz porządki na święta, mamusiu? Babcia wczoraj myła okna.

No tak, święta. Nie bardzo chciałam o nich myśleć. Ale gdy się dłużej zastanowiłam nad zadaniem mi pytaniem, zdziwiłam się nieco odpowiedzią, która padła z moich ust.

– Tak, synku. Robię porządki. Chyba na święta... Tak, robię porządki na święta – powiedziałam wreszcie zdecydowanie.

– To dobrze, bo Mikołaj przychodzi tylko tam, gdzie jest czysto. Pomogę ci, to na pewno coś nam przyniesie.

Dzień minął. Kiedy kładłam się do łóżka, odczuwałam coś w rodzaju wewnętrznego spokoju, że to łóżko mam. Za oknem wszystko pokryte było puchową białą pierzyną. Mróz naprawdę doskwierał tej zimy. Otuliłam się szczelnie kołdrą, poczułam przyjemne ciepło i usnęłam z uczuciem wdzięczności za to, że mam gdzie usypiać.

\*\*\*

Zanim otworzyłam oczy kolejnego dnia, zdążyła mnie dopaść desperacka myśl, że nie wiem, jakie dobrodziejstwo na dziś mam wymyślić. Zrobiłam się głodna. Nieprzyjemne uczucie w brzuchu dało o sobie znać – przypomniałam sobie, że pochłonięta szaleństwem sprzątania, poprzedniego dnia nie zjadłam kolacji. Mój żołądek komunikował mi teraz krytycznym warkotem, że pora coś z tym zrobić. Znów, tak jak poprzedniego dnia, ruszyłam do kuchni, natykając się po drodze na swojego synka, który dla odmiany wstał dziś wcześniej i zajął się kolorowaniem, pozwalając mi się wyspać. Uśmiechnął się do mnie i poprosił o bułeczkę z masłem i pomidorkiem oraz kakao.

Podczas przygotowywania śniadania, naszła mnie refleksja nad tym, co bym zrobiła, gdybym nie miała tej bułeczki, tego masła, tego pomidorka, tego kakao i tak oto wpadłam na pomysł kolejnego dobrodziejstwa. Czym prędzej odłożyłam bułkę, chwyciłam długopis oraz kartkę i napisałam:

*2. Mam co jeść! Mam co dać do jedzenia mojemu synkowi. Mogę nas nakarmić.*

Wróciłam do przygotowywania śniadania. Krojąc pomidora, uśmiechnęłam się odrobi-



nę śmielszym niż poprzedniego dnia uśmiechem. Spojrzałam na syna – pałaszował bułkę z takim apetytem, że zrobiło mi się miło. Z wąsami z kakao wyglądał uroczo i spokojnie. „Jak to dobrze, że mamy co jeść” – pomyślałam.

Nigdy wcześniej nie myślałam o jedzeniu w ten sposób. Zawsze było dla mnie oczywiste, że jem, kiedy mam na to ochotę. A przecież tylu ludzi na świecie głoduje. Tyle matek nie ma możliwości nakarmienia swoich dzieci i zmuszone są patrzeć na ich cierpienie. Jak bardzo musi boleć je serce? Łzy stanęły mi w oczach. Jakaż ja byłam do tej pory niewdzięczna. Jak mogłam nie dostrzegać dobrodziejstwa, jakim niewątpliwie było jedzenie na moim talerzu?

Spojrzałam na TĘ kartkę – w pewien sposób była magiczna.

*1. Mam przytulnie urządzone, dobrze zagospodarowane mieszkanie.*

*2. Mam co jeść! Mam co dać do jedzenia mojemu synkowi. Mogę nas nakarmić.*

„Te dwa fakty zasługują na uznanie” – pomyślałam. Kiedy kładłam się wieczorem do łóżka, towarzyszył mi spokój połączony z cichą ekscytacją, oczekiwaniem, jakie dobrodziejstwo dostrzegę kolejnego dnia. Mój przyzwyczajony do narzekania umysł próbował ze mną walczyć. Szeptał mi do ucha „fakty”, z których nie powinnam się cieszyć. Już trzeci sezon nosiłam ten sam płaszcz, torebka też domagała się wymiany, a Gabryśka nadal omijała mnie szerokim łukiem. Do świąt coraz bliżej i trzeba będzie się dzielić tym opłatkiem. Co ja powiem babci? Że życzę jej zdrowia? Przecież to takie błahe i wyświechtane.

\*\*\*

Był czwartek. Trzeci dzień mojego ćwiczenia. Wstałam wcześniej rano. Miałam na ten dzień zaplanowane badania lekarskie. Całe szczęście, że dyrektorka dała mi ostatnio kilka dni wolnego. Klasy, w których miałam lekcje, wychodziły na wycieczki, do kina. Od dawna prosiłam o wolne, by wykonać zleczone przez moją ginekolog niezbędne okresowe badania. Niby nic takiego, ale po poronieniu, którego doświadczyłam, musiałam być pod opieką lekarza.

Myjąc włosy, zastanawiałam się nad tym, czy wszystko z „tymi sprawami” jest w porządku. Ostrzegano, że mogę mieć w przyszłości problemy z zajściem w ciążę. Na razie o tym nie myślałam, bo jakoś kandydatów na potencjalnych ojców moich potencjalnych dzieci na horyzoncie nie przybywało. Lecz mimo to ten skrawek niepewności wkraść się do mojej głowy, wypełniając ją od rana destrukcyjnymi, fikcyjnymi filmami.

Odprowadziłam Kajtkę do przedszkola i pojechałam do szpitala. Odsiedziałam swoje w kolejkach. Jakżeby inaczej, przecież ja zawsze miałam takie szczęście, że akurat przede mną musiał wylądować desant niemających czasu emerytek. Wszystkie jednym głosem głośno wzdychały, jak to się spieszą do swoich zajęć i nie mogą mnie przepuścić. Usłyszałam: „Muszę pierogi lepić. Tyle do roboty, ta kapusta tak długo się gotuje”, „Bigos to trzeba gotować przez tydzień, aby był smaczny, a jak się go gotuje, to trzeba go przecież pilnować”, „Kiedy wreszcie moja kolej? Fryzjer na mnie czeka”, „Córka przyprowadzi do mnie dzisiaj wnuki. Chce pobiegać po sklepach z zabawkami, aby kupić dzieciakom prezenty. Śpieszę się bardzo”. Słyszając te komentarze, nie miałam odwa-

gi poprosić o przepuszczenie mnie w pierwszej kolejności. Kogo obchodziło to, że obiecałam dziecku lody? Moje dziecko mogło poczekać. Nie wiem, dlaczego uznawałam siebie za kogoś, kto zasługuje na szybszą obsługę. Niby czym różniłam się od tych emerytek? Nie wiem...

Po trzech godzinach spędzonych w szpitalu stanęłam wreszcie na mrozie i mogłam odetchnąć z ulgą. Nie było żadnych niepokojących zmian w macicy. Byłam zdrowa.

Wróciłam do domu, wyciągnęłam moją kartkę dobrodziejstw i dopisałam kolejne do listy:

### *3. Jestem zdrowa. To prawdziwy dar.*

Kiedy leżałam w łóżku i zaczęłam się nad tym zastanawiać, dotarło do mnie, że dar zdrowia jest darem bezcennym. Co by było, gdybym była chora? Kto zająłby się moim dzieckiem? Przecież jego ojciec nie miał na to czasu.

Wstałam i na paluszkach udałam się do pokoju Kajtusia. Spał kamiennym snem. Zdawało mi się nawet, że odrobinę się uśmiechał. Może przez rozwód zafundowałam mu emocjonalne przeprawy, ale teraz robiłam wszystko, by nasze życie wyglądało na tyle stabilnie i normalnie, by moje dziecko mogło się uśmiechać przez sen. Był dopiero trzeci dzień mojego ćwiczenia, a ja po raz trzeci usnęłam z uśmiechem na twarzy. Czyżby terapia wreszcie zaczęła odnosić skutek? Może nie będzie ze mną tak źle? Może jakoś poukładałam moje życie? Jeśli tak dalej pójdzie, to wszystko jest możliwe. Jutro piątek. Chyba pójdę do sklepu, kupić jakieś nowe bombki na choinkę. Kajtek będzie się cieszył. Tak bardzo lubi (w przeciwieństwie do mnie) rytuał przystrajania bożonarodzeniowego drzewka. „Sprawię mu przyjemność” – usnęłam przepełniona tą myślą, przypominając sobie trzy dobrodziejstwa, które mnie spotkały.

\*\*\*

W piątek miałam tylko jedną lekcję, z trzecią A. Skończyłam pracę już o godzinie dziesiątej. Akurat otwierały się wszystkie sklepy. Wychodząc ze szkoły, spotkałam Krysię, naszą panią sprzątającą. Zawołała mnie do siebie, machając przyjaźnie ręką.

– Pani Matyldo, niech no pani zobaczy, co zrobiłam! – mówiła, podekscytowana.

Moim oczom ukazał się piękny aniołek wydziergany na szydełku. Starannie wykrochmalone skrzydełka sterczały z jego drobnych pleców. Obszyte były zieloną nitką. Oczy aniołka wysadzone były niewielkimi kryształkami, a na czubku głowy, do aureoli, przyczepiony był sznureczek.

– Kajtuś powiesi sobie na choince. To dla was, moi kochani. Niech ten anioł was strzeże – powiedziała pani Krysia.

Gdy wręczała mi ten prezent, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jest z siebie nad wyraz dumna. Skąd wiedziała, że lubię anioły? To znaczy, że kiedyś je lubiłam. Miałam ich naprawdę potężną kolekcję. Cała została w mieszkaniu mojego byłego męża, a potem prawdopodobnie zasiliła szeregi blokowego śmietnika. Tak naprawdę nigdy nie upomniałam się o nie. Bo po co? Symbole przestały mieć dla mnie znaczenie.

Trzymałam w dłoniach prezent i przypominałam sobie dawną siebie. Kiedyś przepełniała mnie ufność... a dziś? Dziś na każdym kroku doszukiwałam się spisku. Tak naprawdę nie pozwalałam sobie na spontaniczną radość. Podziękowałam, oczywiście,

pani Krysi. Włożona w przygotowanie prezentu praca zasługiwała na pochwałę, tak też uczyniłam, żegnając się i życząc jej dobrych, wesołych świąt.

Gdy opuściłam budynek szkoły, naszała mnie kolejna refleksja. Co by było, gdyby zabrakło takich przyjaznych gestów w moim życiu? Tak naprawdę otrzymywałam ich całe mnóstwo. Ludzie chcieli mi pomagać, wspierali mnie duchowo, czego przykładem była właśnie pani Krysia. Przypomniałam sobie, że wzięłam ze sobą magiczną kartkę. Wygrzebałam ją z wysłużonej torebki i podkładając pod spód kalendarz nauczyciela, dopisałam szybko czwarty punkt do listy, która teraz wyglądała tak:

- 1. Mam przytulnie urządzone, dobrze zagospodarowane mieszkanie.*
- 2. Mam co jeść! Mam co dać do jedzenia mojemu synkowi. Mogę nas nakarmić.*
- 3. Jestem zdrowa. To prawdziwy dar.*
- 4. Mam blisko siebie żywe anioły. To one są dla mnie życziwe każdego dnia.*

Przez resztę przedpołudnia spacerowałam po sklepach. Kupiłam dwa komplety nowych kolorowych, okrągłych bombek i jeden komplet bombek w kształcie aniołków. Nie chciałam, by prezent od pani Krysi wisiał samotnie. Potem usiadłam w kawiarni i po raz pierwszy od bardzo dawna napiłam się kawy w miejscu, do którego podobno powinno się przychodzić z kimś. Rozglądałam się dookoła, oswajając się ze swoim stanem cywilnym. Trzeba było wreszcie pogodzić się z faktem, że jestem rozwódką (bardzo nie lubiłam tego słowa). No, ale... jak inaczej miałam siebie nazwać?

\*\*\*

Doczekałam się weekendu. Lubiłam ten czas. Szczerze mówiąc, przez cały tydzień czekałam na weekend, kiedy wreszcie będę się mogła ukryć przed twarzami ludzi żądnych sensacji. Po rozwodzie byłam na językach. Oceniano moje życie, oceniano moje postępowanie, a ja... tak bardzo się tym wszystkim przejmowałam, że czasami nie dawałam rady. Wmawiałam sobie, że przecież nic mnie nie obchodzi, co ktoś o mnie myśli, a w głębi serca rozbijałam na części pierwsze każdą zasłyszaną na swój temat plotkę. Nie wiem, po co to robiłam, ale cóż... tak było. Kiedy nadchodził weekend, zrzucałam maskę uśmiechu i stawałam się sobą. Nie musiałam nikomu tłumaczyć, że wszystko u mnie super (kiedy wcale nie było super), nie musiałam się kryć po kątach z tym, że uwielbiam pączki (w pracy nie wypadało ich jeść, bo panowała tam moda na wszystko bez glutenu, więc bałam się jeszcze większego wyalienowania). Mogłam cały dzień chodzić w piżamie, oglądać z synem kreskówki i trwonić beczynnie tak cenny czas, na którym wcale wtedy mi nie zależało.

Kajtek tej nocy przyszedł do mojego łóżka. Rankiem obudziły mnie jego buziaki. Całował moje czoło, oczy, nos, włosy, głowę, uszy – wszystko po kolei. Nauczył się tego ode mnie. Ja tak zawsze robiłam, mówiąc do niego, że właśnie robię mu „miłość matki”. On teraz robił to samo, z tym że nazwał to „miłością synka”. Rozczulił mnie. Babcia zawsze mi powtarzała, że w naszych dzieciach widzimy siebie. Patrząc na Kajtka, widziałam chodzące dobro i wrażliwość. Czyżbym to była ja? Nie... to niemożliwe. Babcia musiała się pomylić. Ja byłam zepsutą rozwódką, która spaprała sobie życie – wtedy tak o sobie myślałam.

Wstaliśmy, zjedliśmy śniadanie i tradycyjnie, pozostając w piżamach, zabraliśmy się za przystrajanie choinki. Była niewielka, sztuczna, ale bardzo ładna. Kiedy pokazałam Kajtkowi, co kupiłam poprzedniego dnia, mój synek aż zapiszczał z radości. W mig rozpakował błyskotki, nakreślając mi cały konstrukcyjny plan przyozdobienia naszej choinki. Każdy aniołek, zanim zawisnął na drzewku, został przez Kajtka ucałowany i pogłaskany po główce. Całe szczęście, że kupiłam plastikowe bombki (na inne, tak czy siak, nie było mnie stać), bo wszystkie bez wyjątku obdarował swoją miłością, tuląc je do siebie z całej małej mocy, jaką posiadał. Ogromnie się cieszył.

– Mamusiu, mówiłaś, że nie mamy pieniędzy, a kupiłaś te wszystkie ozdoby. Jesteś wspaniała. Jesteśmy bogaci, jesteśmy bogaci, mamy choinkę, mamy bombki, jesteśmy bogaci! – krzyczał, tańczył, śpiewał, cieszył się prawdziwą, niczym nieskażoną radością.

Jak ja mogłam tego nie zauważyć? Cały czas narzekałam na brak pieniędzy. Ciągłe było mi ich mało. Nie potrafiłam się cieszyć z tego, co mam. Przecież tak naprawdę nie było tak źle. Nie żyliśmy w luksusie, ale stać nas było na w miarę normalne życie. Miałam na opłaty, miałam na jedzenie, miałam na ubrania dla syna i miałam na to, aby od czasu do czasu pozwolić sobie na drobne szaleństwo i kupić na przykład bombki. Mój syn dostrzegł to dobrodziejstwo już dawno, ja – dopiero dziś. Chwyciłam za magiczną kartkę i dopisałam:

### *5. Mam pieniądze! Mam wystarczającą ilość pieniędzy, aby żyć spokojnie.*

Zrobiłam nawet więcej. Sięgnęłam po notes, którego używałam do robienia list zakupów, wyrwałam z niego małą różową karteczkę i napisałam na niej: „Dziękuję za wszystkie pieniądze, jakie kiedykolwiek otrzymałam w moim życiu”. Wsadziłam tę karteczkę do swojego portfela. Zaczęłam myśleć o tym, jak do tej pory toczyło się moje życie pod względem finansowym i dostrzegłam, że tak naprawdę nigdy nie brakowało mi pieniędzy. Nigdy, przenigdy nie było takiego momentu, abym nie miała absolutnie nic. Zawsze miałam przynajmniej na zaspokojenie podstawowych potrzeb. Dlaczego więc nigdy nie byłam za to wdzięczna? Zrobiło mi się wstyd. Musiałam nalać sobie do szklanki zimnej wody i wypić ją duszkiem.

Przez całą sobotę nie zmieniliśmy piżam na ubrania. Po zakończeniu przystrajania choinki odgrzaliśmy sobie pierogi ruskie, które podarowała nam moja babcia. Zjedliśmy ze smakiem. Później zagraliśmy w warcaby. Byłam ja i on – mój mały synek. Mój cały świat zamknięty w tym drobnym ciałku – mój nauczyciel życia.

Kiedy kładłam się spać, uświadomiłam sobie, że byłam już w połowie zadania, które zlecił mi pan Mirek. Kazał mi zapisywać jedno dobrodziejstwo dziennie i wtedy wydało mi się to heroicznym wyczynem. Stało się jednak tak, że nieoczekiwanie tych dobrodziejstw zaczęłam dostrzegać więcej. Zaczynało do mnie docierać, że nie muszę kontrolować wszystkiego, nie muszę desperacko i kurczowo trzymać się planów, bo wszechświat ma swój plan na moje życie i tylko powinnam się temu poddać. Opuścić potrzebę kontrolowania i zaufać naturalnemu biegowi życia. Jak do tej pory wszystko, co złe, zamieniało się w moim życiu na dobre. Dlaczego więc dzisiejsze wyimaginowane „zło” nie miałyby mnie doprowadzić do beztroskich miejsc? Czyżby moja mapa życia zaczynała przybierać teren górzysty? Czyżby nadchodził czas powolnego wychodzenia z dolin? Naprawdę tak niewiele trzeba? Naprawdę zmiana sposobu myślenia jest tym klu-

czem do spokoju, którego całe życie poszukiwałam? Jeśli tak jest, to przecież mogę żyć inaczej. Mogę przestać się zadręczać i spróbować przeprogramować swój umysł na pozytywne, wspierające mnie vibracje.

Usnęłam z uśmiechem na ustach, wsłuchując się w swój własny oddech. Moje serce było równomiernym tempem, nieśmiało dając znak, iż rodzi się w nim nadzieja.

\*\*\*

Niedziela nie była dniem, który lubiłam jakoś szczególnie. Kojarzyła mi się tylko z tym, że następnego dnia muszę iść do pracy. Kiedyś miałam różne marzenia. Jednym z nich było to, aby zostać nauczycielką. Miałam poczucie misji, chciałam zmieniać świat, zaszczipiając w młodych ludziach miłość do języka obcego. Chciałam uczyć ich porozumiewania się w obcej mowie, bo wierzyłam, że taka umiejętność może poszerzyć ich horyzonty. „Będziecie mogli poznawać ludzi innych kultur” – mówiłam. Nie docierało do mnie, że ludzie są różni i nie wszystkim chce się owe horyzonty poszerzać. W końcu przestało mi zależeć. Jakoś straciłam zapał do pracy. Chodziłam tam, robiłam swoje i wracałam do własnego życia, które od pewnego czasu przypominało stagnację.

Ostatnie pięć dni dało mi do myślenia. Kiedy piłam poranną kawę, zaczęłam się zastanawiać nad szóstym dobrodziejstwem. Pomyślałam o mojej pracy. Dlaczego mając tak niewiele lat stażu, czułam się wypalona i pozbawiona wszelkiej energii? Dlaczego nie potrafiłam cieszyć się tym, że tę pracę miałam. W zamian za to tylko narzekam. Nie musiałam przesiadywać za biurkiem przez bite osiem godzin, często mogłam pracować w domu. Ułatwiało mi to życie, ponieważ nie musiałam za każdym razem przerzucać Kajtka z miejsca na miejsce. Sprawdziałam klasówki, kiedy moje dziecko siedziało obok mnie. Może powinnam być za to wdzięczna? Może powinnam odzyskać wiarę w to, że moja praca ma sens?

Wzięłam do ręki moją magiczną kartkę i dopisałam kolejne dobrodziejstwo:

## *6. Mam pracę. Nie jestem bezrobotna.*

Pomyślałam, że jutro pójdę do szkoły uśmiechnięta. Do świąt zostało kilka dni. Każdy myślał i rozmawiał tylko o nich. Jeszcze tydzień temu denerwowały mnie te wszystkie dyskusje o prezentach, pierogach i czerwonym barszczu. Postanowiłam to zmienić. „Może i ja ugotuję ten czerwony barszcz?” – pomyślałam niepewnie, zadziwiając samą siebie.

\*\*\*

W poniedziałek wstałam nieco wcześniej. Idąc do kuchni, dziękowałam za moje przytulne mieszkanie (przecież mogłabym go nie mieć). Zjadłam śniadanie (pełna wdzięczności, że mam co jeść). Podziękowałam za dar zdrowia, uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze. Kiedy moje oczy spoczęły na bożonarodzeniowym drzewku, uwagę przykuł aniołek od pani Krysi. Zrobiło mi się miło. Pomyślałam, że może jednak umieściłabym pod choinką coś dla siebie? Gdybym była dla siebie miłsza, chyba żyłoby mi się ze sobą łatwiej. Może powinnam zacząć traktować siebie z szacunkiem? Kiedyś pan Mirosław zadał mi pytanie, czy słów, które używam w stosunku do siebie samej, użyłabym w stosunku do przyjaciółki. Pamiętam, jak się oburzyłam. Nie rozumiałam analo-

gii, odparłam mu dość niegrzecznie: „Co ma piernik do wiatraka?”. Teraz zastanawiałam się, czy może jednak ten piernik z tym wiatrakiem mają coś wspólnego. Od kilku dni wyszukiwałam dobrodziejstw własnego życia i gdzieś między jednym a drugim mimo woli stawałam się dla siebie miłsza, co zaowocowało lepszym samopoczuciem. Zauważyłam też, że nie narzekam na niedoskonałości swojego ciała. Nagle jakoś przestałam się na tym skupiać. Nie hipnotyzowałam wzrokiem rzekomo za grubych ud i nie rozczulałam się nad wielkością moich piersi. Chyba powinnam być wdzięczna za to, że moje ciało każdego dnia nosi moją zbuntowaną duszę. Nosi mnie. Dopisałam siódme dobrodziejstwo:

## 7. Mam ładne ciało.

Nie wierzyłam własnym oczom, wpatrując się w moją magiczną listę. Przypomniały mi się dni, kiedy narzekałam na swoje odbicie w lustrze. Jak mogłam być taka krytyczna? Jak mogłam oceniać swoje nogi, podczas gdy tylu ludzi ich po prostu nie ma... Powinnam się cieszyć, że mogę biegać, chodzić po schodach i przenosić się z miejsca na miejsce o własnych siłach. Moje ręce mogą dotykać świata, a ramiona mogą tulić własne dziecko.

Po moim policzku spłynęła łza. Lód otaczający od jakiegoś czasu moje serce zaczynał topnieć. Zaczynałam się zmieniać... a może zaczynałam być taka jak kiedyś? Przed rozwodem?

W drzwiach łazienki stanął Kajtuś.

– Dlaczego płaczesz, mamusiu? Ktoś ci sprawił przykrość? – zapytał.

– Nie, kochanie. Płaczę, ponieważ zaczyna do mnie docierać, jak wiele dobrego mnie spotkało.

– Nic nie rozumiem... Jak jest dobrze, to dlaczego płaczesz?

No właśnie... Jak jest dobrze, to dlaczego płaczesz? Takie proste, a tak trudno na to wpaść. Płakałam ze szczęścia. Moje łzy pierwszy raz od dawna nie były łzami żalu, lecz były łzami akceptacji i radości. Mój mały synek był taki mądry. „Jak to dobrze, że go mam” – pomyślałam.

\*\*\*

Poszłam do pracy spokojna. Zrobiłam to, co do mnie należy, z najwyższą starannością i uśmiechem. Pamiętałam o tym, że moja praca jest moim dobrodziejstwem.

Do pokoju nauczycielskiego weszła Gabrysia. Rzuciła w moim kierunku ostre spojrzenie i odwróciła się do mnie plecami. Pomyślałam, że jeśli teraz się z nią nie pogodzę, to gotowa się na mnie gniewać do przyszłego roku. Podeszłam do niej i przemówiłam z zaskakującym dla siebie samej spokojem:

– Gabrysiu, chcę cię przeprosić. Miałaś rację, nie powinnam oceniać twojego postępowania. Mam nadzieję, że świecekci spodobają się twojemu mężowi.

Moja koleżanka otworzyła oczy ze zdziwienia. Wyglądała teraz tak, jakby zamiast mnie stała przed nią sama Edyta Górniak i śpiewała tylko dla niej piosenkę *To nie ja byłam Ewą*. Kiedy już ocknęła się ze zdumienia, przyznała mi się, że ta świeczka to było jedyne, na co było ją stać. Ciułali z mężem każdy grosz, żeby odłożyć na kolejne zapłodnienie in vitro, bo Gabrysia miała problemy z zejściem w ciążę, a bardzo pragnęli

mieć dzieci. Kiedy mi się zwierzała, dotarło do mnie, że nie mam żadnego prawa oceniać innych ludzi i że nic nigdy nie jest takie, jakim nam się wydaje. Zanim więc zaczęliśmy używać siły słowa, powinniśmy się nad tym słowem zastanowić. Niby prosta prawda, ale czasami działamy bez namysłu i wtedy łatwo kogoś zranić.

Kiedy rozwiodłam się z moim mężem, nie mogłam przestać obwiniać go o to, że tak potoczyło się moje życie. Wepchnął mnie w ramiona innego, sam zachłysnął się szczęściem w ramionach innej. Oboje byliśmy winni... Rozkładałam na czynniki pierwsze nasze nieudane małżeństwo, doszukując się w nim wszystkiego, co mogłabym zmienić. Zastanawiałam się, co by było, gdybym postąpiła inaczej, gdybym nie uwikłała się w romans, nie pozwoliła innej kobiecie na kontakt z moim mężem. Może dziś byłibyśmy razem? Może powinnam bardziej zawalczyć? Może wtedy Kajtek byłby szczęśliwszy?

Tylko czy to nieszczęście, które widziałam dookoła, było nieszczęściem prawdziwym, czy tylko takim, które sama stworzyłam w swojej głowie? Przecież czasu nie cofnę, a bądź co bądź dzięki temu związkowi miałam Kajtka. Jak mogłam tego nie dostrzec? Gabrysia oddałaby wiele za możliwość posiadania dziecka, a ja... zamiast cieszyć się z tego, że je mam, rozbijam na czynniki pierwsze to, że zmarnowałam mu dzieciństwo. A może to właśnie ja, przez te moje narzekania, mu to dzieciństwo komplikowałam? Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że gdybym została z ojcem Kajtka, mogłabym zmarnować mu również wczesne lata młodości. Czy mój dorastający syn miałby taki wspaniały przykład, gdyby zmuszony był patrzeć na dwoje nieszczęśliwych, niekochających się ludzi? No właśnie...

Był wtorek, a na mojej magicznej kartce pojawił się kolejny, ósmy punkt. Moje ósme dobrodziejstwo:

### *8. Dzięki mojemu nieudanemu małżeństwu mam udane, wspaniałe dziecko.*

Dzieci są prawdziwym darem. Uczą nas patrzenia na świat w sposób prosty i nieudziwniony. Jednocześnie poniekąd stają się naszym odbiciem. Nie chciałam, aby mój wesoły Kajtek stał się zgorzkniały jak ja. Nie miałam nawet trzydziestu lat, a zachowywałam się jak stara baba. Nie chciałam być taka. Nie chciałam nie lubić świąt i nie chciałam nie akceptować tradycji dzielenia się opłatkiem. Sama dobrowolnie pozbawiałam się radości życia.

Wtorkowego wieczoru, tuż przed snem, czytałam dobrodziejstwa wypisane na mojej magicznej kartce. W piątek miałam spotkać się z panem Mirkiem. Obiecałam upiec chleb dla jego żony. Uśmiechnęłam się na myśl o tej czynności. Kiedyś piekłam chleb co drugi dzień, a teraz robiłam to tylko wtedy, kiedy ktoś mnie o to poprosił. Zamknęłam oczy i próbując wyobrazić sobie zapach świeżego bochenka, usnęłam.

\*\*\*

Zostały tylko dwa dni do spotkania z moim psychologiem. Tydzień z dobrodziejstwami wpłynął na mnie bardzo pozytywnie. Oddawałam się refleksji nad własnym życiem, szukałam przebaczenia w sobie. Zaczynało do mnie docierać, że zmiany zaczynają się ode mnie. Nie miałam przecież wpływu na to, co myślą i robią inni, ale miałam wpływ na to, co myślę i robię ja. W środę i czwartek dopisałam kolejne dobrodziejstwa do mo-



jej listy:

1. *Mam przytulnie urządzone, dobrze zagospodarowane mieszkanie.*
2. *Mam co jeść! Mam co dać do jedzenia mojemu synkowi. Mogę nas nakarmić.*
3. *Jestem zdrowa. To prawdziwy dar.*
4. *Mam blisko siebie żywe anioły. To one są dla mnie życziwe każdego dnia.*
5. *Mam pieniądze! Mam wystarczającą ilość pieniędzy, aby żyć spokojnie.*
6. *Mam pracę. Nie jestem bezrobotna.*
7. *Mam ładne ciało.*
8. *Dzięki mojemu nieudanemu małżeństwu mam udane, wspaniałe dziecko.*
9. *Dzięki przeżytemu romansowi wiem, co to znaczy naprawdę kochać.*
10. *Poznałam fajnego chłopaka. Ma na imię Tomasz i mam ochotę się z nim spotkać.*

Jan pokazał mi, jak może być między dwojgiem ludzi. Nie znałam nigdy takiego uczucia tęsknoty, jakiego zaznałam dzięki relacji z nim. Byliśmy jak rozbitkowie na wyspie miłości, zapatrzeni w siebie, niedbający o jutro, potrafiłszy cieszyć się byciem tu i teraz. Gdzie się podziało to korzystanie z każdego dnia? Przecież moje życie toczyło się dalej. Może powinnam wyciągnąć wnioski z tego romansu, cieszyć się tym, co było dobre, a nie rozpaczać, że nie udało nam się w prawdziwym życiu? Wybaczyłam Janowi. Chciałam mu wybaczyć. Tylko w ten sposób mogłam uzdrowić siebie. Nie żywiąc do niego urazy, zrobiło mi się lżej na sercu. Pomyślałam, że życzę mu jak najlepiej. Oby odnalazł spokój przy swojej żonie. Przecież mi z tego powodu nie ubędzie. Zrozumiałam, że już nigdy nie zgodzę się na bycie tą drugą. Nabrałam do siebie większego szacunku. Nauczyłam się czegoś i sam ten fakt, zasługiwał na uwagę.

Wieczorami przesiadywałam na portalu internetowym, mającym na celu łączenie ludzi poszukujących drugiej połówki jabłka. Między jedną a drugą ofertą seksualną znalazłam list od niego... Jego nick brzmiał „Prawdziwy”. Spodobało mi się to, co do mnie napisał. Nie było to nic nadzwyczajnego, bez podtekstów erotycznych czy nachalnego nagabywania. Odpisałam mu i tak nawiązała się nasza znajomość. Nie wiedziałam, dokąd mnie zaprowadzi, ale postanowiłam dać sobie szansę. Spróbować żyć inaczej. Miał na imię Tomasz i był inżynierem budowlanym. Na tym etapie nie było mowy o budowaniu czegoś wspólnie, ale może kiedyś? Kto wie? Stąd to dziesiąte dobrodziejstwo. Wybaczyłam sobie i postanowiłam iść dalej. Otrzeptałam brudne od piasku kolana. Zbyt długo klęczałam, utyskując nad zmarnowanym czasem. Trzeba było wstać i wreszcie zacząć żyć. Zamiast umierać za życia, postanowiłam sobie przebaczyć i... to było najlepsze, co mogłam sobie w te święta ofiarować.

\*\*\*

– Jak tam nasze dobrodziejstwa? – zapytał mnie pan Mirosław podczas naszego piątkowego spotkania.

Podaliśmy mu swoją listę. Od razu zabrał się do czytania. Wyraz jego twarzy zmieniał się z sekundy na sekundę, a ja czułam się, jakbym siedziała przed nim zupełnie naga. Jeszcze nigdy przed nikim się tak nie otworzyłam. Żadne z ćwiczeń zadanych mi przez

mojego psychologa nie posiadało tak magicznej mocy, jak ćwiczenie dziesięciu dobrodziejstw. Miałam wrażenie, że te dziesięć dni zmieniło mnie w innego człowieka. Nie byłam już zrzedzającą Matyldą. Była we mnie cisza, spokój i pokora wobec tego, co mnie spotkało. Nic nie dzieje się przypadkiem. Widocznie tak miało być. Nosłam w sobie jeszcze wiele pokładów smutku, ale zdecydowałam się zawalczyć o siebie i o swoje lepsze jutro.

– Jestem z pani zadowolony – pochwalił mnie. – Co to za Tomasz?

Czułam, że usłyszę to pytanie. Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Poznaliśmy się jakiś czas temu przez internet. Zainstalowałam sobie stałe łącze.

– Widzieliście się już?

– Jeszcze nie.

– Może warto?

– Może?

– Wszystko, co się wydarzyło, jest dla pani lekcją życia.

– Teraz to wiem.

Nasza przedświąteczna sesja była luźną rozmową o życiu. Już nie narzekałam i nie doszukiwałam się we wszystkim zła. Nie obwinałam nikogo i równocześnie starałam się na siebie patrzeć z większym dystansem. Podarowałam panu Mirkowi chleb, który z radością upiekłam, zapytałam o zdrowie jego córki. Ucieszył się, chwalać mnie, że zaczynam dostrzegać to, co się dookoła mnie dzieje.

– Pani Matyldo, a jak tam pani prezent? Kupiła coś pani dla siebie?

Uśmiechnęłam się promiennie.

– Kupiłam.

– Cóż to takiego? Może mi to pani zdradzić?

– Owszem. To pamiętnik, panie Mirosławie.

– O proszę! – zdziwił się. – Dość oryginalnie. Będzie pani pisać?

– Taki mam zamiar. Przynajmniej trzy razy w tygodniu będę zapisywać w nim dziesięć dobrodziejstw, które mnie spotkały.

– To wspaniale! Doskonały pomysł. To ćwiczenie ma naprawdę terapeutyczną moc.

– Wiem, zdążyłam się o tym przekonać. Dziękuję.

Na zakończenie spotkania podzieliliśmy się opłatkiem. Nie czułam już złości i skrępowania. Cieszyłam się na te święta. Miałam spędzić je z synkiem, babcią i dziadkiem. Miała przyjść też moja mama. W pierwszy dzień świąt umówiłam się z Tomaszem. Miał do mnie przyjechać specjalnie ze Szczecina. Kto wie, może coś z tego będzie? Cieszyłam się na ten czas. Czas magii, przebaczenia i miłości.

*Matylda*

## Joanna Jax



(właśc. Joanna Jakubczak) – urodziła się i mieszka w Olsztynie. Absolwentka Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Na co dzień związana zawodowo z dużą korporacją finansową. Współpracuje również z firmą produkującą trawę z rolki. Oprócz pisania powieści maluje na szkle unikatową techniką warstwową, pasjonuje się literaturą biograficzną, grafiką i zajmuje się copywritingiem. Zadebiutowała w 2014 roku *Dziedzictwem von Becków*, które zachwyciło zarówno recenzentów, jak i czytelników. Kolejne powieści: *Długa droga do domu* (2015) i *Piętno von Becków* (2016) również zostały entuzjastycznie przyjęte i ugruntowały status Joanny Jax jako pisarki. Głosem czytelników wybrana jako finalistka Festiwalu Pióro i Pazur na najbardziej wzruszającą powieść roku 2014. Laureatka Wawrzynu – Literackiej Nagrody Warmii i Mazur za rok 2016 (nagroda czytelników). Miłośnicy jej twórczości z radością przyjęli wiadomość, że autorka tworzy nowy cykl powieściowy – *Zemsta i przebaczenie* – którego kolejny tom (*Bezkres nadziei*) ukaże się już niebawem.

## Joanna Jax. *Panna śliczna*

Niebo nad Londynem pokryło się grubymi, ciemnymi chmurami, siła porywistego wiatru wzrastała z minuty na minutę, a zacinający deszcz ze śniegiem sprawił, że poranek zaczął przypominać ponury wieczór.

Kaja zatrzymała się na chwilę na chodniku, postawiła kołnierz płaszcza, naciągnęła mocniej czapkę i z niepokojem spojrzała w górę. Synoptycy zapowiadali co prawda załamanie pogody, ale nie sądziła, że będzie aż tak parszywie. Miała jednak nadzieję, iż aura nie zakłóci jej powrotu do domu. Nazajutrz była Wigilia, a jej przepastna walizka wypchana była prezentami dla najbliższych. Ostatni raz widziała ich pół roku temu, bo oszczędzała każdego pensa, by mogła w końcu wrócić na stałe do Polski. Jak oszalała tęskniła za dziećmi, ale uparła się, że jej rodzina nie straci dachu nad głową. Postanowiła, że spłaci długi, wyjdzie na prostą i będzie mogła żyć normalnie.

Jej mąż, Marek, sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, hołdując swojej świętej zasadzie „jakoś to będzie”. Tak, w jej małżeństwie nie działało się dobrze. Marek wciąż nie wyrósł z roli wiecznego chłopca, który liczy na łut szczęścia. Dlatego więc, gdy podjęła decyzję o wyjeździe, w ich domu wybuchła karczemna awantura. Być może to ona panikowała za bardzo, ale dobijał ją fakt, iż jej mążonek podchodzi do całej sprawy ze stoickim spokojem. Przez chwilę miała nadzieję, że w sytuacji, w jakiej się znaleźli, to on wyjedzie, by podjąć w Londynie nieco popłatniejszą, chociaż fizyczną pracę, co dla humanisty mogło stanowić nie lada wyzwanie, jednak odmówił dość stanowczo. Ona także skończyła wyższe studia, tylko co z tego, jeśli w swoim zawodzie bibliotekarza nie przepracowała ani jednego dnia. Po studiach, gdy okazało się, że znalezienie pracy stanowi ogromny problem, postanowili otworzyć swój biznes. Była to niewielka agencja reklamowa, obsługująca małych przedsiębiorców, ale z czasem okazało się, że albo nie mają do tego smykałki, albo rynek im nie sprzyjał, bo ich interes po prostu upadł, wpędzając ich w finansową czarną dziurę. Tak czy owak, pozostali z długami, kredytem hipotecznym i perspektywą objęcia stanowisk kasjerów w supermarkecie. Sama praca na kasie nie była dla Kai poniżająca czy odstręczająca, ale zarobki, jakie tam proponowano, mogłyby wystarczyć jedynie na przeżycie, a zobowiązania nadal by pozostały. W tym najważniejsze – kredyt, za który kupili swoje niewielkie mieszanko.

Postanowiła jednak nie rozpamiętywać tych dramatycznych chwil. Pracowała po dwaście godzin na dobę, sprzątając restaurację, myjąc naczynia i wykonując inne podłe czynności. Mieszkała w norze wraz z kilkoma innymi rodakami i odmawiała sobie niemal wszystkiego. Jednak jej pensja po przeliczeniu na złotówki pozwoliła spłacać długi, raty kredytu i zapewnić rodzinie wsparcie. Marek zaś dostał pracę w szkole i wychodził z głębokiego dołka, chociaż bardzo powoli. Teraz jednak zbliżały się święta, magiczny czas, który spędzi z rodziną, i postanowiła, że wyda trochę pieniędzy, by sprawić dzieciom, mężowi i rodzicom piękne prezenty. Może pragnęła także uspokoić dręczące ją wyrzuty sumienia, bo przecież powinna być przy swoich dzieciach i mężu, a nie błąkać się po świecie.

Zapewne nikt nie zastanawiał się, jak bardzo czuła się tutaj samotnie i obco, z dala od domu i swoich bliskich. Pewnie nikt nie myślał, że bywały chwile, gdy stała na progu załamania nerwowego, przeklinając biedę i swoją przeciętność, która nie pozwalała jej

żyć jak ci, którzy swoim sprytem i charyzmą podbijali świat. Rozpaczliwie tęskniła za córkami, ale miała świadomość, że dom to także cztery ściany, stół, przy którym siadali we czworo, i własny pokój dziewczynek, który stanowił ich azyl i dawał poczucie stabilizacji.

Wysiadła z autobusu nieopodal lotniska i podążyła w kierunku hali odlotów. Nie miała złych przeczuć, była przekonana, że kłębiący się tłum jest zjawiskiem normalnym w okresie przedświątecznym. Mina jej jednak zrzedła, gdy dostrzegła na jednej z tablic świetlnych czerwone, bijące po oczach napisy „lot odwołany”. Pociągnęła walizkę w kierunku swojego stanowiska odpraw, podała młodej kobiecie bilet i wtedy usłyszała:

– Odprawię panią, ale nie zanoszę na to, żeby szybko wznowili loty...

– Do Warszawy też? – zapytała naiwnie Kaja.

– To u nas jest problem, a nie w Warszawie. Nie widzi pani, co się dzieje? Ludzie czekają już kilka godzin na swoje rejsy, ale pogoda zamiast się poprawiać, jedynie się pogarsza. – Kobieta podała Kai jej dokumenty.

– I co teraz? Chyba linie lotnicze muszą zapewnić jakiś zastępczy transport? – jęknęła Kaja.

– Proszę pani, jeśli loty są odwołane z przyczyn niezawinionych przez linie lotnicze, wówczas jedyny obowiązek, jaki ma przewoźnik, to zapewnić pasażerom posiłek i ewentualnie nocleg dla wybranych, ale obawiam się, że tutaj jest kilka tysięcy ludzi i zanim otrzyma pani kanapkę czy koc, może upłynąć wiele godzin. – Kobieta uśmiechnęła się sztucznie i dodała: – Proponuję poszukać innego rozwiązania albo wrócić do domu. Na razie wstrzymaliśmy nawet przyjmowanie bagaży. Podadzą komunikat, kiedy wznowimy, ale niech mi pani wierzy, wtedy zacznie się piekło.

– Poczekam... – mruknęła Kaja i zaczęła przepychać się wraz ze swoją walizką do poczekalni w pobliżu Starbukcsa. Pomyślała, że jeśli przyjdzie jej czekać zbyt długo, chociaż napije się kawy.

Dotarwszy na miejsce, stwierdziła jednak, że nie ma szans ani na znalezienie miejsca do siedzenia, ani dopchania się do kawiarni. Przeszła pod jedną ze ścian, położyła walizkę i usiadła na niej, z przerażeniem wpatrując się w tłum czekających na swój lot osób, które jak ona chciały spędzić święta z bliskimi.

Nagle poczuła obok siebie intensywny zapach perfum i powiodła wzrokiem w kierunku osoby, która go roztaczała. Tak, zapewne owa luksusowa woń pochodziła od stojącej nieopodal kobiety, która nerwowo stukała w posadzkę niebotycznie wysokim obcasem. Buty także były luksusowe i wyglądały na niemal nowe. Kaja pomyślała, że są piękne i zapewne cholernie drogie, ponieważ nie sprawiały wrażenia, jakby pochodziły z Primarka. Dumnie prezentowały na kostce połyskującą blaszkę z nazwą marki, o której Kaja nigdy w życiu nie słyszała, ale zapewne nie należała ona do tanich sieciówek. Gianmarco Lorenzi. Już sama nazwa wprawiała w zachwyt. Powiodła wzrokiem w górę. Torebka Chanel, wypielęgnowane paznokcie, złoty zegarek na przegubie dłoni i szal Burberry's. Lśniące, długie włosy, staranny makijaż i oczy pełne wściekłości.

– Żeby to jasny szlag trafił! – wysyczała kobieta pod nosem.

Kaja zdziwiła się, że usłyszała rodzimy język. Jej rodacy zazwyczaj prezentowali się nieco inaczej. Od razu jej pozazdrościła. To, co kobieta miała na sobie, było warte fortuny i zapewne nie zarobiła owej fortuny, stojąc na zmywaku.

– Żeby pani wiedziała – odpowiedziała Kaja na tyle głośno, by kobieta usłyszała. Tak bardzo była ciekawa, kim jest ta osoba pachnąca luksusem, a na dodatek piękna, zadbana i zgrabna.

– O... Ty też czekasz na ten cholerny lot do Warszawy? – Nieznajoma bez ogródek przeszła na ty.

Kaja pokiwała głową i podniosła się z walizki. Młoda kobieta uśmiechnęła się do niej i powiedziała:

– Mam na imię Jowita.

– Jestem Kaja. Jutro Wigilia, mam nadzieję, że zdążę. – Kaja z westchnieniem podała dłoń kobiecie.

– Ja też... – mruknęła Jowita i odwróciła wzrok. – Zatrzymali mnie w pracy do ostatniej chwili. Chyba w końcu rzucę ją w cholere.

– Dobra praca jest teraz na wagę złota – wydukała Kaja, mierząc Jowitę od stóp do głów, jakby dając do zrozumienia, że nie za każdą pensję można nabyć sobie takie fatałszki i biżuterię.

– Tak, to dobra i interesująca praca, ale mój narzeczony jest na tyle bogaty, że mogę sobie pozwolić na błogie lenistwo. Bardzo mnie kocha i rozpieszcza na każdym kroku. Jestem menedżerem w polsko-brytyjskiej firmie handlującej jachtami pełnomorskimi. To ciekawa robota, za friko podróżuję po całym świecie, dobrze zarabiam, ale co z tego, jeśli mój lot z Malezji był opóźniony, nie zdążyłam się porządnie wyspać, mój fryzjer przesunął wizytę i ledwo co dostałam bilet na dzisiejszy lot. A tu, cholera jasna, ścisk jak w indyjskich slamsach, a o jakimś lecącym samolocie można zapomnieć. – Prychnęła.

W tym momencie Kaja pozazdrościła jej jeszcze bardziej. Ostatnio jedyne podróże, jakie odbywała, to między Londynem i Warszawą, tanimi liniami, resztę świata zaś oglądali z Markiem tylko na kanale Travel Channel. Musiała oglądać wnikliwie każdego funta, zanim go wyda, a ciuchy, gdy ich potrzebowała, kupowała na *car bootach*. I ten narzeczony Jowity... Ona ostatni drogi prezent dostała od Marka w dniu zaręczyn. Był to pierścionek z diamentem, tak malutkim, że ledwie widocznym. Kilka lat po ślubie i tak go sprzedawała, by zainwestować w ich biznes. Wówczas nie martwiła się tym ani trochę, ją i Marka łączyło bowiem tak piękne i silne uczucie, że rekompensowało wszelkie niedobory materialne. Kiedy jednak zrobiło się dramatycznie, a każdy dzień stanowił walkę o przetrwanie, marzyła o spokoju finansowym, a wręcz o bogactwie i luksusie. Marek powtarzał jej, że nie można mieć w życiu wszystkiego. A jednak taka Jowita miała wszystko...

– Posłuchaj, zerknij na moją walizkę. Pójdę sprawdzić, kiedy opanują ten burdel – powiedziała stanowczo Jowita.

– Oczywiście – wydukała Kaja, zdziwiona, że kobieta obcej osobie powierzyła do pilnowania luksusową walizkę.

Ona nie spuszczała swojej z oka, chociaż miała w niej równowartość zaledwie kilkuset funtów. Dla niej jednak była to ogromna suma i wydała ją tylko dlatego, by sprawić radość swoim bliskim.

Po kilkunastu minutach Jowita powróciła z furią w oczach. Właściwie Kaja najpierw usłyszała jej głos, zanim z tłumu wyłoniła się sylwetka nowej znajomej.

– Panie, co pan się tak pchasz – ryknęła po angielsku do jakiegoś jegomościa. – To nie stadion piłkarski. Weź pan tę swoją torbę z moich pleców, bo jak się odwinę, to pan będzie jej szukał na płycie lotniska.

Kaja zachichotała. Ona by tak nie potrafiła, mimo że znała język, i to wcale nie najgorzej. I to właśnie znajomość angielskiego spowodowała jej wyjazd i złudną nadzieję, że po kilku miesiącach mycia garów otrzyma jakąś normalną pracę. Zapewne gdyby była tak przebojowa i harda jak Jowita, już od jakiegoś czasu mogłaby się tym faktem cieszyć.

– Posłuchaj, ta czarna dziwka z informacji powiedziała, że na loty w dniu dzisiejszym nie ma szans. Jeśli chcemy dotrzeć przed pasterką do domu, musimy związać żagle – burknęła.

– Ale jak? – jęknęła Kaja.

– Pociągiem. Do Warszawy zajmie nam to dobę, czyli zdążymy przed pierwszą gwiazdką. Złapiemy taksówkę, dotrzemy na dworzec Waterloo, a potem pojedziemy Eurostarem przez Brukselę – powiedziała dumnie.

Kaja zaczęła w duchu liczyć straty. Taksówka – kilkadziesiąt funtów, pociąg – pewnie z dwieście. A po drodze trzeba jeszcze coś zjeść, kupić jakieś napoje. Najwyraźniej zrobiła się błada, bo Jowita powiedziała:

– Jak pomożesz mi zatrzymać taryfę i zmusić taksówkarza, żeby nas zawiózł na dworzec, stawiam przejazd. – Wyszczrzyła zęby i dodała: – Zbieraj się, bo Boże Narodzenie spędzisz jak beduiński koczownik. O, przepraszam, możesz wrócić do swojego mieszkania i posiedzieć sama przy sztucznej choince za dwadzieścia funtów.

Kaja nie miała pojęcia, co bardziej podziałało. Oferta sfinansowania taksówki z lotniska czy perspektywa spędzenia samotnie świąt. W każdym razie nie z Markiem i dziećmi. Tego by nie przeżyła. Zerwała się na równe nogi i chwyciła rączkę swojej ogromnej walizki. Pomyślała także, że w towarzystwie takiej osoby jak Jowita dopnie swego. A może odrobina szczęścia tej kobiety skapnie i na nią?

Tak jak można było się spodziewać, na podobny pomysł wpadło tysiące podróżnych. Przystanki autobusowe, postoje taksówek oraz perony, skąd odchodziły pociągi, były oblegane przez tłumy ludzi. Kaja miała wrażenie, że znalazł się tam cały Londyn, a miasto właśnie przeżywa prawdziwy Armagedon. To uczucie paniki i zamieszania wzmagała aura z zacinającymi deszczem i porywistym wiatrem.

– Zobacz, z tamtej jakiś facet wysiada! – krzyknęła do ucha Kai Jowita.

Jednak zanim dokończyła zdanie, Kaja spostrzegła pędzących w stronę taksówki dwóch młodych mężczyzn, a kilku innych właśnie zrywało się do biegu. Była bez szans. Jednak jej nowa towarzyszka nie zamierzała czekać, tylko pobiegła w stronę samochodu, stukając swoimi drogimi obcasami.

– Wznovili loty, wracamy na lotnisko! – wrzasnęła, odwracając się w stronę Kai.

Ta nie miała pojęcia, skąd Jowita wzięła takie rewelacje, ale biegnący mężczyźni zatrzymali się jak na komendę, zerkając w stronę terminalu. Tę chwilę wahania wykorzystała Jowita i doskoczyła do taksówki.

– Dawaj, kochana. Mamy złotówę! – krzyknęła, tym razem po polsku.

Kaja, objuczona zarówno swoimi bagażami, jak i Jowity, dysząc i sapiąc, dobiegła do taksówki. Siedzący za kierownicą mężczyzna wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik



i bez pośpiechu pomagał Kai zapakować walizki.

– Panie, pośpiesz się pan i pakuj się do tego swojego dyliżansu, bo nam pociąg ucieknie – warknęła Jowita, nerwowo rozglądając się za mężczyznami, których odwiodła od zamiaru złapania taksówki.

W końcu ruszyli w kierunku centrum. Jowita wyjęła z eleganckiej torebki puderniczkę z niewielkim lusterkiem i zaczęła poprawiać nieco rozmazany makijaż. Tak, nawet jej puderniczka była kwintesencją luksusu. Jak wszystko. A na dodatek dziewczyna dokonała niemożliwego – złapała taksówkę w sytuacji wręcz beznadziejnej.

– Za wolno myślisz, kochana. Trzeba być zdecydowanym i szybko podejmować decyzje. Inaczej wciąż będziesz stała w miejscu – bez złośliwości powiedziała Jowita.

„Łatwo powiedzieć” – pomyślała Kaja, dla której szybkie podejmowanie decyzji świadczyło o braku odpowiedzialności. Przecież należało wszystko dokładnie przemyśleć, wziąć pod uwagę każde „za” i „przeciw”, a potem decydować. A jednak taka Jowita... Jej wychodziło, zdaje się, wszystko. Może w istocie Kaja zbyt długo zastanawiała się nad wieloma kwestiami? Jak na przykład nad pracą w biurze wspierającym przybyłych z Polski emigrantów. Zanim przemyślała, czy jej angielski jest wystarczająco dobry, by załatwiać sprawy w rozlicznych urzędach, lokatorka z mieszkania sprzątnęła Kai tę robotę sprzed nosa, chociaż jej znajomość języka była zdecydowanie gorsza. Być może ich biznes upadł dlatego, że zanim przemyśleli, czy wchodzić w jakieś zlecenie i czy na tym nie stracą, inni już stawiali parafki na umowach. A Jowita działała niemal instynktownie i to ją zaprowadziło na wysokie stanowisko i – jak widać – zarabiała kupę forsy. I na dokładkę pracowała z nudów, bo kochający narzeczony był gotów podarować jej gwiazdkę z nieba, tak samo, jak wszyscy, którymi się otaczała. Kaja pomyślała, że życie jest wyjątkowo niesprawiedliwe.

Dotarły na dworzec Waterloo i rozpoczął się następny koszmar. Zapewne dlatego, że nie tylko Jowita wpadła na tak genialny pomysł, by odbyć podróż pociągiem. Dworzec Waterloo był połączeniem tradycyjnej brytyjskiej budowli i kosmicznej nowoczesności, jednak podobnie jak lotnisko Heathrow przerażał swoją wielkością. Już po wejściu na niego, Kaja czuła się nieco zagubiona, ale Jowita zdawała się czuć w takich miejscach jak u siebie w domu. Wokół informacji zgromadziło się więcej osób niż na wiosennych wyprzedazach, wszędzie piętrzyły się bagaże, ludzie przekrzykiwali siebie nawzajem i odzywający się co chwilę megafon, a także płaczące i wrzeszczące dzieciaki, którym brakowało cierpliwości dorosłych.

Kaja już chciała powiedzieć z triumfem w głosie: „I co teraz, cwaniaro?”, gdy Jowita odezwała się:

– Musisz zemdleć albo co...

– Oszalałaś? – zapytała przerażona Kaja.

– Nie, nie oszalałam. Zemdlejesz, ja powiem, że jesteś w ciąży albo masz zaawansowaną cukrzycę... No nie wiem, coś wymyślę i użebrzemy bilet do Brukseli. – Wzruszyła ramionami.

– Wiesz co, sama sobie mdlej i udawaj ciężarną, ja ustawię się po prostu w kolejce po bilet. – Kaja rozzłościła się zarówno z powodu głupiego pomysłu Jowity, jak i jej autorytarnego tonu. To, że była dzieckiem szczęścia, nie oznaczało, iż mogła nią rozporządzać jak swoją puderniczką.

– To idź i stój w tym ogonku. Ciekawe, co wystoisz. Pewnie bilet na drugi dzień świąt, bo oni wtedy normalne pracują. Dotrzesz do Polski po świątach, ale może zostawią ci trochę pierogów, to sobie odsmażysz – drwiła Jowita.

Kaja nie wytrzymała. Odwróciła się na pięcie i zaczęła przepychać się w kierunku kas biletowych. Po chwili zatrzymała się i wyciągnęła z kieszeni dwadzieścia funtów. Wręczyła je Jowicie, jako opłatę za kurs taksówką, i zdenerwowana odeszła. Była wystarczająco przygnębiona faktem, że może nie zdążyć na Wigilię, jak i tym, iż jej skromny budżet zostanie uszczuplony o jakieś dwieście funtów. Zarozumiała gwiazda nie była jej do tych wszystkich problemów potrzebna. Dla takiej osoby jak Jowita podobne pieniądze nie stanowiły problemu, ale dla niej to było wynagrodzenie za tydzień cholernie ciężkiej pracy. I ten ton! Jakby była jaśnie panią, a Kaja jej służką.

Kolejka była niemożliwie długa, a tablica świetlna bezlitośnie informowała, że pociąg Eurostar do Brukseli odjeżdża za niecałe dwie godziny. Zważywszy na tłum potencjalnych pasażerów, istniało prawdopodobieństwo, że biletów może nie wystarczyć dla wszystkich chętnych. Kaja jednak postanowiła nie rezygnować.

Po kilkunastu minutach kolejka przesunęła się zaledwie kilka metrów. Ludzie podchodzący do kasy nie chcieli odchodzić z niczym, szukali alternatywnych połączeń, wskutek tego wszystko trwało znacznie dłużej niż zazwyczaj. Nagle Kaja usłyszała w tłumie rodzimy język. Jakaś para z małym dzieckiem na rękę przepychała się między bagażami, złośliwie mówiąc, że bilety na ten dzień do Brukseli zostały już wyprzedane. Nawet te najdroższe.

Kaja ze zwieszoną głową wyszła z kolejki i przekleła Jowitę, że ta namówiła ją na podróż w to miejsce. Gdyby czekała na lotnisku, w chwili uruchomienia lotów byłaby na miejscu, a tak błąkała się bez celu i sensu po dworcu. Przesunęła walizkę pod jeden z filarów, usiadła na niej, żeby pomyśleć, co dalej, a potem rozplakała się. Tak bardzo chciała, żeby te święta były piękne i radosne. Po prostu wyjątkowe i takie, po których wspomnienia pozostaną na długi czas, gdy będzie zmuszona kolejny raz powrócić do Londynu. Tymczasem nie przygotuje żadnych pyszności, a jej rodzina będzie zdana na łaskawość mamy i teściowej. Nie upiecze z dziećmi pierników i ciasteczek, by potem dekorować je różnymi słodkimi ozdobami, które kupiła w Londynie i upchnęła w walizce. Nie upiecze ciasta, nie zapakuje ładnie prezentów i nie zrobi ajerkoniaku. A za chwilę będzie musiała zadzwonić do Marka i dzieci i przekazać im te hiobowe wieści. Już widziała to rozczarowanie w oczach Marysi i płacz Antosi. I słyszała głos męża, pełen zawodu i wyrzutów, że w ogóle wyjechała do Londynu.

– Panna beksa myśli, że się teleportuje, jak wyleje odpowiednią ilość łez? – usłyszała złośliwe pytanie Jowity.

Stała nad nią jak kat nad zboląłą duszą, w tych swoich eleganckich kozaczkach od Lorenziego, i opierała dłonie na biodrach.

– Nie twój interes! – warknęła Kaja.

– Może i nie mój, ale skołowałam dwie kuszetki do Brukseli, więc pomyślałam o tobie, sieroto. Ale jak nie chcesz, to sprzedam komuś i jeszcze zarobię – prychnęła.

Kaja w jednej chwili wybaczyła Jowicie i rozkazujący ton, i buty za kilka tysięcy złotych. Otarła twarz z łez i dziękowała Bogu, że w tym całym zamieszaniu zesłał jej tę pyską i rozpuszczoną lalkę. Podniosła się, nie wiadomo który raz tego dnia, ze swojej

ogromnej walizki i nie mówiąc słowa, ze spuszczoną głową ruszyła za swoją nową koleżanką. Miała świadomość, że podróż kuszetką będzie droższa niż slipetką czy w normalnym przedziale, ale w tej chwili już nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Musiała dostać się do kraju i teraz miała ku temu okazję. Może nie będzie uczestniczyła w przygotowaniach do świąt, tak jak zaplanowała, ale chociaż usiądzie z bliskimi przy wigilijnym stole.

Jowita kroczyła pewnie pomiędzy zbitym tłumem, od czasu do czasu przeklinając siarczyście. Za nią nieco mniej pewnie szła Kaja, aż dotarli w końcu na peron, skąd odjeżdżał ich pociąg. Ulokowały się w przedziale, położyły bagaże na półce i odetchnęły z ulgą. Kaja dopiero wówczas poczuła się bezpiecznie. I to dzięki kompletnie obcej kobiecie, którą przez ostatnie kilka godzin miała ochotę na zmianę wyściskać z wdzięczności i udusić za jej obcesowe zachowanie. Wyjęła z torebki telefon i zobaczyła kilkanaście nieodebranych połączeń od Marka, matki i siostry. Wybrała numer do męża. Przywitał ją słowami:

– Kochanie, tak się martwiłem. Od rana trąbią, że tysiące Polaków nie dotrą na święta do Polski, bo ten cholerny huragan Gonzales, czy jak mu tam, spowodował wstrzymanie wszystkich lotów. Dzwoniłem do ciebie kilka razy. Chryste Panie, dlaczego nie odbierałaś?

– Nie słyszałam dzwonka. Na lotnisku i dworcu był taki zgiełk, że nie usłyszałabym nawet wybuchu bomby – odpowiedziała i zaczęła mówić o swoich przejściach.

O Jowicie wyrażała się w samych superlatywach, nie tylko dlatego, że była jej wielce zobowiązana za zorganizowanie biletów, ale także z uwagi na fakt, że ta leżała na sąsiedniej kuszetce i wpatrywała się w nią badawczo.

Po kilku minutach zakończyła rozmowę i zwróciła się do Jowity:

– A ty nie dzwonisz do narzeczonego? – zapytała Kaja życzliwie. – Pewnie umiera z niepokoju, jak mój Marek.

– Dzwoniłam z dworca, jak udało mi się kupić bilety – mruknęła pod nosem. – Masz w telefonie zdjęcie swojej rodziny?

– Pewnie. Całe mnóstwo. – Uśmiechnęła się i przesiadła się na kuszetkę Jowity.

Było późne popołudnie i szanse na to, że zaśnie niemal zerowe.

– A tutaj byliśmy w zoo. Bardzo lubię to zdjęcie Marka. Śmiejemy się niekiedy, że ta małpa to jego kochanka. Z taką czułością na niego spogląda – roześmiała się Kaja.

– Masz piękną rodzinę – westchnęła Jowita. – A ja zmieniałam telefon i mam tylko jedno zdjęcie. Swojego Arturka.

– Pokażesz? – zapytała zaciekawiona Kaja.

Zastanawiała się, czy narzeczony Jowity jest podstarzałym, zapasionym biznesmenem, czy też wygląda jak boski heros. Po chwili okazało się, że i tym razem Jowicie dopisało szczęście, bo rzeczony Arturek wyglądał jak wycięty z żurnala.

– Ależ przystojniak – rzuciła Kaja.

– Tak... jest bardzo przystojny i taki męski – westchnęła Jowita. – Ale przy tym tak dobry dla mnie, że chwilami zdaje mi się, iż w porównaniu z nim jestem zimną suką.

– Może jesteś szorstka w obejściu, ale po tym, co dla mnie zrobiłaś, uważam, że masz wręcz gołębie serce – uśmiechnęła się Kaja.

– Ach, wiesz, jak to jest. W pracy muszę być ciągle uśmiechnięta, jak stewardesa

w klasie biznes, chociaż niekiedy mam ochotę napluć w gębę tym nadętym, rozpuszczonym luksusem draniom. Wbrew pozorom wyklócają się o każdego funta i wszystko chcieliby za darmo, uważając, że wyświadczają nam nie lada przysługę, chcąc na być od nas jacht. Srają forszą, ale przy każdym eleganckim drobiazgu targują się jak przekupy na targu. – Machnęła ręką, zmieniając temat: – Opowiedz, jakie prezenty kupiłaś pod choinkę. Ja zawsze mam z tym problem...

– Nie mów tak głośno, bo nasi współpasażerowie jeszcze usłyszą, a może któryś zna twojego pracodawcę. – Kaja zachichotała.

– Polacy zazwyczaj nie jeżdżą kuszetkami, a ci, których stać na jachty, nie podróżują pociągami, tylko wypasionymi limuzynami albo samolotami w klasie biznes, jeśli akurat żaden huragan nie nawiedzi Wysp Brytyjskich. Nie bierz do głowy, lepiej opowiadaj – ponagliła Jowita.

– Markowi kupiłam piękny sweter i portfel, starszej córeczce – sukienkę z falbankami i takie różne gadzety do włosów, a młodszej lalkę i wózek. Ledwie upchałam go do walizki. Mojej mamie sprawiłam apaszkę i perfumy, a tacie skórzaną szaszetkę. Wydałam fortunę – powiedziała Kaja.

– Ojej, jakie fajne rzeczy. Ja bym nie wpadła na takie pomysły. Wchodzę do sklepu, rozglądam się i myślę: „To mają, tamto mają”. – Roześmiała się nieco sztucznie. – W końcu Arturkowi kupiłam zegarek Omega. Piąty do kolekcji. A reszcie też po jakimś drobiazgu.

– Taki zegarek kosztuje krocie, a ty mówisz, że to taki drobiazg? Mój Marek za taką omegę dałby się posiekać – westchnęła Kaja.

– Jakby miał cztery, to zapewniam cię, że piąty nie zrobiłby na nim takiego wrażenia, jak pierwszy. To tylko kobiety potrafią się cieszyć każdą nową parą butów albo kolejną kiecką – prychnęła.

– Ja, niestety, cieszę się, gdy uda mi się spłacić ratę kredytu w terminie. – Kaja posmutniała. – Nie jesteśmy zamożni. Zresztą pewnie domyśliłaś się... – Wyciągnęła dłoń do przodu i zapytała gorzko: – Czy tak powinny wyglądać dłonie pani bibliotekarki?

– Ale masz kochającego męża i cudowne dzieciaki – próbowała ją pocieszyć Jowita.

– Ty masz kapitalnego narzeczonego, a i dzieci pewnie się zaraz pojawią. Masz wszystko – bąknęła Kaja.

– To prawda. Jestem niesamowitą szczęściarą... – Uśmiechnęła się.

– Ale ważne jest to, że nie jesteś nadęta, jak inne bogate panny. Może trochę zarozumiała, ale dobra z ciebie dziewczyna. – Kaja odwzajemniła uśmiech.

– Czy ja ci, moja droga, wypominam, że jesteś niezguła? – Jowita zmarszczyła czoło.

– Cały czas. – Kaja wzruszyła ramionami i obie zaczęły się śmiać.

Pod wieczór udały się do wagonu restauracyjnego. Kaja szukała jakiejś niedrogiej, ale dużej kanapki, ale Jowita zamówiła dla nich obu normalny obiad, zapłaciła za niego i nawet nie chciała słyszeć o zwrocie pieniędzy.

– Daj spokój, wiem przecież, że groszem nie śmierdzisz, więc nie wyjeżdżaj mi tutaj z forszą za lichy obiadek – burknęła.

Kaja kolejny raz poczuła niechęć do Jowity, że traktuje ją z góry i nabija się z jej biedy. „Wielka pani, cholera jasna” – myślała niezycliwie, ale zdecydowanie wołała cie-

pły posiłek od zimnej kanapki. I mimo że naprawdę uważała Jowitę za dar niebios, ta potrafiła być niewymownie irytująca. Pomyślała, że jej narzeczony naprawdę musi być świętym człowiekiem, jeśli wytrzymał z kimś takim. Zapewne wychowała się jako jedy-naczka. Była rozpieszczona i zakochana w sobie do nieprzytomności, jednak jej chęć niesienia bezinteresownej pomocy rekompensowała wszystkie wady ekscentrycznej nie-znajomej.

– Opowiedz, jak wyglądają święta w takim bogatym domu? No, wiesz, gdy codziennie możesz mieć to, co chcesz i nic nie jest w stanie cię zaskoczyć ani zadziwić? – zapytała, nieco złośliwie, Kaja.

Jowita wzruszyła ramionami i kolejny raz uciekła wzrokiem w ciemną czeluść przesu-wającą się za oknem mknącego pociągu.

– Chyba normalnie. Jest duża choinka, naturalnie naturalna. Ma bombki i anielski włos, a na Wigilię robimy pierogi, barszcz z krokietami i oczywiście zupę grzybową. Ryby także są. Różne. Karpie, pstrągi, śledzie... Po opłatku i kolacji rozdajemy prezen-ty, słuchamy kolęd, a przed północą wyruszamy na pasterkę. Samochodami, bo najczę-ściej kobiety wkładają szpilki i spacer do oddalonego o pięć kilometrów kościoła nie byłby żadną przyjemnością. Sama widzisz, nie mamy prywatnego grajka ani własnego szofera, a pomoc domowa pomaga nam jedynie podczas porządków. Tak samo, jak u moich rodziców. Ale sama byś z tego korzystała, gdybyś miała trzysta metrów do wy-sprzątania. – Jowita uśmiechnęła się kwaśno.

– Moje mieszkanko ma czterdzieści osiem metrów, pomoc domowa nie jest mi po-trzebna, zwłaszcza że Marek myje okna, pastuje panele i trzepie dywany – odpowie-działa Kaja, widząc oczami wyobraźni ogromny stół z porcelanową zastawą i ubraną w ręcznie malowane bombki ogromną choinkę.

U nich, gdy zapraszali rodziców, było tak ciasno, że dziewczynki, chcąc wystąpić przed dziadkami, by odśpiewać kolędy, musiały stać w korytarzu.

– O... Lille. Już niebawem Bruksela – zauważyła Jowita.

Po posiłku powróciły do przedziału i oniemiały. Ich pozostali towarzysze podróży zniknęli, zapewne wysiedli w Lille, ale nie to było największym szokiem. Wraz z pasa-żerami zniknęły również walizki kobiet i ich torby podręczne. Ocalały jedynie torebki, które zabrały ze sobą do wagonu restauracyjnego.

– O, kurwa! – jęknęła Jowita i usiadła na swojej kuszetce.

– Boże... Moje rzeczy, moje prezenty, moje... – Kaja zaczęła płakać.

– A ty znowu się mazgaisz. Ja miałam w walizce omegę za tysiąc sześćset funtów i nie rozpaczam. I buty od Dolce... I marynarkę od Chanel... Skurczybyki... – warknęła Jo-wita.

– Ale ty wysiądziesz w Brukseli i kupisz swoim bliskim nowe prezenty, a ja? Jeśli pójdę do sklepu po jakieś drobiazgi, nie wystarczy mi na ratę w banku. Boże, dlaczego ty mi to robisz? Co ja ci zrobiłam takiego, że się tak nade mną znęcasz? – jęczała Kaja.

– Dajże spokój, do cholery. Wielkie mi halo. Parę szmat i kilka prezentów. Chodź, zgłosimy to, a potem coś wymyślimy. Pożyczę ci kasę i kupisz jakieś pierdoły – warknę-ła Jowita, zniecierpliwiona panikowaniem Kai.

– Nic nie rozumiesz, nic kompletnie, bo przecież skąd masz wiedzieć, jak wygląda moje życie!

– Tak, masz rację. Nie wiem, jak wygląda twoje życie, ale wiem, że ludzi spotykają gorsze tragedie – powiedziała cicho Jowita.

– Tak, wiem. Dzieci w Somalii głodują, w Syrii jest wojna, a niektórzy wychodzą na spacer i nie wracają, bo akurat jakiemuś oszołomowi przychodzi do głowy, żeby zrobić zamach. Ale mnie to nie pociesza. Toniemy w długach, musiałam pozostawić swoją rodzinę i pracuję na zmywaku w jakiejś podrzędnej knajpie, a Bóg odbiera mi nawet radość z tego, że raz na jakiś czas mogę wydać pieniądze tylko po to, by zobaczyć uśmiech na twarzach swoich córeczek. Nie rozumiesz, bo nigdy nie zaznałaś biedy. Nie wiesz, co to znaczy szorować gary, a potem podłogę i padać ze zmęczenia po dwunastu godzinach fizycznej harówki. Nigdy nie musiałaś chodzić do banku i żebrać o litość, żeby odroczyli ci raty i nie wyrzucali na bruk. Nie masz o tym pojęcia, więc wsadź sobie w dupę te swoje mądrości rodem z książek Paulo Coelho! – wybuchła Kaja, znieśmaczona takim niefrasobliwym podejściem do podobnych kwestii.

– Oby nigdy nie spotkało cię nic gorszego... – wyszeptała Jowita, po czym wstała ze swojego miejsca i wyszła z przedziału.

Spotkały się po kilku minutach w miejscu, gdzie urzędował kierownik pociągu, po czym złożywszy zawiadomienie o kradzieży bagaży, powróciły do siebie. Aż do Brukseli nie zamieniły ze sobą ani słowa.

Wysiadły na dworcu Midi i pierwsza odezwała się Kaja:

– Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. I życzę ci udanych świąt.

– Przecież razem jedziemy do Warszawy... – niepewnie powiedziała Jowita.

– Lepiej będzie, jeśli w tym miejscu nasze drogi się rozejdą, póki nie zapałałyśmy do siebie zbyt wielką niechęcią – burknęła Kaja.

– Nie wygłupiaj się. Mamy po prostu inne spojrzenie na niektóre sprawy. Chodź, kupimy coś twoim córeczkom i zabukujemy bilety do Warszawy. – Jowita machnęła ręką.

– Po co to robisz? Przecież nie jestem dla ciebie zbyt miła ani zbyt życzliwa?

– Po prostu wyładowujesz złość na mnie, bo jestem najbliższej. – Jowita uśmiechnęła się szyderczo.

– Nieprawda. Ty mnie po prostu wkurzasz. Masz wszystko i jesteś w czepku urodzona, dlatego nie rozumiesz moich rozterek. To frustrujące – westchnęła Kaja.

– Ale może zrozumieć, jeśli lepiej cię poznam. A teraz przestań jęczeć i chodź do sklepu. Jak coś ci wpadnie w oko, to mów. Ja nic nie kupuję, jakoś wytłumaczę to Arturkowi i rodzicom. Zrozumieją.

– Masz szczęście, moje dzieci na pewno by nie zrozumiały... – Kaja w końcu się uśmiechnęła.

– Są malutkie i zapewne wierzą w Świętego Mikołaja. Co się dziwisz...?

Po godzinie miały w ręku bilety na pociąg Kiepura i torby pełne prezentów. Jowita była prawdziwym Świętym Mikołajem, bo nawet Kai sprawiła elegancką, ale subtelną kreację wigilijną. Scysja z pociągu odeszła w niepamięć i gwarzyły przy kawie jak najlepsze przyjaciółki, które znają się od lat.

– Marek wyjedzie po ciebie do Warszawy? Do Grodziska jest jeszcze kawał drogi – zapytała Jowita.

– Tak, pożyczę samochód od swoich rodziców i przyjedzie po mnie. Mam tylko dać mu znać, czy będę o umówionej porze. Wiesz, z naszymi przygodami... różnie może

być – powiedziała Kaja, rozpromieniając się na myśl, że za kilka godzin zobaczy swojego męża.

Co by nie mówić, ale kochała go do szaleństwa. Nawet jeśli nie był ideałem i niejednokrotnie dochodziło między nimi do kłótni, kochała go bezgranicznie i nie wyobrażała sobie życia bez niego. Jowita mogła mieć swojego przystojniaczka z grubym portfelem, ale ona swojego Marka nie zamieniłaby na nikogo innego, chociaż, obiektywnie mówiąc, wyglądem nie dorastał do pięt pięknemu Arturkowi, nie mówiąc już o zasobności finansowej.

– A twój Arturek pewnie podjedzie superwypasioną furą – z nutką zazdrości stwierdziła Kaja.

Tak, marzyła o samochodzie. Jakimkolwiek. Swoją musieli sprzedać, by spłacić dług w urzędzie skarbowym i długo nie mogli przywyknąć, że nie mogą ot tak sobie wsiąść w samochód i pojechać za miasto. Potem kompletnie zapomniała o tym środku lokomocji, w Londynie zresztą byłby bezużyteczny. Transport publiczny był doskonały i nie wyobrażała sobie, by musiała poruszać się po City samochodem. Pomijając lewostronny ruch, do którego nie mogła przywyknąć, stając wiecznie na przystankach po niewłaściwej stronie, parkowanie było istnym koszmarem, a ona pracowała w Chelsea, gdzie jeździło mnóstwo samochodów, zazwyczaj takich, jakie przyprawiły ją o zawrót głowy. Gdyby choć przytarła któryś z nich, zapewne byłaby to szkoda warta fortunę.

– Tak. Mamy audi – mruknęła Jowita, a potem zaczęła opowiadać o swoich podróżach, dziwacznych klientach i rozlicznych mieszkaniach w Londynie, które zmieniała niczym rękawiczki.

– Ja najdalej byłam w Austrii na nartach. Bardzo dawno temu, jeszcze gdy byliśmy beztrojskimi studentami. No i w Londynie, ale traktuję to bardziej jako zsyłkę niż podróżowanie. Zawsze marzyliśmy o zwiedzaniu świata i ciągle oglądaliśmy Travel Channel, żeby chociaż w wyobraźni znaleźć się w tych wszystkich egzotycznych miejscach. A ty byłaś w tylu krajach... Boże, ależ z ciebie szczęściara – westchnęła Kaja.

– To zamień się ze mną na miesiąc. Od razu ci się odechce podróżowania, jak po czternastu godzinach lotu następnego dnia odbędziesz kolejny, na przykład dziesięciogodzinny – mruknęła Jowita.

– To po co pracujesz, jeśli nie musisz, a ta robota cię wkurza? – zapytała Kaja z niedowierzaniem, bo nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś może narzekać na częste podróże, w dodatku w tak malownicze miejsca.

– W życiu różnie bywa. Muszę mieć coś, co da mi poczucie niezależności – odpowiedziała dość lakonicznie Jowita.

– Jeśli ludzie się kochają, takie sprawy nie mają znaczenia. Wszystko jest wspólne. I bogactwo, i bieda.

– Bieda zapewne, ale uwierz, z bogactwem różnie bywa. Wiesz, jak to jest. Ten, kto płaci, stawia warunki. A ja... lubię robić po swojemu.

– Zauważyłam – mruknęła Kaja, marszcząc brwi.

– Ależ ja nie mówiłam o tobie. Znamy się jeden dzień i pewnie na tym poprzestaniemy. A z Arturkiem mam zamiar spędzić resztę życia, to szmat czasu – roześmiała się.

W takich chwilach, gdy Jowita wybuchała głośnym, szczerym śmiechem, Kai wydawała się cudowną, ciepłą osobą. Idealnym materiałem na przyjaciółkę. A Kaja takich



nie posiadała. Jej przyjacielem był od zawsze Marek i nawet jeśli niekiedy brakowało jej babskich ploteczek i wypadów do kosmetyczki, nie żałowała. Nie miała czasu, by pielęgnować przyjaźnie, postanowiła więc, że skupi się na tej jednej, najważniejszej. Były chwile, gdy między nią a Markiem było źle albo kiedy wyjechała za granicę, i wówczas tęskniła za prawdziwą przyjaciółką. Kobieta, która zrozumie jej rozterki, dylematy i tęsknoty, których żaden facet zrozumieć nie mógł. Tak, Jowita nadawałaby się na przyjaciółkę, pod warunkiem, że nie byłaby tak obrzydliwie zamożna i zarozumiała. Jednak jej optymizm i przebojowość zapewne niejedną raz odeгнаłyby od Kai ponure myśli, pesymizm i sprowadzałyby ją na ziemię, gdyby za bardzo utyskiwała. Miała także świadomość, że mimo wszystko istniałby między nimi mur niezrozumienia. Jowita urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą, miała wszystko, co dusza zapragnie. Zapewne czasami bagatelizowałaby problemy Kai, uznając, że przesadza, mazgai się i przejmując pierdołami. Kaja nie rozumiała także, dlaczego Jowita tak do niej przyłgnęła i pomogła jej, chociaż należały do tak różnych światów. Nie kierowała nią litość, to pewne. Gdyby tak było, nie rugałaby jej za każdym razem, gdy Kaja popadała w przygnębienie. Nie umiała odgadnąć, jaki był prawdziwy powód nawiązania przez Jowitę tak przedziwnej znajomości. Może w istocie chciała poczuć się jak Święty Mikołaj?

– Posłuchaj, Jowita. Gdy wrócę do Londynu, oddam ci wszystko, co do grosza. Może raczej co do pensa. Jeśli będziesz w rozjazdach, po prostu zrobię ci przelew. Teraz jestem splukana, bo jak spłacę ratę kredytu, po prostu zostanie mi na życie kilka funtów. Powinni zwrócić mi za bilet lotniczy. To wtedy jakoś przetrwam – spoważniała Kaja.

– Nie ma pośpiechu. Powiedziałaś, że to prezent, więc możesz w ogóle mi nie oddawać. Chyba że bardzo cię ten fakt uwiera. Ale najpierw załatw, co najpilniejsze. Nie jestem komornikiem.

– Tak, wiem, co mówiłaś i jestem oszołomiona twoim gestem, ale nie chciałabym, żeby nasza znajomość opierała się na tym, że ciągle wyciągasz mnie z jakichś opałów – stanowczo stwierdziła Kaja.

– No to rób, jak tam uważasz, ale kto wie, może pewnego dnia ty mi pomożesz?

– Przecież sama powiedziałaś, że groszem nie śmierdzę. – Zachichotała i dodała: – Musiałabym wygrać na loterii.

– Teraz ci się wydaje, że pieniądze stanowią sens życia. Nie stanowią, czasami można pomóc, nie mając grosza przy duszy. Gdyby nie ty, ta podróż byłaby nudna. A tak... mam z kim pogadać – powiedziała całkiem poważnie Jowita.

– No tak. Najedzony nie zrozumie głodnego – mruknęła Kaja.

– Święte słowa... W pociągu musimy przestać pytlować, tylko przespać się, bo jutro przyśniemy przy wigilijnym stole. – Jowita puściła oko do Kai.

– Masz rację. Muszę mieć siły i energię dla moich dziewczynek. No i dla Marka.

W istocie, ulokowawszy się w przedziale, kobiety niemal natychmiast zasnęły. Nie tylko z praktycznych względów, ale również dlatego, że po prostu padały z nóg po tak wyczerpującym dniu. Pokonały tyle przeszkód, tak wiele emocji je to kosztowało, więc gdy poczuły, że już nic nie stanie im na przeszkodzie, by dotrzeć do kraju na czas, po prostu odpłynęły w sen, zaraz po tym, jak przymknęły powieki.

Poranek przywitał je ponurą, dżdżystą pogodą, która w najmniejszym stopniu nie oddawała atmosfery Bożego Narodzenia. Niebo spowite było ciemnymi chmurami, podob-

nie jak w Londynie, zaciął deszcz ze śniegiem i aura w niczym nie przypominała zimowej, ale późnojesienną. Gdy Kaja była dzieckiem i zdarzały się święta z małą ilością śniegu, czuła głębokie rozczarowanie. Później również z utęsknieniem wypatrywała białych płatków, bo zimowy krajobraz był dopełnieniem świąt. Zwłaszcza dla dzieciaków. Tego dnia jednak coś się zmieniło. Pogoda za oknem przestała mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Mogło być śnieżnie albo kompletnie szaro, ona swoje święta miała w sercu. Rozłąka z bliskimi pozwoliła jej docenić każdą minutę spędzoną z córeczkami, odeгнаła też pretensje, jakie żywiła do męża. Tęsknota pozwoliła zmienić jej optykę. Jedynie brak pieniędzy doskwierał jej tak samo i w tym temacie nie pomogły nawet życiowe mądrości wypowiedane przez Jowitę, która najpewniej nie wiedziała, co mówi i dlatego z taką lekkością prawiła komunały.

– Patrzyć w to okno, jak zaklinacz śniegu. – Jowita uśmiechnęła się. – Czytałam w necie, że spadnie, ale po Nowym Roku. Pisali także, że dopiero dzisiaj wznowią loty, ale nie wiadomo o której, bo huragan jeszcze nie wyniósł się od Angoli.

– Do tego momentu zdążyłabym mieć załamanie nerwowe – odpowiedziała zupełnie poważnie Kaja. – Naprawdę nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła.

– Po prostu zostałabyś na lotnisku i może zdążyłabyś dotrzeć na pasterkę – zachichotała Jowita.

– Właśnie, a Wigilia to dla mnie najważniejszy dzień w roku. Wtedy docenia się rodzinę. Dostrzega się szczęście, jakie nas spotkało – westchnęła Kaja. – Masz tak samo?

– Dokładnie. Właśnie w Wigilię najbardziej docenia się bliskich – mruknęła Jowita i powróciła do gmerania w telefonie.

Dotarły na dworzec centralny po południu. Już z daleka Kaja dostrzegła Marka i swoje córeczki. Miał być sam, ale najwyraźniej jej dzieci stęskniły się za nią równie mocno, co ona za nimi.

– Są! – wykrzyknęła uradowana Kaja. – I Marysia z Antosią też przyjechały.

– Świetnie. Za to mój Arturek jak zwykle spóźni się, bo stoi w korku na moście Grota – burknęła Jowita.

– To chyba już tak jest, że spóźniają się ci, którzy mają najbliżej. Poczekamy z tobą, aż Artur się zjawi – pocieszająco powiedziała Kaja.

– Daj spokój, moja droga. Ja mieszkam na Saskiej Kępie, ty do Grodziska masz jeszcze kawał drogi, a jest prawie piętnasta. Może zdążysz jeszcze upiec z dziewczynkami te ciasteczka. – Jowita machnęła ręką.

– Jesteś pewna? – zapytała Kaja. – Bo jakby co, to przecież możemy cię podwieźć. Nie jest to co prawda audi, tylko mały ford, ale te kilka minut wytrzymasz.

– Nie wygłupiaj się, mojemu Arturowi byłoby przykro, gdybym się tak zwinęła z dworca, zanim dojedzie. Ale bardzo ci dziękuję – powiedziała Jowita i przewróciła oczami.

Powitanie z rodziną, jakie nastąpiło chwilę potem, było mieszaniną łez, śmiechu i wzajemnego przekrzykiwania się. Gdy Kaja wyściskała swoich bliskich, powiedziała do męża i córek:

– Poznajcie mojego anioła, panią Jowitę. Gdyby nie jej spryt i dobroć, mogłabym nie dotrzeć na czas – powiedziała uroczyście Kaja.

Jowita przywitała się, powiedziała kilka frazesów i w końcu delikatnie popchnęła

Kaję w stronę wyjścia z peronu.

– Jedźcie już, my spotkamy się w Londynie. Ja tutaj poczekam na Arturka – powiedziała ze śmiechem.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że czas nagli, więc pośpiesznie złożyli życzenia i pożegnali się, niemal biegnąc w kierunku wyjścia.

Dworzec powoli pustoszał. Zbliżała się pora, gdy niemal wszyscy zasiadali do wigilijnych stołów, dzielili się opłatkiem i wdychali zapach, który nie mógł się równać z żadnym innym – mieszanina woni świerkowych gałązek, suszonych grzybów i świeżych ryb. Podobno kiedyś dochodził do tego zapach pomarańczy, ale teraz czasy nieco się zmieniły.

Kaja z zachwytem patrzyła na ozdobioną świątecznymi lampkami Warszawę, wystawy sklepowe nawiązujące do Bożego Narodzenia, a wreszcie na ogromną choinkę stojącą przy placu Defilad. Co chwilę dotykała ramienia męża i odwracała się w stronę dziewczynek, by sprawdzić, czy nie są złudzeniem, a ona po wielogodzinnej podróży w końcu dotarła do domu. Tak, Kaja była już w domu, bo to było miejsce, w którym miała przy boku Marka i dziewczynki. Nawet jeśli to był tylko mały ford fiesta. Nieważne, że nie była to przepastna willa, dom był tam, gdzie jej rodzina. Najpierw rodzice i siostra, teraz Marek, Marysia i Antosia.

Powróciła na chwilę myślami do Jowity. Pyskatej istoty obdarzonej wspaniałym sercem. Tak bardzo jej pomogła... I kiedy tak patrzyła na dżdżysty krajobraz za oknem i te wszystkie świece, nagle owładnęło ją przedziwne uczucie. Kaja nie miała pojęcia, skąd się wzięło i z jakiej części jej duszy pochodziło. Po prostu coś jej w tym wszystkim nie pasowało... Jak przez mgłę docierały do niej słowa nowej znajomej: „oby nie spotkało cię w życiu nic gorszego”, „pieniądze nie są sensem życia”, „ciesz się, że masz wspaniałą rodzinę”...

– Zawróć na centralny – powiedziała cicho, dotykając dłoni męża.

– Oszalałaś? – Popatrzył na nią, nieco skonsternowany.

– Nie oszalałam, opowiem ci wszystko po drodze.

Kiedy dotarli w pobliże dworca, Kaja kazała zatrzymać się nieopodal wejścia.

– Tutaj jest zakaz zatrzymywania – jęknął Marek.

– Tylko na chwilę, wy odjedziecie i poczekacie na parkingu. Teraz jest prawie pusty – wymamrotała bezwiednie i gdy tylko samochód się zatrzymał, wysiadła pośpiesznie i pobiegła w stronę hali dworca.

Rozejrzała się po niemal pustym gmachu, powiodła wzrokiem po antresoli i pomyślała, że zachowuje się irracjonalnie. Przecież mogła zadzwonić, zapisała sobie numer. Mogła, tylko co by usłyszała? Kolejną bajkę szczęśliwej księżniczki, w której życiu zawsze świeci słońce, a problemy po prostu nie istnieją?

Zeszła na peron. Zawładnęła nim jakaś przejmująca cisza, chociaż jeszcze kilkanaście minut temu panował tutaj gwar. Nie było także nikogo. Jedynie czarny, złowroźny tunel, którym niedawno przybyła pociągiem z Brukseli. Usłyszała delikatny stukot, którego echo roznosiło się po peronie, a potem dostrzegła za filarem fragment znajomego jej buta Gianmarco Lorenziego. Jowita, skulona na ławce, z zaczerwienionym od chłodu nosem, wpatrywała się w czeluść tunelu. Kaja usiadła obok niej i powiedziała cicho:

– Nie ma żadnego Arturka... prawda?

Jowita nie odwróciła wzroku, ale zaczęła cicho mówić:

– Nie ma też moich rodziców. Ale oni wszyscy byli... jeszcze pięć lat temu. Istnieli naprawdę i byli dokładnie tacy, jak ci opowiadałam. Mój ojciec miał firmę produkującą jachty, potem wszedł w spółkę z jednym takim Anglikiem, który miał kontakty na Bliskim Wschodzie i w południowej Azji. Mama nie pracowała, zajmowała się mną, ojcem i naszym pięknym domem z ogromnym ogrodem, a potem założyła fundację dla dzieci z ubogich rodzin. Rodzice kochali mnie i rozpieszczali, ale powtarzali, że szacunek należy się każdemu dobremu człowiekowi, nawet jeśli jest biedny. Miałaś rację, niczego mi w życiu nie brakowało. Najlepsze ciuchy, najdroższe kosmetyki... ale rodzice nauczyli mnie także, że należy się dzielić z innymi swoim szczęściem. To byli wspaniali ludzie. Mądrzy i z wielkim sercem. Artura poznałam osiem lat temu. Dostarczał mojemu ojcu silniki do jachtów. Naprawdę zakochaliśmy się w sobie, a zdjęcie, które ci pokazywałam, rzeczywiście przedstawia Artura. Miał piękną twarz, piękne ciało i piękną duszę. Kochałam go nieprzytomnie. Tak jak moich rodziców. Byłam prawdziwą szczęściarą, bo nigdy nie brakowało mi ani pieniędzy, ani miłości... Pewnego dnia wybrali się we trójkę za miasto, obejrzeć działkę pod nasz dom. Mój i Artura. To miała być dla mnie niespodzianka... Pijany dróżnik, Marian Zahorny, nie zamknął rogatek na przejeździe kolejowym. Po prostu zasnął, zmorzony wodą. Wszyscy zginęli. Mama, tata i Artur. Nawet nie zdążyłam się z nimi pożegnać i powiedzieć im, jak bardzo ich kocham. Nie zdążyłam... bo wcześniej przecież byli tak blisko. Na wyciągnięcie ręki. Miałam tak wiele czasu, by się nimi nacieszyć, tak wiele dni, żeby powiedzieć im, jak bardzo są dla mnie ważni. I nie zdążyłam... Wydawało mi się, że to wszystko, to moje cudowne życie, będzie trwało wiecznie. Przejęłam interes po tacie, bo on na pewno chciałby tego, ale moje życie... już nigdy nie będzie takie samo. Tak, mam pieniądze, piękne ubrania i cheszę się u najlepszych fryzjerów, ale jestem kompletnie sama. Celowo unikam przyjaciół i krewnych, bo nienawidzę ich spojrzeń, pełnych politowania i chyba... mściwej satysfakcji, że w końcu księżniczce powinęła się noga. Nikt nie jest w stanie zastąpić mi ani Artura, ani rodziców i wypełnić pustki w moim sercu. Może dlatego lgnę do ludzi, którzy nic o mnie nie wiedzą i nie muszą się nade mną litować. Mogę wtedy udawać, że moje życie nie zmieniło się, a ja wciąż jestem tą, o której się mawia: „urodzona pod szczęśliwą gwiazdą”... – Jowita mówiła cicho i monotonnym głosem.

– Dlatego powtarzałaś mi całą drogę, że ludzi spotykają gorsze tragedie, a pieniądze mają niewielkie znaczenie? – wyszeptła Kaja.

– Kiedy tracisz ludzi, których najbardziej kochasz, pieniądze nie znaczą kompletnie nic. Tej jednej rzeczy nie jesteś w stanie kupić za żadne pieniądze świata. – Jowita wzruszyła ramionami.

– Chodź. – Kaja podniosła się z ławki i wyciągnęła dłoń. – Co prawda nie mam dla ciebie prezentu i będziesz musiała spać na dmuchanym materacu w przedpokoju, ale miejsce dla zbłąkanego wędrowca przynajmniej raz nie będzie puste. Ale nie myśl sobie, że co roku będziesz miała tak dobrze. Następne święta zrobimy u ciebie.

Jowita popatrzyła na wyciągniętą rękę Kai.

– Nie potrzebuję litości. Przeczekam Wigilię i wrócę do domu – burknęła.

– Litości? Kochana, ja ci zazdroszczę, że nie musisz budzić się co rano z dylematem, czy kupić palto mężowi, czy buty dziecku. – Kaja prychnęła i dodała: – Przestań się tu-

taj umartwiać i zachowywać jak bezdomna, co to musi święta na dworcu spędzać. Jedziemy do Grodziska.

Na twarzy Jowity pojawił się słaby uśmiech.

– Nie poznaję koleżanki. Pokazujesz pazurki.

– Na tym to polega. Ludzie powinni się wspierać w sprawach, z którymi sobie nie potrafią poradzić. Ja nie mam smykałki do robienia forsy, ale potrafię być dobrym przyjacielem. Nie uciekam z tonącego statku, jedynie czasami sytuacja mnie przerasta – roześmiała się Kaja.

– Tak, i wtedy zaczynasz się mazgać. Kochana, razem podbijemy świat – z sarkazmem powiedziała Jowita i wstała z ławki.

Poszły szybkim krokiem w kierunku parkingu, a potem wsiadły do małej fiesty i w niezbyt komfortowych warunkach ruszyły w stronę Grodziska.

Pierwszy raz od pięciu lat Jowita nie spędziła Wigilii samotnie, błąkając się po mieście, bo w tym dniu powrót do pustego domu był dla niej po prostu zbyt bolesny. Postanowiła, że w następnym roku urządzi święta w swojej willi na Saskiej Kępie i zaprosi na nie swoich przyjaciół. Ktoś odkrył jej ból i słabość, i wcale nie chciał tego wykorzystać ani okazywać litości. Jak każdy człowiek i ona miała w swoim sercu miejsce, gdzie mieszkała tęsknota za czymś, co straciła. I to czyniło ją po prostu człowiekiem.

Kaja natomiast popatrzyła na swoje życie oczami Jowity. Co stałoby się, gdyby nagle los zabrał jej bliskich? Co przysłoby jej z faktu, że spłaciła długi i ma ładne mieszkanie? Jowita miała rację, od samego początku, tylko Kai wydawało się to jedynie cczą gadaniną. Teraz jednak odkryła, że w istocie pieniądze niewiele znaczą, jeśli tracisz to, co w życiu najcenniejsze. I chociaż Jowita zwiedziła niemal cały świat, miała piękny dom, samochód i markowe ubrania, Kaja nigdy nie zamieniłaby się z nią, bo zrozumiała, że tęsknoty i bólu po stracie bliskich nie da się ukoić żadnymi pieniędzmi.

– Nie wiem, czego mógłbym ci życzyć, Jowita – przyznał nieco onieśmielony Marek. – Bo dopiero dzisiaj cię poznałem. Chyba tego, żebyś zawsze była wśród dobrych ludzi.

– A ja ci życzę, Marku, żebyście w końcu byli razem na co dzień i mogli się cieszyć z każdego dnia wspólnego życia – powiedziała cicho Jowita.

– Na razie musimy spłacić długi – wtrąciła Kaja.

– A ta znowu swoje! – niemal równocześnie krzyknęli Jowita i Marek, po czym cała trójka zaczęła się śmiać.

## Patrycja May



Ekstrawertycznie introwertyczna, po studiach technicznych, pracująca w korporacji matka, pasjami pisząca książki. Urodzona w poprzednim wieku i ustroju, z dystansem do siebie i młodą duszą. Do tej pory wydała jedną powieść, planuje, zaś, kilka. Chwilami zapomina, jak się nazywa, a powyższa notka nie jest ogłoszeniem matrymonialnym.

## Patrycja May. *Niecicha noc*

– Rachunek, rachunek, list od Jaśka, ulotka z materacami dla reumatyków i rachunek.  
– Położyłam przed mamą plik kopert.

– O, nareszcie. Mógłby ten nasz Jasiak częściej pisać – mruknęła matka.

– Mamo, teraz nikt już nie wysyła normalnych listów, tylko mejle. Bo to trzeba i znaczek kupić, i na pocztę pójść. Same problemy. Mogłabyś się nauczyć, to nic skomplikowanego. A ty wysyłasz listy jak za króla Ćwieczka i jeszcze innych zmuszasz. Maryla też narzeka... – Prychnęłam, bo w kwestii tradycyjnych listów moja mamusia była nieugięta.

– E tam, a bo skąd ja będę wiedzieć, że to Jasiak pisał albo Maryla, a nie jakiś automat. – Machnęła ręką.

Nie powiedziałam już nic więcej, bo równie dobrze mogłabym rzucać grochem o ścianę.

Podeszłam do zlewu, żeby pozmywać po obiedzie, bo i w kwestii zmywarki rodzice mieli swoje teorie dotyczące zużycia wody i aż dziw bierze, że skusili się na pralkę automatyczną, a nie upierali się przy frani, która do tej pory zalegała w piwnicy, tak w razie czego. Nie miałam pojęcia, co rodzice mieli na myśli, sprzęt ten bowiem jedynie rdzewiał i zagracał piwnicę, zresztą jak wiele innych znajdujących się tam rzeczy.

– Jezusie Nazareński! – krzyknęła matka tak głośno, że talerz wypadł mi z rąk do zlewu, rzecz jasna tłukąc się przy tym.

– Co się stało? – Odwróciłam się gwałtownie i z przerażeniem w oczach.

– Jasiak na święta przylatuje... – powiedziała grobowym tonem matka.

– I to jest powód do takich krzyków? – jęknęłam. – To przecież chyba dobrze, że przylatuje.

– Ale on chce zabrać ze sobą tę swoją chińską narzeczoną. – Matka pobladła i miałam wrażenie, że zaraz zemdleje.

– No i wielkie mi co. I nie chińską, tylko japońską – mruknęłam.

– Wszystko jedno. Ale będzie z nią i trzeba ich ugościć – stanowczo stwierdziła matka.

– A wiadomo, co oni tam jedzą? Podobnie jakieś wodorosty i surową rybę.

Siedzący dotychczas spokojnie ojciec odłożył gazetę i powiedział:

– No to jednego kawałka karpia nie usmażysz i będzie surowa ryba. A wodorosty to się z akwarium wyjmie, żeby odpowiednio śmierdziały, i po kłopotcie.

Byłam bliska płaczu, słysząc podobne rewelacje, i już miałam się odezwać, gdy rozległ się dźwięk telefonu. Byliśmy chyba ostatnią rodziną w całej kamienicy, która posiadała telefon stacjonarny. Nie przeszkadzały mi zanadto, gdyby nie fakt, że dzwonili głównie wszelkiej maści akwizytorzy, proponując garnki w atrakcyjnych cenach, które mogą przetrwać nawet wybuch nuklearny, noże gotowe do pocięcia bez mała blachy i poduszki sprowadzające błogi i mocny sen nawet na osoby, które zwykle mają z tym problem.

– Tato, odbierz – poprosiłam, przekrzykując włączony telewizor. – Tylko, broń Boże, niczego nie kupuj.

Ojciec podniósł się z fotela i wyszedł do przedpokoju, gdzie znajdował się aparat. Nie było go kilka minut, a gdy wrócił, westchnął jedynie i z powrotem usiadł przed telewizorem.



– Kto to?! – krzyknęła z kuchni mama.

– Marylka – gromko odparł ojciec.

– To czemuś mnie nie zawołał? Mam tyle spraw do niej – z wyrzutem oznajmiła mama, wychylając się z kuchni.

– Powiesz jej osobiście. Też przyjeżdża na święta. Z mężem i dzieckiem.

Zapadła cisza. Ja zakręciłam wodę i przestałam zmywać, a mamie nóż zawisnął w powietrzu, szatkowała bowiem kapustę na bigos.

– Do stołowego, Hanka. Trzeba zrobić naradę rodzinną – ponuro zarządziła matka, po czym wytarła ręce w leżącą na stole ścierkę i wyszła do pokoju.

Szumnie nazwana naradą rodzinną rozmowa odbywała się pomiędzy tatą, mamą i mną. Wiedziałam, że matka za chwilę dostanie ataku paniki, bo jakkolwiek z przyjazdu swoich dzieci byłaby niezwykle zadowolona, tak partnerzy życiowi Jaśka i Maryli wzbudzali w niej niezrozumiałą dla mnie nerwowość. Przecież nie byli kosmitami, więc w czym problem.

– To będzie nas osiem sztuk. Damy radę – bąknął bez przekonania ojciec.

– Nie zapominaj o Helce – wypomniała mu mama.

– Ano tak, jeszcze ta stara wariatka się przypałęta – mruknął ojciec.

– To raptem dziewięć – powiedziałam spokojnie.

– Stół trzeba pożyczyć, choinkę prawdziwą kupić i położyć gdzieś to całe towarzystwo. Na szczęście Hela mieszka niedaleko i nie będzie nocować – oznajmiła mama.

– Marylka z mężem i Einarem w waszej sypialni. Jasiek z Mitsuki w jego dawnym pokoju, a wy w stołowym. – Wciąż byłam spokojna.

– Maryla z tym swoim Glutem i Ryanirem to się w naszej sypialni nie pomieści. I nie wiem, czy ta cała Mitsubishi to w ogóle w łóżku sypia, a nie na karimacie – powątpiewał ojciec.

– Tato, Ryanair to linie lotnicze, a Mitsubishi to marka samochodu. A mąż Marylki to Knud, a nie Glut. Jak wyniesiecie maglownicę, to wszyscy się pomieszczą. – Westchnęłam, bo nie miałam pojęcia, jak rodzice zapamiętają te wszystkie egzotycznie brzmiące imiona.

– Wszystko jedno. Ale gdzie niby mamy przenieść maglownicę? – zapytał ojciec.

– Hm... – Rozejrzałam się po pokoju. – Może na śmietnik?

– Nieużywaną maglownicę chcesz wyrzucać? – mruknęła matka.

– No właśnie, mamo. Nieużywana. Odkąd pamiętam, stoi nieużywana. To znaczy, że nie jest potrzebna – upierałam się. Nie chciałam nawet wspominać, że z takich urządzeń już dawno nikt nie korzysta.

– Do piwnicy się wyniesie – zawyrokował ojciec.

Popatrzyłam w sufit i nie skomentowałam propozycji, bowiem nasza piwnica była po brzegi wypełniona gratami i trudno byłoby tam szpilkę wcisnąć, a co dopiero maglownicę.

– Muszę zrobić listę zakupów. Przecież ten wiking od Maryli i ten cały Reinhard to oni coś z głową mają i tylko zieleninę jedzą – mruknęła matka.

– Mamo, Einar. Poza tym pieczywo, nabiał i ciasto także spożywają – westchnęłam.

– W dupach się im poprzewracało od tego całego dobrobytu – warknęła matka i wyciągnęła kartkę z szuflady stołu, by sporządzić listę.

Czegóż tam nie było! Oczywiście mięsivo na kolejne świąteczne dni, wędlina, mąka, masło i cukier w ilościach bez mała hurtowych. Na liście znalazły się także owoce, warzywa, cukierki, serwetki, stroiki i świece. Przydałoby się jakieś juczne zwierzę albo trzech roślących facetów, najlepiej przystojnych, żeby to wszystko przytargać do domu. Chciałam zaprotestować, ale nie zdążyłam, bo mama już szykowałą się do wyjścia. Wręczyła mi sześć siatek, swoją listę i poinformowała mnie, że porozmawiamy, gdy już wrócimy z zakupów. Na moje próby wyjaśnienia, iż wówczas będzie już za późno, nie reagowała, zatem należało pogodzić się z losem.

Niczym skazaniec pchałam wózek po posadzce supermarketu, modląc się, żeby mama nie natrafiła na kolejną promocję, obniżkę cenową i inne atrakcje, gdyż istniała obawa, że stanę w miejscu i nie dam rady przesunąć wózka ani o centymetr.

– Mogę wiedzieć, po co nam trzy kilogramy schabu i dwie ogromne wiejskie szynki? Przecież Maryla i jej rodzina nie tykają mięsa – jęknęłam, gdy kolejna promocyjna cena skusiła moją mamusię.

– No oni nie jedzą. To dla Jaśka i Suki – burknęła mama.

– Dla kogo? – zdziwiłam się.

Nie tylko zresztą ja, bowiem jakiś starszy człowiek, niosący w dłoni niewielki koszyczek ze skromną zawartością, zatrzymał się i popatrzył ze zgrozą na kobietę, która karmi psa szynkami i schabem.

– No dla tej jego narzeczonej – warknęła niezbyt przyjemnie i dodała: – O, patrz, ptasie mleczko, dwa w cenie jednego. Wrzuć, ojciec lubi.

Mężczyzna pokręcił głową, ale chyba był mniej zdziwiony nazwaniem przyszłej synowej suką aniżeli dokarmianiem zwierząt podobnym rarytasami.

– Ona ma na imię Mitsuki, mamó – oburzyłam się.

– Mi suki, do suki, też imiona powymyślali – powiedziała stanowczo. – Sukę łatwiej zapamiętać.

Miałam nadzieję, że obdarowana podobnym przydomkiem narzeczoną Jaśka, nie będzie znała znaczenia owego słowa, brat zaś powinien przywyknąć, że rodzice notorycznie wprowadzali swoje nazewnictwo, na przykład auchan nazywając oszołomem, a inny sklep – eklerkiem.

Kiedy zapakowałam zakupy do bagażnika i na tylne siedzenia, wiedziałam, że za jednym razem tych dóbr nie wniesiemy do domu. Nie pomyliłam się.

Wchodząc do klatki z pierwszą porcją nabytych towarów, mama zatrzymała się i powiedziała:

– Poczekaj. Zejdę do piwnicy po korniszony, grzybki i dżem do drożdżówek.

Czekałam cierpliwie, gdy nagle ukazała się mama, a na jej twarzy malowała się złość. Niemal galopem wbiegła na drugie piętro, gdzie mieściło się nasze mieszkanie. O tym, żeby odebrać ode mnie część siatek, chyba zapomniała. Wykrzyknęła od samego progu:

– Zenek, do cholery jasnej, coś ty zrobił?

Ojciec stał właśnie na nieco chyboczącej się drabince i wieszał świeże zasłony. Ryk matki chyba lekko go wystraszył, bo zachwiał się niebezpiecznie i jedynie przytrzymanie się ściany uchroniło go przed upadkiem.

– A czego się tak wydzierasz? Przecież sama mi wyjęłaś te żółte i kazałaś powiesić, a teraz lament wielki – powiedział ze złością.

– Z magłownicą coś zrobił? – zapytała nieco ciszej matka.

– No jak co? Do piwnicy wyniosłem. Zobacz, ile teraz miejsca się zrobiło w pokoju. – Ojciec wciąż nie bardzo rozumiał pretensje swojej połowicy.

– Zagrabiłeś całą piwnicę – wyrzuciła mu.

Nie chciałam się za bardzo wtrącać w tę scysję, ale nasza piwnica już od lat przypominała skup złomu i upchnięta do niej magłownica zapewne nie robiła zbytnej różnicy.

– Jak ja teraz po słoiki sięgnę, jak tam nawet nie ma jak wejść? – dokończyła wywód matka.

– No gdzieś musiałem ją wynieść. Poprosiłem Kazika spod piątki i wytargaliśmy ją na dół. Wielkie mi co. Hanka stanie na magłownicę, bo najmniejsza, i sięgnie ci wszystko, co potrzeba – rozwiązał problem ojciec i dodał ugodowo, żeby nieco udobruchać mamę: – Na ryneczku byłem, trzy komplety światełek na choinkę kupiłem. Tylko piętnaście złotych kosztowały.

– Dobrze, chociaż tyle dobrego. To jak skończysz, zjedziemy do piwnicy po te słoiki. Ogórki mi do sałatki potrzebne – mruknęła mama, nieco uspokojona, że jednak dostanie z piwnicy to, co jej do szczęścia było potrzebne.

\*\*\*

– Musiałabym być zaskrońcem, żeby się tutaj precyzyjnie – powiedziała złowrogo, stojąc w drzwiach piwnicy.

– Chyba zaskrońcem umiejącym latać, bo ogórki to tam wysoko stoją. – Mama wskazała brodą najwyższą półkę drewnianego regału.

– Wejdzie na magłownicę – zawyrokował ojciec.

Z duszą na ramieniu w istocie wdrapałam się na magłownicę, którą to podtrzymali rodzice, i próbowałam sięgnąć z półki słoiki z ogórkami. Szło mi opornie, bo jak na złość znajdowały się w najdalszym kącie regału.

– Nie dam rady, nie sięgnę – jęknęłam.

– Poczekaj! Mam tutaj pogrzebacz, przeciągniesz tym hakiem bliżej i sięgniesz – Ojciec zabłysnął genialnym, w jego mniemaniu, pomysłem.

Nawet nie pytałam, skąd się wziął w naszej piwnicy pogrzebacz, skoro piece zlikwidowano w kamienicy jakieś trzydzieści lat temu, ale wzięłam w dłoń ciężki jak piorun pręt i w istocie przesunęłam dwa słoiki. Wychyliłam się, żeby po nie sięgnąć, i wtedy, kompletnie nie wiem dlaczego, straciłam równowagę i runęłam w jakieś szpargały o różnym stopniu twardości.

– Żyjesz? – zapytała cicho matka.

– Żyję... – jęknęłam. – Ale nie wiem, czy czegoś sobie nie złamałam.

– Poruszaj nogami i rękami – zarządził ojciec.

– Poruszyłam, ale z trudem, bo tutaj ciasno jak diabli – mruknęłam.

– Jak poruszyłaś i nie krzyknęłaś, znaczy niczego sobie nie połamałaś – z ulgą stwierdził ojciec.

Ja byłam mniej pocieszona, bo poobijałam się okrutnie.

– To sięgnij, dziecko, po prodiż, jak już tam jesteś. Z pieczeniem szybciej mi pójdzie – powiedziała mama.

Sięgnęłam po kartonowe pudło i zajrzałam, ale znalazłam jedynie prawidłą do butów i wybrakowane szczotki do czyszczenia skóry. Kolejny karton zawierał niezliczoną liczbę śrubek, gwoździ i kołków do ścian. W siódmym czy ósmym znajdował się prodiż i to dawało mi nadzieję, że wyjdę z tej cholernej piwnicy przed Wigilią.

Weszliśmy na górę. Ja obolała, rodzice pełni triumfu, że udało się wydobyć z tej gra-ciarni i stary prodiż, i słoiki.

Potem ojciec nadal robił porządki w domu, ja zaś zostałam oddelegowana do kuchni, by pomóc matce przy pieczeniu ciast, krojeniu sałatek i gotowaniu bigosu. Miałam wra-żenie, że mama szykuje zapasy na wojnę, która, patrząc na nasze zasoby, powinna po-trwać przynajmniej do wiosny. Nie miałam pojęcia, kto to wszystko zje i czy drobna Mitsuki i wegetariański Knud nie uciekną w popłochu, widząc takie ilości pożywienia. Rodzice jednak uparli się, że wyprawią prawdziwie polskie święta nie tylko, by ugościć swoje dzieci, które z racji pobytu za granicą widywali dość rzadko, ale także z uwagi na gości, których chcieli podjąć bez mała po królewsku.

\*\*\*

Następnego dnia mama wciąż tkwiła w kuchni i zastanawiałam się przez chwilę, czy w ogóle kładła się spać, bo miałam wrażenie, że jak ją o północy zostawiłam przy ku-chence, tak gdy weszłam do kuchni o poranku, mama stała tam nadal, jakby była do niej przyklejona.

– Pojedziecie z ojcem choinkę kupić. Podobno przy oszołomie sprzedają – zarządziła mama.

– Pod marketami to samo gównu sprzedają. Pojedziemy na nasz rynecek – stanowczo odparł ojciec.

Wyruszyliśmy więc z ojcem celem nabycia najpiękniejszej żywej choinki, jakiej świat nie widział, a znał jedynie z opowiadań. Nie powiem, odetchnęłam z ulgą, bowiem przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny zdążyłam zapalać do wszelkich prac kulinarnych żywiolową niechęcią. Martwiła mnie jedynie obecność ojca, wolałabym zakupu dokonać samodzielnie, bo miał w zwyczaju targować się niemiłosiernie, a przy tym równie mocno wybrzydzał na wszelki towar. Nie inaczej było i tym razem.

– No patrz no, jakie to drapaki sprzedają – burknął już na wstępie.

Podszedł do stojącej kobieciny, okutanej grubą chustką z dzianiny i w rękawiczkach bez palców, i zapytał gromko:

– Po ile choineczki pani ma?

– A te większe to po sto pięćdziesiąt, a te mniejsze to po sześćdziesiąt – odparła kobie-ta i pociągnęła nosem, bo zapewne stała pod gołym niebem już kilka godzin, a aura była wyjątkowo niesprzyjająca.

– To chyba razem z panią – warknął ojciec i poszedł do następnego stoiska, gdzie sta-ło dwóch rosnących mężczyzn.

Nie zapytał o cenę, tylko przeglądał choinki od góry do dołu.

– Co pan tak macasz te choiny? To nie babskie cycki, żebyś mi pan drzewka tak mię-dolił – powiedział starszy z mężczyzn.

Przestraszyłam się, bo wiedziałam, że ojciec nie odpuści i za chwilę zacznie się py-skówka.

– Wyleniała to jak stary kocur. Panie, ledwie dotknąłem, a już poleciało pełno igieł. Z zeszłego roku panu zostały czy jak? – zapytał ojciec.

– Sam pan jesteś wyleniały. Choineczki pierwsza klasa. Jak pan tak ciągasz, jakbyś wszy iskał, to wiadomo, że igiełek trochę odpadnie. Ale ceny pan tutaj lepszej nie znajdziesz – ostro odpowiedział handlarz, jak by na to nie patrzeć, żywym przecież towarem.

– Jaka cena, taki towar – nie dawał za wygraną ojciec.

– Idź se pan do lasu i sam sobie chojaka wytnij, a nie łazisz i porządnych ludzi denerwujesz – odpyskował jego kompan.

– A se pojedę i se wytnę, ale takiego badziewia do domu nie wezmę, bo mnie moja żona wypędzi razem z tym drapakiem – burknął ojciec i poszedł dalej.

Miałam złe przeczucia, kiedy z placu wyszliśmy z niczym, a potem sytuacja powtórzyła się na kolejnych dwóch. Na ostatnim byłam wręcz zrozpaczona, bo nie miałam pomysłu, gdzie jeszcze moglibyśmy nabyć drzewko.

– Daj telefon – zażądał ojciec. – Zadzwońię do Mariana. On ma jakiegoś znajomego leśniczego i mówi, że co roku sobie piękne choinki wycina wprost z plantacji. I po taniości.

– Zdaje się, że Marian to zna wszystkich i wszystko ma najlepsze – mruknęłam, bo przyjaciel ojca był wyjątkowo męczącym człowiekiem.

Jawił się jako spec w każdej dziedzinie życia, poczynawszy od łowienia ryb, a na murarce kończąc. Nie miałam jednak żadnych argumentów, żeby nie skorzystać z pomocy Mariana. Przyjaciel ojca mieszkał, w istocie, na łonie przyrody, więc niewykluczone, że gajowego znał i mógł zorganizować choinkę, która zadziwi i Wikinga od Maryli, i Mitsuki od Jaśka.

\*\*\*

Dom Mariana powstał według jego pomysłu i wybudował go sam. Byłam skłonna w to uwierzyć, bo rzadko mi się zdarzało widywać równie dziwaczne budowle. Wieżyczki, przybudówki, balkoniki i nadbudówki tworzyły coś pomiędzy cygańskim pałacem a warsztatem samochodowym. Niektóre elementy prezentowały styl bez mała barokowy, inne zaś kojarzyły mi się z kubistycznymi obrazami Picassa. Marian nazywał to stylem elektrycznym, mając zapewne na myśli styl eklektyczny. Podobnie ubierała się jego małżonka; odnosiłam wrażenie, że wkładała wszystko, co jej się podobało, bez względu na to, czy pasowało do siebie, czy też nie.

Marian, uprzedzony, że przybędziemy w celu zdobycia najpiękniejszej choinki w tym kraju, przywitał nas w drzwiach, w dziwacznej kufajce, z papierosem w zębach i siekierą w dłoni. Wyglądał jak postać żywcem wyjęta z horroru.

– Rozmawiałem już z Jerzym. Idziemy – mruknął.

– A ile ta przyjemność nas będzie kosztowała? – zatrwożył się ojciec.

– E tam. – Marian machnął ręką, na nieszczęście tą, w której trzymał siekiere, przez co o mały włos nie uciął mi dłoni. – Postawię mu pół litra i po kłopotcie.

– To ja dam ci na te pół litra – pospiesznie zapewnił ojciec.

– Dajże spokój, a co to u mnie mało flaszek w barku stoi? Jakaś mu tam wyjmnę i będzie załatwione – odpowiedział Marian, ani przez chwilę nie wyciągając z ust papierosa

i nie zważając na fakt, że o mały włos nie pozbawił mnie kończyny.

Poszliśmy w głąb lasu, który według wskazań kalendarza powinien tonąć w śniegu i dopełniać atmosfery świąt, ale depcząc nadgniłe liście, jakoś nie mogłam za bardzo odnaleźć tego pięknego nastroju. Dodatkowo ciemne chmury zabierały resztki popołudniowego światła i las prezentował się dość złowrogo.

Szliśmy jakieś dwieście lat. Nie wiem, jak ojciec z Marianem, ale ja miałam buty kompletnie przemoczone. W końcu nasz przewodnik oznajmił, że oto jesteśmy w choinkowym rajcu i możemy sobie wybrać najpiękniejsze drzewko, jakie się w nim znajduje.

Ojciec nie zastanawiał się zbyt długo, zapewne dlatego, że chciał dopełnić dzieła wycięcia świerku przed zmrokiem, i panowie przystąpili do pracy. Na pytanie, czy drzewko mi się podoba, zdołałam jedynie pokiwać twierdząco głową, bo miałam mokre stopy i byłam przemarznięta do szpiku kości. Odnosiłam wrażenie, że z zimna dostałam szczękościsku i jeśli otworzę buzię, nie będę już w stanie jej zamknąć. Poza tym choinka była naprawdę piękna, chociaż moim zdaniem zbyt okazała.

Po kolejnych dwustu latach dotarliśmy do posesji pana Mariana i umiejscowiliśmy drzewko na dachowym bagażniku. Zajęło nam to mnóstwo czasu, bowiem dorodna choinka przykryła prawie cały mój samochód, a nie tylko dach. Nie miałam pojęcia, jak w takich warunkach będę prowadziła. Na moje wyraźne prośby panowie nie reagowali, więc zrobiłam się bardziej stanowcza. Marian więc mocniej ścisnął gałęzie sznurkiem i rzeczywiście drzewko już tak bardzo nie przeszkadzało, przypominając swoim wyglądem zwinięty w rulon dywan, a nie choinkę.

Chociaż nie było mrozu, czułam się tak, jakbym cała zeszywniała z zimna, i czekałam, aż zostaniemy uraczeni szklanką gorącej herbaty. Pan Marian jednak, z reguły gościnny wręcz niewiarygodnie, tym razem nie zaprosił nas do siebie, tylko nerwowo się rozglądał i sprawiał wrażenie, jakby chciał, żebyśmy czym prędzej opuścili jego posesję.

Tak też uczyniliśmy i wówczas wpadło mi do głowy, że ów znajomy kolegi ojca, niejaki gajowy Jerzy, jest jedynie wytworem bujnej wyobraźni Mariana, a my najzwyczajniej w świecie dokonaliśmy nielegalnej wycinki drzewka. Z duszą na ramieniu wjeżdżałam do miasta, zwłaszcza że ogromna choinka jednak nieco zwisała z dachu samochodu i skutecznie zasłaniała mi połowę przedniej szyby, chociaż widoczność miałam zdecydowanie lepszą niż podczas pierwotnej wersji montażu świerka na dachu.

Z ulgą zaparkowałam samochód przed naszą kamienicą, ale myśl, że musimy wtargać to drzewko na drugie piętro, doprowadzała mnie do lekkiej paniki. Na szczęście ojciec skorzystał z pomocy uczynnego sąsiada, tego samego, który przed południem taszczył z ojcem magłownicę do piwnicy. Doszłam do wniosku, że niebawem ów miły człowiek zacznie nas unikać, bo przy pomysłach mojej rodziny nadwyreży sobie kręgosłup albo dorobi się przepukliny.

Już na klatce miałam złe przeczucia, w pomieszczeniu bowiem choinka wydawała mi się dużo większa niż w lesie. A kiedy panowie mieli problem, żeby wykręcić z drzewkiem w przedpokoju, przeczucie zamieniło się w pewność.

– Święci pańscy! – krzyknęła mama niemal od progu i dodała z sarkazmem: – Większych nie było?

– Za mała? – zdziwił się ojciec.

– Jaka mała?! Czy wyście zdurnieli, czy oślepli? Przecież jak postawisz tego chojaka w pokoju, to stół chyba rozstawimy na balkonie! – warknęła matka.

– Idź do kuchni – ostro odpowiedział ojciec, zdegustowany faktem, że zamiast zachwyty w głosie mamy, usłyszał kolejny raz krytyczną uwagę.

Mama знаła dobrze swojego małżonka i wiedziała, kiedy przestać się odzywać, więc bez słowa wycofała się do kuchni. Ojciec z sąsiadem umieścili choinkę w stojaku, przez co wydawała się jeszcze wyższa, a ja chyba pierwszy raz byłam zadowolona, że w naszej kamienicy sufit znajduje się na wysokości trzech metrów.

– No to, córcia, rozcinaj sznurki. Będzie pięknie – powiedział ojciec z rozrzewnieniem.

Podeszłam niepewnie do drzewka, z krawieckimi nożycami mojej matki w dłoni, i przecięłam gruby sznurek podarowany nam przez Mariana, którym ścisnęliśmy gałęzie choinki na czas transportu. Od razu pierwsza gałąź chlasnęła mnie w twarz, niemal wydłubując mi oko, resztę ceremonii zaś odbierałam jedynie zmysłem węchu i słuchu. Do moich uszu dotarły dźwięki tłuczonego szkła i łoskot przewracających się mebli. Po chwili zobaczyłam wśród gałęzi ojca, próbującego poprawić sobie okulary, które rozłożysta gałąź zsunęła mu z nosa.

Rozejrzałam się i oceniłam straty. Ze ściany spadł obraz, ale nic mu nie było, zresztą nie należał do jakichś szczególnych dzieł sztuki, i pobiły się trzy fajansowe figurki stojące na komodzie. Przewróciły się także dwa krzesła i stolik kawowy, na szczęście drewniany, a nie szklany.

– Stary baran i młoda kretynka – usłyszałam z oddali głos matki.

Nie mogłam nawet zaprzeczyć, bo w istocie rozłożyste gałęzie świerku zajęły niemal pół pokoju, który do najmniejszych nie należał. Ta choinka była po prostu ogromna. Nie miałam pojęcia, co zrobić.

– Piękna jest – zawyrokował ojciec i nawet nie słuchał matki, że owo drzewo należy pociąć i wynieść na raty do śmietnika, bo w całości nie damy rady, a następnie nabyć nową, normalnej wielkości choinkę.

Nie pomogły też moje tłumaczenia, że w lesie ten świerk nie prezentował się tak okazale, jak w pokoju. Owszem, wydawał mi się duży, zwłaszcza po ulokowaniu go na dachu samochodu, jednak pomyślałam jedynie o długości, którą zawsze można było zmniejszyć przy pomocy siekiery, natomiast rozłożystymi gałęziami nie przejmowałam się wcale.

– A skąd ty tyle bombek weźmiesz? – zapytała złośliwie mama, kiedy uznała, że i tak nic nie wskóra i drzewko, a raczej drzewo, pozostanie.

– Kupi się, kupi. Widziałem w promocji, po sześć złotych za dziesięć sztuk. Kupi się z osiem kompletów i powiesi. I jeszcze dwa komplety tych lampek dokupię i też się powiesi, i złodziejekę do kontaktów trzeba – wyliczał ojciec.

– Ty się lepiej sam powieś na tym chojaku – mruknęła matka i powróciła do kuchni.

\*\*\*

Następnego dnia po południu matka nieco się udobruchała, bo pięć kompletów światełek i osiem pudełek bombek sprawiło, że choinka w istocie wyglądała przepięknie, nawet jeśli owe ozdoby były nieco tandetne. Do tego zawisły na niej błyszczące łańcuchy choinkowe i anielski włos. Drzewko roztaczało wokół żywiczny aromat, a gdy do-

szyły do tego zapachy wydobywające się z kuchni, od razu atmosfera zrobiła się naprawdę świąteczna. Ojciec dokonał także stosownych pomiarów i wyszło mu, że stół, pożyczony od sąsiadów, zmieści się bez kłopotu, chociaż jedno z krzeseł będzie musiało stać między gałęziami. Uznaliśmy, że tam posadzimy małego Einara, któremu z racji wzrostu zwisająca gałąź nie będzie przeszkadzała za bardzo.

Stół należało już ustawić, bo życzliwi sąsiedzi wyjeżdżali do krewnych i następnego dnia już nie mielibyśmy dostępu do umeblowania. Zapewne tylko dlatego pożyczyci nam te dobra z jadalni. Jak to mówiła mama: „Trafiło nam się, jak ślepej kurze ziarno”.

Wigilia miała być nazajutrz, Jasiek z Mitsuki lądowali wieczorem na Okęciu, zaś Maryla z rodziną następnego dnia. Pozostał nam więc ostatni akord, a mianowicie nabycie prezentów, którą to czynność zostawiliśmy sobie na koniec. Ojciec miał nadzieję na duże obniżki, ja łudziłam się, że sklepy nieco opustoszeją, a mama uznała, że podarunki stanowią najmniej palący problem, najważniejsze bowiem było jej zdaniem jedzenie.

Dlatego uznałam, że ostatniego dnia będzie w sklepach mniej ludzi, nie mam pojęcia. W każdym razie połowa miasta wpadła na podobny pomysł i wszędzie kłębiły się tłumy, zaś na parkingu na miejsce należało po prostu polować. Ojciec wysiadł tuż przy wjeździe i postanowił, że jak tylko zobaczy samochód opuszczający stanowisko parkingowe, po prostu stanie na nim i poczeka, aż podjadę.

Okrążywszy bez mała z dziesięć razy cały parking, dopadłam w końcu wolne miejsce, niestety, znajdujące się na dalekich tyłach parkingu. Byłam jednak z siebie zadowolona, gdyż cała operacja zajęła mi jedynie dwadzieścia minut. Wysiadłyśmy z mamą z auta i od razu pojawił się kolejny problem, bo teraz musiałyśmy odnaleźć ojca, co mogło okazać się daleko trudniejsze. Po półgodzinie byłyśmy półżywe i właściwie gotowe na to, by powrócić do domu i nieco odpocząć. W końcu usłyszałyśmy jakąś awanturę i od razu przyszedł nam do głowy ojciec, który zapewne bronił znalezionej miejsca sumienniejsz niż kustosze *Damy z łasiczką*.

Faktycznie ojciec stał na jednym ze stanowisk parkingowych, zziębnięty i wystraszony, a jakiś jegomość, siedzący tuż obok w pojeździe, wyklinał na czym świat stoi, strasząc przy tym ojca, że go przejedzie, a i tak zajmie okupowane przez niego miejsce. Od razu poczułam magię świąt. Radości, wzajemnej życzliwości i miłości ogarniającej bez mała cały świat.

Ojciec był tak zaciętrzewiony i zniesmaczony zachowaniem kierowcy, że za nic w świecie nie chciał opuścić swojego posterunku. Przez kolejne pięć minut przekonywałam go, że jego doniosła misja się zakończyła i możemy ruszyć na poszukiwanie podarunków. Opuścił, ale nie był do końca przekonany, czy aby na pewno dobrze robi.

Najważniejszy był Einar, z racji wieku, więc pierwsze kroki skierowaliśmy do sklepu z zabawkami. O święci pańscy, co tam się działo, tego nie da się opisać! Ludzie z trudem przepychali się między półkami, dotykali, oglądali, próbowali i głośno dywagowali, czy lepiej kupić synkowi wóz strażacki, czy może szkolny autobus. Inny człowiek otwierał bezlitośnie pudełka z klockami Lego i zaglądał do środka. Nie wiem po co, może chciał przeliczyć, czy naprawdę w środku znajduje się osiemset piętnaście elementów. Jego niecny proceder został jednak dostrzeżony przez obsługę sklepu, wybuchła awantura jakich mało i w końcu skrupulatny tatuś został wyprowadzony przez ochronę, jak złodziej. Na nic zdały się tłumaczenia, że chciał jedynie sprawdzić, czy



istotnie w środku znajdują się klocki, a nie na przykład cegła albo stare gacie. Zapytany, skąd takie podejrzenia, skoro pudła były fabrycznie zapieczętowane, oznajmił, że jak na swoją wielkość były zbyt lekkie.

Przystąpiliśmy do szturmu. Mama przytulała do piersi torebkę, niczym najczulsze dziecko, zapewne dlatego, by nie kusić złodziei, ja zaś dzielnie parłam przed siebie, udając, że ten rzucający przekleństwami człowiek, czyli mój ojciec, nie jest mi postacią znaną.

– Pani, przesun się pani trochę, stanęłaś pani, jak Kolumna Zygmunta i przejść nie można, cholera ciężka – warczał tato, ocierając pot z czoła.

Spuściłam głowę i czekałam na ciąg dalszy, bowiem kobieta rzeczywiście wyglądała jak kolumna, a raczej jak okazały postument o rozmiarach dwóch metrów w każdą stronę. W starciu bezpośrednim mój tata byłby bez szans. Na szczęście kobieta bez słowa przesunęła się nieco i przeszliśmy na dział ze sprzętem sportowym. Einar co prawda miał dopiero sześć lat, ale fascynował się futbolem. Ojciec upierał się przy stroju do piłki nożnej, z numerem Cristiano Ronaldo, twierdząc, że wszystkie dzieci kochają Ronaldo, więc na pewno Einar również. Kwestia była kontrowersyjna, bo jeśli maluch był fanem Barcelony, koszulka z konkurentem mogła okazać się niezbyt trafionym prezentem. Debatowaliśmy tak kilkanaście minut, rozważając wszystkie kandydatury piłkarskie, gdy mama w końcu się rozżłościła.

– Wymyślcie i wymyślcie! Wracamy na samochody. Każdy chłopak je lubi – zarządziła i zaczęła z powrotem przepychać się do regałów z samochodzikami.

W końcu, po niemal półgodzinnej awanturze, czy mali chłopcy wolą pojazdy wyścigowe, czy ciężarówki, kupiliśmy jeden z dwóch, jakie pozostały na półce. Nie był ani wyścigowy, ani ciężarowy, tylko zupełnie normalny – osobowy.

Kolejka do kasy oplatała trzy kosze ze skarpetami, czapkami baseballowymi i zestawami do zabawy w piaskownicy. Z tego zmęczenia o mały włos, a zapomnielibyśmy o zakupie baterii, wszak ów pojazd dla Einara był zdalnie sterowany i należało takie coś nabyć, ponieważ producent nie pomyślał, żeby dołączyć je do zestawu. Ojciec nie omieszkał tego skomentować w ostrych słowach i skierował je do Bogu ducha winnej kasjerki, która najwyraźniej już przywykła do podobnych komentarzy, bo wywody ojca skwitowała wzruszeniem ramion, co jeszcze bardziej go rozżłościło.

Do następnego sklepu – drogerii – wszedł już z zaczerwienioną twarzą i ściśniętymi w linijkę ustami.

– Za dwieście złotych to można byłoby im stół kupić, a nie jakieś małe buteleczki z pachnidłami – zdegustował się cenami wód kolońskich.

– Tato – jęknęłam. – Oni samolotami przylecą, przewiezienie tego stołu kosztowałoby ich trzy razy więcej, niż on wart.

– Nie w tym rzecz. Po prostu nie rozumiem, jak można wydawać taką kupę forsy na coś takiego. Wystarczy się myć porządnie, a nie spryskiwać perfumami – komentował.

Stojące przy regale kobiety patrzyły jedna na drugą, po czym dyskretnie odchodziły, bojąc się najwyraźniej, że zostaną posądzone o brak higieny. Miało to tę dobrą stronę, że nie musiałam się przepychać między ludźmi, by sięgnąć po wodę dla Maryli i Jaśka. Dobrze wiedziałam, co kupić, ponieważ od lat używali tych samych zapachów i gdy tylko spędzali z nami święta, zawsze znajdowali je pod choinką, podobnie jak mój ojciec

skarpetki i krawaty, a mama apaszki.

Gorzej prezentowała się kwestia Knuda i Mitsuki. Usiedliśmy na ławkach w galerii i rozpoczęliśmy naradę.

– Temu Knutowi to liść sałaty damy i też będzie się cieszył, jak on taki miłośnik ziele-  
niny – zarechotał ojciec.

– Nie wydurniaj się, Zenek. Sprawa jest poważna – zrugła go matka.

– Nie panikujcie... Kupimy im jakieś nasze, regionalne rzeczy. Obrus w łowickie wzory, ciupagę, no takie tam – powiedziałam.

– Ciekawe, gdzie tutaj ciupagę kupisz – prychnął ojciec.

Przewróciłam oczami. Rodzice brali wszystko zbyt dosłownie. Jednakże była w stwierdzeniu ojca odrobina prawdy. Kupić można było wszystko, ale żeby było coś naszego, polskiego, to nie. Jedyne, co nam zaproponowano w jednym ze sklepów, to szalik kibica i polską flagę. Była w promocji i ojciec już miał ochotę ją nabyć, ale przekonałam go, że flaga jako prezent gwiazdkowy nie jest najlepszym pomysłem.

Skończyło się na ramkach do zdjęć, które tyle miały wspólnego z naszym krajem, że ozdobione były słonecznikami, aczkolwiek było to mocno naciągana teoria, bo owe rośliny rosną nie tylko w Polsce.

Tuż po skończonych zakupach zaterkotał w mojej kieszeni telefon. Być może dzwonił już wcześniej, ale na tym zakupowym polu bitwy nie słyszałam własnych myśli, a co dopiero dzwonka komórki. Przekrzykując gwar galerii handlowej, rozpoczęłam rozmowę z Jaśkiem. Coś tam się porobiło z połączeniami lotniczymi i koniec końców on i Mitsuki również mieli przylecieć w dzień Wigilii, tak jak Maryla z Knudem i Einarem. Mama się trochę zmartwiła, ale ojciec jak zwykle znalazł pozytywny aspekt całej sprawy.

– Zawsze to jeden dzień do przodu – mruknął.

Ja tymczasem byłam zrozpaczona. Wszyscy i tak nie pomieściliby się w samochodzie, więc czekał mnie powtórny przejazd na Okęcie w dniu Wigilii. Jasiak miał wylądować o dziesiątej rano, zaś Maryla piętnaście minut później. Zatem i tak ktoś musiał poczekać, co kompletnie burzyło nam uroczyste przywitanie.

Kilka minut później zadzwoniła Maryla i odetchnęłam z ulgą, bo zakomunikowała, że oni po prostu wezmą taksówkę i wszyscy razem dotrzemy do domu.

Objuczeni zakupami i dość zadowoleni z prezentów, zupełnie straciliśmy orientację. Odnalezienie samochodu na ogromnym parkingu zajęło nam ponad kwadrans, co, wzięwszy pod uwagę wielkość tego miejsca, i tak można było uznać za sukces.

Kiedy dotarliśmy do domu, przez niemal dwie godziny nie zrobiliśmy kompletnie nic. Nawet nie rozmawialiśmy ze sobą, zbyt zmęczeni wędrówką po sklepach.

– Jak te baby tak mogą po tych sklepach biegać? Wciąż i wciąż... I jakie jeszcze zadowolone, jakie szczęśliwe. Przecież to trzeba mieć nierówno pod sufitem – w końcu odezwał się ojciec.

– Zazwyczaj nie ma tylu ludzi – odpowiedziałam bez specjalnego przekonania, bo sama nie byłam w stanie zrozumieć czerpania przyjemności z chodzenia po sklepach.

– Trzeba by jaki dostęp do balkonu zrobić. Przecież mnie się te wszystkie wiktuały do lodówki nie zmieszczą – westchnęła mama.

– Podobno sąsiedzi nową lodówkę kupili, taką podwójną. Można by u nich przecho-

wać – zaproponowałam ostrożnie.

– Zwariowałaś! Oni to na pewno zjedzą. Oni zjedzą wszystko, co mają pod ręką. Nie po to stałam trzy dni przy garach, żeby obcych karmić – oburzyła się mama.

W istocie, nasi sąsiedzi, co tu dużo mówić, byli okropnymi żarłokami i nikt w ich rodzinie nie ważył mniej niż sto kilogramów, nawet dwunastoletni dzieciak. Łudziłam się jednak, że za cudze by się nie brali, bo nie wypadało. Moja mama nie była tak ufna, jak ja i mój odpoczynek tego dnia się zakończył. Kolejny raz przestawialiśmy meble w pokoju, bo ogromna choinka i pożyczony stół skutecznie zagrąciły pomieszczenie.

Zanim dokonaliśmy dzieła, które umożliwiło otwarcie drzwi balkonowych, byłam na wpół żywa i odmówiłam uczestniczenia w tworzeniu stołowych i ściennych dekoracji. Uważałam także, że rodzice nieco przesadzają z ozdobami, ponieważ zawiesili stroik nawet w toalecie, mocując go gumową przyssawką do rezerwuaru. Nie zabrakło też czekoladowych Mikołajów, rozstawionych na segmencie, ozdobnych świec na komodzie i świerkowego wieńca, przybitego gwoździem do drzwi wejściowych. Mama nieco psioczyła na ojca, że zniszczył drzwi, ale ojciec jedynie wzruszył ramionami, bowiem w piwnicy leżały inne. Nowe i nieużywane, nabyte niegdyś w wielkiej promocji. Tych starych jednak było szkoda, bo całkiem nieźle się trzymały, ale może ojciec znalazł pretekst, by po świętach je wymienić.

Przygotowania do świąt zawsze były bardzo męczące, ale tym razem wydawało mi się, że te przebiły wszystko. Nic nie zapowiadało także, że w czasie ich trwania poleniuchuję, ponieważ ktoś musiał obsłużyć to całe zagraniczne towarzystwo, a na rodzeństwo nie liczyłam. W końcu przyjechali w gości, a nie stać przy zlewie czy nakrywać do stołu. Poza tym mama miała bardzo skrupulatnie opracowany plan wydawania posiłków i nawet ja musiałam z godzinę go studiować, żeby wszystko dobrze zapamiętać. Zwłaszcza że ów plan przewidywał spożywanie posiłków niemalże co pół godziny. Jedynie zimne przekąski i sałatki miały gościć na stole przez cały czas.

Poza tym całym zamieszaniem przedświątecznym wciąż byłam obolała po upadku z maglownicy i nawet nie cieszyłam się, że zobaczę dawno niewidzianą siostrę i jeszcze dawniej niewidzianego brata. Mama jeszcze coś robiła w kuchni i miałam wrażenie, że jedynie święta mogą ją powstrzymać od gotowania, a ojciec wciąż manewrował przy kontakcie, usiłując wpiąć dwie złodziejki naraz. Rezygnacji z któregoś kompletu świeatełek odmówił kategorycznie.

\*\*\*

W dniu Wigilii zostałam obudzona o świcie i ojciec zakomunikował mi, że musimy natychmiast jechać na lotnisko, w przeciwnym razie możemy się spóźnić i będzie blamaż. Poprosiłam jeszcze o godzinę drzemki, bo zerkając na zegarek, stwierdziłam, że pora jest stanowczo zbyt wczesna i koczowanie przez trzy godziny na lotnisku wcale mi się nie uśmiecha. Ojciec zgodził się, bo zapewniłam go, że nawet jeśli spotka nas coś nieprzewidzianego na drodze, to przecież nic się nie stanie, jeśli Jasiek z Mitsuki poczekają kilka minut. Nie mówiąc o tym, że odprawa też zapewne chwilę potrwa. Tata chyba dał się przekonać, bo zostawił mnie w spokoju. Na jakieś piętnaście minut. Ponownie rozpoczęłam negocjacje, ale w końcu machnęłam ręką i stwierdziłam, że po tych konwersacjach jestem już całkowicie rozbudzona.

Przed wyjściem ojciec sprawdził jeszcze, czy pokój i ogromna choinka wyglądają wystraszająco efektownie, po czym opuściliśmy mieszkanie i udaliśmy się na lotnisko. Zgodnie z moimi przewidywaniami czekaliśmy jeszcze prawie dwie godziny, zanim ukazał się na tablicy świetlnej napis, że samolot wylądował. Dziękowałam niebiosom, że się nie spóźnił, bo krążenie bez celu po terminalu zaczynało mnie nużyć. Nawet nie mogłam sobie posiedzieć w spokoju, bo ojciec już pół godziny przed przylotem nakazał nam się ustawić tuż przy lustrzanych drzwiach, w których to niebawem mieli się ukazać Jasiek i Mitsuki. Miałam tylko nadzieję, że ojciec nie przygotował żadnego transporentu ani innych powitalnych niespodzianek.

Po ujrzeniu w drzwiach brata i jego drobnutkiej narzeczonej, sięgającej mu zaledwie do ramienia, odetchnęłam z ulgą. Ojciec oczywiście musiał od razu skomentować wygląd Mitsuki, bo zapewne w życiu niewiele spotkał Japonek.

– Co oni ich tam nie karmią, w tej Ameryce? – mruknął. – Przecież z taką to strach do łóżka iść.

– Cicho... – upomniała go matka. – Może naprawdę zakochał się w tej Suce.

– Przestańcie oboje, bo spalę się za chwilę ze wstydu – warknęłam.

– Przecież nie zrozumie – zarechotał ojciec, ale zaraz zamilkł, bo rozpoczęło się witanie i uściski.

Poczekaliśmy jeszcze na Marylkę, Knuda i Einara, którzy wsiedli do zamówionej przez nas taksówki, i ruszyliśmy do domu.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zaczęliśmy wypakowywać bagaże naszych gości i z przerażeniem patrzyliśmy na przepastne walizy Marylki. Nagle usłyszałam rozdzierający krzyk mamy:

– Pali się, nasz dom się pali!

Odruchowo spojrzałam w górę i zobaczyłam kłęby dymu wydobywające się z rozbitej szyby balkonowej, która zapewne uległa wysokiej temperaturze i po prostu pękła.

– Co, do licha...? – wymamrotał ojciec i niczym sprinter ruszył w kierunku klatki schodowej.

Pobiegłam za ojcem, a za mną Jasiek i Maryla, pozostawiając na podwórku mamusię z nieco oszołomionymi gośćmi z zagranicy.

Drzwi do naszego domu stały otworem, a wewnątrz mieszkania sąsiedzi walczyli z pożogą, używając do tego celu samochodowych gaśnic, koców i wiader z wodą. Wszędzie unosiły się kłęby dymu, śmierdziało spalonym plastikiem, a pod nogami chlupała nam woda.

– Tato, wyłączyłeś te swoje chińskie lampeczki przed wyjściem?

– Psia krew – mruknął ojciec i zaczął oceniać straty.

– Straży nie wzywaliśmy, bo sami daliśmy radę, tylko drzwi trzeba było wyważyć. I bezpiecznik wyłączyliśmy, chyba zwarcie było – powiedział jeden z sąsiadów, ocierając z czoła pot. Po chwili dodał: – Ale macie święta...

Kolejny raz tego dnia dziękowałam niebiosom, tym razem za czujnych i sprytnych sąsiadów, bowiem ucierpiał jedynie pokój stołowy. Meble były osmalone, stół połamany, bo któryś z domorosłych strażaków wszedł na niego, by ugasić trawioną ogniem choinkę, z której zostały jedynie czarne kikuty ze stopionymi ozdobami. A ponieważ należał do klanu żarłoków, stół nie wytrzymał i poległ pod ciężarem osobnika. Ojciec od razu

orzekł, że zachwalany przez sąsiadów mebel jest zwykłym badziewiem. Chciałam ironicznie dodać, że nie ma to jak chińska jakość, o czym dobitnie świadczyło spustoszenie, jakiego dokonały lampki w naszym domu, ale milczałam, obserwując pobojowisko wokół. Zasłon i firan nie mieliśmy wcale, a przez wybitą w drzwiach balkonowych szybę docierało do wnętrza zimne, grudniowe powietrze. Kanapy i krzesła, obite materiałem, także nie nadawały się do użytku.

Przez chwilę patrzyłam czujnie na ojca, bo obawiałam się, że dostanie załamania nerwowego, ale zachował zimną krew i zaordynował:

– Miała być Wigilia i będzie. Gości pozamykaj w ich pokojach, niech odpoczną, a my zabieramy się za sprzątanie. Ty i Marylka powycierajcie podłogę i wynieście na klatkę, co się da, a my z Jaśkiem poszukamy w piwnicy potrzebnych rzeczy.

Wkrótce mama weszła na górę i ulokowała gości w pozostałych pomieszczeniach, cały czas powtarzając jedyne jej znane po angielsku słowo, „good, good”, co w jej wykonaniu brzmiało, jak „God”, ale w zaistniałej sytuacji goście nie byli zanadto zdziwieni wzywaniu przez nią Boga. Nie zdążyła też popaść w histerię, tylko z niespotykaną werwą ruszyła nam z pomocą przy porządkowaniu domostwa.

Po kilku godzinach galernicznych wysiłków pokój był gotowy na wigilijną wieczerzę. W oknie zamiast szyby spoczęły lakierowane drzwiczki od starego kredensu, które z niewiadomych mi powodów znajdowały się w piwnicy, zaś w charakterze stołu wystąpiły drzwi wejściowe, wsparte na kubłach ze starą farbą, zapewne już zaschniętą i nienadającą się do wykorzystania. Krzesłami zaś były wszelkiego rodzaju poduszki i jaśki, na których można było przybrać pozycję dowolną. Okazały świerk, który najpewniej był przedmiotem przestępstwa, wylądował na śmietniku, zaś na małym stolczku, przyniesionym z mojego pokoju, stanęła nasza stara, pocziwa sztuczna choinka, na której zawisała jedna, ocalała z pożaru bombka.

Nie było czasu na rozpaczanie, jedzenie stało nienaruszone w lodówce i na balkonie, nie wszystko w pokoju poszło z dymem i należało przygotować Wigilię, bo nikt z naszej rodziny nie wyobrażał sobie innego scenariusza tego dnia.

– Matko Boska! – usłyszałam głos matki.

Przeraziłam się, że co najmniej odkryła trupa we wnękowej szafie w przedpokoju, gdzie gmerała, szukając odpowiedniego obrusu na nasz prowizoryczny stół, zrobiony z drzwi. Musiał być na tyle duży, żeby przysłonić brudne kubły z farbą, i na tyle mały, by nie pałętać się po podłodze. Oczywiście obrus, nie trup.

– Co się stało? – Obie z Marylą wybiegłyśmy w panice do przedpokoju, niemal zderzając się w wejściu do pokoju.

– A ciotka? Na śmierć o niej zapomniałam. Miałaś po nią jechać już godzinę temu. Aż dziw, że jeszcze nie dzwoni. To dopiero nas obgada w rodzinie, jak ją usadzimy przy leżących drzwiach, zamiast przy stole. I na dokładkę, że za późno po nią pojechaliśmy.

– Jak jej się nie podoba, to może przecież do swojej córki pójść – prychnęła Maryla.

Już od wielu lat uważała, że konflikt ciotki Heli z jej córką jest wyolbrzymiany. Cóż z tego, kiedy osiemdziesięcioletnia ciotka była równie uparta, co jej sześćdziesięcioośmioletnia córka.

Chwyciłam kurtkę i kluczyki, po czym wybiegłam do samochodu, słysząc jeszcze na odchodnym krzyk mamy:

– Przygotuj ją jakoś na to, co zobaczy!

Łatwo powiedzieć. „Jeśli ciotka nie założy swojego aparatu słuchowego, o czym notorycznie zapomniała, przez całą drogę będę musiała wykrzykiwać komunikaty i w dodatku odpowiadać na jej dociekliwe pytania” – pomyślałam z trwogą.

W tempie błyskawicy dotarłam do mieszkania ciotki i zadzwoniłam domofonem. Zapadł już zmierzch i wszędzie czuć było atmosferę nadchodzącej Wigilii. Weszłam po schodach, na szczęście był to parter, i ujrzałam w drzwiach nieco zde gustowaną ciotkę.

– Coś ty tyle czasu robiła? Zgrzałam się w tym futrze i kozakach – warknęła na powitanie.

– To po co ciocia w futrze siedziała? – zapytałam zdziwiona, bo spóźniłam się półtorej godziny.

Chyba nie dosłyszała, a jedynie domyśliła się, co chciałam powiedzieć.

– Czekałam, nie opłacało mi się nawet futra zdejmować – mruknęła i dysząc, zeszła ze schodów. Wsiadła do samochodu i burknęła: – A czegoś się tyle spóźniła?

– Ciociu, mieliśmy drobne problemy... – powiedziałam cicho.

– Że co? No, mówże głośniej, bo coś mamrociesz tam pod nosem – strofowała ciotka.

– Problemy – powtórzyłam głośniej.

– Nie wylądował? Samolot? – zapytała gromko.

– My mieliśmy problemy! – wrzasnęłam.

– A... – Ciotka pokiwała głową. – A jakie problemy? Nie wylądował samolot?

– Wylądował! – ryknęłam. – Pokój nam się spalił!

– Spóźnił się? No, one to często się spóźniają.

– Nie spóźnił, tylko się spalił! – krzyknęłam kolejny raz, nie tracąc cierpliwości.

– Samolot? – zdziwiła się ciotka.

– Pokój! – wrzasnęłam tak głośno, że chyba usłyszeli mnie kierowcy stojący obok na światłach.

– Pokój się spóźnił? Co ty mi tu jakieś głupoty opowiadasz? – obruszyła się ciotka.

– Ciociu, nasz duży pokój się spalił! – ryknęłam raz jeszcze.

– Jak się spalił? A co się stało? – zapytała ciotka.

– Tato nie wyłączył światełek na choince i było zwarcie, i tak poszło. A myśmy wtedy na lotnisko pojechali! – powiedziałam, wciąż wydobywając z siebie głos o odpowiedniej sile.

– A po co ojciec robił ognisko przy choince? No już całkiem mu się w głowie pokręciło – mruknęła ciotka.

– Nie ognisko, tylko lotnisko. My byliśmy po Jaśka i Marylę, a w domu było zwarcie!

– Aha... – Pokiwała głową i zapytała: – Jakie gacie?

– Zwarcie! Od elektryki!

Ciotka jeszcze próbowała mnie pytać o „byki” i „wnyki”, ale nie odpowiedziałam, bo dojechałyśmy do naszej kamienicy i musiałam ciotkę niemal na własnych plecach doholować na drugie piętro. Biorąc pod uwagę zarówno jej gabaryty, jak i futro, które miała na sobie, rzecz nie była taka prosta. Niestety, nie zdołałam jej do końca wytłumaczyć, co się stało, ale grunt, że została poinformowana o pożarze, który strawił nam dobytek w salonie i choinkę, którą nielegalnie wycięliśmy w lesie.

– O, nowe drzwi – zauważyła, sapiąc ciężko.

– Tak, musieliśmy zmienić, bo w tamtych sąsiedzi zamek wylamali – powiedziałam dość głośno, ale nie bardzo chciałam wydzierać się na klatce schodowej, i to w takim dniu.

– Włamali się do was? I co wam ukradli? – dopytywała, gdy czekałyśmy, aż ktoś łaskawie nam otworzy.

Mogłabym powiedzieć, że stół, krzesła i kanapy, ale ślady pożaru były aż nazbyt widoczne, ciotka zaś miała problemy ze słuchem, ale wzrok jej nie szwankował. Pomogłam jej zdjąć ciężkie futro z karakułów, od którego wygiął się wieszak w korytarzu, i wprowadziłam ją do pokoju. Jako jedyna miała do dyspozycji fotel, z uwagi na jej słuszny wiek, ale dostęp do zastępczego stołu nieco utrudniony. Stanęła jak wryta, spoglądając na siedzących, niczym na biwaku, członków rodziny. Mitsuki przybrała pozycję gejszy, mały Einar właściwie stał, bawiąc się klamką wystającą z prowizorycznego stołu, której nie wiadomo dlaczego ojciec nie odkręcił, a reszta siedziała po turecku.

– Co to ma być? – zapytała w końcu, gdy wyszła z lekkiego szoku.

– Nie powiedziałaś jej po drodze? – teatralnym szeptem zapytała mamusia.

– Możesz mówić normalnie, nie założyła aparatu, nic nie słyszy – powiedziałam spokojnie.

Ojciec z matką przekrzykiwali się, próbując wyjaśnić ciotce zastaną sytuację. Ta kiwała głową, ale byłam pewna, że połowy nie dosłyszała i już ułożyła sobie w głowie własną interpretację. Jakby na potwierdzenie moich podejrzeń ciotka, kiedy tylko usiadła w fotelu, stwierdziła z wyrzutem:

– A mnie powiedziała, że Zenek ognisko rozpałił, a samolot nie wylądował.

Nie zamierzałam tłumaczyć się z owych słów, których wcale nie wypowiedziałam.

– Jakaś dziwna ta ich japońska tradycja – mruknęła ciotka Hela i spojrzała potępiającym wzrokiem na Mitsuki. – Żeby dla suki palić dom...

Znowu rozległy się podniesione głosy, bo każdy pragnął wytłumaczyć ciotce, że nikt domu nie palił, pożar był dziełem przypadku, a wszyscy taktownie pominęli nazwanie narzeczonej Jaśka suką. Co do dzieła przypadku trochę może przesadziliśmy, gdyż ów nieszczęsny pożar wyniknął bardziej z niefrasobliwości tatusia. Nie było jednak sensu wyjawiać tego ciotce, bo przez resztę wieczoru nazywałyby ojca starym durniem i głupcem bez wyobraźni.

Rozpoczęliśmy wieczerzę wigilijną, uprzednio dzieląc się opłatkiem. Z uwagi na nieznamość języka przybyłym gościom życzenia gremialnie złożył ojciec, mówiąc: „Mery Chrystus”, ale pozostali nawet go nie poprawili, zagraniczni goście zaś poczytali to za słowiański akcent. Najpewniej czuła się Mitsuki, przyzwyczajona do spożywania posiłków w podobnej pozycji. Potrawy były wyśmienite, a prezenty zdawały się zadowolić każdego. Na szczęście przed wyjazdem na lotnisko nie zdążyłam położyć ich pod feralną choinką. W tym całym zamieszaniu zapomnieliśmy o prezencie dla ciotki Heli, ale mamie przypomniało się w ostatniej chwili, że w zeszłym roku ciotka zostawiła u nas swój prezent, nawet go nie rozpakowując, zatem zdecydowaliśmy się na swoisty prezentowy recykling. Nie podejrzewaliśmy ciotki Heli o celowość takiego działania, zrzucając to na karb jej roztargnienia i lekkiej sklerozy, więc odetchnęliśmy z ulgą, gdy rozpakowała prezent i nawet ucieszyła się z fikuśnego świecznika. Po chwili jednak dodała:

– Przy okazji wezmę ten prezent, co go w tamtym roku zapomniałam.

Rodzice spojrzeli na siebie, nieco spanikowani, a potem przenieśli wzrok na mnie, zapewne oczekując jakiegoś rozwiązania. Wymyśliłam je w mgnieniu oka.

– Spalił się. – Wzruszyłam ramionami.

– Ukradli? Jak ukradli? Ci, co się włamali? – zapytała ciotka.

I wtedy wszyscy ryknęli jeszcze raz:

– Spalił się!!!

Nie wiadomo, jak owe krzyki odebrał Knud, bo składając życzenia, podchodził do każdego i szczerząc zęby w uśmiechu, mówił: „Spalił się, spalił się”. Uznał chyba, że to taki nasz polski obyczaj, a owo wykrzykiwane przez nas słowo jest tym samym, co „Merry Christmas” po angielsku. W końcu Marylka najwyraźniej wyszeptała mu na ucho coś w temacie, bo jego nordycka twarz wikinga momentalnie się zarumieniła.

Siedzieliśmy na zgliszcach, bez pięknej choinki i ozdób świątecznych. Nie mieliśmy firan ani eleganckiego stołu. Mogę jednak śmiało stwierdzić, że były to najbardziej udane święta w moim życiu. Naszym gościom także spodobało się przyjęcie, bo po skończonej Wigilii Mitsuki powiedziała po polsku:

– Ładna święta.

– Co powiedziała? – dopytywała się ciotka Hela. – Że jest śnięta?

– Święta!!! Ze ładne! – ryknęliśmy chórem.

– E tam... ładne. Do dupy – odpowiedziała głośno i wstała z fotela, oznajmiając, że jest zmęczona i należy odwieźć ją do domu, co niezwłocznie uczyniłam.

\*\*\*

Po kilku dniach zegnaliśmy naszych gości i nawet było mi smutno, że już odlatywali. Najpierw lot miał Jasiek z narzeczoną, a potem Maryla z rodziną. Jej mąż, Knud, chcąc zrekompensować swój blamaż z toastem i życzeniami, zegnał nas wszystkich dziwnymi słowami. Podszedł do ojca, przytulił w niedźwiedzim uścisku i rzekł:

– Do dupy.

Potem to samo uczynił z mamusią, powtarzając z naciskiem:

– Do dupy.

Rodzice stali, oniemiaли, ale ja roześmiałam się głośno i całą drogę powrotną do domu usiłowałam tłumaczyć rodzicom, że Knud chciał powiedzieć „do widzenia”, bo nie sądził, że ciotka pożegnała nas zgoła innymi słowami niż zwyczajowe pożegnanie. Nie dali się jednak przekonać i przez następne dni wyrzucali sobie, że zorganizowane przez nich święta były tak fatalne, że nawet zięć im to powiedział bez ogródek i prosto z mostu.

Od tej pory rodzice już nigdy tak bardzo się nie przygotowywali do świąt, co mnie ogromnie cieszyło i mogłam w końcu uznać, że jest to czas przeznaczony na odpoczynek, a nie harówkę. Zapewne zniechęcił ich do tego również pożar, który nasze misterne przygotowania uczynił bezsensownymi, ponieważ w ciągu bardzo krótkiego czasu płomień strawił kilka dni naszej ciężkiej pracy. Mama była także niepokieszona, gdyż jedzenia zostało tak dużo, że wyniosła je na przechowanie do żarłocznych sąsiadów w nadziei, że nie wytrzymają i je skonsumują, dzięki czemu jej trud i starania nie pójdą na zmarnowanie. A wszyscy razem uznaliśmy, że nieważne na czym, gdzie i w jaki spo-



sób, ale to, z kim spędza się święta.

## Carla Mori



absolwentka częstochowskiej Akademii im. Jana Długosza, namiętna wielbicielka tanich horrorów i dobrego kina akcji. Zapalona fanka Rocky'ego, Johna McClane'a i Dextera Morgana.

Miłośniczka prozy Grahama Mastertona. Związana z redakcją magazynu „OkoLica Strachu”.

W marcu 2013 roku debiutowała powieścią *Krew, pot i łzy*, którą portal Kostnica uhonorował nagrodą Złoty Kościej w kategorii Thrillera Roku. Jej opowiadania publikował w dodatku specjalnym magazyn „Horror Masakra”. Jej teksty drukowały również takie pisma jak „Brama” czy

czeski „Howard”. W 2016 roku na rynku pojawiła się jej kolejna powieść – *Kostuszka*, nominowana do prestiżowej nagrody imienia Stefana Grabińskiego. Prywatnie mieszkanka południa Anglii, pracowolizka i mama dwóch uroczych córek.

## Carla Mori. *Nastroik*

Stała przed łazienkowym lustrem i półprzytomnie obserwowała mechaniczny ruch swojej dłoni. Stylowa szminka zataczała niezgrabne okręgi, próbując obwieść perfekcyjną linię jej warg. Modna, matowa pomadka w koralowym, niezbyt krzykliwym odcieniu była specjalnie dobrana w ten sposób, żeby podkreślać jej subtelną urodę, zamiast nadawać jej przyciężkiego, ordynarnego wyglądu. Według opalonej na pomarańczowo sprzedawczynie w drogerii miała pasować do biura i na wieczorne wyjście. Na kawę z przyjaciółką i spacer po łące. „Romantycznie powiedziane z tą łąką, swoją drogą – myślała. – Słowo daję, że ten kolor sprawdziłby się świetnie na łące, na kawie i na randce. Problem w tym, że ja nie mam w życiu randek ani przyjaciółek, z którymi pija się kawę. W pobliżu nie ma nawet żadnej pieprzonej łąki, po której mogłabym spacerować o zachodzie słońca w białej zwiewnej sukience, muskając palcami wysokie trawy!”.

Była ładna. Naprawdę. Była jedną z tych niewymuszonych piękności, które nie potrzebowały ciuchów ani makijażu, żeby wyglądać jak milion dolców. Nigdy nie musiała przesadnie dbać o linię. Przeciwnie, zdarzało jej się całymi tygodniami jechać na fast foodach i kawie, a mimo to nie tyła, do końca nie zdając sobie sprawy, czy zawdzięcza ten cud genetyce, czy dobrej przemianie materii. Raczej drobna, o idealnych proporcjach i ciemnych, gęstych i lśniących włosach, mogłaby śmiało robić karierę w showbiznesie. A już z całą pewnością mogłaby etatowo łamać męskie serca. Problem w tym, że nigdy do końca nie zdała sobie z tego sprawy. Od dziecka nieśmiała i raczej zamknięta w sobie, budowała wokół siebie mur, który nie sposób było sforsować. Zawsze zaczytana, z nosem w książkach i niemodnych okularach w drucianych oprawkach, przez pół życia potajemnie marzyła o szaleństwie i wielkiej miłości, nigdy nie mając szansy spróbować żadnego z nich.

Nachyliła się bliżej do taflి zwierciadła i zajrzała głęboko w oczy swojego odbicia. Bystre, choć nieco zamglone spojrzenie wwiercało się prosto w jej duszę. Widziała starą pannę ze swoim wielkim mózgiem i małym, zasuszonym sercem. Chciało jej się śmiać i trochę płakać, a najbardziej chyba sikać. Czerwone wino, którego wypijała zdecydowanie zbyt wiele, mieszało jej w głowie. Spojrzała na siebie znowu, tym razem wcale się nie poznając. Oparła się o umywalkę, rozchyliła rozkosznie wargi i szesała włosy do tyłu, odsłaniając czoło i szyję. Obracając w palcach szminkę, jakby była jedną z tych cienkich, babskich fajek o smaku mentolu, wysunęła biodro i spod zalotnie podkręconych, kruczoczarnych rzęs rzuciła sobie pełne pożądania spojrzenie. W dole brzucha poczuła przyjemne mrowienie, ten motyli trzepot, o którym tyle się naczytała. Czuła to właśnie teraz. Tutaj, w toalecie własnego mieszkania, poprawiając makijaż, po raz pierwszy poczuła drżenie serca i dziwną wilgoć między nogami. Kiedy przymknęła oczy i opuszkami palców musnęła odsłoniętą szyję, przyjemny dreszcz przebiegł przez jej ciało aż po czubek głowy. Pod przymkniętymi powiekami przesuwwały się obrazy. Pijackie sklejki z komedii romantycznych i ulubionych książek. Przytuliła policzek do dłoni, która pieściła jej buzię, i pocałowała nadgarstek, jakby należał do kogoś innego. Zmysłony kochanek smakował olejem kokosowym i pachniał, jakby dopiero wyszedł spod prysznic. Całowali się coraz bardziej zachłannie, a jego rozbrajający dotyk sprawiał, że miękły jej nogi. Poczuła, że twarzniej jej sutki, więc zaciskając mocno powieki, sięgnęła dłonią i tam, chcąc się przekonać, czy przyjemniej jest dotykać czy też doświad-

czać dotyku. Twarda brodawka okazała się znacznie wrażliwsza, niż myślała. Dotyk z ledwie wyczuwalnego stawał się coraz bardziej stanowczy, jej oddech coraz płytszy, bicie serca szybsze, szum w głowie coraz głośniejszy. Kiedy objęła całą pierś dłonią i ścisnęła niczym napastliwy kochanek, a paznokcie wbiły się w jędrne ciało w wygodnej, bawełnianej bieliźnie, z półotwartych ust wyrwał się cichy jęk. Korallowa szminka, całkowicie teraz zrujnowana, rozmasała się po jej twarzy i dłoniach, udając wilgoć prawdziwych pocałunków.

– Kochaj się ze mną... Kochaj mnie... – powtarzała półszepem, pieszcząc swoją twarz i przeczesując palcami włosy, prześlizgując się po szyi, dekolcie i brzuchu.

I kiedy doprowadziła się do momentu, w którym nie mogła znieść już więcej, otworzyła oczy i raz jeszcze spojrzała w lusterko. Jej spojrzenie nie wydawało się już zalotne. Prawdę mówiąc, wyglądała raczej żałośnie. Rozmazany tusz i zamglone oczy świadczyły najdobitniej o tym, w jakim była stanie. Niezdrowa cera świetnie grała ze zbyt jasnym sombre, na które dała się namówić osiedlowej fryzjerce. Klasyczna biała koszula, którą tak starannie wpuszczała co rano w przepisową, ołówkową spódnicę, była zmięta i sfatygowana. Rozpięty guzik na biuście – bolesny dowód na niedawną chwilę słabości – napawał ją wstydem. Modna szminka – jedyny kochanek, jaki kiedykolwiek całował jej usta – leżała złamana w odpływie umywalki. Najwyraźniej ich miłość nie zdołała przetrwać próby czasu. Tłusty, korallowy ślad na wargach, policzkach i brodzie zdradzał, jak bardzo spragniona była miłości. Plama czerwonego wina na koszuli – jak głęboko zanurzyła się w ramionach beznadziei.

Raz jeszcze oparła dłonie o brzeg umywalki i zaglądając głęboko w swoje oczy, próbowała w nich dostrzec ostatnie okruchy nadziei. Nie dostrzegłszy nic, poza uwierającymi już nieco o tej porze soczewkami, osunęła się na zimną posadzkę i gorzko zapłakała.

\*\*\*

Leżeli w skotłowanej pościeli w całkowitym milczeniu. Żadna mucha ani kapiący kran nie odważyły się zmącić tej ciszy, w której słychać było tylko deszcz, wściekle zacinający w szyby. Było zupełnie tak jak za pierwszym razem. Gwałtownie, szaleńczo, jakby na świecie nie było nikogo innego. A potem tak jak teraz leżeli w nieposłanym łóżku i tak jak teraz milczeli. Wtedy nie mogli złapać tchu. Dzisiaj za to krtanie mieli ściśnięte, a niewypowiedziane słowa dławili ich w gardle.

Gdyby ich teraz spytać, żadne nie wiedziałyby, co się właściwie z nimi stało. To jedna z tych rzeczy, z której trudno sobie zdać sprawę, a w którą jeszcze trudniej uwierzyć. Coś, o czym czytasz w kobiecych czasopismach, o czym da się nakręcić niezły melodramat, ale nic, co mogłoby dotyczyć właśnie ciebie. Ten moment uderzył ich jednocześnie i zaskoczył tak bardzo, że wraz z mową odebrał im chęć życia. Łzy cisnęły im się do oczu, ale w sercach czuli pustkę tak ogromną, że trudno im było uronić choćby jedną oczyszczającą łzę.

Kiedyś, nie tak dawno, kochali się tak mocno, że prawie do bólu. Każdą chwilę, każdą wolną minutę spędzali z sobą nawzajem. Kiedy zmuszeni byli do rozłąki, godzinami wisieli na telefonie. Kiedy tylko mogli, nie opuszczali się ani na krok. Razem czytali książki, razem oglądali telewizję. Razem odwiedzali znajomych, razem chadzali do kina, ra-

zem spacerowali, razem wstawali rano z łóżka i razem zasypiali, spleceni w uścisku tak ciasnym, że trudno było odgadnąć, które członki do kogo należą. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, kochali się na zabój zaborczą miłością, która nie znosiła kompromisów. Zamarzyli sobie, żeby być jedną duszą w dwóch ciałach i krok po kroku zakuwali się wzajemnie w kajdany, które im obojgu wydawały się słodkim, choć koniecznym ciężarem. Wspólna łazienka, wspólny ręcznik, wspólne konto w banku. Wspólny czas, wspólne hobby, wspólne życie. Trwali w tym miłosnym uścisku tak długo, aż zaczęli się w nim dusić. Ciasnota ich objęć wydała im się z czasem klaustrofobiczna i nie do przyjęcia, ale żadne z nich nie chciało wypuścić drugiego z rąk.

Aż nastał ten dzień, wigilijny poranek kolejnego wspólnego roku, kiedy leżeli o świcie w pościeli, przygniecenii ciężarem własnej beznadziei, z tym okropnym uczuciem, że ICH już nie ma. Że toksyna tej największej z miłości zatrąła ich tak bardzo, że nie stanowią już oddzielnych bytów, a jedno ciało, którym tak bardzo chcieli się stać, to tylko pokraczna hybryda, której nie warto już chyba reanimować. Z całych sił chcieliby rozłąki, ale żadne z nich nie wiedziałyby, co zrobić z tym nowym-starym życiem na własną rękę.

– Jesteś moją definicją – powiedział jej kiedyś, patrząc, jak sączy swój koktajl.

W telewizji dawali ich ulubiony serial. Wtedy wydało jej się to najśłodszym wyznaniem. Teraz nienawidziła go za te słowa, tak bardzo, jak nienawidziła siebie samej za te lata zaślepienia, kiedy nie znajdowała w nich nic złego. Jak mogła być tak głupia?! Jak mogła uwielbiać to swoje małe więzienie tuż obok niego... w nim... zamiast niego...

– Jesteś całym moim światem – odpowiedziała mu wtedy i te dwa zdania zdefiniowały resztę ich wspólnych dni.

Mówili tak zawsze, kiedy awantura wisiała w powietrzu albo kiedy na horyzoncie pojawił się problem. To było zaklęcie pozwalające im uniknąć każdego sporu. Mantra kochanków, którzy nie byli w stanie stawić czoła życiu. To była ich mała sztuczka, do której uciekali się w chwilach zwątpienia, w przyływie smutku, zakłopotania i w każdym z tych wielu momentów, kiedy chcieli wyznać sobie miłość. Z czasem jednak słowa straciły magiczną moc i oboje spostrzegli, że ich zaklęcie stało się pustą wydumką. Nic nieznaczącą zbitką sylab. Czymś jak amen w pacierzu – kretyńską frazą, którą powtarza się na pamięć i bez sensu, nie próbując nawet zrozumieć, o czym mówi. Kolejną pułapką, którą sami na siebie zastawili, a przez którą czuli się jeszcze bardziej bezradni.

Leżeli zatopieni w tych samych myślach i chyba podskórnie czuli zbliżający się koniec. Patrzyli w znajomy sufit i roztrząsali każdy wspólny dzień, licząc chwile, w których poświęcali swoją tożsamość dla tego związku. Tego samego, który teraz rozłąził się w szwach. Czy można to jeszcze połatać? Czy mogliby zacząć od nowa? Czy to możliwe, żeby dogonić te marzenia, którym kiedyś pozwolili odejść w imię miłości? Miłości, która, gdy teraz o tym pomyśleć, być może wcale tego nie chciała? Czy może lepiej skończyć to wszystko, tak jak się zaczęło – gwałtownie, szaleńczo i raz na zawsze?

\*\*\*

Siedziała przy kuchennym stole i obserwowała wielkie płatki śniegu, leniwie pokrywające podwórko za oknem. Gorący kubek parzył jej dłonie. Mocna herbata posłodzona

sokiem z malin smakowała wybornie. W całym domu pachniało suszonymi plastrami pomarańczy, których długi sznur rozpięła między okapem a szafkami kuchennymi. Z głośników płynęły słodkie dźwięki jakiejś klasycznej ballady, która nieodłącznie kojarzyła się ze świętami, a ona, choć odprężona, jakoś nie mogła pozbyć się dziwnego napięcia.

Mimo zapadającej szarówki, nie zapalała światła. Obejmowała ramionami podciągnięte wysoko pod brodę i ukryte pod obszernym, dzianinowym swetrem kolana. Zupełnie bezowocnie gapiła się na ulicę, chociaż przecież na nikogo nie czekała. Wygaszacz ekranu w służbowym laptopie w końcu dał za wygraną i nieczuła maszyna przeszła w tryb uśpienia. Wieczór był zbyt piękny, żeby tracić go na zliczanie słupków, spisywanie raportów i sporządzanie statystyk. Sukces może poczekać. Było akurat dość pięknie, żeby tak siedzieć i gapić się w okno.

Przymknęła na chwilę oczy i zastanowiła się, czym jest to uczucie, które towarzyszy jej od kilku już dni. Lekkie drżenie, tuż pod mostkiem. Błogość i smutek. Znajomy przecież trzepot motyli skrzydeł, ale jakby stłumiony, przyprawiający o dreszcze, ściskający za gardło. „Nie bądź głupia” – pomyślała i wciągnęła w nozdrza błogi zapach malin.

Przysunęła usta do ciepłego naczynia, ale zamiast się napić, przycisnęła tylko wargi do brzegu ulubionego kubka. Kolejny ucisk w piersiach. Tak silny, że z trudem opanowała cichy okrzyk. Przez krótką chwilę wydało jej się, że zdoła uchwycić przyczynę tych dziwnych doświadczeń, zidentyfikować pragnienie, którego nie potrafiła określić, a z którego nie potrafiła się otrząsnąć. Odsunęła od siebie naczynie, trochę może zbyt gwałtownie, zbyt histerycznie jak na rozsądną, młodą kobietę, którą przecież była, i dotknęła opuszkami palców miejsca, w którym jej nieumalowane dzisiaj wargi wciąż były ciepłe od tej herbacianej namiastki pocałunku. Zastygła na chwilę, jakby w oczekiwaniu... potem podniosła znowu kubek i uśmiechnęła się smutno, zanim pociągnęła kolejny łyk.

Spojrzała znów za okno, na zapadający szybko zmrok. Słyszała roześmiane dzieci sąsiadów, bawiące się na śniegu gdzieś poza zasięgiem jej wzroku. Poza tym było całkiem spokojnie. Uliczne lampy zapalały się jedna po drugiej, nadając śnieżnej scenerii niemal magicznego wyglądu. Wielkie śniegowe czapy nachylały nisko gałęzie drzew. Wąska ulica była zupełnie pusta, a chodniki równo zasłane zmarzniętą, puchową pierzyną. Pierwsze gwiazdy rozświetliły ciemne niebo, a jasny księżyc stał wysoko ponad dachami, dumny i obojętny na cały ten czar, którego była świadkiem.

Delikatny dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy mocniej i jakby czulej objęła się ramionami. Zanim na dobre dotarło do niej, co czuje, jej oczy wypełniły się łzami. Oparła twarz na kolanach i bez jednego szloch, ani razu nie pociągając nosem, pozwoliła, żeby ciężkie krople płynęły w dół po policzkach i wsiąkały w gruby sweter.

Płyta z balladami Bublé dawno już się skończyła, na zewnątrz ucichło i ściemniło się zupełnie, a herbata zdążyła już całkiem ostygnąć, kiedy w końcu otarła mokrą od płaczu buzię. Nie mogła się już dłużej oszukiwać. Co to za magia, skoro w pobliżu żadnej ciepłej dłoni, którą można byłoby złapać w zachwycie, żadnych warg gotowych do uśmiechu i do pocałunków?

Opuściła nogi na chłodną posadzkę i nastawiła kolejny czajnik wody na herbatę.

Dzisiaj. To musi być dzisiaj.

\*\*\*

Telefon ciążył jej w dłoni, tak jak ta nieodbyta rozmowa ciążyła jej na sercu. Tak jak powód, dla którego zwlekała z przyciśnięciem zielonego przycisku, ciążył jej na sumieniu.

Od początku wiedziała, że jest żonaty. Niczego przed nią nie ukrywał. Pracowali w tej samej wielkiej firmie – korporaszury zamknięte na długie godziny w tej samej ogromnej, wentylowanej klatce. Każdego dnia te same twarze, te same papiery, te same rutynowe zebrania i ta sama lurowata kawa na każdym piętrze. Wykresy, normy, statystyki. Dzień świstaka. Jakby los naigrawał się z nich, sprawdzając, jak dużą porcję beznadziei są w stanie udźwignąć.

To był kolejny z szeregu identycznych poniedziałków. Biała koszula, ołówkowa spódnica, grzeczny koczek, niewygodne czółenka. Przez wyjątkowo ciężki przypadek kaca zagapiła się, niosąc pełniutki kubek kafeiny do swojego biurka i wpadła na niego, rujnując śnieżną biel cienkiej bluzki. Purpurowa z zażenowania, jąkała przeprosiny i gdyby mogła, zapadłaby się pod ziemię. On jednak tylko się uśmiechnął i odszedł, jakby nic się nie stało. Kwadrans później pojawił się przy jej biurku z dużym latté ze Starbucksa i listkiem środka na ból głowy.

– Trzymaj – powiedział po prostu, jakby znali się od dzieciństwa, puścił jej oczko i zniknął, zanim zdążyła się odezwać.

Dałaby głowę, że nic takiego nie może jej się przydarzyć. Nie potrafiła flirtować. Nie pamiętała nawet, kiedy ostatnio i czy w ogóle kiedykolwiek była na randce. Pogodziła się z myślą, że umrze w samotności, i coraz poważniej zastanawiała się nad adopcją kota, który mógłby dotrzymać jej towarzystwa w coraz dłuższe i coraz smutniejsze wieczory. W ostateczności lepsze to niż picie do telewizora.

Korporomans to był banał jakich mało. Bóg jeden wie, że o niego nie prosiła. To stało się właściwie samo. Wspólna kawa, potem lunch i obiady, drobne upominki. Do pewnego momentu sama chyba wierzyła, że tylko się przyjaźnią. Nieszkodliwa znajomość z pracy – tak o tym myślała na początku. Aż w końcu pozwoliła odwieźć się do domu, a on wszedł na drinka. Widziała, że coś go gnębi. Ośmielona czerwonym winem spytała, o co chodzi, a w nim coś jakby pękło. Mówił długo i odrobinę chaotycznie o tym, jak dosięga go kryzys wieku średniego, i o marzeniach, które kiedyś miał, a dziś już było na nie za późno. Jakiś głodny kawałek o tym, że żona go nie rozumie i wcale ze sobą nie śpią. Że czuje się zagubiony i nieszczęśliwy. Intruz we własnym domu, idealista, przygnieciony przez ponurą rzeczywistość.

Z jakiegoś powodu wydał jej się szczery i tych kilka gorzkich słów, które do niej powiedział, sprawiły, że zobaczyła go w zupełnie innym świetle. Nie był już dziesięć lat starszym, czarującym, żonatym kolegą z pracy. Nagle zobaczyła go zagubionego, tak jak ona sama. Oszukanego przez los i samotnego marzyciela, gnębionego przez szefachuja i nieczułą małżonkę-modliszkę.

Tamtej nocy pieprzyli się więcej razy niż on w ciągu ostatniego roku swojego małżeństwa i na pewno więcej niż ona w całym swoim smutnym życiu. Nie był to wprawdzie seks stulecia, ale dla niej, z braku porównania, wypadł całkiem nieźle. Liczył się dotyk,

czyjaś obecność. Świadomość, że nie jest na świecie tak beznadziejnie sama, jak dotąd. Niczego sobie nie obiecywali, a on nad ranem wrócił do domu, do żony. Jednak dla niej świat stanął na głowie.

\*\*\*

Przyglądał się jej odbiciu w łazienkowym lustrze. Z krawatem ciasno zawiązanym pod szyją, gładko ogolony i skropiony perfumami „na specjalną okazję”, próbował zignorować zbyt głośno tykający zegar oraz fakt, że z każdą kolejną minutą są coraz bardziej spóźnieni. Westchnął prawie bezgłośnie i strzepnął niewidzialny pyłek z ulubionego, czarnego garnituru. Wiedział, że ona go nie cierpi i że kojarzy jej się z pogrzebem, ale założył go mimo to. Właściwie założył go głównie z tego powodu. Chciał zrobić jej na złość. Wywołać w niej jakieś emocje. Może chciał nawet, żeby w końcu na niego narzeczyła, żeby okazała mu jakieś uczucie, nawet jeśli miałyby to być nienawiść.

Tymczasem czekał, aż ona skończy się szykować. Obserwował jej staranne ruchy: eyeliner, tusz do rzęs, szminka. Nigdy nie rozumiał, po co się malowała. Kiedyś sądził, że jest naturalną piękną i każdy gram kosmetyku tylko niepotrzebnie niszczy jej idealną cerę. Kochał każdy jej pieprzyk, każdą zmarszczkę, każdy drobiazg, który ona uważała za niedoskonałość. Mógł patrzeć na nią bez końca i zachwycać się jej widokiem, tak jak można wpaść w zachwyt nad zorzą polarną albo wschodem słońca. Najbardziej podobała mu się potargana, w za dużym swetrze i bardzo grubych skarpetach. Wtedy czuł, że należy tylko do niego, że jest jego prywatnym cudem, wygrany los na loterii doczesności. Czuł, że ma ją całą, od czubka głowy po koniuszki palców, i ten zachwyt wystarczał mu za wszystkie podniety. Później, poniekąd nagle i zupełnie niespodziewanie, zobojętniała mu na tyle, że przestał ją zauważać – z makijażem czy bez. Tym bardziej te minuty spędzone przed lustrem uważał wyłącznie za stratę cennego czasu. Jego czasu.

Teraz, już od dawna, drażniły go jej papiloty, przydeptane kapcie, miliony słoiczków z kosmetykami, poustawianych w każdym możliwym zakamarku mieszkania. Nie mógł słuchać nienaturalnego tonu głosu, jaki przybierała, odbierając telefon, z trudem powstrzymywał spazmy za każdym razem, kiedy duszący zapach zmywacza do paznokci rozniósł się w całym domu. Miał dość nie tyle jej samej, co jej ustawicznego towarzysstwa, konieczności bycia w pobliżu. To, jak ją postrzegał, było w gruncie rzeczy odbiciem tego, jak widział ich miłość. Na co dzień nudna i byle jaka, w rozwleczonej podomce i siwiejąca na skroniach, na zewnątrz wciąż w świetnej formie, radosna i pełna blasku. Dalej całował ją na dzień dobry. Dalej spali obok siebie. Jadali wspólne posiłki i opowiadali sobie szczegółowo, jak im minął dzień, ale to wszystko od dawna było już tylko męczącym przyzwyczajeniem. Grą pozorów dla świata i dla siebie nawzajem. Po czuciem obowiązku zaprawionym beznadzieją.

Kiedy w końcu wyszła z łazienki i posłała mu jeden ze swoich chłodnych uśmiechów, obrzucił ją łaskawym spojrzeniem i musnął wargami jej świeżo upudrowany policzek. Zakładając szpilki, zatoczyła się niezdarnie, kiedy zbyt wysoki obcas zanurzył się w grubej wykładzinie dywanowej. Czujny małżonek w ostatniej chwili uchronił ją od upadku, kiedy runęła jak długa wprost w jego ramiona. Podtrzymał ją i zamknął w niemal czułym uścisku. Spojrzeli sobie w oczy i przez krótką chwilę trwali tak, objęci, jak-



by czas się zatrzymał.

– Chcę rozwodu – wyszeptła, kiedy nachylił się, żeby ją pocałować.

Zaskoczony, natychmiast się wyprostował i bezskutecznie próbował znaleźć w głowie słowa, którymi powinien zareagować na ten suchy komunikat z ust wieloletniej małżonki.

– Dzwoniła do mnie. Ta mała z twojej firmy. Zadała sobie trud, żeby wygooglować mój służbowy numer, i zadzwoniła do mnie dzisiaj rano. Umówiliśmy się na kawę. Porozmawialiśmy. Wygląda na miłą dziewczynę, wiesz? Nawet mi jej szkoda. Nie chciałam robić scen u rodziców, ale pomyślałam, że powinieneś wiedzieć. No, to teraz już wiesz.

\*\*\*

W domu pachniało świętami. Klaustrofobicznie ciasne mieszkanie na najwyższym piętrze bloku z wielkiej płyty wypełnione było zapachami, których nie sposób było pomylić z niczym innym. Suszone grzyby, ryba, kapusta z grochem i makowiec. Świerkowe drzewko i świece. Aromaty, które tworzą wspomnienia.

Rozkładając nieco kiczowate czerwone serwetki w złożony rzucik, myślała o tym, jak bardzo dzisiejsze święta różniły się od tych, które pamiętała z własnego dzieciństwa i młodości. Tęskniła za pełnym domem, za gwarem rozmów i kolędowaniem na całe gardło. Pamiętała siarczysty mróz i kuligi z pochodniami. Śnieg po kolana, rozgwieżdżone niebo i kilkukilometrowy spacer na pasterkę. Jodłowe stroiki pod sufitem, które przygotowywały z siostrami, wyrabianie drożdżowego ciasta i lepienie pierogów.

Wyglądziła śnieżnobiały obrus i sięgnęła po sfatygowaną Biblię, z której co roku odczytywali werset, zanim podzielili się opłatkiem. Jej dzieci nie były chyba wierzące, a przynajmniej nie praktykowały, chociaż syn ożenił się przecież w kościele. I wesele miał na prawie sto fajerek. I wszystko było jak trzeba. Teraz i do spowiedzi im było nie po drodze, a na mszy bywali tylko od wielkiego dzwonu. Na chrzcinach, ślubach i pogrzebach. Nigdy ich nie krytykowała, ale pilnowała, żeby choć raz w roku, zanim usiądą do wigilijnej wieczerzy, wysłuchali fragmentu Pisma. Kiedyś chadzali razem na sumę, co niedzielę. Ona z mężem pod rękę, dzieci przodem. Odświętnie ubrane, blond główki przylizane na gładko, wyglądały jak małe aniołki. Teraz dorośli, ze swoimi sprawami, pracą i obowiązkami. W ich zabieganym życiu nie było miejsca na mszę ani na modlitwę. Do rodziców wpadali przynajmniej dwa razy w miesiącu, choć rzadko w tym samym czasie. Zawsze w biegu, z teczką, z laptopem, z iPadem, iPodem i słodki Bóg wie, czym jeszcze, ale zdążyli skubnąć jakiś smakołyk z lodówki i dać matce powód do dumy, że tacy zaradni, że tak sobie w życiu poukładali.

Brakowało jej jeszcze wnuków. Och, jakże by się cieszyła, mogąc zajmować się kolejnym malutkim człowieczkiem! Zapyta może synową przy kolacji, czy nie planują powiększenia rodziny. Ona już nie jest najmłodsza. To może być dla nich ostatni moment. Sama rodziła dzieci dość późno, jak na tamte czasy, ale zanim dobiegła czterdziestki oboje już byli w liceum. Teraz wszystko na odwrót. Najpierw studia, kariera, kredyt, mieszkanie, a dzieci na końcu, jak starczy czasu. Pokiwała głową, zamyślona, licząc, ile lat jeszcze zostało jej córce. Pierwsze musi urodzić za góra trzy lata. Potem to już strach, czy będzie zdrowe, czy się wszystko uda. A ona nawet nie ma chłopaka.

Aż dziwne, bo taka mądra przecież i zdolna. Szczupła dziewczyna, ale też nie jakiś wieszak. I ma na czym usiąść i czym odetchnąć, chociaż garbi się strasznie od tego komputera. No ale kto to wie dlaczego. Może przebiera za bardzo albo może spotyka się z jakimś, ale nie chce byle kogo matce przedstawiać. Też ją podpyta wieczorem. Może po nalewce żołądkowej jej się trochę język rozwiąże.

Ustawiła głośniej radio i uśmiechnęła się szeroko, słysząc, że Trójka daje świąteczne klasyki. Ray Charles śpiewał z nią: „Ram pam pam pam”, kiedy czesała włosy przed lustrem w przedpokoju. Dochodziła piąta, zaraz powinni być. Pogoniła męża z łazienki i kazała mu wystawić makówki na balkon. W lodówce już dawno nie było miejsca, a w tym roku narobiła więcej, żeby sobie dzieci do domów pobrały, zwłaszcza dziewczyny tak lubią! Odwiązała fartuch i zmniejszyła temperaturę w piekarniku, żeby ryba za bardzo się nie spiekła. Jeszcze precedzić kompot i włożyć sianko pod obrus. Łuski z karpia odłożone. Dla każdego po jednej do portfela. Grzybowa gotowa, makaron na talerzach. Wygląda, że wszystko gotowe. Będzie pięknie.

\*\*\*

Byli tacy szczęśliwi. Pamiętała dzień, kiedy się poznali. Pomyślała wtedy, że wcale nie jest przystojny, ale miał w sobie coś, co ją w nim pociągało. Może to uśmiech? Oczy? Uroczy dołeczek w brodzie? Niewymuszone poczucie humoru, które sprawiało, że w jego obecności co rusz zanosila się śmiechem? „Śmiejesz się perliście, jak nimfa” – tak zawsze powtarzał i obsypywał jej twarz pocałunkami. Wzięli ślub i zamieszkali razem. Byli tacy młodzi i zakochani. Nie śmierdzili wprawdzie groszem, ale ona wciąż była na studiach, a on dopiero zaczynał karierę w branży. Nic ich nie rozpraszało. Spędzali razem każdą wolną chwilę i kochali się jak szaleni. To był czas, kiedy nie mógł bez niej żyć.

Później mu spowszedniała. Oboje za bardzo zajęli się swoimi sprawami. Praca, kariera, terminy, kredyty. Nie starczyło czasu, żeby pielęgnować małżeństwo. Żeby skupić się na tym, co naprawdę ważne. W domu byli gośćmi, do tego zwykle o różnych porach. Miała wrażenie, że w ogóle się nie widują, ale sama nie była bez winy. W imię posiadania czasu dla siebie odtrącała go zdecydowanie zbyt często, wybierając raczej kawę z przyjaciółką niż wino z mężem przed telewizorem. To był jej grzech, musiała to przyznać, ale przecież nigdy nie przestała go kochać. Gdzieś po drodze zachwiała proporcje między tym, co ważne i ważniejsze, ale wciąż jeszcze wierzyła, że jakoś to będzie. Że się ułoży. On za to zamknął się w sobie. Skupiał się już tylko na pracy i niemal codziennie zostawał w biurze do późna. Coraz rzadziej rozmawiali, a jeśli już, to o pieniądzach albo o tym, co trzeba załatwić. Nie pamiętała, kiedy ostatnio byli naprawdę blisko. Nie była pewna, kiedy ostatnim razem rozśmieszył ją którymś ze swoich żartów. Wyglądało na to, że ich małżeństwo było fikcją na długo, zanim zaczął się spotykać z tą dziewczyną z pracy. Była pewna, że to tylko przelotny romans. Znała swojego męża na tyle, żeby wiedzieć, że małolata nie była nawet specjalnie w jego typie. Mimo to nie miała pewności, czy zdołałaby mu wybaczyć, a w tej chwili jego uparte milczenie utwierdzało ją w przekonaniu, że może nigdy nie zechcieć dać mu drugiej szansy.

\*\*\*

Mowę odzyskał dopiero w samochodzie. Jechali przez zakorkowane miasto, więcej stojąc w korku, niż poruszając się naprzód. Zanim dotarli do auta, miał chwilę, żeby przeanalizować sytuację, w jakiej się znalazł. W pewien sposób cieszył się z tego, że nie musi dłużej ukrywać tego kretyńskiego romansu. Teraz, w połowie drogi do rodziców, nagle skręcił na całodobowy parking w pobliżu jednego z centrów handlowych i wyłączył silnik. Zignorował jej protest, a kiedy chciała wysiąść, przytrzymał jej rękę.

\*\*\*

Złapał ją stanowczo, chociaż nie tak mocno, żeby sprawiło jej to ból i ten sposób, w jaki ją zatrzymał, kazał jej zamilknąć i wysłuchać, co ma do powiedzenia. Mówił długo i z przejęciem, o tym, jak się czuje w tym małżeństwie, w którym żadne z nich nie jest szczęśliwe. O tym, że nie tak miało być. Niczego się nie wypierał, nie częstował jej banałami o tym, że tamta nic nie znaczyła albo że to wszystko jakieś nieporozumienie, i za to była mu wdzięczna. Może już jej nie kochał, ale przynajmniej nie stracił do niej szacunku. Przez cały czas mówił lekko od niej odwrócony, tak że po ciemku nie widziała jego twarzy. W końcu obrócił się w jej stronę i spojrzał jej w oczy. Poprosił, żeby mogli to przedyskutować, kiedy będą z powrotem w domu. A ona bez słowa kiwnęła głową. Nikt nie krzyczał. Nie wygrażali sobie i nie rzucali wyzwiskami. Wyglądali jak emocjonalnie sparaliżowani, jakby ta cała sytuacja wcale ich nie dotyczyła. Siedzieli obok siebie, a ich oddechy parowały szyby samochodu.

Ból, który jej sprawił, palił żywym ogniem. Czowała, że zapada się w ciemność. Potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie chciała go stracić i tylko jakaś idiotyczna duma, przekonanie, że powinna zachowywać się z klasą, powstrzymywało ją przed zrobieniem mu dzikiej awantury z wrzaskami, wyrzucaniem rzeczy przez okno i okładaniem pięściami. Słuchała, co ma do powiedzenia i przez cały czas docierała do niej tylko część jego słów. Skupiała się na dotyku, na tej dłoni, która dalej obejmowała jej nadgarstek, i łaknęła go więcej i więcej, ale nie odważyła się powiedzieć słowa. Pragnęła tylko, żeby ją objął, pogładził jej włosy i powiedział, że od teraz wszystko będzie dobrze. Chciała zapewnienia, że mogą cofnąć czas i że wszystko będzie jak dawniej. W końcu, kiedy spojrzała w jego twarz i zobaczyła tego samego chłopaka, który przysięgał jej miłość, gorąca łza spłynęła jej po policzku. O ileż byli teraz starsi, o ile głępsi niż wtedy. Dwudziestolatkiem u progu życia, którymi kiedyś byli, bili ich na głowę pod każdym względem. Wtedy wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi. Rozumieli, na czym polega życie. Nie wahali się sięgać po to, co ich uszczęśliwia. Nie bali się walczyć. Nie wiedzieli, jak odpuszczać.

Otarła łzę, mając nadzieję, że niczego nie zauważył, i wysunęła rękę z jego uścisku. „Kocham cię” – pomyślała. A powiedziała:

– Jedźmy.

\*\*\*

Czekała, aż się pojawi. Wiało jak cholera i zapowiadał się naprawdę paskudny wieczór, ale ona ledwie czuła chłód. Zapadał zmrok, a ona stała pod wielką, przystrojoną w światełka choinką na rynku, nie mając pojęcia, z której strony nadejdzie jej randka. Nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć ukochaną twarz. Oczyma wyobraźni widziała

każdy najdrobniejszy szczegół ulubionej fizjonomii. Błyszczące oczy, jasne, lekko kręcone włosy, zgrabne usta, gotowe na jej pocałunki. W tej chwili nie potrzebowała niczego i nikogo innego. W dupie miała, co ludzie powiedzą i czy rodzice będą zadowoleni. Zdanie brata obchodziło ją mało albo wcale. Niech pilnuje własnego nosa, w końcu ona nie wybierała mu żony. Wiedziała, że podjęła najważniejszą decyzję w życiu, i była gotowa walczyć o tę miłość z całym światem. Wzbraniała się przed tym uczuciem zdecydowanie zbyt długo. Zbyt długo kazała sobie czekać, aż w końcu zaakceptuje to, kim jest i chyba pierwszy raz w życiu będzie ze sobą szczerą. Miała tyle do powiedzenia! Powinna przeproszać i kajać się w poczuciu winy, ale tak naprawdę jedyne, co ją rozpieszczało, to czysta radość. Zaczyna teraz od nowa. Naprawdę razem przeciw całemu światu. Ze szczęścia kręciło jej się w głowie. Policzki piekły ją z podniecenia i pewnie trochę od mrozu, ale i tak poluzowała szalik, czując, że z nadmiaru emocji zaraz eksploduje w tych ciasnych zimowych ciuchach.

Minuty mijały znacznie wolniej, niż wskazywałyby na to zdrowy rozsądek, ale ona ani na chwilę nie zwątpiła, że nie czeka na darmo. Wiedziała, że ta miłość jest zapisana w gwiazdach i że teraz, kiedy przestała się przed nią bronić, jest skazana na szczęście, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Wcześniej spotykała się z kilkoma facetami, z jednym nawet była zaręczona, i w każdym z tych związków czuła się jak w klatce. Zawsze trochę udawała, zawsze starała się dostosować. Czuła, że nie powinna przestawać się uśmiechać, chociaż w środku była zupełnie pusta. Jakby była im coś winna. Ciągłe próby zadowolenia wszystkich wokół, dobra mina do złej gry. Koleżanki powtarzające, że to taka świetna partia, matka czekająca na wielkie, białe wesele, partner oczekujący, że będzie kolejnym w kolekcji jego trofeów. Zawsze grała najlepszą wersję siebie. Na potrzeby aktualnego chłopaka zmieniała trochę przyzwyczajenia, styl noszenia się albo fryzurę. Tak desperacko próbowała się dostosować, że gdzieś po drodze zapomniała, że chodzi o jej życie i o jej szczęście. Że bez względu na to, ile osób uszczęśliwi, nie zdoła sama być szczęśliwa, jeśli będzie udawała kogoś innego.

Przez lata nie dopuszczała do siebie żadnego alternatywnego scenariusza. W głowie miała tylko ten jedyny słuszny, z gromadką dzieci i niedzielnym obiadem u rodziców. Była tak idealna, że mogliby ją drukować na plakatach z podpisem: „Dziewczyna na medal”, tylko że nigdy nie była sobą. Skończyła studia z wyróżnieniem. Powoli pięła się po szczeblach kariery. Miała własne mieszkanie w bliźniaku na przedmieściach, mały samochód, modne ciuchy i kolekcję płyt. Setki dziewczyn dałyby się pokroić za jej życie, a jednak ona łkała w poduszkę, ilekroć została sama w pokoju. Ostatni związek skończyła zdecydowanie zbyt gwałtownie. Biedny chłopak kompletnie nie spodziewał się tego, co nastąpiło. Żył w mydlanej bańce, którą dla niego nadmuchała, kompletnie nieświadomy tego, że dla niej ta sama wypełniona tęczą kulka to więzienie o złotych kratkach. Któregoś dnia po kolacji powiedziała mu, że to koniec. Że nigdy go nie kochała. Długo nie zapomni wyrazu jego twarzy. Szok i niedowierzanie wymieszane z ogromnym bólem i poniżeniem, jakby ktoś dał mu w twarz. Odchorowywała to rozstanie tygodniami. Żyła z poczuciem winy, że skrzywdziła kogoś, kto kompletnie na to nie zasłużył, a jednocześnie cudza krzywda była w tym wypadku jedyną drogą do jej uwolnienia. Jedyнным sposobem, żeby odzyskać część siebie. Potem przez długi czas nie chciała angażować się w inne związki, ściągając tym samym na siebie ostracyzm znajo-

mych i pretensje matki. Była tylko jedna osoba, która została z nią mimo to. Tylko jedna osoba, która nigdy nie próbowała jej oceniać, która zawsze służyła radą, przy której mogła naprawdę być sobą. Tylko jedna osoba, która mogła jej zaoferować bezinteresowną miłość. Bolesną i nieodwzajemnioną, którą ona odrzucała przez te wszystkie lata.

Wtedy to zrozumiała. Siedząc z herbatą we własnej uroczonie urządzonej kuchni, zrozumiała, że jej szczęście od zawsze było tuż obok! Na wyciągnięcie ręki! To było jak olśnienie, jak grom z nieba. Uczucie, które tłumiała, odkąd sięgała pamięcią, naraz zalało ją z całą mocą, tak że z trudem łapała oddech. Wszystko stało się tak jasne i proste, jak nigdy dotąd. Znalazła swoją bezpieczną przystań, w której nareszcie będzie mogła być sobą, w której będzie mogła pozwolić sobie na szczęście. Jeden telefon wystarczył, żeby umówić spotkanie, a teraz minuty dzieliły ją od momentu, który odmienił na zawsze jej życie.

– Przepraszam za spóźnienie – usłyszała. – Długo czekasz?

Odwróciła się i zobaczyła najbardziej idealną istotę na ziemi. Kogoś, przy kim pragnęła się zestarzeć. Kogoś, kogo znała lepiej niż siebie samą. Jedyną osobę, dla której od zawsze biło jej serce. Zegar na wieży ratusza wybił piątą, a stojący opodal grajkowie zagrali pierwsze akordy świątecznego przeboju Mariah Carey. To było jak bajka. Jak sen, który się spełnił.

– Na pewno wyglądam jak nieszczęście, wybacz. To wszystko przez tę pogodę. Włosy mam jak strach na wróble...

– Jesteś wspaniała. I właśnie taką cię kocham – nie pozwoliła jej dokończyć i zamknęła jej usta pierwszym z wielu pocałunków ich wspólnego życia.

\*\*\*

W kilka minut później parkowali przed blokiem jego rodziców. Chłód grudniowego wieczoru nie dawał się porównać z tym, który bił od niej po drodze. Wysiadł pierwszy i podał jej rękę, uważając, by nie pośliznęła się na oblodzonej nawierzchni. Przyjęła ją z wahaniem. Jednak nawet kiedy dotarli na bezpieczny, odśnieżony i zasolony chodnik, on nie puścił jej dłoni. Spojrzała na niego pytająco i w wyrazie jej oczu wyczytała wszystko, czego nie potrafiła mu powiedzieć. Cierpiała. Okropnie cierpiała przez niego i ta świadomość była nie do zniesienia. Nikt nie cierpi aż tak z powodu skrzywdzonej dumy. Ona go kochała. Widział to teraz jasno i wyraźnie. Kochała go nawet teraz, kiedy okazał się niczym więcej niż podłą, łajdacką świnią. Kochała go na tyle, żeby znosić jego humory, na tyle, żeby gorsze momenty brać na przeczekanie i znosić jego towarzystwo, kiedy nie musiałyby już tego robić. Na tyle, żeby spędzić z nim te święta, łamać się opłatkiem i kołędować z jego rodziną, kiedy on potraktował ją jak zabawkę, która się znudziła.

Na moment zapomniał o wszystkich nieporozumieniach, o cichych dniach, samotności i wiadrach żółci, które towarzyszyły im w ostatnich miesiącach i latach. To wszystko było nieważne. Liczyła się ona i on, i to, co się z nimi stało. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to wszystko się zaczęło. Nie wiedział, kiedy odpuścili, kiedy odpłynęli w różne strony, kiedy przestali być z sobą, a zaczęli być obok siebie. Nie pamiętał przyczyny żadnej z ich kłótni. Nie pamiętał, dlaczego tak go drażniła. W tej chwili widział

w niej tylko dziewczynę, w której się zakochał. Drobna i bezbronna, przyciśniętą olbrzymim ciężarem. Obarczoną brzemieniem, które sam na nią nałożył. Jak mógł być takim egoistycznym bydlakiem? Jak mógł ją potraktować w ten sposób?

Była jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek przytrafiło mu się kochać. Jedyną, przy której kiedykolwiek był szczęśliwy. Jedyną, która trwała przy nim na dobre i złe, wspierała, kiedy potrzebował wsparcia, i schodziła z drogi, kiedy potrzebował chwili dla siebie. Jedyną, która zrobiła z niego mężczyznę, wybacząc potknięcia i pielęgnując jego marzenia i ambicje. Jedyną, którą kiedykolwiek chciał widzieć u swojego boku. Jak zatem mógł zapomnieć o tym wszystkim i nakręcać spiralę własnych frustracji, obarczając ją całą winą za swoje niepowodzenia?

Ona odejdzie. Ta świadomość uderzyła go jak obuchem. Odejdzie, a on już nigdy nie zdoła naprawić żadnego ze swoich błędów. Odejdzie, a on już nigdy nie powie jej, jak bardzo się mylił. Nie powie, jak bardzo ją kocha! Poczuł, że miękną mu nogi, że się dusi. Nie mógł do tego dopuścić! Nie teraz, kiedy nareszcie zrozumiał!

– Przepraszam... – powiedział, łamiącym się głosem. Był przerażony. Śmiertelnie przerażony myślą, że to już koniec. – Przepraszam – powtórzył, łkając i przyciągnął ją do siebie. – Kocham cię – wyszeptał w jej włosy, będąc pewnym, że zaraz odepchnie go i spoliczkuje. – Kocham cię, kocham cię... – powtarzał w kółko, płacząc jak dziecko, kiedy poczuł, że jej ciało się rozluźnia, że oddaje mu uścisk.

– Ja też cię kocham, idioto – odpowiedziała cicho i wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

Kiedy w chwilę później spojrzeli sobie w oczy, oboje wiedzieli, że nie ma już nic więcej do dodania.

\*\*\*

Siedziała sama przy barze, sącząc najbardziej nieświętecznego z drinków – żołądkową na lodzie. W tle Frank Sinatra nie pozwalał jej zapomnieć o tym, jaki dziś wieczór. Przy stoliku obok siedziały dwie dziewczyny, z grubsza w jej wieku. Ich ręce splecione na blacie. Wpatrzona w siebie nawzajem, popijały grzane wino i wyglądały na naprawdę szczęśliwe. Jedna wydawała jej się dziwnie znajoma. Kolor włosów, dołeczek na brodzie, pewien szczególny sposób, w jaki mrużyła oczy w uśmiechu. Boże, czy już zawsze, gdziekolwiek się obróci, będzie widziała jego twarz? Odwróciła od nich wzrok i skupiła się na swojej szklance, w której widać już było dno.

– Dla mnie to samo, co dla pani – usłyszała gdzieś blisko.

Przystojny brunet przysiadł się tuż obok i uniósł szklankę w jej stronę. „Zagranie jak z amerykańskiego filmu” – pomyślała, ale nie zamierzała się oburzać. Ostatecznie są święta. Jej też przydałby się cud.

## Joanna Pypłacz



Urodziła się w Krakowie 14 listopada 1982 (choć to „tysiąc dziewięćset” to chyba pomyłka). Z wykształcenia filolog klasyczny w stopniu doktora, z duszy artystka. Już od najmłodszych lat funkcjonuje w zawieszeniu między teraźniejszością a dawnymi epokami, między rzeczywistością a krainą wyobraźni, a także między światem materialnym a tym, z którym nie każdemu dane jest się zetknąć. Pasjonatka muzyki poważnej, literatury i fotografii, a także wszystkiego, co dziwne, niepokojące, niesamowite.

Na co dzień pracuje w Bibliotece Jagiellońskiej w Sekcji Starych Druków, a po godzinach pisze książki, gra na pianinie, czyta, spaceruje po starych cmentarzach oraz chwytą w obiektyw potencjalne inspiracje twórcze. Dotychczas ukazały się drukiem jej trzy powieści: *August Nacht*, *Krzyk Persefony* oraz *Mechaniczna ćma*.

## Joanna Pyplacz. *Angielska kolęda*

Był 23 grudnia 1882. Zygmunt Ehrenberg długo obracał w dłoni zaproszenie na Wigilię do wujostwa Radeckich. Pięknie wykaligrafowane litery przypominały finezyjne ornamenty, odzwierciedlając specyficzny charakter stryjecznej siostry jego matki. Ozdobne i powyginane atramentowe zawijasy zdawały się nawet mówić egzaltowanym głosem ciotki Aurelii, już to inicjując rodzinne składanie życzeń, już to częstując potrawami, już to zachwalając wyborny deser, już to zapraszając do wysłuchania tradycyjnego koncertu kolęd w wykonaniu Heleny, córki wuja Marcina z pierwszego małżeństwa.

– Helena... – powiedział do siebie powoli. – Helena...

Spochmurniał i odłożył list, tak jakby kartka papieru dotkliwie sparzyła go w palce. Następnie wsparł łokcie na blacie biurka, a czoło na daszku ze złączonych dłoni, pogrążając się w głębokiej zadumie. Podobnie bowiem jak pismo ciotki Aurelii nasuwało nieuchronne skojarzenia z entuzjastycznymi okrzykami, imię jej pasierbicy przywoływało z kolei wyłącznie same obrazy.

Owe milczące wspomnienia nakładały się jedne na drugie, stopniowo przysłaniając Zygmunтови całe pole widzenia. Pod ich wpływem przenosił się z powrotem do czardziejskiej krainy, gdzie starannie pochowane w szklanych trumnach, spały snem wiecznym dawne myśli, plany i zamiary; niektóre nieumarłe do końca, jednakże skazane na powolną śmierć z niespełnienia.

Było już późno. Widoczny przez okno kościół św. Krzyża wyglądał idyllicznie, zupełnie jak domek z piernika, pokryty gęstą warstwą śnieżnego lukru. Okraszony białą, iskrzącą się polewą zatracił bowiem całą swą surowość, właściwą nadwiślańskiemu gotykowi, zamieniając się w twór niemal baśniowy. Kanty nagle zniknęły, stając się przyjemnie opływowe, tak jakby niewidzialna ręka niebiańskiego cukiernika nagle złagodziła ich kontury.

Zygmunt najbardziej lubił świątynię właśnie w takiej odsłonie, gdyż przypominała mu wówczas dzieciństwo, przywołując zarazem miłe wspomnienia dziadka i rodziców. Nikogo z nich nie było już od dawna wśród żywych, lecz spędzone z bliskimi chwile, w miarę upływu czasu coraz bardziej idealizowane, zapisały mu się w pamięci w taki sposób, że w dowolnym czasie mógł bez trudu przywołać niewidziane od całych dekad twarze, postaci, sceny.

Przy oknie, przy którym obecnie znajdowało się jego biurko, przed laty rezydował dziadek. Zygmunt słyszał jeszcze w myślach opowiadane przez niego bajki oraz czytane na głos fragmenty rozmaitych książek. Co więcej, w trudnych momentach siadywał na swym dawnym miejscu, vis-à-vis jego pustego fotela, i recytował w myślach ulubione fragmenty dziecięcych lektur. Było to nader skuteczne panaceum, zdolne wyleczyć prawie każde zmartwienie.

Tym razem jednak ani owo niezawodne lekarstwo, ani ulubiony widok ośnieżonego kościoła – codzienny, choć zawsze wiernie, a także należycie doceniany – nie zdołał wyrwać go z melancholii, w której pogrążał się coraz głębiej i głębiej. Uświadomił sobie, że od *kataklizmu* minęło już pięć długich lat. W tym czasie z beztróskiego, towarzyskiego młodzieńca zamienił się w zmęczonego życiem, samotnego starca ukrytego w młodym jeszcze ciele.

– Helena... – powtórzył ponownie, spoglądając na list.



\*\*\*

Każda zgłoska tego imienia raniła go bezlitośnie, niczym ostrze noża, powodując dotkliwy, jak najbardziej fizyczny ból. Cierpienia jeszcze bardziej zaostrzała implikowana przez świąteczne zaproszenie myśl o kołędach. Łączyła się bowiem z jednym z najpiękniejszych, a zarazem najsmutniejszych wspomnień: wspomnieniem popołudnia *przed kataklizmem*; zimowego popołudnia przesyconego upojnym zapachem korzennych przypraw oraz łagodnym światłem chylącego się ku zachodowi słońca.

Zachodzące słońce... Tamtego dnia, czyli feralnego 24 grudnia 1877, Helena Radecka miała na sobie suknię w kolorze soczystej, ciemnej czerwieni, uszytą z materiału, którego miękki szelest przypominał trochę słyszany z oddali szum morskich fal, fałdy zaś układały się na ich podobieństwo, płynnie zachodząc jedne na drugie z cudowną, przewidywalną miarowością homeryckiego *oinops pontos* – „morza o barwie wina”.

Dźwięk ten, choć sam w sobie przyjemny dla ucha, prześladował go jednak w snach niczym chińska tortura, nie dając odpocząć, a nawet – nie raz – budząc w samym środku nocy. Gdy tylko rozlegał się w pokoju, Zygmunt szeroko otwierał oczy i na chwilę przestawał oddychać, po czym, nie mogąc zasnąć ponownie, powracał do pamiętnej sceny dziesiątki, a nawet setki razy. Czasami wyobrażał sobie, że Helena materializuje się w jego pokoju, w tej samej krwistej, szeleszczącej sukni, z tym samym łagodnym, lecz zarazem nieprzejeźdnym obojętnym spojrzeniem.

Jej uśmiech, przywołujący na myśl skojarzenia ze słynnym uśmiechem Giocondy, wydawał mu się wówczas jeszcze bardziej tajemniczy, a jednocześnie jeszcze bardziej okrutny. Lekko odgięty do góry lewy kącik szczelnie zamkniętych ust miał w sobie bowiem coś ironicznego, natomiast cienkie linie brwi, spod których patrzyły metalicznie chłodne, inteligentne oczy, unosiły się lekko do góry w wyrazie pobłażliwego zdziwienia.

Uśmiech Giocondy? A może delikatny, choć sadystyczny uśmiech dziewczyny z obrazu Giuseppe Marii Crespiego, na jednym płótnie drażniący się z kotem, na drugim zaś zadającej mu ból, pocierając o jego kark pozornie niewinną i wiotką, lecz naszpikowaną kolcami łądygą róży? Dlaczego okrucieństwo czyni piękno jeszcze bardziej potężnym, nierozzerwalnie przywiązując ofiarę do powabnego dręczyciela?

Koncert kołęd... To konkretne wspomnienie bolało go chyba najbardziej; wspomnienie tuż *sprzed kataklizmu*, gdy jeszcze – niczego złego się nie spodziewając – stał obok Heleny, obracając karty nut i uważnie obserwując, jak jej palce zwinnie poruszają się po klawiszach instrumentu, wydobywając zeń dźwięki polskich kołęd oraz innych utworów wpisujących się w świąteczną atmosferę.

W pewnej chwili, zapatrzonej na ten widok, przestał śledzić zapis i nie obrócił strony wtedy, kiedy powinien. Helena nie przerwała, lecz skinęła głową na znak, że pora na zmianę. Uśmiechnęła się wówczas wyrozumiale. Wyrozumiale? A może właśnie okrutnie? Może szydziła w duchu z niego, a także z jego afektu, którego nie była w stanie odwzajemnić? Nie bez kozery matka zwykła mawiać, że dwuznaczność boli dwukrotnie.

Tamtego popołudnia Zygmunt po raz pierwszy od dawna spróbował swych sił jako pianista. Z początkiem listopada wrócił bowiem z Londynu, gdzie przypadkowo zakupił w antykwariacie zbiorek angielskich kołęd pod redakcją Thomasa Sharpa. Z okazji zbli-

zających się świąt Bożego Narodzenia postanowił zatem nauczyć się jednej lub dwóch. Ostatecznie jego wybór padł na *Coventry Carol*.

Urzekająca, dotąd nieznana jego uszom rzewność tej starej, szesnastowiecznej kolędy tak bardzo go oczarowała, że z całej duszy zapragnął podzielić się nią z jedynymi żyjącymi członkami rodziny, jakich posiadał w Krakowie, przede wszystkim zaś ze swą przyszywaną kuzynką Heleną. Z obawy przed kompromitacją wytrwale ćwiczył u siebie w domu, zanim ostatecznie zdecydował się wystąpić w wąskim, lecz dość wymagającym gronie rodzinnym, składającym się przeważnie z wytrawnych koneserów muzyki.

Grając, uważnie obserwował Helenę, która, swoim zwyczajem, stała przy instrumencie, w zamyśleniu wpatrzona w nieokreśloną przestrzeń. Łagodny uśmiech dawno zniknął z jej twarzy, ustępując miejsca rozmarzonej powadze. Promienie świateł, palących się w lichtarzach zamocowanych po obu stronach pianina, rzucały na oblicze dziewczyny ciepłe światło, co nadawało alabastrowej cerze subtelnie złocisty odcień.

Wuj Marcin również słuchał w skupieniu. Jego oczy stały się szkliste, czoło zaś, zazwyczaj pofałdowane od natłoku myśli, nagle stało się gładkie jak czoło noworodka. Nawet ciotka Aurelia na chwilę przerwała swój niekończący się monolog, siedząc nieruchomo obok męża i całą sobą chłonąc słodką melodię. Kuzyn Albert z kolei kontemplerował z zamkniętymi oczyma.

Angielska kolęda okazała się natomiast zdecydowanie zbyt rzewna dla sześciolatniego Franka, przyrodniego brata Heleny. Już bowiem przy drugiej zwrotce spod powiek chłopca wydostały się dwie ogromne łzy, które następnie stoczyły się po jego puzatych policzkach, by w końcu oderwać się od skóry i bezgłośnie upaść na dywan. Jak na złość płynęły z coraz większą częstotliwością, pomimo że malec, ewidentnie zakłopotany, za wszelką cenę usiłował zataić swą niecodzienną, tak przecież niemęską reakcję na utwór.

W końcu, nie mogąc się opanować, Franek odwrócił się tyłem do wszystkich i zaczął udawać znudzonego. Zygmunt słyszał, jak ciotka Aurelia, nie domyślając się przyczyny owego ekscentrycznego zachowania, surowo upomina swą pociechę.

– Franek! – szepnęła wymownie, usiłując przywołać go do porządku.

Mały jednak udał, że nie słyszy. Zygmunt wiedział dlaczego.

Ciotka Aurelia pokręciła głową i ciężko westchnęła, a następnie przeprosiła gości za zachowanie synka. Helena tymczasem w zamyśleniu zapatrzyła się na wciąż spoczywające na klawiaturze dłonie Zygmunta. Dopiero po dłuższej chwili, gdy zauważyła, że ten dyskretnie jej się przygląda, natychmiast odwróciła głowę, by ponownie zatonać wzrokiem w nieokreślonej przestrzeni.

\*\*\*

Za oknem było już prawie zupełnie ciemno. Zygmunt zapalił lampę naftową, a następnie znów spojrzął na list, obok którego leżała starannie rozcięta koperta, zaadresowana tym samym, fantastycznym pismem.

– *Szanowny Pan Zygmunt Ehrenberg...* – przeczytał na głos.

Roztańczone litery ciotki Aurelii nęciły go niczym syreny. Śpiewały, kłaniały się, mrugały kropkami i akcentami; zdawały się czynić, co w ich mocy, byle tylko przywabić zagubionego żeglarza na swą wyspę, gdzie zamiast wesołej beztroski czekała go nie-

chybna zagłada. *Oinops pontos* – morze krwistej, szumiącej tafty...

Czy Helena bardzo się zmieniła? Czy wciąż tak często popadała w zamyślenie graniczące z letargiem? Czy nadal uśmiechała się jak Mona Lisa? Czy jeszcze nosiła tę ciemnoczerwoną suknię? Czy miała... Wszak z jej urodą niemożliwością było, by nikt się wokół niej nie zakręcił przez te wszystkie lata! A może już wtedy...

Zygmunt wyciągnął rękę po zaproszenie. Jednym, szybkim ruchem ponownie zgarnął je z biurka, a następnie przybliżył do twarzy. Był ciekaw, czy może wyczuje na nim charakterystyczny zapach pomarańczy i goździków, zwiastuna nadchodzącej Wigilii. Dotknął kartki czubkiem nosa i wciągnął głęboko powietrze. Nic, jedynie neutralna woń papieru... Przesunął nim po swym policzku, w zamyśleniu patrząc na coraz bielszy i coraz bardziej puszysty dach kościoła św. Krzyża.

W wieczornym półmroku śnieżna pokrywa przybrała odcień niebieskawy. Od dawien dawna nieuchronnie kojarzył się on Zygmuntowi z samotnością, która teraz, prawie w dokładną rocznicę *kataklizmu*, stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Jako indywidualista zawsze chadzał własnymi ścieżkami. Co innego jednak samotność szczęśliwa, poświęcona lekturze oraz wieczornym wypadom do kawiarni, a co innego samotność w nieszczęściu; samotność *po kataklizmie*.

\*\*\*

Feralnego wieczoru, tuż po deserze, mały Franek zaczął przysypiać, po czym za pozwoleniem matki udał się do swojego pokoju. Obecny także na Wigilii dużo starszy od Zygmunta kuzyn Albert również opuścił towarzystwo, tłumacząc się słabością pozostałą po niedawno przebytej *influency*. Niedługo potem wuj Marcin wyszedł na balkon, by – jak to miał w zwyczaju – „przewietrzyć głowę” po posiłku. Ciotka Aurelia pozostała w salonie jeszcze kilka minut, lecz wkrótce i ona, uprzednio szczelnie owinąwszy się ciepłym szalem, dołączyła do swego małżonka.

Tak oto Zygmunt pozostał zupełnie sam z Heleną. Ukartowany przez niego scenariusz przewidywał oczywiście taką ewentualność, lecz mimo wszystko podarowana mu przez los możliwość powiedzenia tego, co od dawna zamierzał powiedzieć, okazała się niemożliwą do zrealizowania utopią. Nagle poczuł się bezradny jak dziecko; zupełnie jak biedny Franek niepotrafiący zapanować nad nagłym przyływem irracjonalnych emocji.

Przez dłuższą chwilę nie wiedział, jak powinien się zachować, lecz w końcu zdołał się przełamać. Zainicjował rozmowę na lekkie, niezobowiązujące tematy. Helena tymczasem wzięła do ręki spodek z filiżanką, z której wydobywała się lekko gryząca woń bardzo mocno zaparzonej czarnej herbaty. Słuchała z uwagą, a także sama mówiła; opowiadała o zabawnych perypetiach młodszego braciszka, o własnych planach na lato, o niedawno przeczytanych książkach.

Rozmowa, choć z początku toporna i nienaturalna (gdyż łatwiej się wspólnie grało, niż rozmawiało), w końcu zaczynała się kleić. Helena wciągnęła się w nią na tyle, że zapomniała nawet o swej herbacie; napój stygł w filiżance, prawie nietknięty. Unoszący się nadal w powietrzu aromat wanilii, cynamonu oraz palonego cukru, dodatkowo podgrzany przez lampy naftowe oraz płonące w lichtarzach świece, z czasem przybrał na sile, nabierając prawie narkotycznej gęstości.

Helena spojrzała w stronę pianina.

– Nie znałam tej kolędy, którą zagrałeś – powiedziała.

– Jest bardzo stara, podobnie jak nasze polskie – odrzekł Zygmunt. – Dowiedziałem się o niej zupełnie przypadkowo.

– W jaki sposób?

– W jednym z londyńskich antykwariatów zauważyłem na półce zupełnie niepozorny zeszyt. Takie skromne książki często kryją w sobie wartościowe wnętrza, poczułem się więc zobligowany, żeby zdjąć ją z półki i zajrzeć do środka. Okazało się, że jest to zbiór kolęd. Zbliżało się Boże Narodzenie, więc pomyślałem, że miło by było nauczyć się czegoś nowego... tak dla odmiany.

Helena słuchała z wielkim zainteresowaniem.

– Czy zgodziłbyś się zagrać ją jeszcze raz? – zapytała niespodziewanie.

– Zdaje się, że Franek poszedł spać – przypomniał Zygmunt. – Nie chciałbym go obudzić, poza tym chyba widziałaś, jak ten utwór na niego podziałał...

Helena się roześmiała.

– Nie martw się o Franka, na pewno niczego nie usłyszysz – zapewniła. – Ma najmocniejszy sen z całej rodziny! To po ojcu, podobnie jak...

Zygmunt spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Nieważne – ucięła, poważniejąc.

Spojrzała w stronę pianina, sygnalizując tym samym, że nie zamierza rezygnować z przyjemności ponownego wysłuchania kolędy. Zygmunt podszedł zatem do instrumentu. Ponownie odsunął taboret, a następnie umieścił ręce na klawiaturze. Zaczął grać. Zdawało mu się, że słyszy oddech Heleny, i że staje się on lekko nierówny, jak u osoby, która bardzo silnie coś przeżywa.

Gdy skończył, odsunął się na bok, robiąc dla niej miejsce.

– Szkoda, że nie przyniosłem nut – powiedział. – Ale to łatwy utwór. Możemy spróbować na cztery ręce.

Helena spojrzała na niego ze sporą dozą nieufności, lecz przyjęła propozycję. Usiadła na zwolnionej połowie taboretu. Dwa fałdy jej sukni, nabrawszy powietrza, uniosły się do góry, wyduły niczym morskie fale, po czym z wolna, z cichym sykiem opadły w dół.

Pierwszy raz od czasów, gdy obydwójce chodzili do szkoły, siedzieli w tak niewielkiej odległości od siebie. Wówczas jednak bliskość, nawet duża, nikogo nie peszyła ani nie krępowała, co najwyżej stanowiła przeszkodę w wygodnym usadowieniu się na siedzisku, doprowadzając do niewinnych, dziecięcych sprzeczek. Teraz natomiast – paradoksalnie – wznosiła między nimi niewidzialny, lecz mocno wyczuwalny mur.

– Zagrasz górę – zaproponował Zygmunt. – Jest łatwiejsza.

– Zgoda – odrzekła Helena, czekając na dalsze polecenia.

– Dwie kwarty d i g, po nich tercja d i fis, potem...

– Znowu kwarta.

Helena bezbłędnie powtórzyła całą podyktowaną jej sekwencję akordów.

– Bravo! – pochwalił Zygmunt. – Potem seksta d i b, po sekście tercja f i a, dalej schodzimy po kolei aż do pierwszej tercji. Trzymamy ją, bo to półnuta z kropką. Spróbujemy?

Helena skinęła głową na potwierdzenie. Uśmiechnęła się przy tym nieco szerzej niż

zwykle.

– Trzy cztery – odliczył Zygmunt.

Zagrali wspólnie pierwsze cztery takty. Wyszło bezbłędnie. Wszystkie dźwięki idealnie zsynchronizowane, rytm bez potknięć, żadnych fałszywych nut. W niedługim czasie zagrali wspólnie cały utwór. Sztuczny, wymyślony *ad hoc* podział prostej kolędy na cztery ręce był zupełnie niezauważalny. Zdawało się bowiem, że wszystkie dźwięki pochodzą od jednego i tego samego wykonawcy.

Gdy skończyli, siedzieli jeszcze przez jakiś czas w kompletnym milczeniu, obydwójce nieruchomi i spięci. W pewnej chwili Zygmunt przybliżył swą prawą dłoń do ręki Heleny, która wciąż spoczywała na klawiaturze. Biała, wąska, o skórze tak cienkiej, że widać było pod nią wszystkie, nawet najmniejsze naczynia krwionośne, zdawała się zagubiona, uwięziona w czarno-białym potrzasku.

Zygmunt poczuł, że nie może oddychać. Opanował się jednak i znów przesunął w prawo swe dwa ostatnie palce prawej ręki. Jasny, delikatny obiekt, na którym skupione były teraz wszystkie jego myśli, zdawał się czekać, wabić go mleczną świetlistością; przedziwnie opalizował na podobieństwo dryfującej tuż pod powierzchnią morza subtelnej, choć śmiertelnie niebezpiecznej meduzy.

Wreszcie Zygmunt zdobył się na odwagę i chwycił go w sidła swych palców, prawie jak drapieżnik łapiący niezbyt ostrożną ofiarę. Gdy tylko to uczynił, pociemniało mu w oczach, a szmer własnej krwi w uszach stał się tak nieznośny, że zdawał się rozbrzmiewać w całym pomieszczeniu, współgrając z szelestem sukni Heleny. *Oinops pontos*, fale zachodzące na fale, bezkresne morze szumiącej krwi...

Gdy mrok opadł mu z oczu, zauważył, że Helena przelyka ślinę. Twarz miała nieruchomą niczym alabastrowa rzeźba, jednakże owo silne poruszenie krtani świadczyło dobitnie, iż spokój ten był pozorny. Zygmunt zdjął jej rękę z klawiatury, a następnie ucałował. Skóra, lekko wysuszona, miała swój specyficzny, przyjemny zapach – *zapach skóry wierzchu dłoni Heleny*, niepodobny do żadnego innego zapachu, sam w sobie doskonały.

Helena nie protestowała. Błądziła oczyma po ścianie naprzeciwko, tak jakby desperacko szukała na niej podpowiedzi, jak powinna postąpić. Zygmunt tymczasem zbierał się na odwagę, by zainicjować rozmowę. Wreszcie złapał z Heleną kontakt wzrokowy. Stało się to nagle, podobnie jak dokonana przezeń niespodziewana (także dla niego samego) aneksja dłoni dziewczyny. Zahaczywszy żrenicami o jej żrenice, czynił wszystko, by nie pozwolić im się oddalić, przywierając do nich z całej siły.

Tym razem jednak przegrał. W jego subiektywnym odczuciu moment ów rozciągał się w nieskończoność, choć trwał w rzeczywistości jedynie ułamek sekundy.

– Heleno... – zwrócił się do niej tonem innym niż wcześniej; poważnie, niemal uroczyście, lecz jednocześnie na swój sposób poufale.

Nie dokończył. Nie, nawet nie zaczął zdania, jednego z całego potoku zdań, które zamierzał wypowiedzieć, gdyż schwytna podstępnie alabastrowa, półprzezroczysta dłoń nagle wyslizgnęła mu się z potrzasku. Pozostawiła po sobie paroksyzm bólu, palący tkankę żywym ogniem żalu i gniewu.

Szum sukni wstającej z taboretu Heleny nałożył się na szum krwi w jego własnych skroniach. Pod wpływem ruchu powietrza świece w jednym z dwóch wprawionych

w pianino świeczników zaczęły lekko mrugać, co sprawiło, że widoczne na ścianach cienie znajdujących się w salonie obiektów rozkołysały się w cudacznym walcu, jedne powyginane, inne nienaturalnie wydłużone, jeszcze inne drżące jak liście na wietrze.

Pospiesznie opuszczająca salon Helena zdawała się Zygmunтови zupełnie nierzeczywista. Czuł jeszcze pod palcami jej dłoń, a w nozdrzach ten subtelny, do niczego niepodobny zapach jej skóry, a tymczasem równolegle widział ją już daleko od siebie, odwróconą tyłem, zmierzającą w stronę drzwi niczym ponura, bezbarwna zjawa, mało podobna do prawdziwej Heleny, którą nadal w przedziwny sposób postrzegał obok siebie. Czy mogła się znajdować w dwóch miejscach naraz?

\*\*\*

Ciotka Aurelia siedziała na fotelu w salonie, pieczołowicie haftując. W pewnej chwili oderwała wzrok od umieszczonej na bębenku serwetki i spojrzała na siedzącą naprzeciwko Helenę.

– Mam nadzieję, że w tym roku znów się spotkamy w komplecie – powiedziała. – Podobno Zygmunt wrócił już z tych swoich wojaży, więc liczę na to, że nas odwiedzi.

Helena, wsparta o poręcz swojego fotela, pochylona nad sążnistym woluminem, który zdawał się absorbować ją bez reszty, nie podniosła wzroku znad książki, pozornie ignorując słowa macochy. Wzrok jednak zaszedł jej mgłą, ręce zaś zeszytywniały tak bardzo, że mało brakło, by sporych rozmiarów tomiszcze wyślizgnęło się z nich i upadło na podłogę.

– Albert spotkał go kiedyś na Plantach – kontynuowała ciotka Aurelia. – Mówił, że bardzo się zmienił. Nie chciał powiedzieć, czy na korzyść czy też odwrotnie, ale wiesz przecież, jak dyskretny potrafi być nasz Albert... Helenko, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Dopiero teraz Helena uniosła głowę. Uczyniła to w zwolnionym tempie, tak jakby usłyszane przed chwilą pytanie wybudziło ją z głębokiego snu lub narkotycznego transu. Jej szare oczy, otwarte szerzej niż zazwyczaj, z uwagą spoczęły na pulchnej, rumianej twarzy ciotki Aurelii. Widziała jednak macochę niczym przez mgłę, podobnie jak wszystkie obiekty znajdujące się w pomieszczeniu: ciemna plama włosów, dwie jasne plamy dłoni, wielka, szaroniebieska plama sukni. Rozmyty, niejasny świat dryfował w powietrzu jak przedziwna fatamorgana.

– Helenko, mówię do ciebie! – zawołała ciotka Aurelia.

Ściągnęła przy tym brwi, a następnie głęboko westchnęła, by dodatkowo uwypuklić swe rosnące zniecierpliwienie.

– Tak, mam – odrzekła powoli Helena. – Wszystko słyszałam.

– Słyszałam, ale nie słuchałam – skomentowała sarkastycznie ciotka Aurelia, po czym pokręciła głową w geście pełnym dezaprobaty, jednocześnie ściskając usta w jedną, wąską kreskę.

– Słuchałam – zaprzeczyła Helena. – Mówiłaś o Albercie i jego słynnej dyskrecji.

– A wcześniej o twoim drugim kuzynie – odpowiedziała ciotka. – Pytałam Alberta, czy Zygmunt nadal mieszka tam, gdzie dawniej. Potwierdził, więc zaadresowałam kopertę po staremu...

Słabowity uśmiech na twarzy Heleny zgasł jeszcze szybciej, niż się pojawił.

– Dobrze zrobiłaś – odrzekła.

– Że też ten Zygmunt nigdy nie odpisze, tylko tak wszystko w ostatniej chwili! Ojciec mówi, że odziedziczył to po Ehrenbergach. Ciekawe, czy się u nas zjawi, bo przecież jest w Krakowie od dwóch tygodni. Jak sądzisz?

Pomimo panującej w pomieszczeniu raczej niewysokiej temperatury Helenie zrobiło się duszno.

– Nie mam pojęcia – odparła. – To się okaże dopiero w Wigilię.

„To się okaże w Wigilię” – powtórzyła w myślach jak echo.

Z opóźnieniem dotarła do niej następująca informacja: właśnie podświadomie założyła, że Zygmunt *na pewno* przyjmie zaproszenie ciotki Aurelii. Dlaczego uznała to za taką oczywistość, skoro nawet nie było pewne, czy zaproszenie dotarło do adresata? Dlaczego perspektywa spotkania z człowiekiem, który być może zdążył już nawet niemal zapomnieć o jej istnieniu, wprawiła ją w taki niepokój?

Nie potrafiąc odpowiedzieć sobie na wszystkie te pytania, znów powróciła do przerwanej lektury, usilnie, choć na próżno starając się przypomnieć sobie, gdzie niedawno skończyła. Nie pamiętała jednak w ogóle, o czym traktowała książka. Nie była nawet w stanie czytać, gdyż litery, choć raczej dość duże i wyraźne, nagle stały się dla niej za małe i, podobnie jak wszystko inne w pokoju, rozmyte.

Zamknęła wolumin, a następnie oczy.

– Idźże się zdrzemnąć – doradziła ciotka Aurelia. – Pewnie znów czytałaś po nocy i dlatego tak ci teraz słabo.

Helena nie odpowiedziała.

– W twoim wieku też czytałam po nocach. To przyjemne, ale i męczące. Nocą lepiej się porządnie wyspać, a siły zaoszczędzić na dzień.

Helena uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Tak, mam. Jak zawsze twoje rady są nieocenione – odparła z półuśmiechem, tuszując spowodowaną tymi uwagami lekką irytację.

Odłożyła książkę na bok, wstała z fotela i powolnym krokiem wyszła z salonu. Mijając ciotkę Aurelię, pocałowała ją w czoło.

– Dobranoc, mam – powiedziała.

Udawszy się na spoczynek do swego pokoju, przez długi czas stała przy oknie, przyglądając się ośnieżonym dachom drzemiących kamienic, nozdrzami kominów wydychających długie smugi szarego dymu. W budynku naprzeciwko młoda dziewczyna właśnie zdmuchnęła świecę i zasunęła kotary. Było to jedno z nielicznych okien na tym odcinku ulicy Grodzkiej, w którym do niedawna paliło się światło.

Księżyc nie było widać, lecz jego światło przebijało się przez cienką warstwę chmur o perłowym zabarwieniu. Błękitnawa pomroka stopniowo usypiała całą okolicę, wchłaniając w siebie stopniowo kolejne domy oraz ich mieszkańców. Helena wciąż bezwiednie odtwarzała w pamięci słowa ciotki Aurelii: „Ciekawe, czy się zjawi. Jak sądzisz?”. Rozbrzmiewały jej w głowie niczym echo, nie pozwalając o sobie zapomnieć.

W końcu jednak nawet one ucichły, poddając się przemożnej mocy senności, która niepostrzeżenie wtargnęła do pokoju, na podobieństwo bezcielesnej istoty przenikając przez szyby i ściany. Wzorem sąsiadki z naprzeciwka Helena podeszła do stojącego niedaleko okna stolika, by zgasić swą lampę, a następnie udała się na spoczynek. Sen przy-

szedł natychmiast; głęboki, mocny, podobny do śmierci.

\*\*\*

Ciężka, senna aura tamtego wieczoru zaczęła się udzielać także Zygmuntowi, choć nie na tyle, by mógł z łatwością zasnąć. Wiedział dobrze, że gdy tylko się przebierze i pogasi wszystkie lampy, czeka go długa, wielogodzinna męka, przesycona wspomnieniami oraz nieuchronnie im towarzyszącym, wyniszczającym cierpieniem. Postanowił zatem zagospodarować najbliższe godziny w sposób pożyteczny.

Pisanie życzeń świątecznych do przyjaciół – gdyż wybrał sobie takie właśnie remedium na bezsenność – szło mu jednak nader opornie. Zdawać by się mogło, że papier i pióro sprzysięgły się w tajemnej zмовie, skutecznie uniemożliwiając zadanie, już to przez poślizg stalówki, już to przez nieestetycznie pryskający atrament, już to przez nieczytelne, źle uformowane litery. Krótkie, ze wszech miar konwencjonalne liściki powstawały w bólach, zupełnie jakby nie pisał ich człowiek dorosły, a nawet już dojrzały, lecz niezbyt rozgarnięty uczeń.

W końcu, zniecierpliwiony oraz coraz bardziej zmęczony, Zygmunt umieścił pióro w kałamarzu, uporządkował pozostałe przybory, a następnie odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Nie czuł się nawet na siłach, by wstać z krzesła, a co dopiero, by przystąpić do innych czynności, wymagających większego wysiłku. Pozostał więc na swoim miejscu, ni to śpiąc, ni to czuwając, pogrążony w szarym limbo, z którego nie sposób się było wydostać.

Lampy w końcu zgasły samoistnie, jedna po drugiej, a pokój pogrążył się w pełnym mroku. Zygmunt jednak pozostał na swoim miejscu, dopóki plecy nie zaczęły mu się zsuwać z oparcia krzesła, ręce zaś nie opadły bezwładnie w dół. Dopiero gdy znalazł się w wyjątkowo niewygodnej pozycji, ocknął się ze swego transu i usiadł prosto.

– Chyba już na mnie pora – powiedział do siebie, a następnie wstał i poszedł do swojego pokoju.

Długo wyczekiwany sen przyszedł szybciej niż zwykle, przynosząc ze sobą całe mnóstwo przedziwnych, ulotnych marzeń, częściowo będących reminiscencją tego, co wydarzyło się za dnia, od rozmowy z sąsiadem z dołu począwszy, przez spacer po mocno zabłoconych Plantach, na wieczornych wspomnieniach o zmarłych bliskich skończywszy. Wszystko mieszało się ze sobą w przedziwny sposób, łącząc się w niespotykane kombinacje, niemożliwe i absurdalne na jawie.

W pewnej chwili jednakże bezsenność znów przypuściła atak. Szczelnie zamknięte powieki rozwarły się nagle i niespodziewanie, puls zaś ze spowolnionego przez spoczynek stał się szybki i urywany. „Która jest godzina?” – pomyślał Zygmunt, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu porannych wiązek światła, zazwyczaj wpadających do sypialni przez szpary pomiędzy zasłonami. Szybko jednak uświadomił sobie, że nadal jest ciemno.

Już miał ponownie zamknąć oczy, by podjąć próbę odzyskania przerwanej snu, kiedy nagle zobaczył przed sobą jakiś kształt. Była to postać ludzka, a dokładnie kobieca, stojąca nieopodal drzwi. Zygmunt patrzył z niedowierzaniem, powoli rozpoznając znajomą, filigranową sylwetkę oraz profil o lekko wypukłym, lecz proporcjonalnym czole.

– Heleno! – zawołał.



Zjawa, łudząco podobna do Heleny, a zarazem zgoła inna od fantomów, które w momentach desperackiej tęsknoty rodziła jego wyobraźnia, znajdowała się dokładnie w tej samej pozycji, co wówczas, tamtego feralnego wieczoru, gdy prawdziwa Helena, wyrwawszy mu swoją dłoń, pospiesznie opuszczała salon wujostwa Radeckich.

– Heleno, czy ty...

Nie był w stanie wypowiedzieć na głos tego strasznego pytania. Plecy oblał mu strumień zimnego potu, a za chwilę przebiegł je ostry dreszcz.

Zjawa tymczasem odwróciła się twarzą do niego. Trwało to zaledwie parę sekund, gdyż natychmiast zaczęła blaknąć. Ze zgrozą i rozpaczą Zygmunt obserwował, jak rozplywa się w powietrzu, rozmywając się na podobieństwo zalanej wodą akwareli, aż wreszcie całkowicie zniknęła. Opanowało go to samo uczucie niedowierzania, którego doznał wówczas, gdy Helena niespodziewanie wstała od pianina, by w pośpiechu opuścić salon.

Znów wszystko działo się zbyt szybko, zbyt niezrozumiale. Zygmunt nie nadążał za nagłymi przebłyskami szczęścia oraz ich jeszcze bardziej niespodziewanym końcem. Przez dłuższy czas zdawało mu się bowiem, że Helena stoi w głębi pokoju, na wprost niego, z twarzą zwróconą niemal zupełnie *en face* w jego stronę, choć przecież był świadom, że właśnie bezpowrotnie stracił ją z oczu.

Wstał i przeszedł się po pokoju, bezradnie się po nim rozglądając, tak jakby milczące ściany były w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy tajemnicza wizja miała miejsce naprawdę, czy też stanowiła jedynie wykwit zbyt pobudzonej wyobraźni, łapczywie karmiącej się tłumioną tęsknotą. A jeśli *była* prawdziwa, czy miała oznaczać najgorsze? Dlaczego to się musiało stać teraz, tuż przed ponownym spotkaniem z Heleną? Czyżby uciekła przed nim aż w zaświaty?

Teraz dopiero uświadomił sobie, że do niedawna zamierzał owego spotkania uniknąć, a jednocześnie zapragnął go bardziej niż czegokolwiek innego. Oddałby własne życie nie tylko za Helenę, lecz także za możliwość zobaczenia się z nią choćby ten jeden, jedyny raz. „Pójdę, zniosę wszystko, co los każe mi znieść, i odejdę – pomyślał. – Już nigdy więcej nie zakłócę jej spokoju, byle tylko to, co właśnie zobaczyłem, nie zwiastowało nieszczęścia!”.

Zapalił świecę, a następnie poszedł do salonu, gdzie przed snem zostawił zaproszenie od ciotki Aurelii. „To już dzisiaj” – pomyślał, spoglądając na olbrzymi, misternie rzeźbiony zegar, który właśnie wskazywał trzecią nad ranem. Podniósłszy pismo z biurka, po raz kolejny przeczytał jego treść. Zdał sobie sprawę, że mimowolnie zdążył jej się nauczyć na pamięć.

\*\*\*

Nastała Wigilia. W mieszkaniu Radeckich panowało duże zamieszanie. O szesnastej mieli się zjawić goście. Znajac nadzwyczajną punktualność kuzyna Alberta, który nigdy nie spóźnił się nawet o minutę, ciotka Aurelia ponaglała służącą, wydając jej dyspozycje coraz bardziej nerwowym tonem. Dziewczyna biegała jak oszalała pomiędzy salonem a kuchnią, by zdążyć nakryć do stołu na czas. Asystował jej mały Franek, przydając tym samym jeszcze więcej pracy, gdyż wszystko układał po swojemu, fantazyjnie i zupełnie niezgodnie z obowiązującymi zasadami układania sztuców oraz zastawy.

Jedynie wuj Marcin i Helena zachowywali spokój, w milczeniu uzupełniając dekorację choinki o ulubione ozdoby, pieczolowicie przechowywane w witrynce z porcelaną z obawy przed uszkodzeniem. Helena, w granatowej sukni jeszcze bardziej podkreślającej jej naturalnie jasną karnację, zdawała się ponadto głęboko zamyślona. Wuj Marcin co jakiś czas dyskretnie na nią spoglądał, ponieważ nadzwyczajna bladość córki zaczęła budzić jego troskę.

Chcąc rozweselić swą pociechę, co jakiś czas inicjował lekką, niezobowiązującą rozmowę, za każdym razem jednak napotykał bierny opór.

– Długi post nikomu nie służy – powiedział w końcu. – Ale już niebawem przyjdą goście i najemy się za wszystkie czasy.

Helena uśmiechnęła się słabowicie, nie odwracając głowy od małego gipsowego aniołka, którego właśnie mocowała na gałązce młodej jodły.

– W tym roku, daj Boże, nasze grono będzie liczniejsze – kontynuował wuj Marcin. – Podobno zjechał do Krakowa twój drugi kuzyn.

Na te słowa palce Heleny zatrzymały się w miejscu, zastygając w kompletnym bezruchu wśród zielonych igieł oraz czerwonych wstążeczek.

– Słyszałam – odparła z wysiłkiem. – Mama wczoraj mi o tym wspomniała.

– Ciekawe, jak mu się wiedzie. Tyle lat, ze sześć...

„Pięć” – poprawiła w myślach Helena.

– A ty w ogóle pamiętasz jeszcze Zygmunta? – zapytał wuj Marcin.

– Pamiętam – odrzekła lakonicznie.

Otwierała właśnie nieduże porcelanowe puzderko, gdy jej uwagę przykuł znajdujący się tam, wciśnięty między dwie gwiazdki z gipsu, mały mosiężny dzwonek, zawieszony na zielonej tasiemce. Helena utkwiała w nim swe szeroko rozwarte oczy, tak jakby ów niepozorny przedmiot wabił ją za pośrednictwem tylko dla niej słyszalnych magicznych zaklęć.

– Helenko, nad czym tak rozmyślasz? – zapytał wuj Marcin.

– Coś mi się przypomniało – zdradziła.

To rzekłszy, wyciągnęła rękę po dzwonek. Już miała dotknąć ozdoby, lecz koniuszki palców nagle jej zadrżały. Przypomniała sobie bowiem chwilę, gdy przed pięcioma laty, wychodząc z salonu po przerwanej rozmowie z Zygmuntem, mijała choinkę. Spoczęła wówczas wzrokiem właśnie na tym dzwonku, który dokładnie tak samo jak teraz odbijał światło lamp oraz świec, rozrzucając dokoła złociste refleksy.

Po paru sekundach wahania wzięła go do ręki, a następnie powiesiła mniej więcej z tej strony drzewka, gdzie wisiał tamtego, feralnego dnia. Sama nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak postąpiła.

– Ładnie tu wygląda – zaaprobował wuj Marcin. – Ale może troszkę bardziej na prawo, nie sądzisz?

– Nie, tutaj jest idealnie – odrzekła Helena.

Godzina szesnasta zbliżała się nieubłaganie, a służąca i towarzyszący jej nieodłącznie Franek właśnie położyli na stole talerzyk z opłatkami. Po dokonaniu ostatniej inspekcji nakryć oraz dekoracji ciotka Aurelia głęboko odetchnęła, uśmiechając się przy tym z zadowoleniem.

– Zdążyliśmy – oznajmiła.

Jej donośny głos jeszcze dźwięczał w ciężkim od świątecznych aromatów powietrzu, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Wuj Marcin zostawił Helenę samą, a po chwili wrócił do salonu w towarzystwie niewysokiego mężczyzny o kręconych, mocno posiwiałych włosach oraz wyglądzie neurotyka.

– Albert jak zwykle pierwszy – oznajmił z uśmiechem, przepuszczając gościa przez drzwi.

– Pierwszy do przyjścia i do wyjścia – zażartował kuzyn Albert. – Tym razem jednak postaram się dotrzeć do końca.

Helena powiesiła na drzewku ostatnią ozdobę, a następnie podeszła do dawno niewidzianego krewnego.

– Jak się miewasz, kochany kuzynie? – zapytała, gdy ten właśnie składał na jej dłoni pełen afektu pocałunek.

Kuzyn Albert pokręcił głową z ubolewaniem.

– Jak zwykle nie najlepiej – odrzekł. – Ostatnio zawiąło mnie u Wentzla... Tak okropnie, że ledwo mogę rozprostować plecy!

Wuj Marcin pogładził go po łopatkach.

– Posadźmy cię blisko pieca. Najesz się do syta ciepłych potraw, to ci wszystko samo przejdzie – zapowiedział.

Kuzyn Albert cierpiętniczo uniósł brwi.

– Nadmiar ciepła też nie jest wskazany... Doktor Hertzlich zakazał...

– A doktor Radecki zalecił – zaśmiał się wuj Marcin, prowadząc gościa w stronę krzesła, które niemal sąsiadowało z potężnym piecem kaflowym w kolorze zgniłej zieleni. – Siadaj – dodał. – Tu ci będzie dobrze.

Helena podeszła do kuzyna Alberta i pogładziła go po łopatkach.

– Gdyby ojciec nie został doktorem matematyki, z pewnością byłby teraz znakomitym doktorem medycyny – zapewniła. – Słuchaj jego rad, a dobrze na tym wyjdiesz.

Kuzyn Albert odpowiedział boleściwym uśmiechem, a następnie wydobyl z kieszeni małe pudełeczko.

– To na bóle w krzyżu – szepnął konspiracyjnym tonem, pokazując Helenie znajdujący się na dnie żółtawy proszek.

\*\*\*

Zygmunt dotarł pod drzwi wujostwa Radeckich punktualnie co do minuty. Ani cienia żałoby. Co więcej, z wnętrza mieszkania dobiegały nawoływania ciotki Aurelii. Odpowiadał na nie drugi głos, zdyszany i chrapliwy, w którym Zygmunt bez trudu rozpoznał służącą. Po paru sekundach usłyszał także piskliwy szczebiot małego Franka. Prawie pewien, że jego obawy okazały się bezpodstawne, wziął głęboki oddech i na krótko zamknął oczy, starając się zapanować nad zdenerwowaniem.

Gdy nieco ochłonął, zdjął kapelusz, a następnie zajrzał do worka z drobnymi upominkami dla całej rodziny. Był tam również prezent dla Heleny: przekład *Odysei* pióra Lucjana Siemieńskiego. Cóż bowiem innego mógłby podarować właścicielce Homeryckiego imienia oraz sukni o barwie Homeryckiego morza? *Oinops pontos...* Policzył do trzech i nacisnął dzwonek. Poczul, że uchodzi z niego życie.

\*\*\*

Rozległ się kolejny dzwonek do drzwi. Helena, która już zdążyła wciągnąć się w rozmowę z jedynym jak na razie gościem, nagle drgnęła i odwróciła głowę. Kuzyn Albert również podniósł wzrok znad swego pudełeczka, nasłuchując.

– Jednak przyszedł, nasz obieżyświat – oznajmił z uznaniem.

Z przedpokoju dobiegł wibrujący, lekko operowy głos ciotki Aurelii oraz drugi, męski, matowy i przyjemny.

Kuzyn Albert w dalszym ciągu uskarżał się na rozmaite dolegliwości, lecz Helena nawet go nie słyszała, łapczywie chwytając uszami znajomo brzmiące akcenty i kadencje, których brzmienie odświeżało tyle dawnych wspomnień.

– Moi drodzy, czy poznajecie tego pana? – zapytała teatralnie ciotka Aurelia, kierując słowa do męża i pasierbicy.

Schludnie ubrany, dość wysoki mężczyzna o krótkich ciemnobrązowych włosach oraz zarostie tej samej barwy zaczął się witać ze wszystkimi po kolei, zaczynając od pani domu.

– Bardzo mi miło, żeście jeszcze o mnie pamiętali – zwrócił się do wuja Marcina, ściskając go mocno.

– Jakże mielibyśmy o tobie nie pamiętać, w dodatku w Boże Narodzenie? – odparł wuj Marcin. – Zmieniłeś się przez ten czas. Nie pogniewaj się, jeśli powiem, że wydoroślałeś. Mam nadzieję, że opowiesz nam o swoich wozach. My, niestety, nie wychylamy nosa z domu, nawet dzieci... Być może latem wybierzemy się do Italii, więc liczymy na twoje cenne rady w tej materii.

Mężczyzna lekko się uśmiechnął. „Mama, ojciec, kuzyn Albert... ja” – pomyślała Helena. Przybysza widziała jak przez mgłę. Czowała na szyi gorącą obręcz, która tamowała jej oddech.

– Zygmuncie, jak znajdujesz kuzynkę Helenę? – zapytała ciotka Aurelia, burząc ów kruchy porządek oczekiwania.

Dopiero teraz drugi z zaproszonych gości zaczął nabierać konturów i stał się dla Heleny w pełni widoczny. Patrzył wprost na nią; bez cienia urazy, lecz także bez cienia dawnej, dziecinnej afektacji. Wydawał jej się o wiele starszy niż w rzeczywistości, tak jakby zamiast kilku lat upłynęło ich co najmniej kilkanaście; w niczym nie przypominał długowłosego młodzieńca o rozmarzonym spojrzeniu, który przed pięcioma laty zawitał u wujostwa Radeckich po raz ostatni.

– Jeśli w ogóle się zmieniła, to rzekłbym, że na korzyść – odpowiedział z niewielkim opóźnieniem.

Helena usiłowała się uśmiechnąć, lecz wszelkie jej starania okazały się nieskuteczne. Zobligowane do mowy usta uparcie milczały. Owładnął ją irracjonalny lęk, który tamował wszelkie próby nawiązania kontaktu. Jedyną rzeczą, na jaką mogła się zdobyć, był delikatny uśmiech, teraz jeszcze bardziej Leonardowski niż kiedykolwiek indziej. Zygmunt tymczasem przysiadł się z drugiej strony do kuzyna Alberta, ten zaś natychmiast podjął przerwany wątek swoich perypetii zdrowotnych.

Gdy wszystkie prezenty – zarówno te przygotowane przez gospodarzy, jak i te przyniesione przez gości – znalazły się już pod choinką, wuj Marcin odstawił puzderka do witryny, a następnie przyprowadził do salonu małego Franka. Ten akurat przebywał

w kuchni, podjadając smakowite okruszki strucli z bakaliami, pozostałe jeszcze w formie po przeniesieniu ciasta na paterę.

– Pora zaczynać – ogłosił.

Na te słowa goście zasiedli przy stole. Po tradycyjnym odczytaniu przez wuja Marcina fragmentu Ewangelii przystąpiono do łamania się opłatkiem.

– Jako gospodyni, pozwolę sobie zacząć – zainicjowała ciotka Aurelia. – Przede wszystkim chciałabym życzyć nam wszystkim błogosławieństwa Bożego oraz zdrowia, zdrowia i jeszcze raz zdrowia!

– O tak! Zdrowie jest najważniejsze! – skomentował boleściwym tonem kuzyn Albert, masując sobie nadgarstek.

– Chciałabym także powitać w naszym gronie syna, a raczej siostrzeńca marnotrawnego, który niedawno powrócił do nas cały i zdrowy; jak mam nadzieję, na dłużej! – zwróciła się do Zygmunta.

To rzekłszy, przełamała się opłatkiem ze wszystkimi po kolei. Za przykładem pani domu poszedł wuj Marcin, kuzyn Albert, a także Zygmunt. Ten ostatni, nie mając jak w cywilizowany sposób dotrzeć do Heleny, nie wyciągając do niej ręki przed twarzą swego sąsiada, wstał od stołu i podszedł do jej krzesła.

– Zdrowia i wszelkiej pomyślności, droga kuzynko – odezwał się.

Helena chciała powiedzieć „wzajemnie”, lecz nie była w stanie. Jakaś potężna siła ograniczała ją od środka, paraliżując język i odbierając zdolność do nawiązania kontaktu. Przełamując się opłatkiem, Helena przypadkowo dotknęła opuszek palców Zygmunta. Zrobiło jej się zimno, a potem gorąco; tak gorąco i duszno, że prawie nie mogła oddychać. Na zewnątrz jednak była blada, jak zawsze, spoglądając na swego rozmówcę łagodnym, nieprzeniknionym wzrokiem. Składając sobie życzenia z kuzynem Albertem, zdołała jedynie wykrzesać z siebie dwa wyrazy:

– Zdrowia, kuzynie.

Ciotka Aurelia podniosła pokrywę wazy, uwalniając intensywny aromat zupy z suszonych borowików, który natychmiast rozszedł się po całym pomieszczeniu.

– Czekałem na tę chwilę! – odezwał się mały Franek, wpatrując się w porcelanową chochelkę w matczynej dłoni wzrokiem pełnym absolutnego uwielbienia.

Wszyscy zaczęli się śmiać.

– Mamo... – jęknął Franek, gdy w jego talerzu nieoczekiwanie znalazła się dość niewielka ilość pachnącego wywaru.

– Czekałeś też na pozostałe potrawy, chyba że mnie pamięć zawodzi... – przypomniała ciotka Aurelia. – Patrz, siostra się z ciebie śmieje!

Franek spojrzał na Helenę, lecz natychmiast zweryfikował ową uwagę.

– Nieprawda. Ona jest poważna – odrzekł stanowczo.

Zauważył bowiem, że starsza siostra, choć nieznacznie uśmiechnięta, nawet nie patrzy na niego, lecz *przez* niego, w daleką przestrzeń. Jej twarz była nienaturalnie spokojna, niczym gipsowa maska.

Helena przysłuchiwała się nawiązanej przed chwilą rozmowie Zygmunta z wujem Marcinem i kuzynem Albertem. Wyczerpująco, a nawet z nieznaną jej wcześniej swadą odpowiadał na zadawane przez nich pytania o jego podróże, prawiąc o tajemnicach włoskich zamków, arcydziełach malarstwa, jakie udało mu się obejrzeć w muzeach,

a także o różnych osobliwościach napotkanych w poszczególnych krajach.

Z całego towarzystwa ona jedna milczała, nie będąc w stanie nie tylko mówić, ale nawet jeść. Po prawej stronie miała swego ojca, naprzeciwko zaś Franka, który z zapalem uczestniczył w toczącej się dyspucie. Ilekroć Zygmunt zwracał się do wuja Marcina, czuła na sobie jego wzrok; zmierzając bowiem do celu, przemykał jej po twarzy niczym cień, by wreszcie spocząć na obliczu rozmówcy.

Gdy upłynęły już ponad dwie godziny, ciotka Aurelia poprosiła Franka o zaśpiewanie kolędy. Helena wstała od stołu i udała się do pianina, by akompaniować bratu. Położwszy na klawiaturze swe zeszywniałe, lodowate palce, czekała na decyzję chłopca, który utwór wybrać na początek.

– *Bóg się rodzi* – zapowiedział Franek po chwili zastanowienia.

Rodzeństwo wymieniło porozumiewawcze spojrzenia, a następnie Helena rozpoczęła kolędę od przygrywki w formie kadencji. Srebrzysty głos Franka, podobny bardziej do dźwięku doskonale nastrojonego instrumentu niż do ludzkiego śpiewu, brzmiał donośnie i czysto, łagodnie rozchodząc się po całym pomieszczeniu jak działanie dobrotliwego bóstwa. Nawet kuzyn Albert, dotąd zaabsorbowany nakręcaniem rozregulowanego zegarka, schował go z powrotem do kieszeni, po czym dyskretnie otarł łzę, która zdradziecko wydostała mu się z kącika oka.

Gdy muzykanci skończyli, wszyscy jednocześnie nagrodzili ich oklaskami. Poczekawszy, aż aplauz umilknie, Franek odwrócił się przodem do pianina i zaczął wertować stojący na półce nad klawiaturą śpiewnik.

– Franiu, skoro nie możesz się zdecydować, może teraz posłuchamy tylko twojej siostry? – zasugerowała zniżonym tonem ciotka Aurelia.

Chłopiec wrócił więc na swoje miejsce, pozostawiając Helenę samą. Upłynęło jednak kilka sekund, a ona wciąż siedziała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym we własne ręce, desperacko starając się odtworzyć w myślach zasłyszaną kiedyś cudzoziemską kolędę. Nie pamiętała tonacji, lecz wyłącznie melodię, która nieraz jeszcze nawiedzała ją w różnych chwilach, na podobieństwo przezroczystej zjawy przenikającej przez ściany umysłu. Jednakże coś nie pozwalało jej grać, szepcząc: „Nie teraz”.

– Helenko, czy wszystko... – zaniepokoiła się ciotka Aurelia.

Nie dokończyła, zagłuszona przez niespodziewany dźwięk odsuwanego taboretu. Helena wstała i wróciła do stołu.

– Helenko, nie rób nam tego! – zaprotestował wuj Marcin. – Wiem, jak dobrze masz opanowane kolędy, więc nie powinnaś się tak krępować. Zresztą siedzą tu sami swoi!

– Wybaczcie – powiedziała cicho Helena. – Nie czuję się dobrze.

Wujostwo Radeccy spojrzeli po sobie. Ciotka Aurelia bezradnie rozłożyła ręce, po czym przystąpiła do opowiadania różnorodnych anegdot.

\*\*\*

W niedługim czasie, jeszcze przed rozdaniem prezentów, kuzyn Albert zaczął się dyskretnie szykować do wyjścia.

– Ból krzyża daje mi się bardzo we znaki – szepnął konfidencjonalnie do Heleny, a następnie ostrożnie wstał z krzesła.

– A jednak... – odezwał się zawiedzionym tonem wuj Marcin. – No cóż, i tak sporo

wytrzymałeś.

– Zostawiłem pod choinką drobiazgi dla każdego, ale niestety postrzał doskwiera mi coraz dotkliwiej. Nie gniewajcie się, proszę, na starzejącego się kalekę.

Gdy właśnie zasuwiał za sobą krzesło, nie wydając przy tym najmniejszego szmeru, ciotka Aurelia szybko podeszła do choinki i wyjęła spod niej niedużą paczuszkę, na której widniało wypisane dziecięcym pismem Franka: „Dla Alberta od Aniołka”. Niespodziewanie, kilka sekund po nim, z miejsca podniósł się także Zygmunt.

– Ja również zostawiłem dla każdego coś miłego – ogłosił. – Ale i na mnie już czas.

– A ty dokąd, wiercipięto? – zapytał półzartem wuj Marcin.

Zygmunt wyszedł zza stołu i skierował się w jego stronę.

– Odprowadzę Alberta do domu – oznajmił.

Wuj Marcin głęboko westchnął, ewidentnie rozczarowany.

– Nic, nie będę cię tu na siłę więzić... Było nam bardzo miło, że przyjąłeś zaproszenie. Aurelia zaczęła już tracić nadzieję, ja zresztą podobnie... A tymczasem taka miła niespodzianka!

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł Zygmunt. – Pora już na mnie, wujku.

– Bywaj zdrów, kochany siostrzeńcu!

Uściskali się mocno, a następnie Zygmunt dołączył do stojącego już w drzwiach kuzyna Alberta. Ciotka Aurelia podbiegła i jemu również wręczyła zgrabną paczuszkę.

– Zyguncie, dziecko, nie zapomnij swojego prezentu! – zawołała.

– Szkoda, że już idziesz, kuzynie... – odezwał się mały Franek, obejmując go w pasie.

– Ten prezent jest od niego – zdradziła ciotka Aurelia. – Własnej roboty!

Zygmunt pogładził malca po głowie, po czym delikatnie wyswobodził się z jego objęć, by pożegnać się z Heleną. Stała ona tuż obok ciotki Aurelii; spokojna, posągowa, z ledwie zauważalnym, łagodnym uśmiechem na twarzy.

– Do zobaczenia, kuzynko – powiedział. – Mam nadzieję, że spodoba ci się drobiazg, który ci ofiarowałem. Zdradzę, że to książka... Pomyśl czasem o mnie, kiedy po nią sięgniesz.

Twarz Heleny drgnęła, a następnie zbladła. Jej oczy nieznacznie się zwęziły, stając się jednocześnie szkliste i o pół tonu ciemniejsze.

– Ja też coś mam dla ciebie – oznajmiła.

Po tych słowach odwróciła się od Zygmunta i podeszła do pianina. Nie namyślając się, podążył za nią.

Reminiscencje sprzed pięciu lat nałożyły się na terażniejszość. Zygmunt poczuł, że cały spokój, który z takim trudem w sobie wypracował, rozpada się w drobny mak. Słyszał nawet w wyobraźni odgłos jego odpryskujących odłamków i widział, jak rozprzechują się we wszystkich możliwych kierunkach. Znów, jak wtedy, kołatało mu serce, czoło zaś obficie zraszały krople lodowatego potu. Znów było *wtedy*, a za chwilę miał nastąpić *kataklyzm*.

Helena tymczasem zagrała pierwsze akordy.

– To ten utwór! – zawołał Franek. – To ta angielska kołęda!

Helena nie zwracała na niego uwagi i kontynuowała. Kuzyn Albert szepnął coś do ciotki Aurelii, ta zaś, podobnie jak przed pięcioma laty, słuchała w milczeniu, niczym pod urokiem czarodziejskiego zaklęcia. Dźwięki – pomimo wielkiej niedoskonałości wy-

konania – zdawały się bowiem opowiadać niezwykłą historię, każdemu inną i dla każdego równie wzruszającą.

Zygmunt powrócił myślami do Wigilii sprzed pięciu lat. Co więcej, rzecz by można, że przeżywał ją teraz na nowo, rozumiejąc i interpretując wszystko od nowa. *Wtedy* nakładało się na *teraz*, spajając obie Wigilie w jedną, nierozzerwalną całość. Wyraźnie czuł w swej dłoni rękę Heleny, choć przecież widział ją poruszającą się po klawiaturze. Czuł na sobie jej wzrok, choć zwrócony był on na palce, w trosce o uniknięcie większej liczby pomyłek.

Pomimo że Zygmunt poprzedził swój występ sprzed pięciu lat solidną dawką ćwiczeń, Helena natomiast, odtwarzając utwór z pamięci, myliła się i grała dość nierówno, to właśnie jej wykonanie przemówiło do audytorium o wiele bardziej. Gdy skończyła, zapadła zatem kompletna cisza. Dopiero po kilkunastu sekundach słuchacze ocknęli się z transu, w jaki już po raz drugi wprawiło ich surowe, a zarazem słodkie brzmienie renesansowej kolędy z Coventry.

Helena patrzyła na swe palce, wciąż spoczywające na klawiszach. Po chwili jednak powoli odwróciła głowę w stronę Zygmunta. Nie uśmiechała się już, lecz z jej twarzy, choć nienaturalnie poważnej, paradoksalnie emanowała radość.

– Nie odchodź – powiedziała, a następnie sama, spontanicznie, chwyciła go za rękę i przyciągnęła do siebie. – Już za długo na ciebie czekałam.





## Diane Rose. Światło w ciemności

Wciągnąłem w płuca mroźne grudniowe powietrze i powoli je wypuściłem, wydychając obłok pary. Wsadziłem zmarznięte ręce do kieszeni wiatrówki i ruszyłem w dół. Odczuwałem chłód, ale nic nie mogłem na to poradzić. Niestety, nie miałem przy sobie zimowej kurtki, a chwilowo o kupnie nowej mogłem zapomnieć. Nie byłem również pewien, co przez te pięć lat działo się z moją kurtką i traperami. Na pewno tamtego dnia, w którym skończyło się moje życie, miałem je na sobie. Być może do niczego już się nie nadawały albo otrzymał je ktoś inny. Nie byłoby to znowu niczym szczególnym. W miejscu, w którym spędziłem ostatnie kilka lat swojego życia, często ginęły czyjeś rzeczy, zbyt często...

Przyspieszyłem kroku, czując, jak moje adidasy robią się mokre od śniegu. Kto mógł przypuszczać, że z dnia na dzień temperatura spadnie poniżej zera i napada tyle śniegu? Nigdy nie myślałem, że w mój pierwszy dzień powrotu do życia tak bardzo zmarzną. Po dłuższej chwili minąłem przystanek Mścięcino Krzyżówka i ruszyłem w dalszą drogę w dół, uważając, żeby się nie poślizgnąć na lodzie ukrytym pod śniegiem. Teoretycznie złamana noga była ostatnim, czego potrzebowałem, ale w mojej sytuacji spędzenie wigilijnego wieczoru w szpitalu wydawało się całkiem kuszącym rozwiązaniem.

Było już ciemno, bo chociaż dochodziła dopiero siedemnasta, dzień zbliżał się ku końcowi. Byłem pewny, że jeszcze przed dwudziestą na niebie pojawi się pierwsza gwiazdka. Nieliczni przechodnie śpieszyli do domów z ostatnimi zakupami, których musieli zapomnieć wcześniej, a były niezwykle potrzebne do przygotowania dwunastu wigilijnych potraw, które niebawem miały znaleźć się na stole w ich rodzinnym domu. Miałem wrażenie, że życie zmieniło się, kiedy ja nie byłem w nim obecny, chociaż wszystko na pozór wyglądało podobnie. To było dziwne uczucie, jakbym wrócił z zaświatów.

Zatrzymałem się po przejściu niecałych dwóch kilometrów. Usiadłem na mokrej ławce, na przystanku Police Mazurska, i ukryłem twarz w zmarzniętych dłoniach. Dzisiejszy dzień powinien mnie cieszyć, wracałem powoli do świata, ale nie potrafiłem. Tak naprawdę mój świat legł w gruzach kilka lat temu, sam go zniszczyłem, jedną nieroztropną decyzją, której nikt nie potrafił zaakceptować, nawet ja sam. Wiedziałem, że drugi raz nie postąpiłbym tak samo, ale czasu nie można cofnąć, nawet z pomocą magii świat. W zasadzie nawet nie wiedziałem, dlaczego wylądowałem właśnie w Policach. To było moje rodzinne miasto, ale teraz nikt w nim już na mnie nie czekał, zupełnie nikt. Co ja w ogóle sobie myślałem, przyjeżdżając tutaj?

– Przepraszam pana...

Podniosłem zaskoczone spojrzenie na dziewczynkę, która niecierpliwie przebierała nogami, a w dłoniach mocno ścisnęła niewielki lampionik, słusznie obsypany srebrnym brokatem.

– Pomoże mi pan?

– W czym mógłbym ci pomóc? – zapytałem.

– Zgubiłam się, a bardzo się spieszę – wyjaśniła. – Muszę dotrzeć na miejsce na czas. Koniecznie, inaczej stracę najlepsze!

– Ale co stracisz?

– No piosenkę, ogień i ludzi!

Zamrugałem i przetarłem zmęczone oczy. Zupełnie nie rozumiałem, o czym mówiła.

Od ponad pięciu lat nie miałem styczności z dziećmi, ale w jej przypadku to chyba i psycholog dziecięcy by nie podołał. Co mogło łączyć piosenkę, ogień i ludzi w środku zimy? Nie miałem pojęcia.

– Jaki ogień?

– No święty – odparła ze zniecierpliwieniem.

– Jaki święty ogień? – dopytywałem, nic nie rozumiejąc.

– No z Betlejem! – wykrzyknęła. – Coś ty z choinki się urwał?

Potarłem zmarznięte dłonie, zastanawiając się, czy nie mam przypadkiem omamów. Może po prostu zamarzałem i los zesłał mi tę dziwną wizję tuż przed śmiercią? Nie miałem jednak pojęcia, dlaczego widziałem akurat dziewczynkę z lampionem, jeśli umierałem, to zdecydowanie wolałbym zobaczyć swoją córkę.

– Czym jest ogień z Betlejem? – spytałem ze szczerym zainteresowaniem.

– Nieważne! – burknęła. – Zaprowadź mnie tam po prostu. Naprawdę się spieszę!

Westchnąłem. Ostatnim, czego potrzebowałem do szczęścia w tym dniu, było apodyktyczne dziewczę w różowych śniegowcach. Mimo wszystko podniosłem się z ławki. W końcu była Wigilia, czas dobrych uczynków, kruszonych pierniczków, podrobionych Mikołajów w centrach handlowych i w ogóle tego całego świątecznego kiczu.

– Mama cię nie uczyła, że nie rozmawia się z obcymi? – spytałem z nadzieją, że dziewczynka się wycofa.

– Jak się nazywasz? – odparła w odpowiedzi.

– Marek.

– A ja Alicja – przedstawiła się uprzejmie, lekko się kłaniając. – Zadowolony? – dodała po chwili, zniecierpliwiona.

– Myślisz, że to wystarczy? – spytałem ze zwątpieniem.

– Słuchaj, jesteśmy teraz znajomymi, więc po prostu chodźmy już – powiedziała i chwyciła mnie za rękę. – Prowadź!

– Dokąd?

– No do ludzi i ognia!

– Tak, tak, to już mówiłaś – potwierdziłem, kiwając głową. – Gdzie to jest?

– Przy pomniku papieża.

– No dobrze, ale musimy iść pieszo – zastrzegłem.

– Nie ma sprawy, lubię chodzić. – Alicja wzruszyła ramionami. – Tylko szybko, bo zaraz się zacznie.

Westchnąłem zrezygnowany. Jedną rękę włożyłem do kieszeni, a drugą ścisnąłem dłoń Alicji i szybkim krokiem, dostosowanym jednak do tempa dziewczynki, zmierzałem prostą drogą w stronę pomnika papieża Jana Pawła II, który znajdował się przy szkole, potocznie zwanej białą. Dobrze pamiętałem to miejsce, lubiłem je, uczęszczałem tam do gimnazjum i byłem świetnie zapowiadającym się uczniem. To niesamowite, jak w życiu jedna sprawa może przesądzić o wszystkim. Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że moje życie potoczy się tak, a nie inaczej, myślę, że nigdy bym mu nie uwierzył. Czasami nadal nie wierzę, chociaż przeżyłem to wszystko.

– A gdzie potem idziesz? – spytała niespodziewanie Alicja, mocno ściskając moją dłoń.

– Nie wiem – odparłem od niechcienia.

– Jak to nie wiesz?

– No nie wiem... jeszcze – uściśliłem, mając nadzieję, że to zakończy temat, niestety, pomyliłem się.

– Przecież dzisiaj jest Wigilia! – wykrzyknęła, zdumiona. – Powinieneś iść do mamy, taty, siostry, brata, żony... Bo chyba masz? – Zastanowiła się chwilę. – W sumie wszyscy starzy ludzie mają żony.

– Nie mam już żony i nie jestem stary.

– No, ale chyba masz jakąś rodzinę?

– Miałem – przyznałem ciszej. – Powiedzmy, że nasze relacje są teraz trudne – dodałem po chwili, widząc niezrozumienie na jej twarzy.

– Musisz iść gdzieś dzisiaj na kolację – zakomunikowała stanowczo.

– Dlaczego?

– Bo w Wigilię nikt nie może być sam – stwierdziła. – Tak mówi moja mama.

Zamyśliłem się, obserwując ciemne grudniowe niebo. Alicja miała rację. W Wigilię nikt nie powinien być sam. To wydawało się takie proste, a dla mnie jednocześnie niemożliwe do spełnienia.

– Moja mamusia mówi, że przy stole trzeba ugościć nawet złą teściową, ale ja nie wiem, kim jest teściowa – powiedziała spokojnie Alicja. – Bo wiesz, tej złej teściowej to nigdy u nas na Wigilię nie było.

– Teściowa to matka twojego ojca – wyjaśniłem.

– No, ale moja babcia jest cudowna – powiedziała po chwili zastanowienia Alicja. – Co prawda zawsze mówi mamusi, że ona by to lepiej ugotowała, a tym, co mamusia podaje, to by psów nawet nie nakarmiła, ale żeby od razu nazywać ją złą?

Zachichotałem, szczerze rozbawiony wywodami Alicji. Na początku, gdy do mnie podeszła, byłem zaskoczony, może nawet zły. Jednak ta konwersacja okazała się całkiem ciekawa. Brakowało mi takiej beztroski od ponad dwóch lat. Potrzebowałem jej, szczególnie w taki wieczór jak dziś.

– Twoi rodzice nie żyją? – spytała Alicja.

– Tak, niestety tak – wyznałem z żalem. – Powiedz mi lepiej, gdzie są twoi. Nie powinnaś sama chodzić po mieście o tej porze. To niebezpieczne.

– Nie jestem sama, jestem z tobą – odparła rezolutnie.

Zastanawiałem się, czy moja córeczka była podobna do Alicji. Czy była tak samo energiczna i wesoła? Nie miałem o tym, niestety, pojęcia. Znałem ją tylko ze zdjęć. Najgorsze w tym wszystkim było to, że choć widziałem jej uśmiech, to nigdy nie słyszałem, jak się śmieje. Cholera...

Wróciłem myślami na ziemię i spojrzałem na Alicję.

– Wiedzą, że idziesz po...? – Zawahałem się.

– Betlejemski ogień – dopowiedziała.

– Właśnie – potwierdziłem.

– Zostawiłam im kartkę na lodówce.

– Kartkę na lodówce? – spytałem z niedowierzaniem.

– Moi rodzice zawsze robią wszystko na ostatnią chwilę – wyjaśniła spokojnie Alicja.

– Tłumaczyłam im, że świąteczka betlejemska jest tylko dzisiaj o siedemnastej, a oni o piętnastej pojechali po ostatnie świąteczne zakupy, bo kolacja na dwudziestą. Wy-

obrażasz to sobie? – zapytała. – Moi rodzice potrafią być czasami tacy bezczelni.

- Gdzie to usłyszałaś? – Parsknąłem śmiechem.
- Babcia tak mówi.
- Babcia teściowa?
- Tak – potwierdziła z uśmiechem.
- Powiedz mi w ogóle, po co tobie to światełko z Betlejem.
- Bo światło daje ciepło – wyjaśniła. – A światełko z Betlejem daje najwięcej ciepła, bo jest od Jezusa i rozświetla mrok w każdym z nas.
- Rozświetla mrok w każdym z nas... – powtórzyłem głucho za Alicją. – To brzmi całkiem interesująco.
- Tobie też pomoże.
- Uważasz, że potrzebuję pomocy?
- Wyglądasz na samotnego – zauważyła. – No i chęć spędzenia wigilijnego wieczoru w samotności raczej nie jest normalna – dodała po chwili zastanowienia Alicja.
- Tylko że ja nie jestem wierzący.
- Ale w co tu wierzyć? Harcerze przywożą światełko z Betlejem, gdzie narodził się Jezus, i tyle.
- No tak, dla dzieci wszystko jest proste – powiedziałem, bardziej do siebie.
- A może to dorośli wszystko komplikują ponad miarę, co?
- Może...
- W Wigilię liczy się tylko rodzinne ciepło, pierogi z kapustą i grzybami, światełko z Betlejem, cudowne prezenty od Mikołaja i makowiec z migdałami mojej mamy. – Zachichotała nagle. – Moja mama go kupuje, ale, wiesz, to rodzinna tajemnica. Ciasto jest pyszne, wygląda na domowe, mama udaje, że upiekła je sama, a my zjadamy je ze smakiem, nic nie mówiąc – wyjaśniła Alicja.
- Gdyby wszyscy tak myśleli, życie byłoby o wiele prostsze – przyznałem.
- Mówiłam ci, że to dorośli wszystko bez sensu komplikują. A w świętach przecież nie ma żadnej filozofii – dodała z uśmiechem. – Trzeba się cieszyć i dużo jeść, to tyle.

Przeszliśmy przez przejście dla pieszych i minęliśmy malutką kapliczkę z Matką Boską, która stała tutaj, od kiedy pamiętałem. Na malutkim placu przy pomniku papieża Jana Pawła II zebrało się mnóstwo osób. Wszyscy trzymali w rękach lampiony, znicze lub po prostu świeczki. Byłem zaskoczony tym, jak wiele osób było skłonnych poświęcić kilka godzin z wigilijnych przygotowań, żeby tu przyjść.

- Zdążyliśmy! – wykrzyknęła uszczęśliwiona Alicja i podbiegła bliżej tłumu.

Podszedłem do niej i stanąłem obok. Błyszczały jej oczy, a na twarzy pojawiła się czysta radość. Rozejrzałem się wokół. Większość osób w tym gronie była uśmiechnięta i spokojna. Może to był czar tego wigilijnego popołudnia?

- W tym roku światło z Betlejem ponownie zagościło w Policach i wkrótce napelni wszystkie domy miłością i pokojem – rozpoczęła uroczyste kobieta w ciemnozielonej kurtce i dużym czerwonym szaliku, który zasłaniał prawie całą jej twarz. – Jak co roku dotarło ono do nas wprost z Groty Narodzenia Pańskiego, gdzie płonie wieczny ogień. Zgodnie z niesłabnącą tradycją skauci odpalają jedną malutką świeczkę i niosą jej płomień w wielkiej sztafecie przez kraje i kontynenty, aż obiegnie cały świat. My, Polacy, otrzymaliśmy niegasnące światło od naszych kolegów Słowaków i również przekazali-

śmy je dalej.

Prowadząca stała w otoczeniu kilkunastu harcerzy, dobranych parami, trzymających w rękach niezapalone pochodnie. Tuż za nimi, na marmurowym cokole pomnika, wi-dać było niewielki, skromny lampion, w którym za cieką szybką paliła się biała świeczka.

– To jest to światełko betlejemskie? – spytałem cicho.

– Cśśś... – szepnęła karcąco Alicja. – Chcę posłuchać.

Podniosłem ponownie wzrok na prowadzącą, zaskoczony reakcją dziewczynki, która nie chciała uronić ani słowa. Nie rozumiałem tego wszystkiego. Nigdy dotąd nie słysza-łem o świetle z Betlejem. Nadal nie chciało mi się również wierzyć, że ci wszyscy ludzie przyszli tutaj z własnej woli tylko po to, żeby odpalić świeczkę od jakiegoś zagraniczne-go płomyczka. Wydawało mi się to stratą czasu.

– Betlejem to miasto, które przez wiele lat było centrum niekończących się konfliktów zbrojnych, napięć politycznych, a nawet ataków terrorystycznych. Być może to właśnie z tego powodu w tym zarzewiu wszelkich nieporozumień ponad dwa tysiące lat temu narodził się Jezus Chrystus – kobieta kontynuowała z pasją. – To właśnie tam, w Grocie Narodzenia Pańskiego, płonie wieczny ogień, który nieprzerwanie od trzydziestu lat wędruje z pomocą skautów. Rokrocznie wyrusza w swoją długą podróż po całym świe-cie i jest nie do zatrzymania.

Wpatrywałem się w płomień migoczące w lampionie, słuchałem przyjemnego kobie-cego głosu i uśmiechałem się. Nie byłem specjalnie wierzący, ale idea światła wędrują-cego po całym świecie wydała mi się całkiem interesująca. Szczególnie że trwało to tyle lat. Sam miałem trzydzieści lat, a w przeciwieństwie do światła z Betlejem zamiast nieść pokój, przyniosłem swojej rodzinie tylko ból i cierpienie.

– Betlejemskie Światło Pokoju, jak sama nazwa wskazuje, ma nieść pokój i miłość nam wszystkim – kontynuowała kobieta w ciemnozielonej kurtce i chociaż czerwony szalik zasłaniał jej prawie całą twarz, to ja byłem pewny tego, że uśmiechała się do nas szeroko. – Światło z Betlejem jest tylko symbolem i to od nas zależy, czy przyjmimy jego przesłanie. Musimy sami doświadczyć spokoju ducha i miłości, by móc nieść pokój w świat... – Urwała na chwilę, by każdy mógł przemyśleć jej słowa.

Nadal nie do końca pojmowałem ideę tego wszystkiego. Jednak kiedy stałem tam w Wigilię z tymi wszystkimi ludźmi, czułem się częścią ich wspólnoty i to było niezwy-kle budujące uczucie, którego już dawno nie doświadczyłem.

– Zaraz dostaniemy ogień – poinformowała mnie rozpromieniona Alicja.

Pokiwałem twierdząco głową na znak, że słyszałem, ale tak naprawdę byłem głęboko pogrążony we własnych myślach. Kiedy patrzyłem w ogień, wesoło migoczący za szkla-ną szybką, ścisnęło mnie dziwne wzruszenie, którego źródła nie potrafiłem zrozumieć.

– W ten wigilijski wieczór, w który zaraz zasiądziemy wspólnie z rodziną przy stole, pamiętajmy, że niesienie pokoju musi zacząć się od nas, nikt tego za nas nie zrobi, a Betlejemskie Światło Pokoju niech pomoże nam o tym nie zapomnieć.

Biała świeczka i lampion w tym samym kolorze były skromne, niepozorne i niewinne. Tak bardzo różniły się od tego, co widziałem na co dzień przez ostatnie pięć lat swoje-go życia, że wydały mi się zupełnie nierealne. Ciepło, które biło od ognia, symbolizo-wało rodzinną atmosferę tych świąt. Kiedy się w nie wpatrywałem, zacząłem myśleć, że

moją przeszłość może strawić ogień, a ja dzięki temu będę mógł powrócić do domu i poczuć to rodzinne ciepło. Bardzo tego pragnąłem. Nie chciałem jednak wierzyć w to, że naprawdę poruszyło mnie po prostu wpatrywanie się w wesoło migoczący płomień. Wiedziałem przecież, że przeszłości nie da się tak po prostu wymazać. Szczególnie tej złej. Nikt nie mógł tego zrobić.

– Wszystko gra? – spytała Alicja, obserwując mnie uważnie.

– Tak – uciałem krótko.

Ścisnąłem mocniej jej małą dłoń i wraz z nią obserwowałem, jak kobieta, która przemawiała, otwiera szybkę lampionu, a harcerze kolejno odpalają od niego pochodnie i ustawiają się na powrót na swoich miejscach.

– Idziemy? – spytała Alicja.

– Idź, ja poczekam, bo i tak nie mam czego odpalić.

– Ale ta pani ma – stwierdziła niezrażona dziewczynka i wskazała mi kobietę z sześcioma zniczami ustawionymi równo w drewnianej skrzyneczce. – Na pewno się z tobą podzieli.

– Alicjo, tak nie...

– Jest Wigilia – ucieła z uśmiechem. – Musimy się dzielić.

Wbrew sobie ruszyłem w kierunku kobiety, która trzymała przed sobą skrzyneczkę z równo ustawionymi zielonymi zniczami w kształcie choinek. Czułem się niepewnie. Nie powinienem do niej podchodzić, nie miałem prawa prosić, nie wierzyłem w ten cały betlejemski ogień, a tak naprawdę w ogóle nie powinno mnie tu być... ale przecież byłem.

– Przepraszam panią... – zacząłem niepewnie.

– Co, kochaniutki? – spytała ciepło.

– Ja... cóż... zapomniałem świeczki i pomyślałem, że może...

– Dać ci znicz? – przerwała mi wesoło. – A pewnie, bierz – powiedziała i podsunęła mi skrzyneczkę pod nos. – Ja tyłu nie potrzebuję, to dla moich dzieciaków, bo wiesz, moje wnuki chciały, a one przecież nie mają czasu łązić na takie spotkania, w ogóle nie rozumieją tej cudownej idei, ale światełko w domu lubią mieć. Ja doprawdy nie wiem, co z tych ludzi wyrośnie. Dobrze, że chociaż jeszcze rozumieją, że Wigilia musi być w rodzinnym gronie, bo przecież w święta nie można być samemu. Musi być ciepło, rodzinnie i smacznie.

– Nie można spędzać Wigilii samotnie – potwierdziłem w zamyśleniu, zabierając jeden znicz, i uśmiechnąłem się. – Mają z panią dobrze.

– Nie mają – zaprzeczyła kobieta, a po jej twarzy przebiegł cień.

– Jak to? – spytałem, zaskoczony. – Przecież stoi pani na mrozie w kolejce po światełko. Sami nie mieliby czasu po nie przyjść, a pani chce im zrobić przyjemność, prawda?

– Przez jakiś czas nie byłam obecna w życiu moich dzieci i wnuków, niestety na własne życzenie – wyszeptła z żalem. – Po śmierci męża zaczęłam pić, stoczyłam się, a one mnie nie zostawiły i uratowały. Wie pan, to światełko to jedyne, co mogę im od siebie ofiarować, nie mam nic więcej. Niech symbolizuje moją miłość do nich. Dlatego jakby trzeba było, to ja bym sama po nie do Betlejem poszła w podziękowaniu za to, że kochają mnie, chociaż ich zawiodłam – powiedziała z uśmiechem. – Przyszłam do nich pijana w Wigilię rok temu, przestraszyłam wnuki... swoje własne wnuki... Krzyczałam

i awanturowałam się, prawie przewróciłam świeczkę ze świecą, zanim mój zięć mnie powstrzymał. Mogłabym spalić cały dom... Zięć zawiózł mnie na izbę wytrzeźwień i to było chyba najlepsze rozwiązanie. Kiedy wytrzeźwiałam i dotarło do mnie, co się stało, byłam pewna, że moja rodzina mnie odtrąci. Kto by chciał mieć taką matkę... A oni po mnie wrócili i zawieźli mnie na odwyk. Zajęli się mną i dzięki temu w tym roku mogę być z nimi w Wigilię, trzeźwa, i cieszyć się rodzinną atmosferą, a świeca na pewno w tym pomoże, prawda?

– Na pewno – potwierdziłem, czując, że gardło zaciska mi się ze wzruszenia. Starłem się nie uronić ani jednej łzy. – Życzę pani wszystkiego, co najlepsze.

– I nawzajem, młody człowieku!

Ruszyłem szybko w stronę Alicji, która stała w niewielkiej kolejce do harcerzy trzymających pochodnie z Betlejemskim Światłem Pokoju. Krótka historia upadku tej kobiety poruszyła mnie do głębi, bo przecież ja też upadłem. Różniło nas tylko to, że ja nie otrzymałem przebaczenia. Moja rodzina mi nie pomogła, wyrzekła się mnie... Ale może niezupełnie? Kasia jeszcze utrzymywała ze mną kontakt, sporadyczny, ale zawsze jakiś. Może ja też jeszcze miałem rodzinę? A jeśli udałoby mi się wszystko naprawić? Wymazać stare winy? Czy naprawdę miałem na to szansę? Czy to w ogóle było możliwe?

– No, nareszcie! – wykrzyknęła na mój widok. – Myślałam, że już nie zdążysz.

– Ale zdążyłem – mruknąłem szybko, starając się ukryć wzruszenie, które mnie ogarnęło po wysłuchaniu historii tamtej kobiety, która i tak nie mogła się równać z moją własną. – Odpalimy ogień i odprowadzę cię do domu.

– Podzielimy się światłem – poprawiła mnie Alicja.

– Podzielimy się światłem – powtórzyłem z uśmiechem. – Ładnie.

– Pewnie, że ładnie – potwierdziła.

– Nie jesteś zbyt zarozumiała?

– Moja babcia też tak mówi – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Ale i tak mnie kocha, i mówi, że daleko w życiu zajdę.

– Na pewno – potwierdziłem, rozbawiony.

– Moja babcia nigdy się nie myli – zapewniła mnie Alicja. – No może tylko wtedy, kiedy krytykuje kuchnię mamusi, ale nie ma ludzi idealnych.

Ponownie zapatrzyłem się w ogień, który wesoło migotał w lampionie, i wsłuchałem się w słowa harcerzy, którzy śpiewali o konieczności zapalenia ognia, który nas połączy w ten magiczny Boga narodzenia czas. To była cudowna melodia. Czułem, jak moje serce pod jej wpływem drży. Pierwszy raz pomyślałem o tym, że być może ta idea ma naprawdę sens i wcale nie jest mi taka obojętna.

– Jaka piękna piosenka! – wykrzyknęła wesoło Alicja, mocno ściskając swój lampionik.

– To prawda.

Nie byłem dobrym człowiekiem. Na pewno nie mogłem określić siebie tym mianem. Nie po tym, co zrobiłem. Co prawda skład sędziowski, który orzekał w mojej sprawie, widział okoliczności łagodzące, ale ja sam ich nie widziałem. Szczególnie że mimo wszystko dostałem wyrok. Osiem lat to kara łagodna, mogłem w końcu dostać dwanaście albo dwadzieścia pięć lat, a może i nawet dożywocie. Kto to wie? Mimo wszystko



osiem lat odsiadki to wystarczający czas, by doszczętnie spierdolić komuś życie. Wiedziałem o tym najlepiej. Odsiedziałem dopiero pięć lat, a z mojego życia i tak nie zostało już nic. Cholera... obiecałem sobie nie przeklinać, żeby nigdy nie upodobnić się do większości ludzi, których poznałem w więzieniu. Nie chciałem być taki jak oni. Nigdy nie chciałem stać się recydywistą. Popełniłem tylko jeden błąd i lepiej, żeby tak zostało, kolejnego bym nie zniósł.

– Teraz my – powiedziała Alicja, wyrывая mnie z zamyślenia.

Razem z nią podszedłem do harcerzy. Podała mi swój lampionik, odpaliłem świeczkę od pochodni i włożyłem ją do środka, następnie jej oddałem, ciesząc się z szerokiego uśmiechu na jej twarzy. Następnie odpaliłem swój znicz od źródła i ruszyliśmy w stronę przystanku autobusowego wraz z innymi ludźmi, którzy rozchodzili się do swoich domów.

– Gdzie ty w ogóle mieszkasz? – spytałem.

– Na Morelowej.

– Gdzie?

– Koło biedronki – odparła takim tonem, jakby to było oczywiste.

– To na Morelowej jest biedronka?

– Czemu cię to dziwi? Przecież w Policach wszędzie są biedronki!

– Bo nie wiedziałem, że istnieje ulica Morelowa.

Zauważyłem zaskoczenie na twarzy Alicji.

– Ile cię nie było w Policach? – spytała podejrzliwie.

– Długo.

– Zbyt długo – mruknęła zde gustowanym tonem. – Wprowadziliśmy się tam z rodzicami dwa lata temu.

Pokiwałem głową, zastanawiając się, gdzie może być ta przeklęta Morelowa. Być może była gdzieś w okolicy, w której znalazłem Alicję albo raczej ona znalazła mnie?

– Alicjo!

Zobaczyłem kobietę, która biegła do nas z niesamowitą prędkością jak na te warunki pogodowe, w czarnych kozakach na niewielkim obcasie, które zapadały się w śniegu. Uklękła przy dziewczynce w różowych śniegowcach i przytuliła ją mocno do siebie.

– Uważaj, mamó, lampion! – upomniała dziewczynka.

Kobieta podniosła się, kręcąc głową, ale wciąż nie wypuszczała córki z rąk, sprawdzając, czy na pewno nic jej nie jest. Widziałem zdenerwowanie na jej twarzy, ale także ogromne poczucie winy pomieszane z radością. Nie chciałem sobie nawet wyobrazić tego, co musiała poczuć, gdy zobaczyła kartkę na lodówce.

– Jak mogłaś zrobić coś takiego? – spytała bez złości, w jej głosie wyczuwało się raczej bezsilność. Nie mógł być to więc pierwszy wybryk Alicji.

– Mówiłam, że chcę światelko.

– Ale sama? – zapytała z niedowierzaniem.

– Nie jestem sama, jestem z Markiem.

Kobieta podniosła na mnie podejrzliwe spojrzenie, tak jakby oceniała, czy stanowią potencjalne zagrożenie dla jej dziecka.

– Mówiłam ci, że do dorosłych zwraca się per pan albo per pani, nigdy inaczej – upomniała córkę.

– Ale Marek nie protestował. – Alicja wzruszyła ramionami.

– Cóż... bardzo panu dziękuję za wszystko – powiedziała matka Alicji, zwracając się do mnie. – Naprawdę nie jesteśmy złymi rodzicami. Zostawiliśmy córkę raptem na gozdzinę w domu, nie sądziliśmy, że wywinie taki numer – tłumaczyła się niepewnie.

– Proszę się nie martwić. Takie rzeczy się zdarzają.

– Mam nadzieję, że nie narobiła panu problemów?

– Nie, było bardzo miło – odpowiedziałem z uśmiechem. – To dzięki niej dowiedziałem się, czym jest światło z...

– Betlejem – wtrąciła Alicja.

– Pamiętałem – mruknąłem.

– Akurat – stwierdziła dziewczynka z szerokim uśmiechem. – Mamo, zaprosimy Marka do nas na Wigilię? On chce ją sam spędzić.

– Alicjo... – upomniałem ją.

– Chce pan być sam w Wigilię? – spytała zaskoczona. – W tak wyjątkowy wieczór?

– To nie do końca... mój wybór – wydukałem.

– Musisz pojechać do rodziny albo do nas – stwierdziła kategorycznie Alicja. – Nikt w Wigilię nie może być sam.

– Mówiłaś to już – burknąłem.

– I będę powtarzać, bo to mądre, prawda, mamusiu?

– Prawda – potwierdziła kobieta z uśmiechem.

– Nie spodziewają się mnie.

– Od tego jest pusty talerz – stwierdziła matka Alicji, a ja już wiedziałem, po kim jej córka odziedziczyła bezkompromisowość. – Zróbmy tak, zawieziemy Alę do domu, a ja później podrzucę pana, gdzie tylko pan zechce.

– Nie, nie mogę, przecież jest Wigilia...

– Na dwudziestą, a wszystko mam gotowe. Zresztą teściowa i tak skrytykuje to, co przygotowałam, niespecjalnie mi się spieszy, więc chodźmy – poleciła z uśmiechem.

Niepewnie ruszyłem za nią, ściskając w dłoniach znicz w kształcie choinki z niegasnącym światłem z Betlejem i zastanawiając się, czy ten wieczór mógł się dobrze skończyć dla takiej osoby jak ja. Czy była szansa na to, że moja rodzina mnie po prostu przyjmie?

Wsiadliśmy razem do niewielkiego opla corsy i od razu ruszyliśmy. Matka Alicji cicho rozmawiała z córką, a ja pogrążyłem się głęboko we własnych myślach.

Ponad pięć lat temu byłem innym człowiekiem. Miałem dwadzieścia pięć lat, zaczynałem pracę w banku, byłem dobry w swojej branży. Miałem piękną żonę i roczną córeczkę. Nie zawsze układało się dobrze między nami. Mieliśmy gorsze i lepsze chwile, te gorsze były moją winą, choć, niestety, wtedy nie umiałem tego dostrzec. Nasz związek rozwałała moja agresja. Nie, nigdy nie uderzyłem żony i nigdy bym tego nie zrobił, naprawdę. Wobec niej i mojej kochanej córeczki byłem przykładnym mężem i ojcem, swoją agresję kierowałem na zewnątrz. Kłóciłem się z ludźmi w kolejce w sklepie, raz prawie pobiłem człowieka, który zajechał mi drogę swoim samochodem, dałem w pysk nieznanemu w klubie, który obrzydliwie wpatrywał się w tyłek mojej żony, narzeczając na swojego szefa – a to i tak jedynie przykłady, bo takich sytuacji było więcej, znacznie więcej. Nie chciałem się leczyć, nie mogłem zmusić się do przyjmowa-

nia leków uspokajających. Moje życie powoli zmierzało w dół, byłem po prostu na równi pochyłej, katastrofa była tylko kwestią czasu.

Samochód zatrzymał się, wysadziliśmy Alicję, która pognęła do domu z lampionem, a jej matka spojrzała na mnie wyczekująco.

– Nie musi mnie pani odwozić, naprawdę.

– Muszę dopilnować, żeby miał pan gdzie spędzić święta – odparła niezrażona. – Więc?

– Sam nie wiem.

Kobieta bez słowa ruszyła ze swojego podjazdu i skręciła w główną ulicę, prowadzącą prosto nad Jezioro Głębokie. Wziąłem głęboki wdech. Bałem się tego spotkania. Nie wyobrażałem sobie chwili, w której spojrzę w oczy swojej byłej żonie i córce, chociaż nie, to nie do końca tak... Od lat marzyłem o takiej możliwości, po prostu bałem się odrzucenia i ostatecznego skreślenia mnie. Nie wiem, czy potrafiłbym podnieść się po coś takim.

– No już, śmiało – ponagliła mnie wesoło mama Alicji.

– Bezrzecze – rzuciłem.

– No to jedziemy.

Pięć lat temu poszedłem pobiegać, żeby uspokoić drzemiącą we mnie furję. To było zaledwie dzień przed Wigilią. Pokłóciłem się o jakąś bzdurę z żoną, wydarłem się na nią, wystraszyłem tym swoją córeczkę... Wtedy dosłownie się zagotowałem, a dzisiaj nawet nie pamiętałem już, o co właściwie poszło. Wyszedłem wtedy z domu się uspokoić, ochłoniąć i nie powiedzieć o jedno słowo za dużo. Kiedy wracałem z wieczornego biegu przez park, zobaczyłem mężczyznę z nożem, który groził mojej sąsiadce. Nie zastanawiałem się nad niczym. Poczułem, jak ze środka mnie wychodzi bestia, która na co dzień pozostawała uśpiona i tylko czasami ujawniała się, czekając na moment, kiedy będzie wreszcie wolna. Niestety, wtedy po prostu wypuściłem ją na zewnątrz, nie miałem ani siły, ani ochoty, żeby ją zatrzymać. Nie myślałem o konsekwencjach tamtej chwili. Chciałem rozładować swój gniew, tylko na tym mi zależało. Podbiegłem tam, wyrwałem napastnikowi nóż, uderzyłem raz, drugi, trzeci, czwarty... Potem zacząłem ciąć, cały czas na oślep, bez chwili wytchnienia. O niczym wtedy nie myślałem. Słyszałem krzyk mojej sąsiadki, ale nie przestawałem, nie potrafiłem się zatrzymać. Od niezwykłego już mężczyzny odciągnęli mnie dopiero policjanci, którzy przyjechali na miejsce zdarzenia, a w zasadzie zbrodni, bo – jak nietrudno się domyślić – zabiłem wtedy człowieka.

– Proszę się zatrzymać – powiedziałem.

– Nie.

– Ale...

– To pana bliscy, a dzisiaj jest Wigilia – przerwała mi. – Na pewno chcą pana zobaczyć, nawet jeśli się poróżniliście.

– Mają prawo mnie nienawidzić – stwierdziłem cicho. – Byłem bardzo złym człowiekiem.

– Nie ma złych ludzi, są tylko ci, którzy zoczyli z właściwej drogi – powiedziała matka Alicji z niezwykłym ciepłem w głosie.

Westchnąłem. Bałem się. A właściwie byłem przerażony, tak samo, jak wtedy, gdy pa-

trzymałem na zdjęciu z miejsca zbrodni i zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. To był ohydny widok, którego nie widuje się nawet w horrorach. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że mam poważne problemy z agresją. Chyba najgorsze było to, że zrobiłem to dzień przed Wigilią i całej swojej rodzinie zepsułem święta...

Początkowo wszyscy wierzyli w moją niewinność, tłumaczyli, że to obrona konieczna, ale tak naprawdę od początku wiedziałem, że zostanę skazany, i myślę, że oni również to wiedzieli, byli po prostu lojalni, bo tak wypadało. Może nawet chcieli, żebym wyładował w więzieniu. Może ja sam również tego chciałem? Bałem się tego, co mógłbym jeszcze zrobić, będąc na wolności.

Skład sędziowski, który orzekał w mojej sprawie, przez krótką chwilę rozważał skazanie mnie w warunkach przekroczenia obrony koniecznej, wersję tę próbował przeforsować mój obrońca. Wskazywał, że zastosowałem sposób obrony niewspółmierny do ataku. Trudno było z tym polemizować. Jeden cios z zaskoczenia wystarczyłby, żeby obezwładnić tego mężczyznę. Wyrwanie mu noża i uderzenie go, ewentualnie ugodzenie go nożem raz, naprawdę by wystarczyło, ale nie mnie w tamtej chwili, ja... chciałem go zabić. Właśnie dlatego prokurator naciskał na skazanie z artykułu sto czterdziestego ósmego paragraf jeden, a więc za zabójstwo. Dopiął swego i przekonał skład sędziowski. Okolicznością łagodzącą było to, że stanąłem w obronie swojej sąsiadki, dlatego dostałem tylko osiem lat. Nie protestowałem, nie złożyłem apelacji. Uważałem, że zostałem łagodnie potraktowany, w końcu zabiłem tego człowieka, chociaż nie musiałem. Miałem wybór, jak każdy z nas. Zawsze jest jakiś wybór, lepszy, gorszy lub taki, który wpakuje nas w bagno, z którego już nigdy nie będziemy się w stanie wygrzebać. Ja dokonałem najgorszego z możliwych, nie było dla mnie usprawiedliwienia.

– Dlaczego rodzina miałaby pana nienawidzić? – spytała niespodziewanie matka Alicji.

Milczałem. Nie chciałem wyjawiać jej prawdy. Wolałem, żeby nie wiedziała, że jej córka spędziła wigilijne popołudnie z mordercą. Może moja żona tak właśnie o mnie myślała? W zasadzie nie rozmawiałem z nią od procesu. Na widzenie przyszedł jej adwokat, podsunął mi pod nos papiery rozwodowe, a ja je podpisałem. Nie protestowałem w tej kwestii, nie miałem prawa. To i tak był cud, że od razu nie pozbawiła mnie władzy rodzicielskiej. Za to Kasia nigdy do mnie nie przyszła, nie pisała listów, wysyłała tylko zdjęcia naszej córeczki. Nie wiedziałem, co to oznaczało. Nie zerwała ze mną zupełnie kontaktów, wyszła jednak ponownie za mąż za ledwie pół roku po rozpoczęciu przeze mnie odsiadki. Czy powiedziała naszej córeczce o moim istnieniu? Sam już nie wiedziałem, co o tym sądzić.

– Zabiłem człowieka – powiedziałem w końcu. – Przekroczyłem granice obrony koniecznej.

Widziałem, jak kobieta siedząca za kółkiem na kilka sekund robi się blada, a jej ręce mocniej zaciskają się na kierownicy.

– Odsiedział pan wyrok?

– Jestem na przepustce, odsiedziałem pięć lat bez sprawiania kłopotów. Podjąłem nawet terapię... Wierzysz, że ludzie mogą się zmienić? – spytałem po chwili.

– Wierzę – odpowiedziała bez wahania, czym zupełnie mnie zaskoczyła. – A pan nie jest zły – dodała. – Zabił pan tego człowieka w obronie koniecznej, prawda? Pomógł

pan osobie słabszej, ale w wyniku niekorzystnego splotu wydarzeń tamten mężczyzna... cóż... zabił go pan.

– Nie musiałem go zabijać.

– Nie musiał pan go zabijać? – powtórzyła za mną głucho.

– Ja po prostu nie radziłem sobie z gniewem. W tamtej chwili nie myślałem o tym, co robię. Chyba było mi obojętne, czy go zabiję, czy nie, jego życie się dla mnie nie liczyło – wyznałem, nie patrząc w stronę matki Alicji. – Tak bardzo próbuję się zmienić, pracuję nad tym każdego dnia... – wyjaśniłem, mocniej ściskając znicz w kształcie choinki. – Nigdy więcej nie chcę zrobić czegoś takiego. Bardzo żałuję tego, co się stało.

– Chciałby pan cofnąć czas, prawda? – spytała cicho.

– Nawet nie wie pani jak bardzo – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Gdybym żył drugi raz swoim życiem, to za pierwszym razem, kiedy żona powiedziała mi, że czasami się mnie boi, zamiast się śmiać, od razu zacząłbym terapię – wyznałem. – Jednak czasu nie można cofnąć...

– Nie można – potwierdziła matka Alicji. Słyszałem lekkie drżenie w jej głosie. – Najważniejsza jest jednak chęć wprowadzenia jakiejś zmiany w swoim życiu. To my kierujemy swoim losem, prawda?

– Chyba tak.

– Wigilia to najlepszy czas, żeby coś zmienić, szczególnie w kontaktach z rodziną – powiedziała z delikatnym uśmiechem. – To odpowiedni czas na rozpoczęcie nowego rozdziału w życiu, chyba nie ma na to lepszej pory – dodała po chwili.

Pokiwałem głową i zapatrzyłem się w ogień, powolnie spalający biały wkład znicza. W zasadzie dla mnie rodziną była już tylko moja córeczka. Żony już nie miałem, matka zmarła w ubiegłym roku, a ojciec dostał zawału, kiedy mnie skazali... nie wytrzymał tego, że jego syn, którego miała czekać świetlana przyszłość, trafi do więzienia. Miałem tylko moją córeczkę Kornelię i musiałem zadbać o nasze relacje. Nie chciałem jej stracić. Nie zniósłbym tego.

Matka Alicji zatrzymała samochód. Wziąłem głęboki wdech i powoli wypuściłem powietrze. Widziałem, jak drżały mi ręce.

– Powodzenia i wesołych świąt – powiedziała, uśmiechając się do mnie ciepło. – Na pewno będzie dobrze.

– Dziękuję pani za wszystko – wyszeptalem i niechętnie wysiadłem z samochodu.

Obejrzałem się za siebie. Kobieta uśmiechała się do mnie ciepło i serdecznie. Pomyślałem, że skoro obca osoba była skłonna zachowywać się wobec mnie tak przyjaźnie, to może i moi bliscy okażą mi choć odrobinę zrozumienia. Spojrzałem na ogień płonący w lampionie i irracjonalnie poczułem w sobie niesamowitą potrzebę ciepła. Podeszedłem jeszcze do samochodu matki Alicji, a ona, zaskoczona, opuściła szybę.

– Dlaczego nie kazała mi pani wysiadać po tym, co powiedziałem?

– Sądzę, że nie jest pan złym człowiekiem. Już sam fakt, że zaopiekował się pan moją córką, kompletnie obcym dla siebie dzieckiem, świadczy o tym, że tłą się w panu pozytywne uczucia – odpowiedziała z uśmiechem. – Co prawda pana wyznanie mnie zmroziło i nigdy więcej nie chcę czegoś takiego usłyszeć od nikogo, ale... – Zawahała się. – ...naprawdę wierzę w to, że każdy człowiek zasługuje na drugą szansę. Jedni na mniejszą, inni na większą, ale wszyscy na jakąś zasługują.

– To wydaje się takie proste...

– Alicja nie jest moim pierwszym dzieckiem – wyznała niespodziewanie, a ja spojrzałem na nią, zaskoczony. – Nasza pierwsza córeczka nazywała się Ola i zmarła zaledwie kilka miesięcy po narodzinach. Śmierć łóączekowa. Wie pan co to jest, prawda?

Wciągnąłem ze świstem chłodne grudniowe powietrze i powoli pokiwałem głową. Doskonale wiedziałem, co to jest. Razem z Kasią przez kilka pierwszych miesięcy życia Kornelii prawie nie spaliśmy, tylko cały czas sprawdzaliśmy, czy na pewno wszystko z nią w porządku. Bardzo się tego baliśmy, mieliśmy na tym punkcie prawdziwą obsesję. Chyba każdy rodzic się tego boi...

– Tamtego wieczoru byłam zmęczona, a mąż był w pracy – powiedziała ze łzami w oczach. – Zasnęłam, po prostu zasnęłam na kilka godzin. Kiedy się obudziłam i podeszłam do łóączka, Ola już nie żyła... na wszystko było za późno. To było dzień przed Wigilią.

Stałem tam, na śniegu, trzymając światełko betlejemskie, które ogrzewało moje dłonie, i słuchałem drugiej już tego wieczoru niesamowitej historii. Czułem więć z matką Alicji i kobietą, która podarowała mi znicz w kształcie choinki. Nie mogłem pozbyć się myśli o tym, jak ulotne jest szczęście, jakby człowiek przez całe życie stąpał po cienkim lodzie. Jeśli ma na tyle szczęścia i rozumu, idzie powoli, czasem nawet na czworakach. Inni, głupcy i zachłanni, spieszą się, kroczą pewnie, czasami wręcz biegną, ale tylko dopóki lód się pod nimi nie załamie. Wtedy dochodzi do tragedii, a po czymś takim niewiele potrafi się pozbierać.

– Nie mogłam po tym wszystkim dojść do siebie, mój mąż również. Chodziliśmy na terapię, ale to nie pomagało, cały czas obwinialiśmy siebie nawzajem, czasami upijaliśmy się. Po jednej z takich nocy okazało się, że jestem w ciąży. Na początku byłam przerażona i nie chciałam tego dziecka, ale mąż zabronił mi je usunąć. Zaczęłam o siebie dbać, przestaliśmy się kłócić, tak po prostu, z dnia na dzień – kontynuowała głosem zdławionym od emocji. – Dzięki temu dzisiaj mamy Alicję. Myślę, że dostaliśmy drugą szansę od losu, chociaż jedno z naszych dzieci odeszło. Otrzymaliśmy ją, żeby przestać się obwiniać o to, co się stało... – Urwała na chwilę. – Dlatego myślę, że każdy z nas zasługuje na drugą szansę. Nieważne, co zrobił. Nie wszystko da się naprawić, ale trzeba żyć dalej z nadzieją, że jakoś się ułoży, i ciężko na to pracować, by ta nadzieja mogła się spełnić.

– Dziękuję za to, że podzieliła się pani ze mną swoją historią – wyszeptałem, nie wiedząc, co innego mógłbym powiedzieć po jej wysłuchaniu.

Kobieta pokiwała głową i odjechała, a ja ruszyłem w kierunku domu, który dostaliśmy od rodziców mojej żony. Byłem pewien, że nie przeprowadziła się, uwielbiała go. Niosłem ze sobą światełko, które rozświetlało mrok wigilijnego wieczoru.

Spojrzałem w niebo, na którym pojawiła się pierwsza gwiazdka, i przypomniałem sobie słowa Alberta Camus: „Każdy nosi w sobie dżumę, nikt bowiem nie jest od niej wolny”. Jakże pasowały do tego wszystkiego, co dzisiaj usłyszałem. Nie tylko ja w swoim życiu popełniłem błąd, nie byłem również ani pierwszym, ani ostatnim. Każdy z nas był bowiem nosicielem choroby niedoskonałości, u jednych znajdowała ona podatny grunt i rozwijała się z niesamowitą prędkością, infekując każdą komórkę ciała, u innych rozprzestrzeniała się powoli, a niektórzy zdawali się na nią odporni, ale to wcale nie ozna-

czało, że nie mogli zachorować w każdej chwili.

Stanąłem przed domem, w którym kiedyś mieszkałem, w którym byłem szczęśliwy, w którym nie zauważyłem symptomów swojej choroby, wyniszczającego gniewu, tylko pozwoliłem jej rozwijać się do momentu, w którym po prostu mnie zniszczyła. Wziąłem głęboki wdech i powoli wypuściłem powietrze. Zapukałem do drzwi. Po chwili usłyszałem kroki i napotkałem zaskoczone spojrzenie wysokiego bruneta o piwnych oczach.

– Dobry wieczór – powiedziałem szybko, zanim pomyślał o zamknięciu drzwi. – Czy mógłbym porozmawiać z Kasią? – spytałem z drżącym głosem.

– E... tak, oczywiście – odpowiedział, zaskoczony.

Cofnął się do wnętrza domu, tylko lekko przymykając drzwi. Słyszałem cichą wymianę zdań i po chwili w progu stanęła moja była żona. Spojrzała mi w oczy i... zatrzasnęła drzwi. Wstrzymałem oddech, zatrzymując w płucach mroźne grudniowe powietrze. Czekałem na to, czy po pierwszym szoku, widocznym aż nazbyt wyraźnie na jej twarzy, drzwi otworzą się ponownie.

Po kilku sekundach, które dla mnie ciągnęły się w nieskończoność, Kasia wyszła z domu, ubrana w ciepłą zimową kurtkę. Bez słowa ruszyła do tylnej części ogrodu, dołączyłem do niej po chwili. Zatrzymała się obok drewnianej huśtawki ogrodowej, którą kupiłem jej za swoją pierwszą premię w banku. Była droga, ale najwyraźniej warta swojej ceny, skoro nadal tam stała.

– Co ty tu robisz? – spytała Kasia.

Obserwowałem ją, próbując z tonu jej głosu albo z wyrazu twarzy wyczytać to, czy jest na mnie zła, ale nie potrafiłem tego zrobić. Zmieniała się przez te lata.

– Ja chcia...

– Minęło pięć lat – przerwała mi. – Uciekłeś?

– Co? – wydukałem. – Nie, dostałem przepustkę – wyjaśniłem szybko. – Jestem na przepustce – powtórzyłem, nie mogąc uwierzyć, że w ogóle mnie o to podejrzewała.

– Nie wiedziałam, że masz prawo do przepustek.

– Mam, ale nigdy wcześniej z niego nie korzystałem – stwierdziłem smutno. – Nie wiedziałem za bardzo, kogo mógłbym odwiedzić.

– A teraz?

– Wielu z nas zwolniono na święta. Właściwie sam nie wiem, dlaczego tym razem postanowiłem skorzystać – wyjaśniłem niepewnie. – Nie zastanawiałem się nad tym, dokąd pójść, nie miałem żadnego planu.

– A jednak tutaj jesteś – zauważyła Kasia bez złości, co dało mi pewną nadzieję.

– Jestem.

– Dlaczego?

– Bo w Wigilię nikt nie powinien być sam – powiedziałem, powtarzając słowa Alicji i wprawiając Kasię w osłupienie.

– Nie jesteś sam bez powodu – zauważyła po dłuższej chwili. – Zapracowałeś sobie na to wszystko samodzielnie.

– Masz prawo mnie nienawidzić, czuć do mnie odrazę i żal, a przede wszystkim mi nie ufać, może nawet bać się mnie – ciągnąłem na jednym wydechu. – Ale przez te pięć lat starałem się zmienić. Każdego dnia pracowałem na to, by zapanować nad swoim gniewem. Nie chcę, by kiedykolwiek powtórzyło się to, co stało się wtedy, dwudzieste-

go trzeciego grudnia... – dodałem ciszej. – Nigdy bym tutaj nie przyszedł, ale spotkałem dzisiaj pewną mądrą dziewczynkę, Alicję. Zabrała mnie pod pomnik papieża, gdzie rozdawano Betlejemskie Światło Pokoju – kontynuowałem swoje wyjaśnienie, wskazując na znicz w kształcie choinki. – Powiedziała mi też, że w Wigilię nikt nie powinien być sam, a ja... a ja pomyślałem, że ma rację i naprawdę nie chcę być sam.

Skończyłem i obserwowałem Kasię. Widziałem, jak emocje na jej twarzy zmieniają się. Czułem, że drżą mi dłonie. Nigdy wcześniej nie bałem się tak jak teraz, nigdy... nawet wtedy, kiedy skład sędziowski decydował o wymiarze kary dla mnie.

– Nie chcę, żebyś zepsuł nam święta – powiedziała ostrożnie.

– Chcę czuć to samo ciepło, które bije od tego światełka – wyszeptałem, wskazując znicz. – Chcę spędzić Wigilię ze swoją córką. Za trzy lata wychodzę, chcę, żeby wiedziała, że ma ojca, który zbłądził, ale zrobi wszystko, żeby już nigdy więcej jej nie zawieść. Chcę ją przytulić i poprosić, by dała mi drugą szansę na bycie dla niej ojcem.

Kasia milczała, a ja powoli traciłem nadzieję. Byłem tak blisko, a jednak czułem, że na to nie zasłużyłem. Poczułem ból w klatce piersiowej.

– Wiem, że mnie nienawidzisz...

– Nie nienawidzę cię – przerwała mi.

Przełknąłem ślinę, obserwując ją.

– Każdy zasługuje na drugą szansę – dodała po dłuższej chwili zastanowienia. – I zgadzam się, że nikt w Wigilię nie powinien być sam.

– Czy to znaczy...? – Nie dokończyłem, bałem się, że jeśli spróbuję o to zapytać wprost, to ona mnie pogoni.

– Nie mieliśmy w tym roku czasu pojechać po światełko – dodała. – Chodź, zaraz siadamy do kolacji, a Kornelia na pewno ucieszy się ze światełka.

Ruszyłem za Kasią w stronę domu, w którym kiedyś mieszkaliśmy i tworzyliśmy prawie szczęśliwą rodzinę. Niepewnie wszedłem za nią do środka.

– Weź ciepłe kapcie – poradziła mi, wskazując jedną z par, równiutko ustawioną na podłodze.

Ostrożnie włożyłem przemarznięte stopy do ciepłych kapci i podążyłem za Kasią do salonu. Czułem się nieswojo. Miałem na sobie przemoczone skarpetki, wciśnięte w co najmniej o rozmiar za małe kapcie, ciemne, wytarte jeansy i pogniecioną koszulę, a w rękach tylko znicz w kształcie choinki. Za to przy stole siedzieli odświętnie ubrani moi byli teściowie i mąż Kasi, na których twarzach malował się szok.

– W tym roku Marek zje z nami kolację wigilijną – oznajmiła Kasia.

Stałem tam niepewnie, obserwując ich wszystkich, gdy po chwili usłyszałem tupot stóp na panelach.

– Tata! – krzyknęła Kornelia.

Kucnąłem i chwyciłem córkę w objęcia. Przytuliłem ją do siebie mocno i poczułem, jak pod moimi powiekami wzbierają łzy. Dopiero teraz dotarło do mnie to, jak długo jej nie widziałem, oraz to, że codziennie każdą cząstką siebie za nią tęskniłem.

– Fajnie, że jesteś – powiedziała Kornelia. – Mama mi czasem o tobie mówiła. No i mam dużo twoich zdjęć! Poprosiłam także Mikołaja, żebyś pojawił się w święta. Chciałam cię zobaczyć...

– I jeszcze nieraz zobaczysz, będę przy tobie – obiecałem, całując ją w czoło. – Przy-



niosłem ci światło z Betlejem.

Mała chwyciła w obie rączki znicz w kształcie choinki i posłała mi najpiękniejszy na świecie uśmiech.

– Dlaczego tyle cię nie było?

– Bo zabłądziłem.

– Zabłądziłeś? – spytała Kornelia.

– Tak, zabłądziłem w mroku – odpowiedziałem. – Ale nigdy już się nie pogubię, obiecuję.

– Jesteś pewien?

– Tak, bo ty będziesz moim światłem, które rozświetli mrok w moim sercu – wyszeptałem jej do ucha, tuląc ją mocno.

Nie zrozumiała chyba, o co mi chodzi, ale widząc, że się uśmiecham, wywnioskowała zapewne, że powiedziałem coś miłego. Podnieśliśmy się z podłogi i zajęliśmy miejsca przy wspólnym stole. Kasia wzięła ode mnie znicz i odpaliła od niego dużą białą świeczkę w stroiku. Jej ojciec wstał i zaczął czytać fragment z Biblii, a ja spojrzałem na swoją córeczkę i pomyślałem, że jestem najszcześniejszym człowiekiem, mogąc spędzić z nią wigilijny wieczór...

Diane Rose

*Drogi Czytelniku!*

*W ten świąteczny czas chciałabym skierować do Ciebie kilka ciepłych słów, ale pozwól, że zacznę od nawiązania do opowiadania, które właśnie przeczytałeś. Zdecydowałam się w nim na poruszenie tematu Betlejemskiego Światła Pokoju, ponieważ z zupełnie niezrozumiałych dla mnie względów nie wszyscy jeszcze o tej idei słyszeli, a jest przecież piękna i niesamowicie związana ze świętami Bożego Narodzenia. Idea Betlejemskiego Światła Pokoju narodziła się w 1986 roku w Linz, w Austrii; była to część bożonarodzeniowych działań charytatywnych, a akcję zorganizowano pod nazwą „Światło w ciemności”. Rok później patronat nad akcją objęli austriaccy skauci i zaczęli roznosić światło z Betlejem do szpitali, sierocińców i urzędów. Akcja ta rozrastała się, a do Polski dotarła w 1991 roku. Sama poznałam tę inicjatywę kilka, może kilkanaście lat temu, w zasadzie nawet nie pamiętam, kiedy Betlejemskie Światło Pokoju zawędrowało do mojego rodzinnego miasta. Pamiętam natomiast, że byłam wtedy jeszcze dzieckiem, nie za bardzo rozumiałam tę symbolikę, ale wraz z rodzicami udałam się pod pomnik papieża Jana Pawła II w Policach, gdzie odbywało się przekazanie światelka. Stałam na mrozie, z nieba sypał śnieg, obserwowałam ogień, słuchałam piosenki „Ogień z Betlejem” (tekst i muzyka: Łukasz Kupica) w wykonaniu harcerzy i pomyślałam wtedy, że to piękna chwila. Powiedziałabym nawet, że zabawna, bo uwierzcie mi, że dostarczenie światelka do domu w prawdziwą zamieć wcale nie jest takie proste, a jeszcze trudniejsze jest pilnowanie, aby światelko nie zgasło w czasie świąt, ale chyba to jest w nim właśnie najpiękniejsze. Więcej o Betlejemskim Świetle Pokoju dowiedziecie się ze stron: [www.betlejemskieswiatlopojoju.blogspot.com](http://www.betlejemskieswiatlopojoju.blogspot.com) oraz [www.swiatlo.zhp.pl](http://www.swiatlo.zhp.pl).*

Diane Rose

## Beata Schoenmakers



Z zawodu pedagog resocjalizacji i terapeuta. „Życie zaczyna się po czterdziestce” – takim hasłem rozpoczęła kolejną dekadę życia, kilka lat temu wyjeżdżając poza granice swojego kraju. Zna trzy języki. Naukę holenderskiego i angielskiego rozpoczęła samodzielnie w wieku 45 lat. Szczęśliwa mężatka, ponieważ dlatego, że sprzeczki w obcym języku stanowiły nie lada wyzwanie, więc po kilku nieudanych próbach zaniechała kolejnych. Spełniona mama 27-letniej córki. Pasjonuje się techniką decoupage'u, w której ozdabia nie tylko drobne przedmioty z drewna i metalu czy świece, ale nawet meble. Prowadzi warsztaty z pozytywnego myślenia. Całkowicie pogodzona z tym, że życie wcale nie musi być idealne. Ważne, by było interesujące. Od lat pasjonuje się psychologią, samoleczeniem, ćwiczy jogę i medytuje. Towarzyszy jej zawsze wiara w „lepsze jeszcze przede mną”. Udowodniła sobie wielokrotnie, że niemożliwe może stać się możliwe, a w życiu zdarzają się cuda. *Wypożyczony tata* to jej pisarski debiut. Jedno z kilku marzeń, które się ziściło. Udział w tym projekcie jest dla niej ogromnym wyróżnieniem. Z drżącym sercem czeka na opinie czytelników. Gotowa na wszystko, co się wydarzy.

## Beata Schoenmakers. *Wypożyczony tata*

Dzisiaj pierwszy dzień w nowej szkole. Zastanawiałem się, kiedy w końcu będziemy mogli mieszkać w jednym miejscu, ponieważ od czterech lat co roku zmieniałem szkołę, nawet w trakcie roku szkolnego, tak jak teraz. Mama rzucała pracę tak często, jak partnerów życiowych i żaden z tych związków nie trwał dłużej niż rok.

– Chciałabym wam przedstawić nowego ucznia, nazywa się Tomek. – Pani Nowicka, moja nowa wychowawczyni, wydawała się miła.

Czułem na sobie spojrzenia wszystkich. Wiedziałem, że jestem inny, i ta sytuacja mnie stresowała. Prawie wszyscy w klasie mieli modne, drogie ciuchy, a ja drugi rok nosiłem te same trampki.

– Tomek, proszę, usiądź w trzeciej ławce, z Markiem.

Zająłem posłusznie miejsce, wiedząc, że wszyscy lustrują mnie wzrokiem.

– Hej, ty, nowy! W takich butach to nawet na wykopki nie jeździmy. Skąd żeś takie wyciągnął? – Krzysiek zaśmiał się ironicznie.

– Może znalazł w śmietniku i rozmiar pasował. – Dwóch innych zawtórowało gromkim śmiechem.

– Krzysztof, powtarzam po raz kolejny: bądź uprzejmy dla kolegi – wychowawczyni łagodnie, ale stanowczo upomniała chłopaka i usiadła przy biurku. – Mam nadzieję, że wszyscy przyjaźnie powitacie Tomka.

Otworzyła dziennik i zaczęła sprawdzać obecność. Na chwilę zatrzymała się na moim nazwisku.

– O! Widzę, że masz dziś piętnaste urodziny. Wszystkiego najlepszego.

– Co z tego, że masz urodziny, pewnie i tak nic nie przyniosłeś – ironizował Krzysiek.

„Nie dam się sprowokować” – pomyślałem. Starłem się zignorować te uwagi. Jednak nie ulegało wątpliwości, że nie będę miał tu wielu przyjaciół.

Ostentacyjnie wyciągnąłem torebkę z czekoladowymi cukierkami, które mama rano zapakowała mi do tornistra, na tak zwany wszelki wypadek, gdyby jednak ktoś pamiętał o moich urodzinach.

„O kurde, mama znowu przeszła samą siebie. Teraz to dopiero będę miał przesrane w klasie!” – pomyślałem, patrząc na torebkę z czekoladkami i różową kokardkę z serduszkami, na której znajdowała się naklejka z życzeniami. Wiem, że miała jak najlepsze intencje i chciała mi okazać, jak bardzo mnie kocha, ale na pewno nie ułatwi mi to kontaktów z nowymi kolegami. Zwłaszcza z bandą Krzyśka, której ewidentnie nie przypadłem do gustu. Zanim odwiązałem foliową torebkę, znowu usłyszałem komentarz za plecami:

– Och, jaka ładna kokardeczka z różowymi serduszkami. Chłoptasiu, majteczki też masz różowe i z koronki?

Czułem, jak dźgnął mnie długopisem, tuż pod łopatką. Syknąłem z bólu. Kiedy odwróciłem się i zobaczyłem głupawy uśmiech na jego twarzy, wiedziałem, że miarka się przebrała. Moja pięść błyskawicznie wylądowała na jego twarzy, a ja przez ułamek sekundy pomyślałem, że nikt tak jak ja nie potrafi hucznie świętować urodzin.

– Hej, chłopcy, spokój! – Pani Nowicka dopadła mnie i przytrzymała mocno. – Tomku, pójdziesz teraz ze mną.

Zdarza się, że kiedy wpadam w szal, nie kontroluję tego, co robię. Złość przysłania mi

racjonalne myślenie i przez to wpadam w tarapaty.

– Tomek, co się z tobą dzieje? Pierwszy dzień w nowej szkole i już sprawiasz kłopoty?

Oczywiście natychmiast wezwano mamę. Była przyzwyczajona do rozmów z wychowawcami, pedagogami czy dyrektorami szkół. Jak zwykle obiecała ze mną porozmawiać i zapewniła, że taka sytuacja więcej się nie powtórzy.

Samochód Bogdana – obecnego faceta mojej mamy – stał przed szkołą.

Łysy, niewysoki, z wiecznym grymasem na twarzy, kompletnie nie pasował do mojej pięknej mamy. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ona ciągle spełniała jego zachcianki, jakby zapomniała o sobie i swoich potrzebach. Co gorsze, wydawało mi się, że zdawała zapominać także o mnie. Tak jak w dzień moich urodzin. Obiecała, że to będzie czas tylko dla nas, ale najwyraźniej Bogdan miał inne plany i mama, oczywiście, musiała dostosować się do nich. Poczulem wielkie rozczarowanie. Nie lubiłem Bogdana, jego głupich żartów i protekcyjnego tonu. A najbardziej, gdy przeklinał, nie zważając na to, czy byliśmy sami, czy też w tłumie ludzi.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?! – krzyknął na mnie, kiedy byliśmy już blisko. – Widać, że potrzeba ci silnej ręki. To moje ostatnie ostrzeżenie. Jak będziesz sprawiał kłopoty, to się za ciebie wezmę.

Spojrzałem na niego z pogardą. Nie bałem się żadnego z facetów mojej mamy i żadnego z nich nie lubiłem, ale tego w szczególności. Wydzierał się nadal, w niekontrolowany sposób wymachując rękami. Pomyślałem, że wygląda to nawet zabawnie.

– Teraz wsiadaj, bo nie mam czasu zajmować się takimi dupkami jak ty!

Mama próbowała coś powiedzieć, ale przerwał jej w pół zdania.

– Ilona, wsiadaj, jedziemy i nie patrz na niego, jakby stała mu się krzywda. Jemu potrzebna jest twarda szkoła, a nie rozmamłane spojrzenia.

Nawet nie próbowała dyskutować, tylko posłusznie wsiadła do samochodu. Wkurzała mnie tym swoim milczeniem i tym, że prawie zawsze trzymała jego stronę. Czasami myślałem, że mnie nie kocha i chodzi jej tylko o pieniądze, a mnie traktowała jak przysłowiową kulę u nogi.

Całą drogę pokonaliśmy w milczeniu. Piętnaście minut później Bogdan zatrzymał się tuż przed klatką schodową.

– Spieprzaj, gnojku. – Rzucił mi nienawistne spojrzenie.

Odwzajemniłem gest i wysiadłem z samochodu.

– Wszystkiego najlepszego, Tomek. Wrócimy za kilka godzin – powiedziała mama, łagodnie się przy tym uśmiechając.

– Wszystkiego naj, dupku. Świętuj urodziny, jak masz z kim. A może nie ma czego świętować? – zgryźliwie powiedział Bogdan i odjechał, zostawiając mnie samego.

Nie rozumiałem, dlaczego mama tak bardzo się zmieniła pod jego wpływem, ale jeden fakt przykuł moją uwagę. Któregoś dnia podczas awantury, których nie brakowało, od kąd ten frajer pojawił się w naszym życiu, usłyszałem tylko, jak Bogdan wykrzykiwał, że albo będzie tak jak on chce, albo nici ze spłacenia długów. Ile tego było i dlaczego mama miała długi, tego nie wiedziałem.

Nienawidziłem go. Nie liczyłem na rodzinną imprezę urodzinową, na tort ze świeczkami i wymarzony prezent, ale nie spodziewałem się, że przez Bogdana znowu dopadnie mnie to nieodparte uczucie złości. Szaleństwa, które nadchodziło z ogromną siłą.

Kierowany impulsem, podniosłem gwóźdź leżący na chodniku, podszedłem do pierwszego auta na parkingu i z całą mocą, jaką miałem w rękach, kreśliłem rysy na karoserii. Nie wiem, ile ich zrobiłem, ale skończyłem dopiero, kiedy mi ulżyło.

Obejrzałem swoje dzieło i skierowałem się w stronę domu. Przed klatką stały wielkie pudła i worki. „Chyba ktoś nowy się wprowadza – pomyślałem. – O matko! I jeszcze Kowalska z tym głupim kundlem... Nie lubię, gdy nieustannie wypytuje mnie, jak tam w szkole lub kim chcę zostać, jak dorosnąć”. Przez chwilę poczułem się nieswojo, zastanawiając się, czy widziała, co zrobiłem z tym autem.

– Dzień dobry, wprowadza się pan? – Kowalska zagadnęła z zaciekawieniem jakiegoś faceta, zerkając na kartony i porozrzucane po korytarzu reklamówki.

– Dzień dobry, jak widać, nie idzie mi to zbyt dobrze – odpowiedział jej, patrząc na rozsypane rzeczy osobiste, które właśnie wypadły z kartonu.

– Nazywam się Jadwiga Kowalska i mieszkam na czwartym piętrze, a pan?

– Jacek Kobrzycki, miło mi panią poznać. – Podniósł na chwilę wzrok, wyciągając rękę na powitanie.

– Dinuś, zostaw, nie wolno! – Starsza pani próbowała odebrać psu jego zdobycz.

Tymczasem pan Jacek patrzył z niedowierzaniem, jak pies, trzymając w pysku jego bokserki, wybiega na zewnątrz, potrząsając przy tym łbem i machając ogonem.

– Bardzo pana przepraszam. – Zakłopotana staruszka rzuciła się w pogoń za nieznośnym psem. – Dinuś, chodź tu natychmiast! – Próbowała przywołać pupila do porządku. – O matko, a to co?! – wykrzyknęła przerażona i stanęła jak wryta.

U jej stóp siedziała iguana. Znałem to zwierzę, bo kiedyś o nim czytałem. Gad nie był groźny, ale skąd ludzie mieli o tym wiedzieć? Wszyscy zazwyczaj reagowali podobnie.

– To ja bardzo panią przepraszam. To tylko Zorgi – powiedział nieco zakłopotany Kobrzycki, sięgając po jaszczurkę.

Niemniej Zorgi był tak ciekawy nowej sytuacji, że zawrócił i pospiesznie podążył w kierunku drzwi wyjściowych, w których stałem ja. Pierwszy raz widziałem takie stworzenie na żywo. Nie uciekało, kiedy po nie sięgnąłem.

– Dziękuję, że go zatrzymałeś, bo na zewnątrz byłoby znacznie trudniej go złapać. – Pan Jacek z wdzięcznością w oczach stanął tuż przede mną.

– Proszę. – Oddałem zwierzątko właścicielowi.

– Jestem Jacek, będziemy sąsiadami. – Wyciągnął rękę w moim kierunku, a ja spojrziałem na niego bez większego zainteresowania.

– Tomek – rzuciłem od niechcienia.

Nie miałem ochoty na pogawędkę. Nie podając ręki, odwróciłem się i wbiegłem na drugie piętro.

Pomimo tego, że nienawidziłem Bogdana, postanowiłem zrobić mamie niespodziankę. Posprzątałem w mieszkaniu, nakryłem do stołu i wyczyściłem wszystkie sztućce i szklanki. Zapaliłem świece, a potem czekałem tak długo, aż wosk całkowicie się stopił i rozlał na kanapki z dżemem, które miały mi zastąpić tort.

Na dworze było już ciemno, kiedy usłyszałem zgrzyt zamka w drzwiach.

– O, jaki tu porządek! Ładnie posprzątałeś, synku. – Mama rozpromieniła się po wejściu do mieszkania.

Była piękna, a kiedy się uśmiechała była jeszcze piękniejsza.

– Czekałem na ciebie. Zrobiłaś zakupy? – zapytałem. – Bo w lodówce jest tylko piwo i puszka sardynek.

Byłem bardziej niż pewny, że kupiła jakieś pyszności, specjalnie dla mnie.

– Przepraszam – przyznała, trochę zawstydzona. Kupiłam herbatniki i twoje ulubione chipsy, no i mam prezent dla ciebie... ode mnie i Bogdana.

– Dziękuję – burknąłem, sięgając po małe zawiniątko.

Już nie czułem głodu, prezent też mnie nie cieszył. Odwróciłem się na pięcie, z zamiarem pójscia do swojego pokoju.

– Hej, młody! – zawołał Bogdan, otwierając butelkę wina. – Nawet nie rozpakujesz?

Nie zareagowałem. Wtedy podszedł do mnie od tyłu, chwycił za ramię i szarpnął.

– Hej, mówię do ciebie! Głuchy jesteś?

„Nie! – pomyślałem, czując napięcie w całym ciele. – Nie dotykaj mnie, człowieku!”. Starłem się zachować spokój. Spojrzałem na mamę. Zdawała się przerażona. To dla niej chciałem się opanować. Otworzyłem mały pakunek. Tak, mogłem się spodziewać, że dostanę coś, z czego nie będę zadowolony. Nic o mnie nie wiedzieli. W prezencie dostałem płytę z muzyką rockową, której nigdy nie słuchałem. Bogdan wręcz przeciwnie. Zawsze robił wokół siebie dużo hałasu. W naszym domu zachowywał się jak we własnym i nie liczył się z nikim.

– Dziękuję – wycedziłem przez zęby.

– No, już lepiej. – Bogdan z miną zwycięzcy podszedł do mamy.

Zaczął dotykać ją tak, jak każdy z jej poprzednich facetów. Obłapiał swoimi obleśnymi łapami jej piersi i pośladki. Nienawidziłem tego. Żaden z tych popaprańców nie był jej wart. Mimo wszystko stałem bez słowa i przyglądałem się całemu przedstawieniu. Z każdą sekundą narastała we mnie złość i nienawiść.

– Co się gapisz, mały? Nie dla ciebie te zabawy. Jeszcze parę latek i nauczę cię, jak postępować z panienkami. Jestem w tym całkiem dobry, prawda, maleńka? No, powiedz synkowi.

Bogdan pysznił się jak paw. Tymczasem zakłopotana mama spuściła głowę.

– Nie wstydz się, maleńka. Powiedz prawdę. Jestem dobry? A może nawet najlepszy ze wszystkich, których miałaś?

– Przestań, daj mu spokój, to jeszcze dziecko! – obruszyła się i wstała z kanapy, zaraz potem poprawiając spódnice, która lekko podjechała do góry.

– Już nie takie dziecko – zauważył. – Chyba wie, co nosi w spodniach, tylko jeszcze nie wie, jak tego używać. A może już wie? – Zaśmiał się szyderczo. – No, mały, jak tam ci idzie z panienkami? Już rwiesz czy tylko rękę ćwiczysz?

– Odwal się, nie twoja sprawa! – wrzasnąłem.

Czułem, że krew znowu uderza mi do głowy, złość narasta w szalonym tempie, a kontrola nad sobą pęka jak zapora. Tym razem nie wytrzymałem i ruszyłem z pięściami na Bogdana. Poczułem tylko odór alkoholu, a później ból. Nie wiem, ile razy mnie uderzył. Próbowaliśmy się bronić, a może nawet atakować. Sam już nie wiem...

– Trzeba dać ci lekcję, gnojku. Nie umiesz docenić tego, co dla ciebie robimy i zawsze są z tobą kłopoty. Ja cię, kurwa, wychowam. Będziesz chodził jak w zegarku. Poznasz, co to szacunek i dyscyplina.

Mama próbowała interweniować, ale Bogdan skarcił ją wzrokiem, niemal jak małe

dziecko. Siedziała na kanapie i przyglądała się bezsilnie całej sytuacji. Czyżby myślała, że tak powinno być, że tak należy wychowywać dzieci? Miałem o to do niej żal, ale jednocześnie rozumiałem, że jest zbyt słaba, by przeciwstawić się Bogdanowi. Nie rozumiałem natomiast, jak to się stało, że ten Bogdan w ogóle znalazł się w naszym życiu. Był silny, ale nie bałem się i od uderzeń chyba bardziej bolało mnie to, że mama zawsze wybierała takich beznadziejnych facetów. Żaden z nich nie traktował jej dobrze, ale każdy miał pieniądze, a to jej wystarczało. Kiedy wyrzucałem jej w twarz swoje żale i pretensje, powtarzała, że wszystko się ułoży, tylko musimy poznać się bliżej i dotrzeć. Uważała, że Bogdan mnie lubi, ale chce, abym wyrósł na porządnego i zaradnego człowieka. W takich chwilach nie wierzyłem w ani jedno jej słowo, ale wówczas wytykała mi kolejne moje bijatyki w szkole czy na podwórku. I podobno „żelazna ręka” i surowe metody wychowawcze miały mnie tego oduczyć, jakby nie rozumiała, że to właśnie ci jej okropni faceci budzili we mnie największą agresję. Ona jednak bała się, że pozbawiony dyscypliny i ojcowskiej surowości, skończę w więzieniu albo na ulicy. Kto wie, może było w tym ziarnko prawdy, bo naprawdę lubiłem pakować się w kłopoty.

\*\*\*

Ocknąłem się na klatce schodowej. Obok mnie leżał stary koc. Było zimno, więc naciągnąłem go na głowę i próbowałem zasnąć. Kiedy już prawie mi się to udało, usłyszałem głosy. Skuliłem się i wcisnąłem w kąt. Okazało się, że to sąsiad, którego poznałem w południe. Miałem nadzieję, że nie wezwie policji. Wtedy mama miałaby problemy, jak rok temu. Poczułem, jak pochyla się nade mną.

– Hej, Tomek! – Jacek potrząsnął mnie za ramię.

– Co jest?! – warknąłem.

– Wszystko OK?

– Tak, OK, tylko policji nie wzywaj! – rzuciłem, odpychając jego dłoń.

– Dziś tego nie zrobię, ale następnym razem nie popuszczę. To nie jest normalne... – odpowiedział stanowczo i ruszył w kierunku swojego mieszkania.

Okazało się, że nowy sąsiad zamieszkał naprzeciwko. Paradoksalnie to on, kompletnie obcy mi człowiek, jako jedna z niewielu osób w moim życiu, zastanawiał się, jak mi pomóc. Światło znowu zgasło, próbowałem ułożyć się na posadzce, by ponownie zasnąć. Myśli kotłowały mi się w głowie. Chyba nikt nie mógł mi pomóc i nikt nie przejmował się moim losem. Miałem tylko mamę, którą bardzo kochałem, i dlatego chciałem jak najszybciej stać się dorosły i silny, żeby się nią zaopiekować. Była taka bezbronna i krucha, nie potrafiła samotnie udźwignąć trudów życia. Dlatego ja musiałem być silny – dla siebie i dla niej. Nie potrzebowałem niczyjej łaski! Chciałem także udowodnić jej, że pewnego dnia będę w stanie się nią zaopiekować.

W końcu zmęczenie wzięło górę i opatulony kocem zasnąłem na progu własnego mieszkania, które zdecydowanie nie było domem, o jakim zawsze marzyłem.

\*\*\*

Kiedy się obudziłem, obok mojego prowizorycznego posłania stał sok pomarańczowy i słodkie bułki z cynamonem. Nie miałem nic w ustach od jakichś dwóch dni. Nie zastanawiałem się więc, kto zostawił dla mnie te przysmaki, tylko zabrałem się za pałaszowanie.

Bogdan, wychodząc z naszego mieszkania, rzucił mi tylko pogardliwe spojrzenie i zbiegł po schodach. W końcu mogłem wrócić do domu. Mama nadal spała. Patrzyłem na jej długie jasne włosy i piękną twarz. Była najpiękniejszą kobietą na świecie. Niestety, była też zagubiona i tak bardzo zależna od facetów i ich pieniędzy, że nie radziła sobie z niczym. Przykryłem ją i poszedłem wziąć prysznic.

„Muszę zrobić dzisiaj pranie” – pomyślałem. Nie miałem już nic czystego, a i tak wystarczająco śmiali się ze mnie, patrząc na moje zdezelowane buty, porwane koszulki i bluzy z ciuchametetu, gdzie czasem mama kupowała „coś nowego” dla mnie.

Kolejny dzień w szkole zapowiadał się spokojnie, tak mi się przynajmniej wydawało. Nie podobało mi się to, że od kilku dni Krzysiek kręcił się koło Marka, z którym siedziałem w ławce. Marek wydawał się dobrym materiałem na kumpla, ale wiedziałem, że Krzysiek na pewno szybko to zmieni. Miał ogromny wpływ na ludzi, przez kasę, modne ciuchy i wpływowego ojca, który czasem sponsorował rozgrywki koszykówki w szkole.

Po lekcji wuefu jako ostatni wszedłem do szatni. Kiedy zacząłem się przebierać, zauważyłem, że moje buty są całe mokre. Gdy wziąłem je do ręki, nie miałem wątpliwości, że stały w kałuży... moczu.

– Kto to zrobił?! – wrzasnąłem, choć właściwie nie było wątpliwości, czyja to sprawa.

– Hej, frajerze, nie podoba ci się niespodzianka? Brudne trochę były, to je lekko przepłukaliśmy.

Dwóch pajaców, nieodłącznych towarzyszy Krzyśka, pokładało się ze śmiechu. Czulem szum w głowie, złość, złość... Niczym rozjuszony zwierzę ruszyłem z pięściami na Krzyśka.

– Człowieku, to nie ja. – Krzysiek odskoczył przed moim dzikim atakiem, jednoznacznym ruchem głowy wskazując na Marka.

Zmieniłem więc kierunek i z całej siły wałęnałem w twarz jedyne chłopaka, z którym do tej pory dogadywałem się w tej klasie. Kotłowaliśmy się przez chwilę, nikt nie dawał za wygraną.

– Co tu się dzieje?!

Wuefista pojawił się jak spod ziemi. Był silny, wysoki i wysportowany, więc rozdzielił nas jednym ruchem. Machnąłem jeszcze kilka razy, uderzając w powietrze. Nauczyciel srogim wzrokiem zmierzył całe towarzystwo, następnie zatrzymał wzrok na moich obsikanych trampkach.

– Kto to zrobił? – zapytał ostro.

– Ja. Ja to zrobiłem – od razu przyznał się Marek, co nie zostało jednak potraktowane przez nauczyciela jako okoliczność łagodząca.

Prawie pół godziny robiliśmy na zmianę pompki i podciąganie się na drążku.

– Wystarczy, mam nadzieję, że jesteście wystarczająco zmęczeni, by nie wszczynać bójkę po raz kolejny. Ostrzegam, że następnym razem nie pójdzie wam tak łatwo. A ty, Marek, przez miesiąc będziesz sprzątał szatnię.

Wszedłem do szatni i wziąłem szybki prysznic. Następnie ubrałem się i ruszyłem w stronę wyjścia.

– Hej, Tomek, poczekaj! – zawołał Marek.

Stałem na chwilę. Marek biegł w moim kierunku.



– Masz, jeżeli ci pasują. Są prawie nowe – zaproponował, podając mi swoje buty. – Przepraszam cię, głupio zrobiłem i czuję się z tym fatalnie.

– Odwal się, nie potrzebuję twoich zasranych butów – rzuciłem i wyszedłem, trzaskając drzwiami.

Przez całą drogę do domu plułem sobie w brodę, że choć przez chwilę pomyślałem o Marku jak o potencjalnym przyjacielu. Bardzo się na nim zawiodłem. Gdy byłem już niemal na miejscu, ciesząc się, że wkrótce zakończy się ten mój spacer na bosaka, usłyszałem za sobą głos:

– Wszystko dobrze?

Mój nowy sąsiad właśnie zaparkował auto przed blokiem. Jacek wydawał się sympatyczny. Podejrzewałem, że to on zostawił mi śniadanie, kiedy spałem na klatce. Po chwili zrobiło mi się przykro, bo zdałem sobie sprawę, że dwa dni temu to jego samochód padł ofiarą mojej frustracji.

– Lubisz spacerować boso?

– Czasem...

– Mam na imię Jacek, jestem twoim sąsiadem, ale to już mówiłem dwa dni temu, kiedy spotkaliśmy się tu pierwszy raz. Wiesz może, kto tu, w dzielnicy, zajmuje się niszczeniem karoserii samochodów?

Było mi głupio, ale nie miałem odwagi się przyznać.

– Nie wiem, sam jestem tu nowy. Słyszałem jednak, że tutaj często zdarzają się takie rzeczy – odpowiedziałem bez wahania.

„Cholera! Ale pech! – pomyślałem, nieco zły na siebie. – Jeden z niewielu ludzi na tym świecie, których choć trochę obchodzi, co się ze mną dzieje, i właśnie na jego aucie musiałem się wyżyć”.

Jego nowiutkie audi straciło bardzo na wyglądzie przez te głębokie rysy w karoserii. Nie byłem dumny ze swojego zachowania, więc tym bardziej pożegnałem się pospiesznie.

Kiedy otworzyłem drzwi mieszkania, mama krzątała się w korytarzu, jakoś dziwnie podekscytowana.

– Tomaszek, dobrze że jesteś, bo muszę ci coś powiedzieć! Wyjeżdżamy z Bogdanem na dwa tygodnie na wakacje, do Egiptu. Nie możesz nikomu zdradzić, że jesteś sam w domu, bo będziemy mieli kłopoty.

– Kłopot to będziesz miał ze mną, jak piśniesz słowo w szkole – warknął Bogdan. – Więc morda w kubeł, mały, i w szkole ma być spokój, jeżeli nie, to już na zawsze będziesz musiał przenieść się na klatkę schodową albo trafisz do jakiegoś ośrodka, bo ja na pewno nie będę cię utrzymywał.

Zamknąłem się w pokoju i włączyłem muzykę. Zastanawiałem się, dlaczego mama nigdy nie chciała mi zdradzić, kto jest moim ojcem. Na dodatek jutro mamy lekcję poświęconą Bożemu Narodzeniu i tradycjom w domu rodzinnym, a ja oczywiście musiałem znaleźć się w tej grupie wybranych, którzy mieli opowiedzieć, jak to cudownie spędzam z bliskimi ten czas. Co niby miałbym powiedzieć? Nigdy nie miałem prawdziwych świąt, nie znałem tradycji i tak naprawdę nie miałem też rodziny. Trudno byłoby mi stworzyć z takiej łzawej historii rodzinnej opowieść, która nadawałaby się do przedstawienia klasie. Musiałem jednak coś wymyślić na jutro, coś wyjątkowego, a nie mia-

łem zbyt wiele czasu.

Pierwsza myśl to był Jacek. Wydawał mi się najlepszym kandydatem na mojego ojca. Pomyślałem, że „pożyczę go”, ponieważ idealnie pasował do mojej mamy, więc mogłem wymyślić piękną opowieść o tym, jakich mam cudownych rodziców. To był szalony pomysł, ale miałem zamiar go zrealizować. Poczekalem, aż mama z Bogdanem wyjdą z domu i zadzwoniłem domofonem do mieszkania sąsiada.

– Dobry wieczór, jest dla pana przesyłka na dole, ale winda jest popsuta, więc musi ją pan sam odebrać – wyrecytowałem pospiesznie.

Liczyłem, że Jacek, wychodząc na chwilę, nie zamknie drzwi. Tak też się stało. Wszedłem do jego mieszkania i gorączkowo szukałem jakiegokolwiek zdjęcia. Chwyciłem pierwszy z brzegu album i znalazłem dokładnie taką fotografię, która świetnie mi pasowała do opowiadania. Na szczęście poszło mi dość sprawnie, bo już po chwili usłyszałem kroki na schodach. Czmychnąłem na korytarz i stanąłem przed drzwiami mieszkania sąsiada.

– Kto ci powiedział, że jest paczka do mnie? – zapytał, zdyszany i wściekły.

– Listonosz? – odpowiedziałem spokojnie, kurczowo ściskając jego zdjęcie, które ukryłem pod koszulą.

– Nikogo nie ma na dole, ani paczki, ani listonosza.

– To może do kogoś innego była ta paczka i coś mu się pomyliło? – stwierdziłem, wzruszając ramionami.

– Muszę lecieć, do widzenia.

Pół nocy oglądałem zdjęcie Jacka i wymyślałem nasze wspólnie spędzane rodzinne święta. Jacek był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o niebieskich oczach i łagodnym spojrzeniu. Wiele podróżował. Pisał reportaże z podróży i pracował też w telewizji. Tyle dowiedziałem się od niego dzisiaj, gdy razem wspinaliśmy się po schodach na drugie piętro. Resztę ułożyłem w swojej głowie zgodnie z moim wyobrażeniem o idealnych relacjach rodzinnych. Wyszukałem w Internecie wiele informacji, a tuż przed snem puściłem wodze fantazji. Wszystkie obrazy były jak żywe. Najdłużej zatrzymałem się przy mojej ulubionej scenie, jak jestem w lesie z tatą i szukamy pięknej choinki, którą z trudem pakujemy do bagażnika. Cały samochód pachnie lasem. W tym czasie mama piecze pierniki, które potem wspólnie ozdabiamy kolorowym lukrem. Z oddali dobiega dźwięk łagodnej muzyki. Tato opowiada historie o swoich podróżach, o których mógłbym słuchać bez końca. Tak, właśnie w ten sposób wyglądały w mojej głowie idealne święta Bożego Narodzenia.

\*\*\*

– Ty, nowy, a ten łysy, co wczoraj mordę darł przed szkołą, to twój ojciec? – zaczęło zaczął Krzysiek.

– Chyba cię pogięło, człowieku – prychnąłem. – Mój tato pracuje za granicą, pisze reportaże do gazet i scenariusze do filmów.

Wszyscy ryknęli gromkim śmiechem i z niedowierzaniem kiwali głowami.

– Śmierdzi to lipą na kilometr... Ten łysy pasuje mi na twojego ojczulka. – Szturchnął mnie w ramię.

– Nie dociera do ciebie, dupku, że mój tata pracuje teraz za granicą i nie wiem, kiedy

wróci? – krzyknąłem w złości.

– Tak, tak, jasne. – Z powątpiewaniem kiwali głowami.

– Nie wierzę ci, mięczaku. – Krzysiek zrzucił mi czapkę z głowy i splunął.

No, teraz to przegiął na całej linii! Już nic mnie nie mogło powstrzymać. Rozjuszony, ruszyłem na niego, krew dosłownie się we mnie zagotowała. Podniosłem pięść, by wałnąć centralnie w ten jego głupi łeb, kiedy poczułem, że ktoś mnie powstrzymał.

– Daj spokój, o to właśnie mu chodzi, żeby cię sprowokować. – Marek przytrzymał moją rękę, a obok niego stała Ala, ciepło się do mnie uśmiechając.

– Tomek, nie warto dać się im sprowokować, mamę znowu będą wzywać. Po co ci kolejne kłopoty? – łagodnie powiedziała Alicja.

Mama – ten argument przemówił do mnie natychmiast. Zwłaszcza teraz, gdy mama zamierzała wyjechać. Tak bardzo cieszyła się na te wakacje. To była jej pierwsza podróż nad morze, zawsze marzyła o plaży i ładnym hotelu w egzotycznym kraju.

– Proszę wchodzić do klasy, zaczynamy lekcję. – Za naszymi plecami pojawiła się pani Nowicka.

Kiedy opowiadałem o naszych rodzinnych świętach Bożego Narodzenia, wspólnym lepieniu pierogów i pieczeniu pierników, oczyma wyobraźni widziałem nasz dom, oświetlony migoczącymi światełkami, choinkę, która zajmowała pół pokoju, kolację, którą przygotowaliśmy razem, i ten spokój, który miałem w sobie, kiedy tata był przy mnie. W klasie panowała kompletna cisza, gdy opowiadałem o podróżach mojego ojca, o tym, jaka więź nas łączy i że jesteśmy najbliższymi przyjaciółmi.

– Tomek, pięknie przygotowałeś się do tej prezentacji. Widzę, że jesteś zafascynowany zawodem twojego taty, pewnie pójdiesz w jego ślady? – zapytała polonistka.

– Chcę zostać reżyserem – odpowiedziałem, zaskoczony tym nagłym pomysłem.

– Masz może zdjęcie ojca? – zapytał Krzysiek.

To szuja! Nie dowierzał nadal, że miałem świetnego ojca, a nie jakiegoś łysego tępaka.

– Mam zawsze przy sobie zdjęcie mojego taty – odpowiedziałem z dumą.

Wyciągnąłem z kieszeni nieco zgniecioną fotografię, którą ukradłem wczoraj Jackowi. Wszyscy z zainteresowaniem i podziwem patrzyli na mężczyznę, który od niedawna stał się moim tatą.

– Może zaprosz tatusia, żeby pojechał z nami pod namioty? Wspinaczka to męskie sprawy. Nasi ojcowie jadą – zaczepnie zapytał Krzysiek, jednak widać było, że on jak i jego dwóch koleżków wymiękli, gdy pokazałem zdjęcie.

– Nie wiem dokładnie, kiedy wróci, ale jeśli będzie taka możliwość, to na pewno pojadzie ze mną na wycieczkę w góry – odpowiedziałem, dumnie unosząc głowę.

Czułem się dobrze, bardzo dobrze i nieważne było dla mnie, że całą historię wymyśliłem, sam przez chwilę uwierzyłem we wszystko, co opowiadałem, i było mi z tym cudownie.

\*\*\*

Kiedy wróciłem ze szkoły, mama już była gotowa do wyjazdu. Walizki stały w przedpokoju, a ona siedziała przed lustrem i czesała swoje długie jasne blond włosy. W naszym niewielkim, skromnie urządzonej mieszkaniu unosił się zapach perfum.

- Mamo, czy ty kochałaś mojego tatę? – zapytałem nieoczekiwanie.
- Co ci chodzi po głowie? Już dawno powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać.
- No powiedz: kochałaś czy nie?
- Tak, kochałam, ale miałam szesnaście lat, więc niewiele wiedziałam o życiu.
- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, kim jest mój tata?
- Nie mam teraz czasu – odpowiedziała ze złością.

Wyraźnie chciała uniknąć tej rozmowy. Jakby na ratunek przyszedł jej domofon, który właśnie zadzwonił. Zerwała się z krzesła i pospiesznie podniosła słuchawkę.

– Tak, kochanie, jestem gotowa. Proszę, wejdź na chwilę na górę – zaszczebiotała czułym głosem.

– Mamo, nie będę zadawał już tych pytań o tatę, ale proszę, nie jedź na te wakacje. Przecież nie kochasz tego pajaca, ja to wiem. – Patrzyłem na nią błagalnie, tak bardzo nie chciałem, żeby wyjeżdżała.

– Co ty wygadujesz? – Spojrzała zdumiona.

– Mamo, nie oszukuj się. Przecież to oczywiste, że nie mogłabyś pokochać takiego kogoś.

Stała przez chwilę w milczeniu. Nie mogłem patrzeć, jak jej piękne niebieskie oczy robiły się smutne. Potrzebowałem, by mnie przytuliła i powiedziała, że nie jedzie. Niczego nie pragnąłem bardziej niż tego, by została w domu tylko ze mną. Tak mocno jej potrzebowałem.

– Tomaszek, posłuchaj, Bogdan ma stałą pracę, duży dom, w którym z czasem zamieszkamy razem. Zapewni nam bezpieczeństwo finansowe. Wiesz, jak bardzo jest nam to potrzebne. Ja, jako kasjerka, nigdy nie zarobię na nasze dobre życie. – Pogłaskała mnie czule po głowie i przytuliła.

– Mamo, proszę, nie jedź... – Z trudem powstrzymałem łzy.

– Gotowa na wakacje? – podekscytowanym głosem zapytał Bogdan, stając w drzwiach w tej swojej pedalskiej koszuli w palmy.

– Tak, Boguś, jestem gotowa. – Szczęśliwa mama świergotała, a mnie pękało serce. Nigdy nie rozstawałem się z nią na tak długo.

– Tomek, masz tu pieniądze na jedzenie. W razie czego mam ze sobą telefon komórkowy, więc dzwoń, gdyby coś. – Mama włożyła mi zwitek banknotów do ręki, całując mnie w czoło.

– Mój ojciec od dzieciaka twardo mnie wychowywał i dzięki temu osiągnąłem wiele. Ty musisz też dostać szkołę życia, musisz sobie poradzić bez tej kasy. I morda w kubek w szkole. – Wyrwał mi pieniądze, zostawiając mi tylko dwie dychy. – Te pieniądze dałem tobie, na jakąś nową sukienkę, a nie żeby ten gówniarz je przejadł! – warknął do mamy.

Chwycił walizkę i po chwili oboje z mamą zniknęli w windzie.

Nie myślałem o niczym innym, jak tylko o tym, żeby zniknął z naszego życia. Nie zasłużyła sobie na takiego drania. „Może to dobrze, że nie znam swojego ojca – pomyślałem, rozgoryczony – bo gdyby był taki jak ten typ, to byłoby mi jeszcze gorzej i pewnie bym go znienawidził”.

Chwilę później zrobiłem sobie kanapkę z dżemem, wypilem resztkę soku z lodówki i zastanawiałem się, jak zdobędę jedzenie. Jutro sobota, więc pójdę wcześniej do sklepu,

rano zawsze łatwiej coś wynieść.

\*\*\*

– Tomek, jak miło cię widzieć.

Zaskoczony, podniosłem głowę znad czasopisma, które przeglądałem w sklepie. Uśmiechała się do mnie moja wychowawczyni, pani Nowicka. W tym samym momencie ktoś potrącił kosz z zakupami nauczycielki.

– No co pan?! Niech pan uważa. Mój Boże, ci mężczyźni na zakupach – westchnęła.

– Bardzo panią przepraszam, faktycznie nie zauważyłem pani, zagapiłem się – ze skruchą w głosie przepraszał nieznajomy.

Nowicka spojrzała na mężczyznę, a potem na mnie. Jej zachowanie wskazywało, że próbuje coś odszukać w pamięci. Nagle uśmiechnęła się i zawołała podekscytowana:

– Tomek, nie wiedziałam, że lubisz też robić tutaj zakupy.

Stałem sparaliżowany, nie mogłem wypowiedzieć ani słowa. Mężczyznę, który wpadł na panią Nowicką, był Jacek. Jego zdjęcie, jako ojca, pokazałem wczoraj na lekcji i opowiedziałem niezłą historię o naszej rodzinie. Krzysiek i jego koledzy siedzieli z otwartymi gębami, słuchając mojej opowieści. Po lekcjach z Markiem i Alicją świętowaliśmy w lodziarni zwycięstwo nad tymi, którzy jeszcze niedawno ze mnie szydzili, a teraz udało mi się im utrzyć nosa. A tu taka wpadka w sklepie...

– To miło, że robisz zakupy razem z tatą, pewnie pomagasz też mamie w domu – kontynuowała monolog, spoglądając raz na mnie, raz na Jacka.

– Tak, czasem gotuję i odkurzam – odpowiedziałem szybko i ruszyłem w kierunku wózka, przy którym stał mój sąsiad.

– To bardzo dobrze, że spędzacie ze sobą dużo czasu, dokładnie tak, jak wczoraj opowiadałaś. – Nowicka zwróciła się w kierunku zaskoczonego całą sytuacją Jacka. – Miło mi pana poznać. Nazywam się Jolanta Nowicka, jestem wychowawczynią Tomka. Wczoraj na lekcji Tomek wiele o panu opowiadał i pokazał klasie pana zdjęcie. Jest z pana bardzo dumny.

Wykorzystałem moment, kiedy byli zajęci rozmową i starałem się pospiesznie opróżnić kieszenie ze wszystkiego, co zdołałem wcześniej tam upchnąć. Zerkałem tylko na Jacka, który stał z nieco głupią miną, nie mogąc zrozumieć, o co właściwie chodzi. Nie miałem zbyt wiele grosza, a byłem głodny, więc nie przyszło mi nic innego do głowy, jak ukraść kilka batonów i innych drobiazgów. Chwyciłem kolorowe czasopismo i zwróciłem się do Jacka, kładąc swoją dłoń na jego dłoni, którą opierał na wózku.

– Tato, proszę, mogę tę gazetę?

Patrzyłem błagalnie na Jacka, nie myśląc o tej gazetce, ale o sytuacji, w którą go wpa-kowałem. Wpatrywał się we mnie, bardzo zdumiony. Widziałem, że próbuje ogarnąć, co się dzieje, ale nie ustępowałem. Patrzyłem na niego jak wierny pies na swojego pana, gdy chce dostać jakiś przysmak.

– Tak, możesz, choć uważam, że masz już w pokoju niemal czytelną czasopism – odezwał się w końcu spokojnym głosem. – Ale dziś ty gotujesz, OK? – Uśmiechnął się, kładąc dłoń na moim ramieniu.

– Dziękuję! – Odetchnąłem z ulgą, że mnie nie wsypie.

– Mam nadzieję, że znajdzie pan chwilę, rano w poniedziałek. Chciałabym z panem

porozmawiać. – Pani Nowicka spojrzała na Jacka, oczekując na odpowiedź.

Nie spuszczałem z niego wzroku. Zerknął na mnie, potem na nauczycielkę. Modliłem się, żeby zechciał kontynuować tę mistyfikację,

– Czy jest jakiś szczególny powód? – zapytał.

– Ależ skąd! Nic szczególnego. – Speszyła się. – Nie miałam wcześniej okazji z panem porozmawiać, a sam pan rozumie, że czasem o młodych mężczyznach łatwiej rozmawiać z ojcami. – Uśmiechnęła się zalotnie.

„Ta Nowicka leci na Jacka czy co?” – przemknęło mi przez głowę.

– Oczywiście... Jak wcześniej rano?

– Może być o dziesiątej? – zaproponowała z uśmiechem Nowicka.

Jacek położył rękę na mojej głowie, delikatnie mierzwiąc moje włosy. Czuję się wspaniale, miałem wrażenie, jakbym dostał najlepszy prezent w moim życiu. Serce kołatało jak oszalałe, strach mieszał się ze szczęściem. Chciałem, by ta chwila trwała wiecznie. Jacek zachował się jak prawdziwy tato, o jakim marzy każdy chłopak.

– Nie dam rady tak wcześniej, już jestem umówiony. Mogę być około czternastej.

– Dobrze, więc około czternastej będę oczekiwać pana wizyty w szkole. – Nowicka kieteryjnie poprawiła opadający na czoło kosmyk włosów.

Wręcz rozpieła mnie duma. Jacek mógł robić wrażenie na kobietach. Był zarówno przystojny, jak też uprzejmy i szarmancki.

– Jesteśmy więc umówieni. Do zobaczenia w poniedziałek. Miło było panią poznać – odpowiedział, podając rękę na pożegnanie.

– Do widzenia – rzuciłem pospiesznie, pchając już wózek przed siebie. Chciałem jak najszybciej wyjaśnić Jackowi tę sytuację.

– Oho, widzę, że ktoś już wypełnił wózek zakupami. – Jacek spojrzał na zawartość kosza.

– Przepraszam, oddam pieniądze potem...

Spuściłem głowę. Było mi wstyd. Nie dość, że wpakowałem go w tę trudną sytuację, to jeszcze ukradłem kilka rzeczy ze sklepu. Kiedy już chciałem przyznać się do tego, że jestem sam w domu i bez kasy, powiedział:

– Potem posłucham wyjaśnień, a teraz zróbmy zakupy z mojej listy. – Jacek złapał wózek i ruszył w kierunku działu mięsnego.

Kiedy obładowani siatkami wyszliśmy ze sklepu, sąsiad zapytał spokojnie:

– Tomek, a właściwie gdzie jest teraz twój tato?

– Nie wiem, nie znam go. Mama nie chce rozmawiać ze mną na temat taty... Jesteś na mnie zły, że powiedziałem w szkole, że ty jesteś moim tatą? Strasznie dokuczają mi z tego powodu, więc musiałem coś wymyślić, żeby dali mi spokój.

– Właściwie to nie jestem zły, tylko zaskoczony... bardzo zaskoczony. Liczę na to, że wyjaśnisz mi nieco. Wskakuj, podwiozę cię do domu. Pogadamy przy kolacji, bo nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

– Jestem głodny jak wilk! Jak sto wilków – wykrzyknąłem, podskakując z radości.

Cokolwiek musiałbym wyjaśniać, zrobiłbym to wielokrotnie. Perspektywa spędzenia czasu z Jackiem była dla mnie najważniejsza. Siedząc w samochodzie, zastanawiałem się, jak będzie wyglądał ten nasz wspólny wieczór. Ulice nabierały świątecznego wyglądu, witryny sklepowe zmieniły swój wystrój na pełen mieniących się światełek, zachę-

cając do zakupu prezentów pod choinkę. Stojąc na czerwonym świetle, spojrzałem na mężczyznę, który wystawił w witrynie sklepu z rowerami, super górala. Nie mogłem oderwać oczu od tego cacka. Chciałem choć dotknąć kierownicy. Przymknąłem oczy i już widziałem, jak z Jackiem wjeżdżamy wąską ścieżką, ja na takim właśnie rowerze...

Kiedy już zaczynałem się zapędzać w swoich marzeniach i myśleć, że mógłbym spędzać z Jackiem więcej czasu, zaparkowaliśmy przed blokiem.

– To co, trzymam cię za słowo, że dziś gotujesz? Ponadto jesteś mi to winien. – Uśmiechał się, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Pewnie, zrobię ci przepyszny omlet, z przepisu mojej babci.

– Najpierw jednak zapytaj mamę, czy możesz spędzić ze mną wieczór, OK? – wtrącił Jacek, wyciągając zakupy z bagażnika.

– Nie muszę pytać, mama dziś późno wróci – skłamałem.

To był najpiękniejszy dzień w moim życiu. Jacek okazał się jeszcze bardziej interesującym człowiekiem, niż przypuszczałem. Cały wieczór z zacięciem słuchałem jego opowieści o podróżach i pracy. Mieszkanie Jacka było większe niż nasze. Pod oknem stała wielka szara kanapa, na środku pokoju mały stolik, na którym piętrzyła się sarta różnych papierów. W rogu pokoju wisiał hamak, a tuż za nim stała ogromna palma i kilka mniejszych kwiatów, w których gąszczu, na przytwierdzonych do ściany gałęziach, leniwie wyciągnął się pupil Jacka.

– Co to jest? Piszesz pamiętnik? – zapytałem, wskazując na mały notes leżący na stoliku.

– Nie, to jest mój zeszyt pomysłów – westchnął.

– Pomysłów, na co? – Zaintrygował mnie.

– Piszę teraz scenariusz do filmu, ale przyznam ci się, że nie idzie mi zbyt dobrze. Brakuje mi pomysłu. Ciągle szukam czegoś wyjątkowego, prawdziwego. Kiedyś może ci o tym opowiem, ale teraz jest już późno, więc zmykaj do domu. Spotykamy się jutro w szkole. Śpij dobrze.

Wróciłem do pustego domu, ale dziś wszystko było inaczej. Szybko wskoczyłem do łóżka i jeszcze przed zaśnięciem wyobrażałem sobie, że mój tato jest taki jak Jacek, że spędzamy ze sobą dużo czasu, rozmawiając. Widziałem oczyma wyobraźni, jak rozmawiam z nim, jak klepie mnie po plecach i mówi, że jest ze mnie dumny. A ja staję się dla niego coraz lepszy, lepszy we wszystkim.

\*\*\*

– Naprawdę twój tato ma się dzisiaj przyjść do szkoły na rozmowę z naszą wychowawczynią? – z niedowierzaniem zapytała mnie Alicja następnego dnia rano.

– No tak, przecież już ci mówiłem. Co tak dopytujesz? – odpowiedziałem, nieco poirytowany.

– Bo wiesz, to trochę dziwne, że tak szybko wrócił z tych dalekich krajów, a ty mówisz, że...

– Alicja, daj spokój, marudna jesteś. Jest po czternastej, więc jest już teraz w szkole i zaraz pewnie go poznasz. O, właśnie idzie... – Przerwałem, spoglądając na zbliżające się do nas Jacka.

– Dzień dobry, jak tam w szkole? – zapytał Jacek, kładąc znowu dłoń na mojej głowie.

– To jest moja koleżanka z klasy, Alicja.

– Miło mi cię poznać, Alicjo. – Jacek wyciągnął do niej dłoń.

Stała, nadal nie dowierzając, że właśnie poznała mojego ojca.

Alicja była bystra i dociekliwa, to trzeba jej było przyznać. Lubiłem ją bardziej, niż to okazywałem, bo do tej pory nigdy nie zwracałem uwagi na dziewczyny. One były zawsze takie dziwne... Alicja jednak była inna – zabawna, inteligentna i fascynująca. Za przyjaźniliśmy się i dlatego nie czułem się już w szkole tak samotny. Miałem więc Alicję i Marka (bo wybaczyłem mu ten incydent z butami), no i teraz miałem jeszcze... wypożyczonego tatę.

– Mogę się z wami zabrać?

Alicja mieszkała na tym samym osiedlu, blok dalej niż my.

– Nie dziś, Alicjo, bo mamy jeszcze coś do załatwienia. Innym razem z przyjemnością – zapewnił Jacek.

„Coś do załatwienia” zaskoczyło mnie, ale cieszyłem się, że znów spędzimy razem trochę czasu.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem, kiedy ruszyliśmy spod szkoły.

– Do mojego taty.

– A gdzie on mieszka? – Byłem coraz bardziej zaciekawiony.

Nie odpowiedział i milczał uparcie, ale wszystko wyjaśniło się, kiedy kilkanaście minut później zaparkowaliśmy przed cmentarzem. Jacek wyciągnął dwie donice z kwiatami i ruszyliśmy alejkami, wzdłuż których rosły rozłożyste modrzewie. Było dość chłodno, więc starałem się zapiąć bluzę, ale bezskutecznie. Zamek był już popsuty, kiedy mama kupiła mi go w tak zwanym ciucholandzie. Jacek zatrzymał się, postawił jedną z donic i zdjął szalik.

– Zapomniałeś kurtki? – Nie czekając na odpowiedź, podał mi szalik. – Weź, będzie ci trochę cieplej.

Zatrzymaliśmy się przy nagrobku i ustawiliśmy donice z kwiatami.

– Mój tata zmarł, jak miałem osiem lat – zaczął Jacek, zapalając znicz. – Dziś są, a właściwie byłyby jego urodziny. Zawsze mi go brakowało i brakuje nadal, zwłaszcza teraz, kiedy zbliżają się święta.

– Często tu przychodzisz?

– Tak często, jak to możliwe. Zawsze, gdy potrzebuję coś przemyśleć, to przychodzę z nim pogadać.

Staliśmy parę minut w milczeniu. Zaskoczyło mnie, że Jacek też odczuwał brak ojca. Do tej pory myślałem, że dorośli nie tęsknią za swoimi rodzicami, że tylko dzieci tak bardzo ich potrzebują.

Wróciliśmy do domu, niewiele rozmawiając, ale ta cisza między nami była bardzo przyjemna, pozbawiona jakiegokolwiek napięcia.

– Masz ochotę coś zjeść? Kupiłem pieczonego kurczaka i sałatkę – zaproponował Jacek.

– Bardzo chętnie – odpowiedziałem na jednym wydechu, żeby się czasami nie wycofał ze złożonej propozycji.

– Poinformuj mamę, że jesteś ze mną, i zapytaj, o której masz być z powrotem.



Nie mogłem kolejny raz powiedzieć, że mama znowu wróci później, ponieważ nabrałby podejrzeń. Poszedłem więc do domu, wziąłem błyskawiczny prysznic i chwilę później już stałem przed drzwiami Jacka.

Tym razem opowiadał mi o jakimś kontrakcie, który podpisał z telewizją. Dotyczył scenariusza serialu. Jacek nie miał pomysłu, jak sam twierdził – wena go opuściła. Nie chciałem, żeby wyjeżdżał. Nie chciałem go stracić. Zastanawiałem się, jak mógłbym mu pomóc.

Nie wiem nawet, kiedy usnąłem, leżąc na hamaku i wsłuchując się w głos Jacka i spokojny blues, którego słuchaliśmy. Jego tembr głosu i muzyka wprowadziły mnie w taki stan głębokiego relaksu, że spałem jak zabity. Jedyne, co pamiętam, to jak Jacek przykrywał mnie kocem.

\*\*\*

O siódmej zadzwonił budzik. Zerwałem się na równe nogi, nie bardzo zdając sobie sprawę, gdzie jestem.

– Spokojnie – powiedział Jacek, wychylając głowę z kuchni. – Napisałem kartkę do twojej mamy i wsunąłem w drzwi, żeby się nie martwiła. Spałeś tak mocno, że nie chciałem cię budzić. Tu masz bułki z cynamonem, a w lodówce jest sok pomarańczowy. Zapakuj sobie do szkoły, na drugie śniadanie. Przed wyjściem wypij gorące kakao i weź banana na drogę. Lecę pod prysznic, dziś mam ważne spotkanie.

Siedziałem chwilę, zastanawiając się nad tym, jak przyjemnie rozpoczął się ten dzień. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio mama zrobiła mi śniadanie czy kupiła specjalnie dla mnie bułki cynamonowe, które tak lubiłem. Może już zapomniała, że to moje ulubione? Jak wróci, muszę jej o tym przypomnieć. Wypiłem kakao, zapakowałem śniadanie do szkoły, chwyciłem banana i wyszedłem z mieszkania Jacka.

Ranek był chłodny. Bezskutecznie próbowałem zapiąć bluzę. Owinąłem szyję szalikiem, który podarował mi Jacek, i ruszyłem różnym krokiem. Uśmiechałem się sam do siebie i każdemu, kogo spotkałem po drodze, mówiłem „dzień dobry”.

– A tobie co się stało? – zapytała Alicja, patrząc ze zdziwieniem na moją rozpromienioną twarz.

Lubiłem ją, może bardziej niż lubiłem. Wielu śmiało się z Alicji i nazywało ją grubąską, a mnie podobało się to, że nie była wystrojona, wychudzoną lalą z zadartym nosem. Była ładną rudowłosą dziewczyną z warkoczami, inteligentną i wrażliwą, ale najważniejsze dla mnie było to, że można ją było nazwać prawdziwym kumplem, może nawet przyjacielem.

– Wszystko dobrze. Wczoraj znowu spędziłem czas z moim tatą, a wieczorem zajadaliśmy kurczaka i gadaliśmy do późna. Teraz tata szuka pomysłu na scenariusz do filmu. Chciałbym, żeby przyszedł mu do głowy super pomysł, to nie będzie musiał wyjeżdżać, po to, by zarobić kasę.

– Czasem rozwiązania są w zasięgu ręki. Moja mama mówi, że najlepsze scenariusze pisze samo życie. Nie martw się, na pewno coś wymyśli – odpowiedziała Alicja z uśmiechem, poklepując mnie po ramieniu.

\*\*\*

W tym dniu myślałem tylko o tym, żeby Jacek zgodził się pojechać jutro na trzydniowy wyjazd na wycieczkę w góry. Dziś miał podjąć decyzję.

– Cześć, jak tam było w szkole? – Usłyszałem znajomy głos tuż za plecami. – To dla ciebie. – Wręczył mi karton z butami. – Mam nadzieję, że będą pasowały.

Stanąłem oniemiały ze zdziwienia, przyjmując prezent. Dostałem najpiękniejsze na całym świecie prawdziwe adidas. Nikt w mojej klasie nie miał takich, a może nawet nikt w całej szkole. Alicja przyglądała się z boku całemu zdarzeniu, nerwowo zastanawiałem się więc, co zrobić, by nie zachować się nienaturalnie i nie zdradzić swej tajemnicy. Spontanicznie przytuliłem się do Jacka i w tym momencie wydawało mi się, że nie mogę być szczęśliwszy. Dawno nikt nie zrobił dla mnie czegoś tak miłego... Po chwili jednak okazało się, że to nie koniec niespodzianek.

– Zabieram cię na wycieczkę, co ty na to?

– Tak, tak, tak! Ale super! – wykrzyknąłem.

„Marzenia się spełniają – pomyślałem. – Kolejne popołudnie razem”.

\*\*\*

Wysiedliśmy z samochodu i po paru minutach wspinaliśmy się na szczyt. Jacek szedł bardzo szybko, od razu można było zauważyć, że ma kondycję i robił to nieraz. O mnie nie dało się powiedzieć tego samego. Początkowo dotrzymywałem mu kroku, ale po godzinie wysiadłem. Miałem wrażenie, że zaraz wyzionę ducha.

– Jak wysoka jest ta góra? – zapytałem, zasapany.

– Jeszcze trochę, już prawie jesteśmy.

Opłacało się. Widok był zniewalający. Usiedliśmy na trawie i przez dłuższą chwilę wpatrywaliśmy się w urokliwą dolinę. U podnóża jednej z gór widać było wioskę, która z tej odległości wyglądała wprost malowniczo.

– Podoba ci się tutaj? – zagadnął Jacek.

– Pewnie, ale nie było łatwo. – Uśmiechnąłem się.

– Musimy trochę poćwiczyć przed wyjazdem na waszą wycieczkę – oświadczył Jacek.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Czy naprawdę to było możliwe, że pojedzie tam z moim „pożyczonym” tatą?

– No przecież nie damy się tym pajacom od Krzyśka, tak? – Puścił do mnie oko.

– Dziękuję – wykrztusiłem.

Głos uwiązał mi w gardle. Położyłem głowę na jego piersi, a on przygarnął mnie silnym ramieniem i delikatnie zmierzwił mi włosy.

– Dziś chciałbym powiedzieć ci coś ważnego... Mógłbym więc spędzić wieczór z tobą? – zapytałem cicho.

– Dobrze, ale muszę pracować, więc nie będę miał wiele czasu na pogawędki. Przedstawiłem pomysł na scenariusz do filmu i został zaakceptowany, więc chcę dalej pisać, gonią mnie terminy. – Jacek był podekscytowany, a ja cieszyłem się z jego sukcesu.

Właśnie dziś postanowiłem powiedzieć mu prawdę. Nie chciałem już żadnych tajemnic. Czułem, że mogę zaufać Jackowi. Nie myliłem się.

\*\*\*

Usnąłem, jak zwykle, na hamaku pod palmą, gdzie czułem się bezpiecznie. Wyczerpany wędrówką, pamiętam tylko, jak Jacek okrył mnie ciepłym kocem.

Wstałem wcześniej, emocje nie pozwalały mi spać. Wycieczka! Pierwszy raz pojedę z tatą na wycieczkę szkolną!

W przedpokoju stały dwa zapakowane plecaki. Jacek brał prysznic, pogwizdując.

– Tomek, nastaw czajnik, herbatę do termosu zrobimy – zawołał, wychodząc z łazienki. – Gotowy na wyzwania? – zapytał, wycierając ręcznikiem mokre włosy.

– Pewnie, że gotowy!

\*\*\*

Przed szkołą zjawiliśmy się jako jedni z ostatnich. Wszyscy już pakowali swoje plecaki do autobusu. Krzysiek spojrział na nas ze zdziwieniem, a mnie rozpierała duma.

Po dwóch godzinach jazdy kierowca zatrzymał się i powiedział:

– Z tego miejsca musicie dojść piechotą do wąwozu, a tam, po prawej stronie, nad rzeką, stoi schronisko, tam się zameldujcie. Wszystko jest gotowe na wasz przyjazd.

Piaszczysta droga biegła przez las. Szedłem obok Jacka, który opowiadał o roślinności w dżungli amazońskiej i przygodach, które przeżył. Zauważyłem, że coraz więcej osób gromadziło się wokół nas i słuchało z zainteresowaniem.

Po przybyciu do schroniska otrzymaliśmy klucze do pokoi. Alicja i Marek mieli pokoje naprzeciwko naszego, więc umówiliśmy się wieczorem na karty u nas.

– No, kochani, czas spać, bo jutro czeka nas wyprawa w góry, więc musicie mieć siłę.

– Jacek zakończył grę, kładąc na stół ostatniego asa, co oznaczało, że znowu wygrał.

Cieszyłem się, że we wszystkim, co robił, był najlepszy, niepowtarzalny, doskonały. Mój wymarzony tata...

\*\*\*

Wstałem o szóstej, Jacek jeszcze spał. Postanowiłem wybrać się na krótki spacer. Idąc na paluszkach po schodach, usłyszałem za sobą głos Alicji:

– Tomek, poczekaj, idę z tobą.

– Tomek, nie będę owijać w bawełnę. Kim jest ten Jacek dla ciebie? Bo na pewno nie ojcem – wypaliła prosto z mostu, kiedy opuściliśmy budynek.

Alicja podobała mi się coraz bardziej. Lubiłem z nią rozmawiać, ale czasami była zbyt wścibska. Przyspieszyłem kroku. Bałem się, że ktoś może nas usłyszeć.

– Alicja, daj spokój, czemu tak drążysz? – burknąłem.

– Bo chcę wiedzieć, co się dzieje – odpowiedziała spokojnie.

Pobieżnie opowiedziałem jej historię spotkania z Jackiem w dniu, kiedy się wprowadził na drugie piętro, i naszego spotkania w sklepie z panią Nowicką.

Nagle usłyszałem trzask łamanej gałęzi. Odwróciłem się, rozglądając uważnie wokół, ale nikogo nie dojrzałem.

– Alicja, nikomu ani słowa, to dla mnie ważne – powiedziałem, kładąc palec na ustach.

– No, tak łatwo to ci nie pójdzie – odparła nadąsana.

– To co mam zrobić? – Wkurzyłem się.

– Musisz mi wszystko opowiedzieć.

– Boże, czemu ty jesteś z tych najgorszych dziewczyn, co zawsze wtykają nos w nie swoje sprawy. Męcząca jesteś.

Alicja spojrzała na niego obrażona. Odwróciła się i skierowała kroki w stronę schroniska.

„No i dobra, niech idzie, ciekawska baba” – pomyślałem ze złością. Nic dziwnego, że Alicja zaczęła coś podejrzewać. Była bystra i interesowała się mną. Ja natomiast nawet sam przed sobą nie przyznawałem się do uczuć, którymi ją darzyłem. Poza tym w tej chwili najbardziej bałem się o to, że coś wypapla.

– Alicja, poczekaj, porozmawiajmy! – zawołałem.

Zwolniła kroku, więc dogoniłem ją.

– Zgoda, opowiem ci więcej.

– Wszystko. Nie więcej, tylko wszystko, ze szczegółami. A ponadto przepróż mnie za to, że nazwałeś mnie w zeszłym tygodniu grubaską. Wszyscy się śmieli i ty też. To wcale nie było miłe. Teraz starasz się być kumplem, bo boisz się, że wszystko wygadam.

Weszliśmy na niewielki mostek, w dole płynął potok. Chwyciłem Alicję za ramiona, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem w policzek. Sam byłem zdumiony swoim zachowaniem.

– Alicja, lubię cię i przepraszam, że tak powiedziałem. Mnie tak naprawdę wcale nie przeszkadza, że jesteś... no, wiesz... Dla mnie jesteś... OK. Wierzysz mi?

Przeszywała go wzrokiem, ale wyraźnie się uspokoiła.

– Zakochana para! Co wy tu sobie, gołąbeczki, tak gruchacie o poranku?

Rozległ się gromki śmiech i pogwizdywania. Krzysiek wraz ze swoimi głupawymi kumplami stał na wzniesieniu i trzymał w ręku smatrfon. Wkurzyłem się i próbowałem go dogonić. Zajęło mi to kilka minut, choć kondycję miałem już niezłą. Nie panowałem nad emocjami. Wywiązała się bójka, a ja walczyłem tak, jakbym w tej jednej chwili chciał mu odplącić za wszystko.

– Przestańcie natychmiast! – wrzasnęła Alicja. – Samolubne dupki! Takim zachowaniem popsujecie wszystkim wyjazd!

Zatrzymaliśmy się. Miała rację. Próbowałem odzyskać film, który nagrał Krzysiek, bo nie wiedziałem, od którego momentu nagrywał i czy to nagranie może zdemaskować moje relacje z Jackiem. Zdałem sobie jednak sprawę, że siłą nic nie wskóram.

– Dobra, Krzysiek, mam propozycję – wysapałem, próbując złapać oddech.

– No, dawaj! – zaczepnie zaczął zziąjany Krzysiek.

– Załatwimy to jak faceci. Kto pierwszy wdrapie się na górę, wygrywa, OK? Jeśli ja wygram, oddasz mi kasetę, a jak przegram, to zrobisz z nią, co zechcesz.

Krzysiek spojrzał na skaliste wzniesienie przed nami. Próbował grać chojraka, ale zauważyłem zwątpienie w jego oczach. Nie zamierzałem jednak odpuszczać, zbyt wiele miałem do stracenia.

– Oczywiście bez zabezpieczenia – rzuciłem stanowczo.

– Coś ty, człowieku, zwariował? To jest zbyt niebezpieczne – przekonywała Alicja.

Już po kilku minutach wspinaliśmy się po stromym zboczku. Wystartowaliśmy prawie w tym samym tempie. Trudno było znaleźć miejsce, by oprzeć całą stopę. Im wyżej, tym było trudniej. W pewnym momencie poczułem, jak stopa omsknęła mi się na luźnym kamieniu, a ręce nie miały punktu zaczepienia. Zacząłem ześlizgiwać się, kalecząc ostrymi kantami uda i ramiona.

– Tomek, idę po ciebie! – Usłyszałem z dołu głos Jacka.

Nie wiem jak, ale zatrzymałem się, znalazłem podparcie. Spojrzałem w dół. Jacek obwiązywał się liną. Alicja stała obok niego i byłem pewien, że to ona wezwała pomoc. Tym razem jednak nie byłem na nią zły. Krzysiek piął się małymi krokami w górę, dzielił nas spory dystans, ale postanowiłem, że nie mogę się poddać. Zdecydowanie ruszyłem w górę, ignorując nawoływania Jacka. Musiałem wygrać! Jak w transie pokonywałem kolejne metry. Nie zorientowałem się nawet, że Jacek ruszył moim śladem. Po kilku minutach wyciągnął do mnie rękę, mówiąc:

– Chodź, wracamy bezpiecznie na dół. Już i tak dowiodłeś, że jesteś odważny.

– Ty nic nie rozumiesz! Nie wracam, idę dalej. Nie mogę odpuścić – odpowiedziałem na tyle stanowczo, że postanowił mnie nie przekonywać.

– W porządku, więc będę cię asekurował.

Wspinałem się szybko, wiedząc, że Jacek jest tuż obok. Krzysiek wybrał wąską szczelinę, gdzie mógł zaprzeć się o ścianę. Do pewnego momentu zapewniło mu to zdecydowaną przewagę, ale nie wziął pod uwagę, że będzie tam tak wąsko i nagle utknął. To była moja szansa. Wybrałem inną trasę. Już nie oglądałem się w dół, piąłem się na szczyt. Raniłem rękę o skały, ale nie czułem bólu. Za plecami słyszałem przyspieszony oddech Jacka. Chciałem, żeby był ze mnie dumny, tak dumny, jak ojciec z syna.

Czas jakby spowolnił, wydawało mi się, że nigdy nie dotrę do celu. W końcu jednak stanęliśmy na szczycie. Wyrównaliśmy oddech, z dołu było słychać aplauz. Jacek chwycił mnie za rękę i podniósł ją na znak zwycięstwa, a potem przytulił mnie tak mocno, tak prawdziwie, że dla tego uczucia mógłbym zaraz jeszcze raz ruszyć na tę morderczą wspinaczkę.

– Oddaj telefon! – zażądała Alicja, stając naprzeciwko Krzyśka, który wycofał się w połowie drogi i wrócił z ojcem na dół.

Zrobił to niechętnie, ale nie miał wyjścia, zbyt wielu było świadków, by mógł sobie pozwolić na świńskie zagrywki.

\*\*\*

Kolejna część dnia minęła spokojnie. Jacek nie wypytywał, dlaczego się ścigaliśmy i o co chodziło z tym telefonem. Był tylko moim wsparciem, to mi wystarczyło. Wieczorem obaj padliśmy do łóżek. Ja odpoczywałem, wyczerpany emocjami i nadludzkim niemal wysiłkiem, natomiast Jacek pisał swój scenariusz.

– Myślisz, że można zakochać się w grubszej dziewczynie? – zapytałem nagle.

– No pewnie, więcej ciała do przytulania. – Uśmiechnął się i powrócił do pracy.

– Dziękuję, że jesteś moim tatą. Wiem, że to tylko na dwa tygodnie, dopóki mama nie wróci, ale chcę, byś wiedział, jakie to dla mnie ważne – powiedziałem, naciągając spiwór po szyję.

Jacek spojrzał na mnie i zmierzwił moje włosy. Nie musiał nic mówić. Ten gest wystarczył.

Nie wiem, kiedy usnąłem, ale marzyłem przez chwilę, by czas z Jackiem nigdy się nie skończył.

\*\*\*

Niestety czas mijał nieubłaganie i nawet się nie spostrzegłem, kiedy trzeba było wra-

cać. Po porażce ze wspinaczką Krzysiek trzymał dystans, nie musiałem więc przynajmniej martwić się o to, że popsuje mi wyjazd swoimi durnymi docinkami. Bawiliśmy się przednio. Do domu wróciliśmy w znakomitych nastrojach.

Po wejściu do mieszkania odkryłem wiadomość na automatycznej sekretarce:

– Cześć, synku, wracam jutro, zerwałam z Bogdanem. Miałeś rację, to pajac. Kocham cię bardzo, do zobaczenia.

Zapukałem do Jacka.

– Czemu nie śpisz? – zapytał, otwierając drzwi.

– Mama jutro wraca. Zerwała z Bogdanem! Super, co? Może jak ją poznasz, to...

– Co ty, swatać mnie chcesz?

– Nie, ale wiesz... – Zająknąłem się. – Mama jest bardzo ładna i może...

– Dobra, pogadamy kiedy indziej. Jutro mam ważny dzień. No i twoją klasę zaprosiłem na plan filmowy, więc dla ciebie ten dzień też się zapowiada dobrze. Zmykaj więc do łóżka, już późno.

– Mogę zostać z tobą tę ostatnią noc?

Jacek spojrzał na mnie, westchnął i otworzył szeroko drzwi. „Tak, jeszcze ta jedna noc, a może potem poznam Jacka z mamą i będziemy już zawsze razem” – pomyślałem, rozmarzony. Wcześniej w ogóle tego nie rozważałem, bo mama bardzo zaangażowała się w związek z Bogdanem. Wiele razy próbowałem jej uświadomić, że to nie jest facet dla niej, że marnuje sobie życie i że stać ją na kogoś lepszego. Bezskutecznie. Leciła do niego jak ćma do ognia, chociaż on wcale nie traktował jej dobrze. Kiedy więc teraz okazało się, że ten ćwok na zawsze odszedł z naszego życia, wprost szalałem z radości. No i w zupełnie naturalny sposób spontanicznie zrodził się w mojej głowie plan, że powinienem za wszelką cenę zatrzymać przy sobie dwie osoby, które były dla mnie najważniejsze na świecie. Że też wcześniej na to nie wpadłem!

\*\*\*

Obudził mnie jakiś dziwny sen. Jacek wstał wcześniej i podśpiewywał pod prysznicem.

– Chodź, śpiochu, śniadanie gotowe. Jak się spało? – zapytał, wychodząc z łazienki.

– Fajnie... – Przeciągnąłem się, ziewając.

– Zatrzaśnij za sobą drzwi, ja muszę już lecieć. Do zobaczenia na planie. – Jacek poczochrał mnie po włosach, kiedy zabierałem się do moich cynamonowych bułek, i już go nie było.

Miałem jeszcze ponad godzinę, więc wszedłem do domu, włączyłem telewizję i zacząłem pakować książki. W pewnym momencie moją uwagę przykuł pies na ekranie. Takiego samego miał Bogdan.

– *Dziś rano na autostradzie A2 samochód osobowy zderzył się czołowo z ciężarówką. Obaj kierowcy oraz pasażerka osobówki zginęli na miejscu. Czworonóg cudem uszedł z życiem.* – Głos prezenterki odbijał się echem w mojej głowie.

Siedziałem bez ruchu i wpatrywałem się w ekran, nie mogąc uwierzyć, że to stało się naprawdę. Patrzyłem zaszklonymi oczyma na leżące na drodze dwa ciała w czarnych workach. Obok nich stał dobrze znany mi samochód. „Przecież to niemożliwe – powtarzałem sobie w myślach. – To nieprawda! Moja mama żyje!”

Wybiegłem z domu. Nie potrafiłem dłużej tam siedzieć i patrzeć na to wszystko, co według mnie było fikcją. Zwyczajną bajką, która wcale mi się nie podobała. Zakończenie powinno być inne, szczęśliwe. Tak jak zawsze. Głupia prezenterka, nie powinna dostać tej pracy, skoro nie potrafiła przekazywać dobrych wiadomości... Chciałbym, żeby krzyknęła wtedy „prima aprilis”, ale chyba nie miała takiego zamiaru.

Biegając bez przerwy, w końcu dotarłem przed budynek telewizji. Wszedłem do środka, jednocześnie zastanawiając się, gdzie znajdę Jacka. W tym momencie potrzebowałem go bardziej niż kiedykolwiek. Brnąłem wąskim korytarzem, na końcu widziałem jakieś światła, więc postanowiłem tam podejść. Zatrzymałem się, aby obejrzeć jedną ze scen, którą właśnie teraz kręcono. Śpiący chłopiec na klatce schodowej, jakiś mężczyzna zostawił mu bułki cynamonowe i sok pomarańczowy. Szeroko otworzyłem oczy. Wiedziałem, skąd wziął inspirację, nie mogłem się mylić.

– Cięcie! Dobra scena, super robota. – Ktoś podszedł do Jacka i poklepał go po ramieniu. Pewnie jego szef albo kolega z pracy.

– To jest naprawdę świetny scenariusz. Gratuluje, Jacek – powiedział ktoś jeszcze. – Jestem bardzo ciekaw zakończenia tej historii.

No tak... Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że zostałem wykorzystany. Potrzebował mnie do napisania scenariusza, nic więcej. Nie byłem dla niego nikim ważnym. Zwykłym pomysłem, na którym mógł zarobić sporo pieniędzy, i tyle. Łzy spływały mi po policzkach i nie mogłem ich powstrzymać. Odwróciłem się i zacząłem biec. Nie wiem dokąd. Po prostu przed siebie...

Nagle poczułem, że ktoś chwycił mnie za ramię.

– Tomek, to nie tak jak myślisz... – zaczął tłumaczyć się Jacek.

– A jak? – Spojrzałem na niego załzawionymi oczami. Nie wstydziłem się płakać. On mnie tego nauczył. – Byłem ci potrzebny tylko do napisania scenariusza. Myślałem, że to nasza prawdziwa historia, a nie bajeczka opowiedziana dla pieniędzy – wyrzuciłem z zalem.

– Tomek, posłuchaj... Tak, to prawda, że spotkanie z tobą zainspirowało mnie do napisania tego scenariusza, i uważam, że to super historia. Jest prawdziwa, pełna emocji, prawdziwych uczuć i nieoczekiwanych zwrotów akcji. Naprawdę cię polubiłem i uważam, że świetnie spędziliśmy czas w ciągu ostatniego tygodnia. Ja i tak się wyprowadzam i dobrze o tym wiedziałeś. Wspomniałem ci, że szukam czegoś innego. To mieszkanie nie jest dla mnie, tak samo, jak ta dzielnica. Za dużo tu chuliganerii. Pamiętasz, co zrobili z moim samochodem... Znalazłem ładny dom na przedmieściach, tam będę mógł spokojnie pracować. – Jacek trzymał mnie mocno i nie pozwolił, żebym mu się wyrwał. – Tomek, to był naprawdę wspólny czas. Jednak teraz każdy z nas musi pójść w swoją stronę. Coś się zaczyna i coś się kończy. Dziś wraca twoja mama, więc teraz będziesz z nią. Ja zacznę pakować się zaraz po powrocie z pracy.

Spojrzałem na Jacka. Poczułem żal, smutek i ból. Nie mogłem nic powiedzieć, choć chciałem podzielić się tym, co widziałem w telewizji i obawą, że to, co podali w wiadomościach, może okazać się prawdą. Zamiast tego wyswobodziłem się z jego uścisku i uciekłem. Tym razem za mną nie pobiegl.

Po kilkunastu minutach byłem już w domu. W wielkim pustym mieszkaniu, które już nigdy nie będzie mi się dobrze kojarzyło. Chciałem zobaczyć się z mamą, dalej miałem

nadzieję, że tamta dziennikarka zrobiła sobie ze mnie jakiś żart. Albo to wszystko po prostu mi się śniło. „Tak, na pewno! To tylko koszmar. Nie ma innej opcji”. Uspokojony tą myślą, zamknąłem oczy.

Obudziło mnie dopiero głośne pukanie do drzwi. Nie miałem zamiaru otwierać, patrzyłem tylko przez wizjer. Zobaczyłem dwóch mężczyzn pukających do drzwi Jacka.

– Dzień dobry, mieszka pan tutaj? – odezwał się jeden z nich.

– Tak – odpowiedział Jacek. – W czym mogę panom pomóc?

– Jesteśmy pracownikami opieki społecznej i szukamy kontaktu z Tomaszem Jasińskim.

– Proszę, to jest nasza wizytówka, jeżeli zobaczyłby pan Tomka, prosimy o kontakt – wtrącił się drugi.

– Tak zrobię – zapewnił.

Mężczyźni pożegnali się zwykłym „do widzenia” i ruszyli do windy, a po chwili usłyszałem ciche pukanie do drzwi.

– Tomek? Tomek, jesteś tam? To ja, Jacek. Otwórz, proszę.

Spełniłem jego prośbę i po chwili patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Mogę wejść? – zapytał w końcu.

Przepuściłem go w prog.

– Co się stało? Dlaczego ludzie z opieki chcą się z tobą spotkać?

– Nie wiem – odpowiedziałem i nagle łzy napłynęły mi do oczu.

Stałem odwrócony twarzą w stronę okna i nie mogłem zapanować nad drżącymi rękami.

– Tomek, ja naprawdę uważam, że jesteś wspaniałym chłopcem. Jednak nasz czas się skończył. Nasze drogi się rozchodzą. Masz mamę i teraz, kiedy rozstała się z Bogdanem, będziesz miał ją tylko dla siebie. W szkole też już wszystko w porządku i nikt nie będzie cię gnębił. Dodatkowo masz Marka i Alicję, więc już nie jesteś sam.

Odwróciłem zapłakaną twarz w jego kierunku.

– Jacek, moja mama już nigdy nie wróci – rzuciłem prosto z mostu. – Wczoraj zginęła w wypadku samochodowym i dlatego pobiegłem do ciebie, do studia. Wiem, że to głupie, ale miałem nadzieję, że może chciałbyś... zostać moim prawdziwym tatą. Potem zobaczyłem ten film o nas i pomyślałem, że potrzebowałeś mnie tylko do napisania scenariusza, że tak naprawdę nigdy nie byłem dla ciebie ważny.

– Boże, nie wiem, co powiedzieć – wykrztusił zakłopotany Jacek. Starał się mnie przytulić, ale się odsunąłem.

– Nie potrzebuję litości!

– Przykro mi z powodu twojej mamy. Jeśli chcesz, pójdziemy razem do opieki społecznej. Przecież nie możesz się ukrywać. Zobaczymy, co da się zrobić.

Wytarłem rękawem bluzki mokre policzki, włożyłem buty i wyszliśmy z domu.

\*\*\*

Po kilkunastu minutach byliśmy na miejscu. Ja zostałem na zewnątrz, Jacek wszedł do środka sam. Przez okno widziałem, jak rozmawia z pracownikami opieki. Widziałem, jak się miotął, chwycił za głowę, wstawał i chodził w kółko. Miałem małą iskierkę nadziei, że zostanie moim opiekunem. Tak bardzo tego pragnąłem...



W końcu zdecydowałem się do niego dołączyć. Gdy pojawiłem się w drzwiach, wszyscy zamilkli. Jacek nie musiał nic mówić, wiedziałem, że moje marzenia zostaną tylko marzeniami.

– W porządku, Jacek. Rozumiem – powiedziałem spokojnie, patrząc mu w oczy. – Możesz zostawić mnie samego z panami.

Jacek przyjrzał mi się badawczo, ale szybko zrozumiał, że jestem gotowy. Moje życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni i będę musiał iść do domu dziecka. Kochałem Jacka i nie chciałem być intruzem w jego życiu. Przecież to nie jego wina. Wszystko, co dla mnie zrobił, było fantastyczne. Nie miałem prawa oczekiwać więcej.

\*\*\*

Pogrzeb był skromny, nie wiem, ile osób przyszło pożegnać moją mamę. W chwili gdy trumna osuwała się w ten przerażający dół, rzuciłem na nią kwiaty, odwróciłem się i zacząłem biec w nieznanym mi kierunku. Chciałem uciec przed całym światem. Wbiegłem do niewielkiego parku, stanąłem i zacząłem krzyczeć. Serce rozdzierały mi ból i tęsknota. Zdałem sobie sprawę, że jedyna osoba, która mnie kochała, już nigdy mnie nie przytuli i nie spojrzy na mnie. Nie mam też domu, w którym ktoś będzie czekał na mnie, kiedy wrócę ze szkoły. Usiadłem pod drzewem, schowałem twarz w dłoniach i znowu się rozplakałem. Ktoś dotknął mojego ramienia, podniosłem głowę. Alicja przyklękła tuż obok. Nie odezwała się ani słowem, po prostu mnie przytuliła. W tamtej chwili właśnie to było mi najbardziej potrzebne.

\*\*\*

W domu dziecka zamieszkałem z piętnastką innych dzieci, były mniej więcej w moim wieku. Nie miałem potrzeby szukania wśród nich przyjaciół. Skupiłem się na nauce. Wiedziałem, że muszę wyznaczyć sobie cel. Chciałem zostać reżyserem. Chciałem stać się podobny do Jacka. Nie miałem szans na poznanie ojca, więc stał się nim Jacek. Na zawsze zagościł w moim sercu. Pragnąłem usłyszeć od niego słowa: „Jestem z Ciebie dumny”, kiedy zobaczy, jak wiele osiągnąłem pomimo moich przykrych doświadczeń.

Codziennie wieczorem razem z innymi dziećmi oglądałem serial w telewizji. Nikt, oczywiście poza mną, nie wiedział, że ta historia o przyjaźni chłopca z dorosłym mężczyzną zdarzyła się naprawdę. I że to ja byłem inspiracją.

Alicja odwiedzała mnie dość często. Była moim wsparciem i powoli zaczynałem się w niej zakochiwać. Czułem się szczęśliwy, bo wiedziałem, że ona odwzajemnia moje uczucia.

– Wiesz, Jacek mieszka teraz w najładniejszej dzielnicy domków – zaczęła, badając moją reakcję. – Raz do niego wpadłam, całkiem fajnie się urządził.

Milczałem. Nie chciałem rozdrapywać świeżo zagojonych ran. Chyba zrozumiała, że nie jestem jeszcze gotowy, by o tym rozmawiać.

\*\*\*

Alicja z ciekawością przyglądała się Jackowi przez duże tarasowe okno. Siedział za biurkiem, pochłonięty pracą. Zapukała. Podniósł głowę, a zaraz potem wstał, by otworzyć drzwi.

- Dobry wieczór, Alicjo. Co za miła niespodzianka. Proszę, wejdź.
- Alicja wyciągnęła małe pudełko zapakowane w świąteczny papier.
- Przyniosłam panu prezent – powiedziała, wyciągając rękę w jego kierunku.
- Dla mnie? Dziękuję...
- Pomyślałam, że powinien pan to zobaczyć. Muszę lecieć. Wesołych świąt.
- Alicja odwróciła się na pięcie i wyszła, zanim Jacek zdążył zareagować.

\*\*\*

Wieczór przed Wigilią ozdabialiśmy dom wspólnie z mieszkańcami domu dziecka. Dziewczyny zrobiły dekoracje na choinkę i stroiki na stół, a ja z kolegą zajęliśmy się ustawieniem świątecznego drzewka w jadalni. Wieczorem, kiedy wszystko było już gotowe, a cały dom, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, zmienił się w bajkowe miejsce, zasiedliśmy przed telewizorem, by obejrzeć ostatni odcinek serialu. Wszyscy byliśmy ciekawi, jaki będzie koniec tej historii. Mnóstwo migoczących światełek, którymi ozdobiliśmy okna i choinkę, dawało tyle przyjemnego światła i tworzyło taki nastrój, że nie potrzebowaliśmy innego oświetlenia.

Z napięciem wpatrywałem się w ekran, aż w końcu ujrzałem ostatnią scenę: mężczyzna w dzień Wigilii odwiedza chłopca w domu dziecka i zabiera go do siebie na święta Bożego Narodzenia. Znów poczułem ścisk w gardle i łzy na policzkach. Nie mogłem zapanować nad emocjami. Wybiegłem ze świetlicy i ukryłem się w pokoju.

\*\*\*

O tych wydarzeniach dowiedziałem się znacznie później, z relacji Jacka...

Skończył pracę około pierwszej w nocy. Przeciągnął się za biurkiem i spojrzał na małe pudełko, które podarowała mu Alicja. W środku był pendrive. Podłączył go i zasiadł wygodnie na kanapie, z laptopem na kolanach. Na ekranie pojawił się ja z Alicją. Początkowo nie można było zrozumieć, o czym rozmawiamy, gdyż kamerujący był zbyt daleko, ale po chwili pojawił się wyraźny dialog. Rozmawialiśmy o Jacku.

- Jacek jest wymarzonym tatą. Takim, jakiego zawsze chciałem mieć. Jest silny, inteligentny, a co najważniejsze: to wspomniał przyjaciel. Kiedy dorosnę, będę taki jak on.
- Tomek, ale Jacek nie jest twoim prawdziwym ojcem – zauważyła Alicja.
- Racja. Ale chciałbym, żeby było inaczej. – Uśmiechnąłem się. – To jest tajemnica, więc nikomu ani słowa.

Jacek chwycił płaszcz i kluczyki od samochodu. Jechał szybko, nie zważając na śliskie drogi. Dodatkowo padający śnieg ograniczał widoczność.

Była czwarta rano, gdy dotarł na miejsce. Stał na ganku domu dziecka. Bez zastanowienia nacisnął dzwonek. Zniecierpliwiony, zrobił to ponownie. W domu rozbrzmiały wszystkie światła. Drzwi otworzyła opiekunka.

– Czy pan zwariował? W środku nocy taki raban robić! Dzieciaki pan pobudził. A w ogóle to kim pan jest, do cholery?

– Przepraszam najmocniej, nazywam się Jacek, Jacek Kobrzycki. Jestem, a właściwie byłem krótko ojcem Tomka, który teraz przebywa tutaj.

Pani Jadwiga poprawiła szlafrok i potargane włosy, nic nie rozumiejąc z tego wyjaśnienia.

- Jest pan ojcem Tomka czy nie?

- Hm... Proszę pani, to nieco bardziej skomplikowane.
- Oczywiście, dla mężczyzn bycie ojcem to bardzo skomplikowane! Czego pan właściwie chce? – Prychnęła oburzona.
- Chciałbym go zobaczyć, muszę mu coś wyjaśnić. – Błagalnie patrzył na panią Jadzię.
- Kilkoro dzieci, zainteresowanych wizytą nieoczekiwanego gościa, zaglądało z zaciekawieniem przez drzwi,
- Pani Jadziu, wczoraj Tomek płakał, jak ten serial w telewizji oglądaliśmy i potem zamknął się w pokoju i nawet kolacji nie jadł. Chciałem z nim pogadać, ale powiedział, żebym zostawił go samego, bo musi pomyśleć – na jednym wydechu wydusił Leszek.
- Pani Jadziu, pani Jadziu! Pokój Tomka jest pusty, nie ma go nigdzie, w toalecie też szukałam! – zawołała Michasia, zbiegając po schodach.
- No to mamy kłopot. Cholera, i co teraz? – Spojrzała karcąco na Jacka.
- Może pan ma pomysł, gdzie można go znaleźć?
- Młody, powiedziałaś, że Tomek wczoraj chciał w spokoju pomyśleć? – zapytał Jacek, marszcząc czoło.
- Tak, mówił, że ma taką swoją samotnię, jak to ujął, ale nigdy nie powiedział gdzie.
- Dziękuję, chyba wiem, dokąd poszedł. Raz jeszcze przepraszam za zamieszanie, zadzwonię do pani, jak będę coś wiedział. Wesołych świąt – rzucił, biegnąc do auta.

\*\*\*

Było bardzo zimno, mróz szczypał w policzki, śnieg skrzypiał pod butami, a mrok rozświetlały jedynie nikłe płomienie zniczy. Jacek był pewien, że to właśnie tutaj mnie odnajdzie – przy grobie mojej matki. Mylił się jednak. W panice rozglądał się wokół, zastanawiając się, co dalej robić. Po chwili wpadł na inny pomysł i skierował kroki w inną alejkę, prowadzącą do grobu swojego ojca. Odetchnął z ulgą, gdyż już z daleka mnie dojrzał. Zwolnił nieco, słysząc, że coś mówię:

– Wiem, że nie jesteś moim prawdziwym dziadkiem. Jacek nie jest moim biologicznym ojcem, ale jest najlepszym tatą, jakiego kiedykolwiek miałem. Myślisz, że kiedyś mogę być taki jak on?

Nagle usłyszałem, że ktoś wymawia moje imię. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Jacka stojącego tuż za mną. Patrzeliliśmy na siebie w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach.

– Chodź, jest zimno – powiedział Jacek, zagarniając mnie ramieniem.

– Dokąd idziemy?

– Do domu, Tomek, do domu, przecież dziś Wigilia, to rodzinne święto.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem, ale najwyraźniej nie żartował.

W drodze do domu obserwowałem, jak budzi się dzień. Miasto oświetlone kolorowymi lampionami, Święty Mikołaj w saniach zaprzęgniętych w dwa renifery, stojący na jednym z rond miasta, wielka choinka błyskająca milionem migoczących światełek i ludzie podążający do pracy. Nie mogłem uwierzyć, że tak wiele zmieniło się w moim życiu. Miałem przed sobą perspektywę spędzenia świąt Bożego Narodzenia razem z Jakiem – to był najpiękniejszy prezent, jaki mogłem sobie wymarzyć.

Jacek mieszkał w pięknej dzielnicy domków jednorodzinnych. Dom był ładnie położo-

ny, otaczał go niewysoki, idealnie przycięty żywopłot. Miał zadbane ogród, duży taras i urokliwy ganek. Wnętrze zostało urządzone ze smakiem. Jasne kolory ścian i mnóstwo zdjęć z podróży tworzyły przytulną atmosferę. Obok kominka, w którym palił się ogień, stała wielka palma, a nieopodal, na gałęziach przypiętych do ściany, wylegiwała się ulubiona jaszczurka. Kiedy weszliśmy do domu, miałem wrażenie, jakby nikt tam nie mieszkał. Wszystko utrzymane było w nienagannym porządku.

– Nie masz choinki? – zapytałem, rozglądając się po salonie.

– Nie mam, ponieważ od śmierci mojego taty nie lubię świąt... Nie mam, ale chcę mieć. – Uśmiechnął się zagadkowo. – Mam wujka, jest leśniczym, więc nie będzie problemu z pozwoleniem na wycięcie jakiegoś drzewka z lasu. Co ty na to?

\*\*\*

Tonęliśmy w śniegu po kolana, spodnie zrobiły mi się sztywne jak blacha. Za duża kurtka Jacka, którą kazał mi włożyć, przeszkadzała mi w ścinaniu drzewka, które wybraliśmy, ale nie poddawałem się. Zapakowaliśmy choinkę do bagażnika, a w drodze powrotnej kupiliśmy lampki i bombki.

Z niedowierzaniem obserwowałem, co dzieje się w tym dniu z moim życiem. Niewiarogodne, że moje marzenie stało się prawdą. Lepiłem pierogi, w garnku cichutko pyркаł czerwony barszcz. Nastrój świąteczny dopełniały dźwięki kolęd płynących z radia oraz zapach cynamonu i suszonych jabłek.

– Muszę wyskoczyć na chwilę – oświadczył nagle Jacek. – Wrócę w ciągu godziny. Nie martw się, będę przed pierwszą gwiazdką.

Zaskoczył mnie, było około piętnastej, na dworze robiło się ciemno, większość rodzin szykowała się do kolacji, więc nie bardzo rozumiałem, co mógłby załatwiać o tej porze. Przykryłem stół świątecznym obrusem, na środku postawiłem czerwone świece i czekałem.

Kiedy zacząłem się już niepokoić, usłyszałem samochód parkujący przed domem. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, jak Jacek mocuje się ze sporych rozmiarów paczką. Wybiegłem przed dom.

– Schowaj się szybko, nie masz kurtki! – skarcił mnie.

– Nic mi nie będzie, twardy jestem... Co to? – zainteresowałem się.

– To prezent dla kogoś ważnego. – Mrugnął do mnie.

Kiedy wielka paczka wylądowała obok choinki, odkryłem moje imię na opakowaniu.

– Mogę rozpakować? – zapytałem z wypiekami na twarzy.

– Po kolacji, OK? Najpierw chciałbym ci coś powiedzieć. – Mówił z uśmiechem, ale zabrzmiało to bardzo poważnie.

Zjedliśmy w milczeniu, a ja delektowałem się każdą sekundą. Ten wieczór był niemal jak z mojej opowieści o rodzinnym Bożym Narodzeniu, z jednym wyjątkiem – nie było z nami mamy...

Usiadłem na kanapie, wpatrując się w Jacka.

– Nie mam dzieci, nie dlatego, że nie chciałem ich mieć, ale dlatego, że tak po prostu wyszło... Kiedy jednak spotkałem ciebie, wiele się zmieniło w moim życiu. Ty zmieniłaś moje życie. Teraz, jeżeli tylko się zgodzisz, to chciałbym zostać twoim tatą.

Zamurowało mnie i po prostu rozkleiłem się jak dzieciak. Nigdy wcześniej nie wierzy-

łem, że cuda się zdarzają naprawdę, a jednak... Może to właśnie była magia świąt.

– Musisz mi obiecać, że... – zaczął Jacek.

– Tak, wiem, żadnych bójek w szkole.

Spojrzeliliśmy na siebie i wszystko było jasne. Jacek położył mi rękę na głowie, ochrając moją czuprynę, a potem mocno mnie przytulił. Niczego więcej nie mogłem sobie wymarzyć. Miałem nadzieję, że mama patrzyła na mnie z góry i uśmiechała się, widząc, że jestem szczęśliwy.

## Łucja Wilewska



(ur. 1985) – odkąd doznałam anielskiego przebudzenia, wszystko zaczęło mi się w życiu układać. Wychowuję najcudowniejszego sześciolatka pod słońcem, studiuję podyplomowo, żeby zdobyć kwalifikacje potrzebne do pracy terapeutycznej z dziećmi, a nocami (takimi jak dziś) objadam się popcornem i piszę książki o życiu i miłości. Moją największą pasją jest sztuka, a w szczególności malarstwo: obecnie zrezygnowałam z płócien i maluję bezpośrednio na ścianach, przynosi mi to dużo większą frajdę. Maluję również obrazy na zamówienie, zainteresowanych zapraszam do kontaktu przez Facebooka. I jeszcze kilka ciekawostek z mojego codziennego życia: niedługo moja rodzina powiększy się o kotkę-terapeutkę, zmieniam kolor włosów średnio dwa razy w miesiącu, uwielbiam awokado, Azję i mango lassi, chodzę na zajęcia z tańca intuicyjnego, a przy poduszce zawsze trzymam zeszyt z długopisem, żeby móc każdego ranka zapisać swój najświeższy sen. Kocham sny! I medytację. Moją drogą życiową jest ścieżka doświadczania, uważności, bycia w ciele i ogromnej, stale rosnącej radości z tego, kim tak naprawdę jestem. W 2017 r. nakładem Wydawnictwa Videograf drukiem ukazała się moja pierwsza powieść – *Ósme niebo*. To pierwszy tom *Sagi Czasu Przemiany*. Kolejnego oczekujcie już na wiosnę!

## Łucja Wilewska. Doktor z alpejskiej wioski

– Nie zadzwonił – stwierdziłam na głos, podnosząc się z łóżka.

Lewą ręką odruchowo szukałam okularów, żeby upewnić się, że na telefonie nie widnieją żadne nieodebrane połączenia. „Mogłam przecież przez przypadek wyłączyć w nocy dzwonek... – rozmyślałam, chcąc uspokoić samą siebie. – Zaraz, zaraz, gdzie jest ten telefon?”

Zeskakując energicznie z łóżka na biały, szorstki dywan, jedną ręką założyłam okulary na nos, a drugą podniosłam poduszkę, licząc, że właśnie tam znajdę zagubioną białą xperię w różowej obudowie. Tak, lubiłam różowy kolor i nie miałam problemu, żeby się do tego przyznać.

Zdecydowanie trudniejszą kwestią, a zarazem tematem tabu, pozostawał mój wiek: jutro, czyli w pierwszy dzień świąt, kończyłam równe trzydzieści lat. Starłam się unikać tego tematu, jak tylko umiałam, licząc, że moja kochana rodzina zapomni o urodzinach i będziemy świętowali wyłącznie Boże Narodzenie.

Problem stanowiła nie tylko trzydziestka na karku, ale też fakt, że moje życie nie jest jeszcze aż tak ułożone, jakby tego oczekiwały moje babcie i ciocie. Mama twierdzi, że jest wyrozumiała i że wcale nie spieszy jej się do bawienia wnuków, ale na własne uszy słyszałam, jak mówiła do sąsiadki z czwartego: *Może byśmy jakoś tak zapoznały swoje dzieci ze sobą i że dawniej swatanie było czymś najnormalniejszym w świecie*, i jeszcze, że *nie ma nic zdroźnego w tym, aby trochę wspomóc los, zwłaszcza w tak trudnych czasach, gdy młodzież nic tylko siedzi w domu czy w internecie i dlatego też nie mają okazji poznać się na żywo. A wnuki przecież same się nie urodzą*. Tak twierdziła z przekonaniem moja mama, ta co jej się nie spieszyło do bawienia tych wnuków. Jej głos niósł się jak echo po świeżo mytym, pachnącym cytrynowo korytarzu naszego czteropiętrowego bloku. *I tym bardziej nie odchowają* – dodała sąsiadka z powagą w głosie. Nie wiem, co mówiły dalej, bo usłyszałam kroki na schodach i szybko schowałam się w mieszkaniu, udając, że akurat miałam zabierać się za odkurzanie.

Tak więc nie dość, że nie miałam jeszcze męża, nie mówiąc już o dzieciach, to wielkimi krokami zbliżała się moja trzydziestka. I choć nie zamierzałam świętować urodzin, ba, słowem nie planowałam nawet o nich wspominać, to przeczuwałam, że rodzice wspólnie z babcią i ciotkami szykują dla mnie jakiś tort i inne urodzinowe niespodzianki, w stylu balonów, serpentyn i wyskakiwania z szafy z głośnym: „Wszystkiego najlepszego!”

Wybawieniem z opresji miał być Kamil, z którym spotykałam się już prawie od roku. Poznaliśmy się na wyjeździe narciarskim w trakcie ferii zimowych. Już z daleka, jeszcze zanim wsiedliśmy do autokaru, przykuł moją uwagę. Choć teraz, po tylu miesiącach razem, trudno jest mi jednoznacznie zdecydować, czy wpadł mi w oko z powodu wysokiego wzrostu i sposobu, w jaki leżała na nim puchowa kurtka, czy sprawił to uśmiech, którym tak szczerze obdarzał wszystkich wokoło, czy może wpłynął na to fakt, że posadzono nas obok siebie i przegadaliśmy prawie całą drogę z Krakowa do Francji. Nawet w nocy, kiedy pozostali uczestnicy wyjazdu dawno już spali, schowani w lekkich, pomarańczowych śpiworach, przykryci dodatkowo grubymi, granatowymi kocami, rozmawialiśmy nadal, po prostu nie mogąc przestać. Kiedy ma się dwadzieścia dziewięć lat i setki godzin spędzonych na rozmyślaniach i wewnętrznych dialogach

z samą sobą, spotkanie kogoś, z kim można porozmawiać na wszystkie te tematy przez dziesięć godzin non stop – naprawdę robi wrażenie.

Kamil, oprócz tego, że ogromnie dobrze mi się z nim rozmawiało, miał też sporo innych zalet: począwszy od metra osiemdziesiąt jeden wzrostu, regularnych rysów twarzy, stałego, dwudniowego zarostu i uroczego uśmiechu, który sprawiał, że w momencie rozplęwało się i ulatniało całe zło tego świata. Lubił nosić swetry i dzinsy, które chętnie od niego pożyczałam bez pytania o zgodę. Aha, mówię oczywiście o swetrach, nie o spodniach.

Dziś czekał mnie ogromnie ważny dzień: po pierwsze Wigilia, a po drugie rozmowa z Kamilem. Od kilku dni wspominał, że chce ze mną porozmawiać i nie ukrywam, że po cichu liczyłam, że właśnie dziś zaproponuje mi, żebyśmy zamieszkali razem. Nie mogłam się doczekać i dzień wcześniej poprosiłam go, żeby zadzwonił z samego rana i mnie obudził. I co? I nie zadzwonił.

Kiedy udało mi się znaleźć telefon, który dziwnym trafem spadł z łóżka i przeturlikał się aż za szafkę nocną, trzykrotnie upewniłam się, że nie ma żadnych nieodebranych telefonów, i to nie tylko w powiadomieniach, ale też w spisie połączeń. Na wszelki wypadek przejrzałam też konto mejlowe, listę SMS-ów, Messenger, Facebook, Whats-App, Instagram, Snapchat i Skype – przecież gdzieś tam, w którejś z tych aplikacji, mógł zostać niewielki ślad – choćby krótkie i zdawkowe „nie zadzwonię”.

Nie zostawił. Tak na wszelki wypadek, wyłącznie po to, żeby poczuć się lepiej, zrestartowałam jeszcze telefon. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że na pewno nie zadzwonił z samego rana w Wigilię, tak jak mi obiecał, a ponieważ wiedział, jak ważne to dla mnie było, mogło to oznaczać tylko jedno: Kamil mnie nie kocha. Nie kocha i w związku z tym nie będziemy razem mieszkać.

Ta myśl prześladowała mnie cały długi poranek. W poprawieniu humoru nie pomogła mi ani tall latte z syropem imbirowym, ani dochodzący zewsząd zapach świerków i sosenek, nie podniosła mnie na duchu nawet cynamonowo-kardamonowa przyprawa, którą mama kupiła do świątecznej kawy.

– Nie zadzwonił – powiedziałam, dolewając sobie mleka.

– Nie przejmuj się tak bardzo, na pewno jeszcze zadzwoni – pocieszała mnie mama ze spokojem w głosie, choć nie spoglądała na mnie, zajęta pakowaniem prezentów.

– O której przychodzą dziś goście? – spytałam, a mama zamarła.

Powoli odwróciła głowę w moją stronę i z miną, która łączyła w sobie niedowierzanie, zaskoczenie i wysoki stopień niepokodzenia z losem, odparła:

– Jak to dziś? Dziś przecież nie przychodzą.

– Jak to nie przychodzą? To nie będzie Wigilii?! – zapytałam, czując, że świat wali mi się na głowę. Najpierw Kamil, potem trzydziestka, a na dodatek odwołują jeszcze Wigilię?! No tego to już było za wiele!

Mama spojrzała na mnie podejrzliwie, zakładając włosy za ucho.

– Goście wigilijni przyjdą do nas w Wigilię, czyli jutro – odparła spokojnie, starając się niepotrzebnie nie denerwować. Pewnie w duchu modliła się żarliwie do świętego Antoniego, żeby to jednak ona miała rację i aby dziś okazał się być dopiero czwartek, a nie piątek.

Jak na komendę wstałyśmy i w ułamku sekundy doskoczyłyśmy do kalendarza.



– Czwartek. Nie chce być inaczej – odetchnęła mama zdecydowanie uspokojonym i uradowanym tonem.

Miała przed sobą cały, długi dzień, który zamierzała wykorzystać na: podsmażenie karpia, nastawienie barszczu, ulepienie uszek, namoczenie suszonych podgrzybków i borowików, trzykrotne przepuszczenie maku przez maszynkę i skrojenie kapusty kiszanej do farszu na pierogi.

Ja również trochę się uspokoiłam. Kamil miał zadzwonić do mnie z samego rana w Wigilię, a że był dopiero dzień przed – jego potencjalne winy zostały wymazane. Co nie zmieniało faktu, że dziś też mógł zadzwonić albo choć napisać, że nie zadzwoni...

W święta miałam go przedstawić mojej rodzinie. Rodziców Kamila już poznałam: w trakcie urodzin, które obchodził w listopadzie. Teraz przysła kolej na niego. Umówiliśmy się, że przyjdzie do mnie w pierwszy dzień świąt, ze względu na moje urodziny. A w drugi dzień świąt pojedziemy do niego, do Kłodzka, i zostaniemy tam aż do Nowego Roku. Sylwestra planowaliśmy spędzić we Wrocławiu. Znajoma para organizowała przyjęcie u siebie w domu.

Postanowiłam, że skoro jestem o jeden dzień do przodu, to wykorzystam go na same przyjemności. A zacznę od spotkania z Kamilem. Ubiorę się w coś seksownego i zrobię mu niespodziankę.

– Biorę kilka ciastek – rzuciłam na odchodnym, pakując do lnianej, biało-szmaragdowej torby zapas kruchych, imbirowych ciasteczek.

– Po południu przyjdzie do mnie Henia, sąsiadka z czwartego, będziemy razem lepić pierogi. Wiesz, we dwie to różnie... – odparła mama, ale nie słuchałam jej uważnie, w głowie planując najdrobniejszy szczegół mojej dzisiejszej niespodzianki. – ...i szybciej nam pójdzie. Pomyślałam, że może byś i ty do nas dołączyła? Henia to chyba z Antkiem przyjdzie, pamiętasz go? Studiuje teraz w Austrii, na wymianie jest, przyszły neurolog... – kontynuowała mama.

Ja w tym czasie otwierałam buteleczkę z waniliowym aromatem do ciasta i wmasowałam parę kropeł w nadgarstki i tuż za uszami. To podobno znakomity afrodyzjak, tak przynajmniej wyczytałam w najnowszym, świątecznym wydaniu *Poradnika*, magazynu, dla którego pracowałam jako korektorka.

– Może pomogę, może nie. Nie wiem, jak długo zejdzie mi u Kamila, a potem chciałam jeszcze skoczyć na kiermasz świąteczny na rynku i dokupić kilka drobiazgów.

– Wolałabym, żebyś wróciła dziś wcześniej, jest jeszcze sporo do zrobienia.

– Postaram się – odparłam, wcale nie wierząc w to, co mówię. Kamil był dla mnie najważniejszy, cała reszta mogła poczekać.

Wychodząc z domu, przeciągnęłam się, wyciągając ręce wysoko ponad głowę. Chłodne, niebieskie niebo zaskakiwało intensywnością koloru. Lubiłam patrzeć wprost na zimowe słońce, lekko przysłonięte chmurami: oczy wcale przy tym nie bolały. W lecie nie było to możliwe: słońce świeciło zbyt mocno, dlatego wykorzystywałam każdy zimowy i słoneczny dzień, żeby choć przez chwilę popatrzeć sobie w miejsce, z którego dobiega życie.

Idąc za słońcem i za promieniami, które odbijały się w zamrzniętych kałużach i oszronionych żywopłotach z równo przyciętego z bukszpanu, zastanawiałam się nad

tym, czy kolor ciemnozielony, trawiasty, pasuje do różowego. Na pierwszy rzut oka te dwie barwy zupełnie ze sobą nie współgrają, jednak kiedy zestawić je ze sobą, to okazuje się, że pasują do siebie jak brat i siostra, na zasadzie kontrastu tworzą spójną kolorystyczną diadę.

Zastanawiałaś się nad tym kiedyś? Nie? A ja tak. Co prawda jestem magistrem filozofii i przez pięć lat uczyłam się, jak rozmyślać i w jaki sposób zadawać pytania tak, by nie uzyskiwać jasnych odpowiedzi, tylko generować jeszcze więcej nowych pytań. Nie pracuję jednak w wyuczonym zawodzie, dlatego też nikt nie płaci mi za moje przemyślenia. A szkoda, bo miałabym już dawno luksusową willę na Kajmanach.

Pomyślałam, że zanim odwiedzę Kamila, zahaczę najpierw o rynek. Co roku właśnie tam odbywał się jeden z największych i najpiękniejszych kiermaszy świątecznych w Polsce. Drewniane stragany, przyozdabiane gęsto gałęziami świerku, papierowymi łańcuchami z bibuły, świecącymi się brokatowo bańkami choinkowymi i rzeźbionymi ptaszkami, pełne były gwaru, najróżniejszych świątecznych upominków i przede wszystkim zapachów. Pachniało wszystko, począwszy od prażonych orzechów włoskich, oblewanych słodkim karmelem, poprzez grillowane oscypki podawane z żurawiną, dalej były kiełbaski z żytnim chlebem na zakwasie, smalec (choć ten wcale nie pachniał) z ogórkiem kiszonym, miód z pasieki z Nowego Sącza, lukrowane pierniki z Torunia, kwaśnica z Zakopanego, a wszystko to ubrane w dominujący ponad wszystko zapach choinek i dźwięki metalowych dzwoneczków i dzwoneczków.

Jak zaczarowana wędrowałam od jednego straganu do drugiego, przebierając, wybierając, zachwycając się tymi maleńkimi dziełami sztuki, które można było dostać tylko raz do roku, właśnie teraz, w święta. Boże Narodzenie kojarzyło mi się przede wszystkim z dziećmi, z siankiem i z opłatkiem. Dlatego też przy najbliższym straganie kupiłam dużą, przyozdobioną czerwoną kokardą świąteczną paczkę, wypełnioną po brzegi czekoladkami, pierniczkami i zakręcanymi lizakami. Słodczyce schowałam do torebki, a płaszcz zapięłam pod samą szyję, bo robiło się mroźno. Spojrzałam na niebo: słońce powoli gasło, chowało się za ponurymi chmurami, szarość ogarniała dzień, przejmowała powietrze. Wszystko więc wskazywało na to, że dziś spadnie śnieg.

Jak pewnie wiesz, od wielu lat nie doświadczyliśmy śnieżnej atmosfery świąt. Zwykle dopiero w styczniu przychodziła bardziej sroga zima, a grudzień pozostawał taki pół ciepły, pół mroźny, trochę rozmemłany, niedookreślony. Rozejrzałam się raz jeszcze, żeby potwierdzić, że zrobiło się naprawdę ciemno, że zaraz, dzień przed Wigilią, z nieba spadnie wymarzony śnieg.

„Czy można chcieć więcej? – zastanowiłam się w myślach. – Moje życie w końcu zaczyna się układać, nabiera rumieńców, kolorów. To ja, niebieskooka Hania Potocka, o trochę zbyt bladej twarzy, brązowych włosach, które noszę rozpuszczone, choć nie wyglądają tak ładnie, jak w reklamie. To ja, Hania, filozofka i korektorka, prawie trzydziestolatka, która w końcu zaczyna żyć swoim życiem, na własnych zasadach, po swojemu. To ja, dziewczyna z kwiatami we włosach...”. Urwałam, krztusząc się kawą i zatrzymując w miejscu. Nie mogłam przestać kaszleć, odwróciłam się tyłem i zasłoniłam usta dłońmi, tak żeby mnie nie zauważył. Ani on, ani osoba, z którą właśnie był. Którą obejmował za ramię, do której się uśmiechał i jak gdyby nigdy nic oglądał z nią świąteczne stragany.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Naprawdę. Ja rozumiem, że związki się czasem rozpadają, że szuka się kogoś innego, lepszego, bardziej do nas podobnego... Ale żeby tak jawnie zdradzać w same święta? I to w Boże Narodzenie?! Byłabym jeszcze w stanie zrozumieć, gdyby to była Wielkanoc. Ale nie Boże Narodzenie! Nie wtedy, kiedy miał zadzwonić do mnie rano i obudzić – a nie obudził – i nie wtedy, kiedy miałam go właśnie przedstawić rodzinie w dzień moich trzydziestych urodzin! Co ja im powiem, tym wszystkim ciotkom, babkom i wujkom, którzy nic tylko spoglądają w kierunku mojego brzucha, zastanawiając się, czy ta mała fałdka jest tam z powodu nadmiaru zjedzonych pierniczków, czy z innego, bardziej przez nich pożądanego?

Po minucie udało mi się ogarnąć, przestałam kaszleć, poprawiłam na wypadek konfrontacji włosy i pomalowałam na czerwono usta. Zaczęłam ich potajemnie śledzić: jego, Kamila, ubranego w moją ulubioną, granatową kurtkę puchową, i dziewczynę, w objęciach spacerujących wśród świątecznych kramów. Jak na złość właśnie w tym momencie zaczął padać pierwszy tej zimy śnieg. Wszyscy zgromadzeni na rynku ucieszyli się, spoglądając w górę i nasuwając czapki na czoło. Ja również spojrziałam w górę, a kiedy ponownie spuściłam wzrok, Kamil obejmował dziewczynę i całował ją. Tym samym obalił swoją główną linię obrony, w ramach której mógłby twierdzić, że była to jego siostra lub też bliska kuzynka.

Po chwili przestali się całować, spojrzeli sobie w oczy i uśmiechnęli się. Tego już było za wiele. Choć w głowie zdążyłam już szybko zaplanować, że podręcę go i każę samemu przyznać się do winy, to jednak emocje wzięły górę. Nie zastanawiając się dłużej, podeszłam do nich, najspokojniejszym krokiem, na jaki było mnie stać w tamtej chwili. Stałam przed nimi: dziewczyna wyglądała na zaskoczoną, w oczach Kamila dostrzegłam przerażenie. Nie dając mu chwili na wyjaśnienia, sprawnym ruchem otwarłam wieczko prawie półlitrowego kubka, w którym zamówiłam przed chwilą w Starbucksie specjalną, świąteczną edycję pierniczkowej latte. W jednej sekundzie rzuciłam wieczko na ziemię i z całej siły chlusnęłam kawą w Kamila. Spokojnie, nie była już bardzo gorąca, temperatura powietrza zbliżała się do minus pięciu i działała lepiej niż lodówka. Co nie zmienia faktu, że jego mokra od spienionego mleka twarz i lepka od pierniczkowego syropu kurtka dały mi choć trochę satysfakcji: to była słodka zemsta. Naprawdę nie chciałam robić przedstawienia, ale krzyknęłam jeszcze na odchodnym: *Ty podły oszuście, spadaj z mojego życia, mam nadzieję, że jutro udławisz się ością z karpia!* I jeszcze parę innych sformułowań, które zdecydowanie należały do gatunku tych niecenzuralnych. Ale padły też i takie, które można by uznać za „w miarę przyzwoite” i całkiem niezłe literacko, takie jak: *kłamiwy fałszywiec w za dużych bokserkach; bezczelny, zadufany w sobie kmiot z chorobliwym przerostem ego i nieświeżym oddechem; zakała reinkarnacji; bezsensowna pomyłka Boga; zepsuty ksenofob* i na koniec jeszcze: *zapluty karzeł* (proszę, nie pytajcie czemu, bo sama nie mam pojęcia, dlaczego akurat to określenie przyszło mi do głowy). Z moich ust padło też jedno dosyć wyszukane sformułowanie o zdecydowanie pejoratywnym nacechowaniu, dwa metaforyczne epitety i potrójna klątwa.

Do jego dziewczyny nic nie krzyczałam, no, poza jednym zdaniem, a mianowicie: *Jesteś głupia, brzydka i masz potwornie wylupiane oczy!!! I grube nogi!!!* Co z tego, że pewnie chudsze od moich? I dodałam, że znudzi się Kamilowi szybciej, niż zdąży policzyć liczbę głosek w swoim imieniu. To ostatnie podziałało najlepiej, bo dziewczyna mo-

mentalnie zaczęła liczyć coś na palcach...

Ludzie patrzyli na mnie jak na wariatkę, ale miałam to gdzieś. Nie przejmowałam się wcale komentarzami rozpychanych przeze mnie osób. Właśnie teraz, w tej chwili, tuż przed trzydziestymi urodzinami moje życie zupełnie się zawaliło. I co ja miałam teraz zrobić? Jak pokazać się na Wigilii i co powiedzieć całej rodzinie, która zjedzie się właśnie po to, żeby poznać Kamila? To wszystko nie miało sensu.

Złość powoli przechodziła w żal i smutek, kiedy energicznym krokiem przemierzałam Sławkowską. Robiło się coraz ciemniej, coraz mroźniej, śnieg prószył gęsty i lepki, tak fajnie przyklejał się do wyciągniętego z ust języka. Zamknęłam na chwilę oczy.

Nie mogłam zrozumieć tego, co się przed chwilą wydarzyło. Nie pojmowałam tego i nie widziałam w tym żadnego sensu. Przecież pasowaliśmy do siebie, przecież się kochaliśmy! Dlaczego znalazł sobie inną? Która część mnie była tą słabszą, gorszą, tą niewystarczająco dobrą? Tamta pewnie była młodsza i bardziej uśmiechnięta, jestem tego pewna. Na sto procent nie narzekała tak jak ja i nie marudziła, że jej zimno w stopy i że sweter gryzie w szyję. Tamta na pewno odznaczała się większą wytrwałością i zaradnością życiową. Generalnie – była lepsza. W starciu z nią nie miałam szans. Zresztą dziwne, że moja naiwność pozwoliła mi aż tak długo wierzyć, że Kamil szczerze się mną zainteresował... Ale mógł wcześniej mi o tym powiedzieć, a nie tak tuż przed świętami...

Odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy nie biegnie za mną, chcąc wszystko wyjaśnić, naprawić. Przeprosić. Niestety – nie było go. Nie poszedł za mną, nie pobiegł, nie zadzwonił... nigdy więcej nie napisał. To był koniec, definitywny koniec naszej relacji.

Do domu wracałam w tumanach śniegu, brnąc przez zasy, które wyrastały jak grzyby po deszczu. Co roku było to samo – pierwszy większy śnieg zupełnie paraliżował miasto. Nawet było to zabawne – iść pieszo Długą, mijać i zostawiać za sobą trąbiące samochody i przepełnione ludźmi, rozświetlone tramwaje. To właśnie na Długiej przestałam płakać i odnalazłam pierwszą pocieszającą myśl: „Będę mogła ułożyć sobie wszystko na nowo. Po swojemu. Nie będę musiała nic dopasowywać ani dostosowywać się. Od teraz wszystko będzie po mojemu. Od A do Z”.

Oddech powoli wyrównywał się, szłam szybszym krokiem, zmarznięte ręce, choć w rękawiczkach, schowałam w kieszeniach. Dotarłam do domu po niecałej godzinie. Zrzuciłam z siebie ubranie i wskoczyłam pod prysznic. Gorąca woda koila ciało i nerwy, otulała, rozgrzewała. Woda mówiła ciału: *Nie przejmuj się, to minie, ból uleci, już nie długo o nim zapomnisz.* Jednak „nie długo” jeszcze nie nadeszło: płacz znowu zaatakował, tym razem silniej. Zgięłam się w pół, kucnęłam. Oddychałam z dużym trudem. Wyobrażałam sobie, że w łazience pojawia się piękny i świetlisty anioł stróż, który uśmiecha się i pomaga mi wstać, podając miękki, pachnący ręcznik do wytarcia się.

Oczywiście (mimo iż jutro była Wigilia), żaden anioł nie pojawił się, musiałam wstać sama, zakręcić wodę i wytrzeć się do sucha ręcznikiem, którego używałam już chyba ze trzy czy cztery dni. Założyłam świąteczną, granatowo-czerwoną piżamę w renifery, wełniane skarpety i tworząc na głowie przepiękny i stylowy turban z ręcznika, krzyknęłam do mamy przez drzwi:

– Mamo, jednak nie pomogę ci przy tych pierogach. Idę do siebie do pokoju i bezwzględnie proszę mi nie przeszkadzać. Zamierzam obejrzeć *Ogniem i mieczem*, a potem

do rana słuchać *Dumki na dwa serca...* – „Przy tym się najlepiej płacze” – dopowiedziałam już w myślach. – *Mój sokole, chmurnooki, pytaj o mnie, gwiaaaazd...* – zaczęłam śpiewać i otwierając drzwi do łazienki, zdałam sobie sprawę z tego, że mama nie odpowiadała, bo właśnie zamykała za sobą drzwi wejściowe. W przedpokoju, oprócz mnie ubranej w reniferki, stała mama i sąsiadka z czwartego z jakimś chłopakiem, przewyższającym ją o pół głowy.

– Haniu, poznaj, proszę, Antka, przyjechał na święta do pani Heni. Antek studiuje za granicą i tak się zastanawialiśmy, czy nie zabrałabyś go ze sobą na świąteczne zakupy... Dawno go nie było w Krakowie, a wiesz, że z mamą to już w pewnym wieku nie wypada chodzić po sklepach.

– Eee... jasne, może jutro – odparłam zdezorientowana i wskoczyłam migiem do swojego pokoju.

Chłopak wydawał się miły i chyba nic nie wiedział o szykowanej dla niego niespodziance, bo wyglądał na równie zdziwionego, co ja.

Zdjęłam ręcznik z głowy, przeczesalam ręką włosy i zastanawiałam się, w jaki sposób niepostrzeżenie przedrzeć się do kuchni, wyjąć z lodówki coś do jedzenia i bezszelestnie wrócić do swojego pokoju. Wydawało się to niemożliwe, ponieważ kuchnia, jak się dowiedziałam, podsłuchując i podglądając poprzez szparę tuż nad parkietem, okupowana była przez mamę i panią Henię z czwartego, i... przez Antka. Najwyraźniej całkiem dobrze odnajdywał się przy wspólnym lepieniu pierogów, bo z kuchni dobiegała miła, radosna rozmowa. Poprzez szczebiot mojej mamy i sąsiadki co jakiś czas przedzierał się niski męski głos. Ile lat mógł mieć Antek? Studiował, więc na pewno miał mniej ode mnie. Nie wiem, na co liczyła moja mama, knując tak banalny spisek, ale nie interesowało mnie to teraz ani trochę, bo jedyną szansą dla mnie na to, żeby ponownie się nie rozplakać, było natychmiastowe włączenie *Ogniem i mieczem*. Bohun miał to do siebie, że swoim spojrzeniem leczył wszystkie zakamarki serca, nawet te zranione i potłuczone.

Wskoczyłam pod kołdrę, którą podwinęłam pod stopy, żeby żadne duchy nie miały tamtędy wejścia. Zasłoniłam okna i włączyłam film, który oglądałam w chwilach, gdy potrzebowałam skupić się na wszystkim, tylko nie na własnym życiu.

Zasnąłam szybko, jakoś w połowie. Poranek przywitał mnie szarym niebem i białym krajobrazem – śnieg nadal prószył, dzieci zdążyły już ulepić bałwana i przytwierdzić mu nos z marchewki. W całym domu pachniało barszczem i grzybową. Spojrzałam na telefon: nie zadzwonił. Na ekranie nie widniały żadne nieodebrane połączenia od Kamila, ale była za to wiadomość o następującej treści:

*Hej, tu Antek. Poznaliśmy się wczoraj. Przepraszam za tę akcję ze świątecznymi zakupami. Nic o tym nie wiedziałem, choć moja mama zachowywała się dosyć podejrzanie, więc mogłem się domyślić, że coś knuje. Wiesz, ona próbuje zrobić wszystko, co może, żebym po studiach wrócił do Polski. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, bo tak sobie myślę, że może byśmy jednak wyskoczyli dziś na te zakupy, co ty na to? PS Fajna piżama. Bohun.*

No to ładnie się porobiło. Wczoraj zrywa ze mną prawie narzeczony, a dziś student z czwartego piętra zaprasza mnie na świąteczne zakupy. Świat stanął na głowie! Ale przynajmniej ma poczucie humoru... Antek, nie świat.

Antku, Antoniuszu, co by ci tu odpisać... Witaj, Bohunie. Cieszę się, że spodobała ci się moja piżama. Może chciałbyś podobną dla siebie, bo tak się składa, że kupiłam dwie? – nie, odpada. Zbyt dwuznaczne. Może lepiej tak:

*Hej, tu Hania. Dzięki za odwiedziny. Fajnie, że spodobały ci się moje renifery, tylko nie rozumiem, czemu ty byłeś nieprzebrany? Mama nie wspominała, że to piżama party?*

*Owszem, wspominała. Tylko że ja śpiam bez piżamy, no i przed samym wyjściem moja mama kazała mi się jednak ubrać. To co będzie z naszym wyjściem? Wpadłbym po ciebie o dziesiątej.*

*Daleko nie masz – chciałam odpisać, ale powściągnęłam swój wyrafinowany cynizm. W końcu dziś była Wigilia i – wyrzałam przez okno – nadal mocno prószył śnieg. Świąteczny nastrój udzielał mi się i pomimo wczorajszej życiowej katastrofy nie zamierzałam przepłakać świąt w poduszkę.*

*Przyjdź o dziesiątej trzydzieści. Muszę jeszcze nakarmić i zaprzęgnąć renifery. Wiesz, dzisiaj w końcu Gwiazdka.*

*Ok, będę punkt o wpół do. Jeślibym się spóźniał, to krzyknij przez balkon. Jestem dwa piętra nad tobą.*

Nie wiem, naprawdę nie wiem, co najlepszego właśnie wyczyniałam. Czy było to tylko spotkanie z synem sąsiadki, z kilka lat ode mnie młodszym Antkiem? Czy jednak randka, pomimo iż wczoraj w niemiłych okolicznościach zakończyłam prawie roczny związek?

Wzięłam głęboki, dodający odwagi oddech i postanowiłam przekonać się o tym na własnej skórze.

\*\*\*

– Dzień dobry! Ja po Hanię. – Usłyszałam jego głos przez drzwi pokoju.

Tak samo mówiłyśmy, kiedy przychodziłyśmy po koleżanki, ale było to w okresie podstawówki, a teraz ja miałam prawie trzydziestkę, a on był studentem i mieszkał za granicą.

– Haniu, Antek po ciebie – zaświergotała mama, jednocześnie wchodząc do mojego pokoju.

Nie najlepiej wychodziło jej ukrywanie uśmiechu, przez który przemawiała satysfakcją w protekcyjnym tonie i coś na kształt... zadowolenia? Z nieco wymuszonym uśmiechem odparłam: „Dziękuję” i weszłam do przedpokoju.

– Cześć – rzuciłam w jego stronę i skupiłam się na wkładaniu butów.

Jak na złość zimowe kozaki miałam wiązane z boku, a chwilowo zupełnie nie potrafiłam się skupić. „Jak zauważy, że nie potrafię wiązać sznurówek, to chyba jednak nici z zakupów świątecznych” – pomyślałam.

Na szczęście buty w końcu udało się dopiąć, chwyciłam za płaszcz i oboje z Antkiem wyszliśmy na korytarz. Na odchodnym mama z ogromnym uśmiechem na twarzy, którego już nie próbowała ukrywać, powiedziała:

– Nie spieszcie się. Do Wigilii w zasadzie już wszystko przygotowane.

– Dobrze, mamó – odparłam, jednocześnie zastanawiając się, jak to możliwe, że jesz-

cze wczoraj miałam wrócić wcześniej, bo prawie nic nie było przyszykowane...

Mówiąc szczerze, ledwo pamiętałam, jak wygląda Antek, a nie wypadało mi przyglądać mu się przesadnie długo. Co jakiś czas rzucałam spojrzeniem w jego stronę, ale za każdym razem udało mi się uchwycić tylko jeden szczegół, taki jak linia włosów na karku, błysk w oku, kiedy na mnie patrzył, ciepły i zachęcający do rozmowy uśmiech. Tym, co rzucało się w oczy i dało się wyczuć nawet bez patrzenia, była postura Antka. Musiał być sporo wyższy od Kamila i szerszy w ramionach, bo czułam się przy nim naprawdę, ale to naprawdę bezpiecznie.

– Ile tak właściwie masz lat? – spytałam tonem detektywa z wydziału śledczego. Równocześnie starałam się przyjąć obojętny wyraz twarzy. Nie było to proste!

– Dwadzieścia siedem – odparł. Ufff, czyli jest tylko trzy lata ode mnie młodszy... Ale zaraz, zaraz, czemu mnie to w ogóle interesuje?! – A ty?

– Ja mam dwadzieścia dziewięć... Ale jeszcze tylko przez jeden dzień.

– Jak to? To znaczy, że jutro masz urodziny? – spytał zaskoczony.

– Tak... A co, pewnie nie wyglądam na trzydzieści lat? – zapytałam z ironią w głosie.

– Oczywiście, że nie wyglądasz! Myślałem, że masz dwadzieścia pięć, może sześć lat – odparł, a ja długo zastanawiałam się, czy mówi poważnie, czy po prostu stara się być miły. Tak czy inaczej, nieźle mu to wychodziło. – To co planujesz? – dopytywał.

– W zasadzie to... sama nie wiem. Myślałam, że spędzę ten dzień z chłopakiem, ale okazało się, że mnie zdradza, więc wczoraj go rzuciłam.

– Naprawdę? Trudno mi w to uwierzyć. – Po chwili dodał: – Planujesz jakąś zemstę?

– Zemsta w zasadzie już była. Obląłam go kawą i obrzuciłam niecenzuralnymi słowami... Jego i tamtą dziewczynę.

– Pomogło?

– Trochę tak, choć jeśli miałabym wybierać, to wolałabym, żeby to się wcale nie wydarzyło.

– Z drugiej strony może lepiej, że stało się to teraz, a nie później, kiedy miałabyś już tę trzydziestkę i wspólny kredyt na wasze mieszkanie.

– No tak, z tej perspektywy to w sumie dobrze się stało – przyznałam.

Szliśmy w stronę przystanku autobusowego, wiatr popychał nas do przodu, na ulicy było gwarno i tłoczno. Łapałam śnieżynki w czarne rękawiczki, a kiedy usiedliśmy w autobusie, przetańlam zaparowaną szybę, żeby przyglądać się przechodniom wracającym do domów z choinkami i siatkami pełnymi kolorowo zapakowanych prezentów.

– Wiesz, ja też niedawno zakończyłem kilkuletni związek – powiedział nagle Antek, przełamując ciszę.

Poczułam się poruszona jego wyznaniem, bo mężczyźni, których znałam, raczej nie lubili się zwierzać. Gestem zachęciłam go do tego, żeby mówił dalej.

– Z Asią poznaliśmy się na studiach, ja byłem od niej rok wyżej. Po dwóch latach naszego związku postanowiłem wykorzystać szansę, która akurat się nadarzyła, a mianowicie odbyć staż za granicą, w znakomitej austriackiej klinice. Zgłosiłem się do programu i udało się. Dostałem miejsce.

– Asia nie pojechała z tobą?

– Nie. Staż był tylko dla przyszłych neurologów, a Asia wybrała specjalizację z kardiologii. Przez ponad rok tworzyliśmy, czy może raczej próbowaliśmy tworzyć, związek na

odległość. Staralem się przyjeżdżać do Polski, kiedy tylko miałem wolniejszą chwilę, Asia też odwiedziła mnie ze dwa czy trzy razy... Nie udało się. Podczas ostatniego spotkania powiedziała, że to dla niej zbyt meczące, za trudne, i że spotyka się już z kimś innym. Nie mam do niej o to pretensji, choć trochę szkoda straconego czasu.

– Chcesz wrócić po stażu do Polski?

– Jak wiesz, moja mama nie marzy o niczym innym – odparł, uśmiechając się. – A ja sam jeszcze nie wiem. Mam podpisany kontrakt z kliniką do końca przyszłorocznych wakacji. Nie zamierzam teraz o tym decydować... Zdarza się, że tęsknię za domem, dlatego też przyjechałem na święta... Ale jest mi tam dobrze; powietrze jest bardzo czyste, jedzenie świeże, ekologiczne, wokoło góry, piękne widoki...

– Brzmi jak coś w sam raz na skołatanę nerwy.

– Tak, dokładnie – powiedział. – I pamiętaj, że mówi ci to neurolog.

Pamiętam jak dziś tę scenę, jechaliśmy wtedy autobusem, choć na ulicach panował świąteczny ruch, w autobusie było prawie pusto. Siedzieliśmy obok siebie na tylnych, poczwórnych siedzeniach. W pewnym momencie Antek przesiadł się naprzeciwko mnie.

– Wiesz, Haniu, odkąd przyjechałem na święta do domu, mama ciągle męczyła mnie, żebym do ciebie zaszedł, że niby mam pożyczyć cukier, potem mleko, a potem mieliśmy lepić te pierogi... Z początku bardzo mnie to złościło, potem wyluzowałem i zaczęła mnie nawet bawić ta sytuacja. Śmieszyło mnie, że mama próbuje wyswatać mnie z kimś, na kogo od pewnego czasu zacząłem patrzeć innymi oczami... Przy okazji przypomniałem sobie historię naszej znajomości... W końcu wychowaliśmy się w tym samym bloku, na tym samym podwórku.

– Tak, pamiętam, jak się kiedyś wywróciłeś na rowerze i płakałeś.

– Ja pamiętam, jak poszliśmy razem na akademię z okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego... Nie zastanawiałaś się nigdy, czemu się wcześniej sobą nie zainteresowaliśmy? – zapytał, a mnie się gardło ścisnęło. Od godziny myślałam wyłącznie o tym.

– Może dlatego, że jestem starsza o trzy lata? Kiedy jest się w podstawówce czy w liceum, to robi sporą różnicę. A potem zaczęliśmy studia i nasze drogi się rozeszły.

– Tak, rzadziej spotykaliśmy się na klatce, doszły nowe obowiązki, wykłady, ćwiczenia...

– A teraz ty jesteś lekarzem, a ja kończę jutro trzydzieści lat. Nie wiem, jak to możliwe, że życie tak szybko i dziwnie się potoczyło. Czasem myślę, że bezsensownie.

– A ja się zastanawiam, czy nie pomyślisz, że oszalałem, jeśli zaproszę cię jutro na kolację z okazji twoich urodzin... – Po chwili dodał jeszcze: – Jeśli wcześniej wpadłabyś do nas na świąteczne ciasto, to moja mama ogromnie by się ucieszyła.

Uśmiechnęłam się. Wyjrzałam przez okno. Śnieg prószył, a my nadal jechaliśmy autobusem, dawno już przegapiliśmy przystanek, na którym początkowo planowaliśmy wysiąść. Zebrałam się na odwagę, na szaloną odwagę, i postanowiłam zaryzykować. Oparłam się wygodniej w fotelu, spojrzałam na Antka, na jego ciepłe, uśmiechnięte oczy i odparłam:

– Bardzo chętnie. Dziękuję za zaproszenie... Ale to oznacza, że nie mam w co się ubrać, tak więc jedziemy prosto do galerii, na świąteczne zakupy!

Najśmieszniejsze było to, że przy poprzednich naszych związkach trzeba było dużo



kombinować, starać się, silić. A teraz wszystko robiło się samo, lekko, łatwo i bezwysiłkowo. Nie musieliśmy nigdzie jechać ani umawiać się, przekonywać. Nie musieliśmy opowiadać sobie o swoim dzieciństwie, bo spędziliśmy je razem, na jednym podwórku. Nasze mamy nie musiały się ze sobą zapoznawać i zastanawiać, czy się polubią. One znały się od lat i właśnie teraz piekły dla nas świąteczny makowiec. Antek bardzo lubił to ciasto, ja zresztą też.

Moja głowa chciała dalej rozpaczać, trudzić się, przeżywać wciąż na nowo i analizować. Tymczasem w sercu był spokój, panowała tam cisza i radość, taka lekka i dziewczęca chęć i ciekawość sprawdzenia, co kryje się za rogiem. Pozostawało zdecydować, którą z dróg wybieram ja: tę rozumową, intelektualną, która mówiła, co jest dobre i właściwe, i co teraz powinnam uczynić. Czy może tę drugą, która nie mówiła nic, zamiast tego w ciszy uśmiechała się i zachęcała do wstania i pójścia w nieznane.

A którą ty byś wybrała?

\*\*\*

Czerwone słońce przebija się przez szczyty, próbuje przedostać się w górę nieba. Ciepło-chłodne promienie nie roztapiają śniegu, nie koją nerwów, nie głaskają wierzchołków drzew. Zamiast tego gęsto i leniwie opadają w dół, rozlewają się po przykrytych półmetrową warstwą śniegu alpejskich świerkach, po zamarzniętych szlakach lodowca, po tafli lodu ukrytego gdzieś w lesie jeziora. Cisza otacza nas, można się wsłuchać w oddech. Ja – w jego. On – w mój.

Antek bierze mnie za rękę i spacerem zmierzamy do nowo otwartego w niedalekim, górskim kurorcie Starbucksa, na prawdziwie alpejską, pierniczkową latte.

Dzień później budzę się sama, bez budzika, jeszcze przed świtem.

– Nie zadzwonił! – przeraziłam się, otwierając oczy i odruchowo siadając na łóżku.

– Śpij jeszcze, Haniu, dopiero szósta. – Usłyszałam z boku ciepły męski głos, a czyjaś ręka złapała mnie za rękaw i przyciągnęła do siebie.

Spojrzałam na mojego Antka i wtuliłam się w niego. Może i był młodszy ode mnie, ale za to mogłam spokojnie schować się w jego ramionach i wcale nie było mnie widać.

Nie zadzwonił? Nie musiał. Był tuż obok.

\* DRÓŻY CZYTAŁNICY \*

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia życzę Wam  
radości, miłości, dobroci, pomysłowości oraz \*  
spełnienia wszystkich marzeń.

\* Życząc Wam, abyście spełnili te  
wielkie chwile wrodzonymi sposobami,  
razem, ciesząc się ze wspólnie spędzonego  
czasu.

Żeby Wam się spełniły wszystkie \*  
marzenia oraz Was wszystkich,

\* Oby ten was czekał krótko  
przez cały rok! :)

\*

J.D. Bujak \*



Kochani, przed świątami w rodzinnym gronie

chciałabym życzyć, abyście w ten magiczny czas  
znaleźli chwilę, by spojrzeć na świat inaczej  
i pomóc tym, którzy nie z własnej woli mają  
trudniej w życiu.

Niesotycie Świąt, i pamiętajcie, że dobro  
wraca ze zdwojoną siłą ♥ ★



Małgorzata  
Falkowska

Kochani?

Nie tylko na święta Bożego  
Narodzenia, ale na cały  
nadchodzący 2018 rok życzę Wam  
przed wszystkim miłości i  
przebaczenia. Tylko oczyszczone  
serce jest w stanie przyjąć  
wszelkie błogosławieństwa,  
jakiś ma nam do przebaczenia  
dobry stwórca. Szanujcie się  
wzajemnie i pomnażajcie  
dobro. To, co dojeżdżamy innym  
wraca do nas po sto kroci

CUDOWNYCH ŚWIĄT ♥ ♥

Ania Haritonow - Francuzowa

Mał Srodny, magia Świąt  
nadaje nieporównany kontakt  
naszym momentom i tęsknotom.

Zycze Mam, abyscie niedługo przy  
migielnym stole, mogli pomieścić,  
sie Wasze momenta właśnie nie  
spełniają.

Joanna  
Jas

Z okazji świąt Bożego Narodzenia  
zycze Nam, drogie Czytelniczek  
i Czytelniczy, abyscie nie musieli  
liczyć kalorii i rozmarzać  
o bieżącej polityce.

Patycje May

Oby ten magiczny czas  
okazał się dla Państwa  
wolny od codziennych trosk  
i zwykłego pośpiechu,  
spokojny, radosny  
i zadowolony.

Carla Mon

Moim drożym Czytelniczkom  
zycze cudownych, pełnych ciepła,  
radości i miłości Świąt Bożego  
Narodzenia, a także dużo zdrowia  
i wszystkiego najlepszego w nadchodzącym  
Nowym Roku 2018.

Joanna Jas



